

**MARTHAGRIMES**  
**POD PRZECHYTRZONYM**  
**LISEM**

I

Noc na Angel Steps

# 1

Wyszła z mgły, z połową twarzy białą, a połową czarną, i szła Grape Lane. Był początek stycznia i morski тумan nadciągał ze wschodu, zamieniając tę brukowaną uliczkę w zadymiony tunel, opadający w dół ku wodzie. Zatoka była otwarta na podmuchy wichury, a biegnąca łukiem uliczka stanowiła coś w rodzaju kanału dla wiatrów wiejących od morza. Gdzieś w dali, wydając żałobne jęki, odezwała się czterokrotnie syrena mgłowa, znana w okolicy jako Whitby Buli.

Wiatr wydymał czarną pelerynę, która wirując, opadała z powrotem w dół i trzepotała wokół jej kostek. Kobieta miała na sobie białą atlasową koszulę i białe atlasowe spodnie, wpuszczone w czarne botki na wysokich obcasach. Stukot tych obcasów o mokre kamienie był jedynym poza okrzykami mew dźwiękiem, który dawał się tutaj słyszeć. Jakaś mewa dreptała na parapecie ponad głową kobiety i dobijała się dziobem do okna. Szukając osłony przed wiatrem, kobieta starała się trzymać jak najbliżej frontowych ścian małych domków. Szła, zaglądając w ślepe z pozoru uliczki, z których kręte niby sprężyna stopnie prowadziły do innych małych zaułków. Jedna z wąskich uliczek doprowadziła ją pod same drzwi domków, przed którymi zamontowane były czarne żelazne skrobaczki do butów. Kobieta zatrzymała się na sekundę pod świecą przytłumionym światłem latarnią, a w tej

samej chwili minął ją ktoś, kto szedł drugą stroną. Jednak we mgle nie sposób było tego człowieka rozpoznać. Na samym końcu zaułka, tuż przy falochronie, kobieta zobaczyła pub, którego okna świeciły przez mgłę i ciemność jak opale.

Zbliżywszy się do żelaznej bramy, przez którą wchodziło się na schody zwane Angel Steps, przystanąła. Po swojej lewej stronie miała teraz szerokie stopnie, łączące Grapę Lane, a także wyżej położoną Scroop Street z kościołem Najświętszej Maryi Panny, stojącym w najwyższym punkcie wioski. Otworzyła bramę i ruszyła pod górę. Weszła na mały podest, gdzie stała ławka, na której można było odpocząć. Na tej ławce ktoś siedział.

Kobieta ubrana w czerń i biel cofnęła się o krok, bardzo zaskoczona. Otworzyła usta, by coś powiedzieć. Postać siedząca na ławce podniosła się z miejsca i nagłym szarpnięciem, jakby za pociągnięciem sznurka, wyciągnęła ramiona w stronę kobiety i uczyniła ruch w górę, a potem w dół. Ciosów było kilka. Zaatakowana kobieta upadła głową w dół na stopnie niczym bezwładna marionetka i nie stoczyła się po nich jedynie dlatego, że ten ktoś, kto ją napadł, przytrzymał jej pelerynę. A potem odwrócił się i przekroczył ciało w sposób niemal niedbały, po czym, omijając plamę krwi, ruszył w dół po stopniach w stronę Grapę Lane.

Zdarzyło się to w noc Trzech Króli.

## 2

- Pewnego typu mordercom zawsze się upieczel!

Adrian Rees postawił z impetem szklankę na barze. Od dłuższego czasu wygłaszał peany na cześć literatury rosyjskiej w ogóle i postaci Raskolnikowa w szczególności.

Jednak w pubie „Pod Przechytrzonym Lisem” nie interesowało to nikogo.

Adrian zastukał palcem w swoją pustą szklanekę.

- Dolej mi, Kitty, kochanie.

- Nie jestem dla ciebie żadnym kochaniem. I nie dostaniesz więcej, dopóki się nie przekonam, że jesteś wypła-calny.

Kitty Meechem wytarła blat w miejscu, w którym Adrian stuknął w kufel sąsiada, powodując, że jego piwo chlusnęło na ściankę szklanki niby morska piana.

- Zalałeś się w pestkę.

- Zalałem się, powiadasz? No, Kitty, proszę...

Powiedział to tonem przymilnym, próbując dotknąć jej orzechowych loków, jednak ona dała mu po łapie.

- Nie postawisz nawet jednego własnemu krajanowi?

- Akurat, krajanowi! Z ciebie taki Irlandczyk jak ze mnie rudy kocur.

Kocur, do którego piła, leżał zwinięty w kłębek na skrawku dywanu, rozłożonym przed kominkiem. Ten kocur był w tym miejscu zawsze - tkwił tam niby ozdoba z gipsu. Adrian zastanawiał się, kiedy się w ogóle rusza i kiedy zapracowuje sobie na wszystkie widniejące na własnym ciele skaleczenia i rany.

- Wygląda na tak leniwego, że mógłby z powodzeniem być Irlandczykiem - powiedział.

- Posłuchaj mnie, człowieku! Tak, do ciebie mówię, do faceta, który spędza całe dnie na pacykowaniu bohomazów, na malowaniu gołych bab. - Uwaga ta wywołała cichy rechot przy barze. - Ten kot pracuje uczciwiej i ciężej niż niejeden ze znanych mi ludzi.

Adrian pochylił się nad ladą.

- Kitty, dolej mi, bo rozpowiem w całym Rackmoor, że pozowałam mi nago! – zagroził scenicznym szeptem.

Billy Sims po lewej i Corky Fishpool po prawej zarechotali. A Kitty, niewzruszona i twarda jak skała, wciąż wycierała blat baru.

- Nie będę tolerowała żadnych nieprzyzwoitych obrazów ani żadnego plugawego gadania. Ale - tu ścięła pianę z kilku szklanek ciemnego piwa - chętnie zobaczę twoją plugawą forszę. A może dzisiaj ktoś udzieli ci pozy...

Pełen nadziei wzrok Adriana skierował się najpierw na Billy'ego, a potem na Corky'ego. Jednak ci dwaj pograżyli się nagle w rozmowie z siedzącymi tuż obok innymi mężczyznami. Nikt nie miał ochoty kupować ani piwa dla Adriana, ani obrazów od niego, a ten ostatni fakt powodował, że Adrian był całkiem goły.

- Powinniście troszczyć się o stan swoich dusz, a nie o stan portfeli! - oznajmił.

Corky Fishpool, dłubiąc wykałaczką w zębach, przeniósł na niego wzrok. A Adrian podjął przerwany wątek. Zaczął znowu mówić o Raskolnikowie.

- Wraczał do tej przebiegłej staruchy wiele razy. Zastawiał u niej swoje nieliczne rzeczy... Ona tymczasem była skąpiradłem...

(Tu łypnął na Kitty Meechem, która go całkiem zignorowała.)

- W końcu, pewnego dnia, zakradł się po schodach...

Palce Adriana wędrowały powoli w stronę szklanki Billy'ego Simsa, który jednak szybko ją odsunął.

- Kiedy znalazł się w środku... kiedy ona stanęła do niego tyłem... Wtedy... Łup! I było po wszystkim.

Zauważył, że przyciągnął uwagę kilku słuchaczy, którzy podeszli bliżej i stanęli za nim. Jednak nikt się nie kwapił, żeby mu postawić. Nawet sam Homer nie zdołałby wydebić drinka od tych ludzi.

- No i po co ten kretyn to zrobił? Ludzie, zrobić coś takie go dla szmalu!

Te słowa padły z ust kuzyna Corky'ego, Bena Fishpoola, muskularnego rybaka, pozbawionego polotu i poczucia humoru, którego twarz przypominała ścianę klifu i który na

przedramieniu miał wytatuowanego smoka. Ben Fishpool posiadał też własny cynowy kufel, który wisiał nad barem. Pił teraz z niego, trzymając kciuk na jego brzegu i ściskając uchwyt, tak jakby się bał, że za chwilę ktoś mu go wyrwie z ręki.

- Chciał zrozumieć, na czym polega natura winy, czego wy, żłopacze piwa, nigdy nie pojmiecie.

Adrian sięgnął po marynowane jajko, a Kitty znowu dała mu po łapie.

- Może i nie, ale on był durniem - wymamrotał Ben, do którego wyjaśnienie Adriana bynajmniej nie przemawiało.

- Wina, odkupienie, grzech! To o to tu chodzi!

Adrian przemawiał teraz odwrócony twarzą do wszystkich zebranych. Powietrze w pomieszczeniu było ciężkie od tytoniowego dymu. Ten dym wisiał ponad stołami niby morską wodą, która wkradła się tutaj, przeniknęła ściany, wślizgnęła się pod drzwi i na parapety. Adrian pomyślał, że miejsce jest doskonałe na taką rozmowę. Że wina i grzech to jest to, o czym należy tutaj mówić. Myny tych, którzy tkwili w pubie aż do jego zamknięcia, zdawały się świadczyć, że są przekonani, że życie to jedna wielka wieczna ciężka próba. Każdy wybuch śmiechu, który się tutaj rozległ, cichł natychmiast, tak jakby ten, co się śmiał, przyłapał sam siebie na głupim chichotaniu na cmentarzu.

- Raskolnikow chciał udowodnić, że ludzie określonego typu mogą mordować innych, nie ponosząc za to żadnych konsekwencji - oświadczył Adrian Rees.

Wyglądało jednak na to, że nikt go nie słucha.

- I nie waz się wyłudzać pieniędzy od Bertiego - odezwała się do Adriana Kitty, tak jakby nie dotarło do niej ani jedno *s\owo* na temat grzechu, winy czy Raskolnikowa.

- Widziałam w zeszłym tygodniu, jak to robisz. A to wielki wstyd. - Machnęła w jego stronę ścierką. - Bo kto to słyszał, żeby dorosły człowiek wyłudzał pieniądze od małego

dziecka, od takiego biednego porzuconego przez matkę chłopaczka!

Adrian zagwizdał cicho.

- Co? Bertie? Bertie biednym osieroconym chłopaczkiem? Chryste Panie, ten dzieciak pobiera przecież większe odsetki niż którykolwiek bank! I sędzę, że to Arnold prowa dzi mu księgowość.

Ten dzieciak Bertie nawet w swoich grubych okularach potrafił przywoździć człowieka wzrokiem. Z Raskolnikowa wycisnąłby wyznanie winy w ciągu dwóch minut.

- O Arnoldzie także nie wolno ci mówić źle. Widywałam nieraz, jak spacerował wzdłuż klifów bardzo wąskimi ścieżkami. A tymczasem ty nie potrafisz iść prosto nawet środkiem ulicy.

- Cha, cha, cha - powiedział Adrian, nie będąc jak zwykle w stanie przegadać Kitty ani dowcipnie się odciąć.

Jego wzrok padł na pełną piwa szklankę Percy'ego Blythe'a. Małe oczka Percy'ego zmrużyły się, a obie jego dłonie przykryły natychmiast szklankę. Następnie Percy zagłębił się ponownie w lekturze.

- Filistrzy! Żaden z was nie pojmuje, co to grzech i wina!

- Ta mądrość plus pięćdziesiąt pensów mogą ci zapewnić pół kwarty piwa - odezwała się Kitty. - Panowie, już czas! Zamykamy!

Drzwi zatrasnęły się za nim. Adrian zapiął sztormiak, pod którym miał marynarski sweter, i naciągnął na uszy wełnianą czapkę. Styczeń w Rackmoor był po prostu piekłem.

Pub „Pod Przechytrzonym Lisem” znajdował się tak blisko wody, że kiedyś fale morskie obmywały jego ściany. A pewnego razu wbił się w jedną z nich dziób jakiegoś statku. Dlatego potem zbudowano wał nadmorski. Front pubu wychodził na małą zatoczkę, w której, chlupocząc na wodzie,



bujały się łódki. Od północy, z okolic Whitby, do uszu Adriana dobiegło żalobne zawodzenie Whitby Bulla.

W miejscu, gdzie teraz stał, zbiegały się cztery wąskie uliczki - Lead Street, High Street, Grapę Lane i Winkle Alley. Przy czym High Street była jedyną, w której mógł się zmieścić samochód. I to na dodatek tylko w wypadku, gdyby jakiś nieustraszony kierowca zdobył się na ryzyko zjazdu ostrą stromizną. Adrian mieszka! właśnie na tej uliczce, w pobliżu jej drugiego końca, gdzie tuż za ostrym wirażem następował urągający sile ciężkości spadek. Teraz jednak postanowił przejść się wzdłuż Grapę Lane. Uliczka ta bowiem nie była aż tak stroma i pełna pułapek w postaci wylupanych kamieni brukowych. Do uszu Adriana wciąż dobiegały głosy tych bywalców pubu, którzy zostali tam do ostatniej chwili. Filistrzy, pomyślał.

A potem, zanim ją zobaczył, usłyszał, że idzie.

Gdy mijał Angel Steps, do jego uszu niczym kołatanie małych młoteczków dobiegło stukanie wysokich obcasów. Kobieta wyłoniła się z mgły, idąc drugą stroną Grapę Lane i kierując się w stronę doków i morza. Wiatr trzepotał czarną peleryną, która furkotała wokół jej nóg przyobleczonych w białe spodnie. Adrian uważał się za uodpornionego na wszelkie dziwne widoki, z jakimi można się spotkać w Rackmoor, jednak dostrzegłszy tę kobietę, cofnął się skulony w stronę zimnej kamiennej ściany jednego z domków. Kobieta nabardzo krótką chwilę przystanąła w świetle którejś z niezliczonych latarni. I wtedy on zobaczył ją bardzo wyraźnie.

Był malarzem, więc chcąc coś zapamiętać - czy to rozproszony wzór kolorowych liści, czy światło księżycy, czy też załamane aksamitnej materii na ramieniu modelki - nie musiał spoglądać dwa razy. Migawka jego oka rejestrowała bowiem tę rzecz, utrzymywała ją w pamięci i zachowywała do wglądu na później. Adrian zawsze uważał, że w razie jakiegoś policyjnego dochodzenia byłby doskonałym świadkiem.

Przez parę sekund, podczas których stała pod latarnią, obraz kobiety odcisnął się w jego pamięci. Czarna peleryna, białe atłasowe spodnie i koszula, czarne botki, a na głowie czarna czapeczka. Jednak rzeczą najbardziej godną pamiętania była twarz, której lewa strona została pomalowana na biało, a prawa na czarno. Wzdłuż grzbietu nosa biegła równa linia podziału, a mała czarna maseczka dopełniała tej dziwnej, przypominającej szachownicę całości.

Kobietę ruszyła szybko w stronę schodów i morza, a jej wysokie obcasy zastukotały wśród mgły. Adrian tymczasem stał przez parę sekund, wpatrując się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem.

A potem przypomniał sobie, że dziś jest święto Trzech Króli.

### 3

- Czy to ja mam odgrywać rolę matki?

Bertie Makepiece trzymał wysoko fajansowy imbryk. Było niezmiernie późno jak na herbatę. Ponieważ jednak na drugi dzień w szkole nie było lekcji, chłopak uznał, że może się dziś trochę polenić. Od wieczornego posiłku zdążył porządnie zgłodnieć. Miał na sobie fartuch tak duży, że musiał go przytrzymać troczkiem biegnącym przez pierś i pod pachami. Stał z imbrykiem zawieszonym nad filiżanką i czekał na odpowiedź Arnolda.

Jednak odpowiedź nie nadchodziła, chociaż patrząc w poważne oczy siedzącej na krześle istoty, można było pomyśleć, że brak odpowiedzi nie wynika z faktu, że Arnold jest psem, tylko z tego, że tak naprawdę wcale nie chce nikomu matkować.

Arnold był staffordshirskim terierem o sierści w kolorze yorkshirskiego puddingu albo też doskonałego, wytrawnego

sherry. Uporczywe spojrzenie jego ciemnych oczu mogło sugerować, że nie jest wcale psem, tylko kimś, kto za psa się przebrał, kto wystroił się w psi garnitur. Był zwierzęciem spokojnym, rzadko szczekał. Zdawać by się mogło, że doszedł do wniosku, że nie da się przejść przez życie, ograniczając się jedynie do gardłowania. Inne psy chodziły za nim, ale z szacunkiem, w pewnej odległości. A Arnold, węsząc wzdłuż chodników i w zaułkach, sprawiał zawsze wrażenie, że jest na tropie czegoś wielkiego.

- Czy coś słyszałeś, Arnoldzie?

Arnold prawie już skończył pić z miseczki swoje mleko z odrobiną herbaty. Siadł teraz prosto, z nastawionymi uszami.

A Bertie zsunął się z krzesła i poczłapał do okna. Ich domek, stojący przy Scroop Street, był wciśnięty między dwa inne niewielkie budyneczki, z których jeden należał do jakichś letników, a drugi stanowił własność starej pani Fishpool. Kobieta ta miała zwyczaj wystawiać dla Arnolda resztki jedzenia, które on zanosił dalej i chował w śmietniku.

Domek Makepiece'ów znajdował się w pobliżu schodów noszących nazwę Angel Steps, po których wytrzymalsi parafianie pieli się co niedzielado kościoła. Wyglądając teraz przez okno, za którym kłębiła się mgła, Bertie nie widział nic prócz upiornych zarysów szczytów dachów i nasad kominów.

Chłopiec drgnął gwałtownie, bo w okno sypialni nad jego głową coś zastukało. To pewnie mewa srebrzysta albo petrel lodowy, pomyślał. Tymczasem ptak zdawał się krztusić ze śmiechu, kpić sobie z całej tej rybackiej wioski. Te ptaki robiły tak zawsze. Budziły Bertiego rankiem, podchodząc do wejścia niby goście, którzy pragną zapukać do drzwi domu. Mewy i rybitwy - wszystkie te cholerne stare ptaszyska - zachowywały się tak, jakby wszystko tutaj należało do nich.

Za plecami Bertiego stał Arnold i czekał, aż chłopak wypuści go na zewnątrz.

- Dobra, Arnold, leć.

Bertie otworzył drzwi, a pies wymknął się przez nie bezszelestnie niby cień.

- Tylko pamiętaj, wróć niedługo! - zawołał jeszcze za nim Bertie.

Pies zatrzymał się i obejrzał, tak jakby pojął te słowa. Chłopiec stał jeszcze przez chwilę w drzwiach, patrząc na kłębiącą się na zewnątrz mgłę. To, co usłyszał, brzmiało jak krzyk. Ptaki zawsze krzyczały.

I wszelkie krzyki w Rackmoor były bardzo do siebie podobne.

## 4

Znalazł ją Billy Sims, strażnik nocny.

Przedtem wraz z Corkym Fishpolem kontynuowali swoje wieczorne hulanki długo po zamknięciu pubu. Odwiedzili najpierw kumpla, mieszkającego na Lead Street, a potem drugiego, rezydującego przy Winkle Alley. I nic dziwnego, bo była to przecież noc, podczas której wypadało świętować.

A teraz, ubrany w swój trójgraniasty kapelusz i płową bluzę mundurową ze stójką, Billy postanowił dotrzeć do swego własnego domku, stojącego przy Psalter's Lane, obok kościoła. Chciał to uczynić, idąc schodami zwanymi Angel Steps. Tak, tak sobie postanowił, choć dobrze wiedział, że schody są nieoświetlone i chodzenie po nich w zimowych ciemnościach może być niebezpieczne. Wetknąwszy więc róg pod pachę, zaczął piąć się pod górę.

I pnąc się, uderzył nagle o coś stopą. I poczuł, że to coś jest nieustępliwe, a jednak miękkie. To nie kamień, pomyślał. Nie miał przy sobie latarki, miał jednak zapalki. Zapalił więc jedną z nich.

I w jej świetle zobaczył odwróconą brodą do góry zakrwawioną twarz i rozrzucone na boki ręce i nogi. Pozycja ta sprawiała, że leżąca biało-czarna postać wyglądała jak ogromna lalka.

Billy Sims na jej widok omal nie spadł ze schodów. Kiedy po chwili uświadomił sobie, że jest noc Trzech Króli i że widzi mima, który zabłąkał się tutaj, wyszedłszy z jakiejś zabawy, cały ten koszmar stał się dla niego czymś najzupełniej realnym.

## 5

Inspektor Ian Harkins z wydziału dochodzeniowo-śledczego w Pitlochary był wściekły. Nadarzał mu się bowiem pierwszy łakomy kąsek, a szef policji chciał go rzucić komuś z Londynu. Po moim trupie, pomyślał Harkins, śmiejąc się w duchu z własnego wisielczego humoru. Jego przypominająca trupa czaszkę twarz o zapadniętych oczach bardzo zresztą pasowała do tego typu dowcipów.

Palce Harkinsa, zaciśnięte na słuchawce telefonu, pobielwały.

- Nie widzę powodu, by dzwonić do Londynu - powiedział. - Nie dotarłem nawet jeszcze na miejsce zbrodni, a pan już mówi o Scotland Yardzie. Proszę dać mi szansę.

Jego „proszę” było jednak jakieś cierpkie.

Komisarz Bates, choć niechętnie, dał mu cztery godziny. Cała rzecz wyglądała na sprawę, w związku z którą mogą pojawić się komplikacje. A z komplikacji zwierzchnicy z Leeds nie byliby zadowoleni.

Harkins wrócił do ubierania się. Czynność ta w jego wypadku nie ograniczała się do pilnowania, żeby włożyć skarpetki do pary czy też odprasowany garnitur. Nie. On ubierał się zawsze starannie, stojąc przed wysokim, obrotowym lustrem. Był też człowiekiem mającym własnego krawca na

Jermyn Street i bogatą ciotkę, mieszkającą w dzielnicy Belgravia. Ciotka go uwielbiała. Nie aprobowała jednak jego dziwnej predylekcji do mroźnej północy i sądziła, że jego praca to tylko chwilowe hobby, które nie wiedzieć dlaczego zmieniło się u niego w nałóg.

Jednak dla Harkinsa praca nie stanowiła bynajmniej jakiegoś amatorskiego zajęcia. Był doskonałym, profesjonalnym policjantem. Umysł miał przy tym bystry i przenikliwy, a jego myślenia nie zakłócały nigdy jakieś małostkowe sentymenty.

Poprawił teraz pasek płaszcza z wielbłądziej wełny, porządnie ocieplonego z myślą o zimach w Yorkshire, i włożył skórzane rękawiczki, miękkie i delikatne niczym aksamit. Był doskonałym policjantem, to prawda, jednak za żadne skarby nie dopuściłby do tego, żeby wyglądać jak policjant.

Jednak funkcjonariuszowi wydziału dochodzeniowo-śledczego nie wolno marnować czasu na tkwienie przed lustrem. Chcąc nadrobić zmitrężone minuty, Harkins wskoczył do swego samochodu (był to lotus elan) i ruszył dziewięćdziesiątką, mając prawie nadzieję, że na tych piętnastu milach oblodzonej drogi, które dzieliły go od Rackmoor i wybrzeża, spróbuje go zatrzymać jakiś zidiociały policjant.

- Nieżle jej przysolili, nie?

Policjant z wydziału dochodzeniowo-śledczego, Derek Smithies, skrzywił się. Z taką uwagą wypadało wyskoczyć raczej podczas meczu rugby niż po krwawym morderstwie.

Ian Harkins wstał z klęczek i poprawił na sobie płaszcz. Fakt, że miał twarz kościotrupa, sprawiał, że wyglądał o dziesięć lat starszej niż w rzeczywistości. Jego kości policzkowe były przy tym bardzo wydatne, a poza tym nosił długie, sumiaste wąsy. Przedtem, przed obejrzeniem ciała, zdjął swoje piękne, miękkie skórzane rękawiczki. A teraz, gestem chirurga, wciągnął je z powrotem.

Z komisariatu w Pitlochary, które - choć było miastem pięciokrotnie większym niż Rackmoor - dysponowało tylko niewielkimi siłami policyjnymi, inspektor Harkins wezwał sześciu ludzi, w tym miejscowego lekarza i policjanta, który właśnie za jego plecami bazgrolił coś w notatniku. Funkcjonariusz kierujący oględzinami miejsca zbrodni już był i się oddalił. Specjalista od odcisków palców - tak doskonały, że potrafił podobno zdjąć pyłek ze skrzydełka muchy - miał się dopiero zjawić. Lekarz sądowy wstał, odchrząknął i wytarł ręce.

- No i? - zapytał Harkins, wkładając do ust cienkie, ręcz

nie wyrabiane kubańskie cygare.

Lekarz wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Wygląda to tak, jakby ktoś potraktował ją widłami.

Harkins spojrzał na niego bystro.

- Widły to raczej nieporęczne narzędzie. Niech pan zgaduje dalej.

- Nietoperze wampiry - odrzekł lekarz, naśladując cierpki ton Harkinsa.

- Bardzo śmieszne.

- Szpikulec do lodu, szydło. Bóg raczy wiedzieć. Ta kobieta wygląda jak sito. Szpikulec do lodu jednak odpada, bo to coś, cokolwiek to było, miało więcej niż jeden ząb. Będę mógł rzecz lepiej ocenić, kiedy ponownie obejrzę ciało już w kostnicy.

Harkins przykucnął.

- Twarz... Niech no który tutaj poświęci!

Przywołał jednego z ludzi przeczesujących teren. Było ich trzech, z latarkami, które poruszały się po schodach niczym ogromne świetliki. Jedna z nich zakotłowała się i oświetliła twarz kobiety.

-To, co jest pod krwią, wygląda jak makijaż zrobiony szminką aktorską. Twarz czarna z jednej strony, a biała

z drugiej. Dziwne. - Harkins wsta! i otrzepał spodnie rękawiczkami. - Godzina? - rzuci! krótko.

Lekarz z namaszczeniem wyciągnął swój cebulasty zegarek i poinformował:

- Dokładnie pierwsza pięćdziesiąt dziewięć. Harkins rzucił na ziemię cygaro i rozdeptał je obcasem.
- Wie pan bardzo dobrze, co mam na myśli.

Lekarz zatrzasnął torbę.

- Proszę pamiętać, że nie jestem pańskim podwładnym. Powiedziałbym, że ta kobieta zmarła co najmniej dwie godziny temu, no, może trzy. Jestem tylko wiejskim lekarzem. To pan wezwał mnie, a nie na odwrót. Więc proszę się zachowywać grzecznie.

Ignorując te uwagi, Harkins zwrócił się do Smithiesa:

- Z obu stron schodów trzeba zablokować przejście. I za bierzcie się do tych ludzi.

*Na Grape Lane, od chwili gdy pojawił się tu Harkins i wozy policyjne, wciąż pojawiały się i znikwały upiorne twarze. Coraz liczniejsi mieszkańcy wioski wygrzebywali się z pościeli, chcąc sprawdzić, co to za zamieszanie.*

- Mówiliście, że ona nazywa się Tempie? - rzucił Harkins, starając się o ton jak najbardziej miażdżący.

Smithies, słysząc go, usiłował się skulić, co dla mężczyzny tak potężnej postury było nie lada zadaniem.

- Tak jest. Podobno zatrzymała się w pokojach gościnnych w pubie „Pod Przechytrzonym Lisem”, który znajduje się tuż przy wale nadmorskim.

- Była obca w tej wiosce?

- Chyba tak.

- Chyba? No cóż, co może tu robić jakaś obca osoba w tak osobliwym przyodziewku? Czy w Rackmoor często bywają tacy goście?

Zabrzmiało to tak, jakby Smithies był odpowiedzialny za pojawienie się w wiosce kobiety w czarno-białym stroju.



- To jest kostium, panie inspektorze...

- Niemożliwe!

Harkins zapalił kolejne cygaro.

- ...przydzielony z okazji święta Trzech Króli. W Old House był bal kostiumowy. Ona najprawdopodobniej szła na tę zabawę. Albo z niej wracała.

- W Old House? A gdzie to jest, u diabła?

Smithies wskazał palcem w kierunku Angel Steps.

- Jeżeli pan pochodzi z tych okolic, musi pan znać to miejsce. To jest dwór „Pod Przechytrzonym Lisem”.

- Przecież mówiliście, że tak brzmi nazwa pubu.

- Bo to prawda. Pub w połowie należy do pułkownika, a pułkownik nazwał go tak samo jak swój dwór. Dlatego wszyscy tutaj mówimy na dwór Old House, a na pub - „Pod Lisem”. Żeby nam się nie myliło. Bo widzi pan, pub, który prowadzi Kitty, nazywał się kiedyś „Pod Wątluszem i Homarem”. Ale pułkownik, to znaczy pułkownik Crael, jest zwiariowany na punkcie polowań na lisy...

- Dla mnie mógłby nawet dostać nazwę od imienia ciotki Fanny... Ale zaraz. Czy wy mówicie o sir Titusie Craelu? O tym pułkowniku Craelu?

- Właśnie o nim, panie inspektorze.

- Chcecie powiedzieć, że ona... - tu wskazał ciało, które właśnie znoszono po schodach w gumowej płachcie - ...że ona była jego gościem?

- Tak myślę, panie inspektorze.

Harkins mruknął coś do siebie pod nosem, wpatrując się przy tym w obwiedzione kredą miejsce, tak jakby chciał przywołać tutaj z powrotem denatkę.

Miał niewiele szacunku dla swoich przełożonych, zarówno tych z Pitlochary, jak i tych z Leeds czy Londynu. A dla ludzi, którzy stali niżej od niego w hierarchii służbowej, nie miał go w ogóle, wychodząc z założenia, że z pewnością zasłużyli sobie na tak niską pozycję.

Istniała jednak na świecie pewna rzecz, którą darzył autentycznym szacunkiem. Tą rzeczą były przywileje. A rodzina Craelów, będąc jedną z najznamienitszych rodzin w hrabstwie York, cieszyła się nimi od pokoleń.

Bił się teraz z myślami. Bo z jednej strony miał po prostu ochotę porzucić ciało tam, gdzie je znalazł, i zostawić cały ten kłopot Londynowi.

A z drugiej - był przecież Ianem Harkinsem.

II

Poranek w Yorku

Melrose Plant położył gazetę na kolanach i odwrócił minutnik.

- Skąd wzięłeś to urządzenie?

Lady Agathę Ardry oddzielała od siostrzeńca połać dywanu z Axminster oraz wielokondygnacyjna patera. Już od godziny lady Agatha, rozparta niby młody wieloryb na kanapie z epoki królowej Anny, opychała się babeczkami oraz rurkami wafłowymi z dodatkiem imbiru, nazywając to wszystko drugim śniadaniem.

Babeczki o jedenastej przed południem? Melrose wzdygnął się, ale odpowiedział na jej pytanie:

- Z antykwariatu koło Shambles.

Po czym poprawił eleganckie okulary w złotych oprawkach i wrócił do czytania gazety.

-No i?

Lady Agatha trzymała filiżankę, odginając mały palec. Była to, jak zauważył, trzecia albo czwarta filiżanka herbaty, którą wypijała podczas tego posiłku.

- Jak to: „No i”? Co masz na myśli?

Wertował gazetę, szukając krzyżówki, która zabije nudę tego poranka.

- Po co, siedząc tu, obracasz co minutę to urządzenie?

Melrose Plant spojrział na ciotkę ponad oprawką okularów.

- Droga ciociu Agatho, robię to po prostu dlatego, że to jest minutnik.

- Nie baw się w kalambury. Nic nie jesz? A Teddy przygotowała dla nas przecież takie pyszne drugie śniadanie.

- Teddy nawet nie zauważy, że nic nie jadłem.

Teddy. Kobieta, która pozwala mówić na siebie „Teddy”, zasługuje na to, żeby gościć Agathę Ardry przez całe dwa tygodnie. Melrose był ciekaw, od czego to „Teddy” jest zdrobnieniem. Sądząc po wyglądzie gospodyni tego domu, od „Theodore”. Teddy okazała się bowiem kobietą tęgą, a włosy miała rude niby płonący krzew. Dziś rano nie było jej w domu - udała się na zakupy.

- Wciąż nie odpowiedziałeś na moje pytanie, dotyczące minutnika. Dlaczego go obracasz? Przecież na gzymsie ko minka stoi zegar, który chodzi doskonale. - Agatha spojrzała w tamtą stronę, mrużąc oczy. - Ciekawa jestem, ile Teddy za niego zapłaciła. Wygląda na włoski.

Moja ciocia w ciągu dziesięciu minut potrafi oszacować wartość wszystkich sprzętów w każdym pomieszczeniu, pomysłał Melrose.

- Kiedyś - powiedział - ławki kościelne miały zasłony, a duchowni trzymali takie minutniki na ambonie. Pastor, zamierzając kontynuować kazanie, obracał minutnik. A każdy ze słuchaczy, którego znudziła jego perora, mógł wtedy zaciągnąć zasłonę. Sądzę, że lord Byron, bawiąc z wizytą u przyjaciół w Yorkshire, chodził z nimi do kościoła, gdzie natychmiast po zajęciu miejsca w ławce zaciągał zasłonę.

Agatha wysłuchiwała siostrzeńca i zaczęła te informacje przetrawiać, jedząc równocześnie babeczkę oblaną okropnym, niebieskawym lukrem. Co u niej było nieczyste, milczała przez chwilę. A potem zapytała:

- Posłuchaj, Melrose, czy przypominasz sobie tego dziwaka, wuja Davidsona? No, tego ze strony twojej drogiej matki, lady Marjorie?

- Co do imienia mojej matki, to je oczywiście pamiętam. A co do tego wuja, to o co chodzi?

- On był całkiem szalony. Wszyscy o tym wiedzieli. Mówił bardzo dziwne rzeczy. Czasami zastanawiam się...

- Agatha odzierała kolejną babeczkę z papierka. - No więc chodzi mi o to, że człowiek nieraz mówi i robi rzeczy bardzo dziwne. Weźmy na przykład ciebie. Zamierzasz przecież pojechać do jakiejś zapadłej rybackiej wioski nad morzem...

- Wioski rybackie, ciociu, zwykle znajdują się nad morzem.

Mówiąc to, Melrose przypomniał sobie, że Agatha - zanim się zorientowała, że zaproszenie nie dotyczy także jej - wyrażała się o tym miejscu zupełnie inaczej. Nazywała je „uroczą małą wioską rybacką”.

Teraz Agatha wzdrygnęła się.

- Morze Północne. I to w samym środku zimy! Gdyby chodziło o Scarborough, i to latem... O, to byłoby cudowne, prawda?

Ależ wprost przeciwnie! - pomyślał Melrose. - Scarborough latem oznaczałoby nadmorskie deptaki i tłumy kąpiące się w morzu, a także to, że ciotka uczepiłaby się go jak pijawka. Melrose ziewnął i zaczął przeglądać „York Mail”.

- Rzeczywiście - zgodził się głośno.

- Powiem ci, że wciąż nie mogę pojąć, skąd wziął ci się pomysł, żeby tam jechać.

- Ależ droga ciociu, ja zostałem tam zaproszony. Człowiek przeważnie odwiedza jakieś miejsce z tego właśnie powodu.

Strzała ironii chybiła, oczywiście, celu. Agatha, która do Teddy wprosiła się sama, dowiedziawszy się, że Melrose jedzie do Yorkshire, jej nie zauważyła. On sam natomiast podwiózł ciotkę tutaj, do Yorku, bo miasto leżało po drodze. Nie mógł jej więc odmówić tej przysługi. Nie miał zresztą nic przeciwko chwilowemu przystankowi, bo York uważał za

cudowne miejsce. Znajdowała się tu przecież katedra, a w niej złoty pulpit, i średniowieczna uliczka Shambles z ciasno stojącymi, chylącymi się ze starości domkami i licznymi sklepami. A na dodatek w przeddzień Melrose odkrył tu nawet przyjemny, niewielki, ukryty klub dżentelmenów, w którym, gdyby zechciał, mógł choćby do śmierci relaksować się w wygodnym fotelu, obitym popękaną skórą. Dziś rano natomiast zrobił sobie spacer wzdłuż murów. Tak, tak, stary York to naprawdę piękne miasto...

- ...tylko baronetem.

Melrose ocknął się z zadumy, oderwał uwagę od murów i bram miasta.

- Co takiego? - spytał.

- Ten sir Titus Crael. On jest tylko baronetem. Podczas gdy ty...

-Podczas gdy ja jestem tylko człowiekiem z gminu. Takim jak tłumy innych, których pełno w całej Brytanii. Słyszałem też, choć może to tylko plotka, że oblegamy Londyn i zdobyliśmy już całą Kornwalię. Chociaż prawdopodobne jest, że z niej zrezygnujemy.

Melrose energicznym ruchem odłożył gazetę.

- Och, Melrose, nie gadaj głupstw. Wiesz dobrze, co mam na myśli. Nikt cię przecież nie potraktuje jak przeciętnego jegomościa, jakiegoś pana Planta. Ty jesteś i pozostaniesz hrabią Caverness. Właśnie to mam na myśli. A także dwu nastym wicehrabią Ardry i wnukiem...

Rozpędzała się niczym jakiś mechaniczny młynek i gdyby nie to, że jej przerwał, wyrzuciłaby z siebie monotonnym głosem całą litanię tytułów.

- Obawiam się - zauważył - że będą musieli zostawić mnie w spokoju i potraktować jak zwykłego człowieka. A to dlatego, że ja sam dałem sobie spokój z tytułami. I wiesz, to zabawne, ale świat mimo to kręci się tak jak dawniej.

- No tak. Tymczasem ja wciąż nie mam pojęcia, dlaczego udajesz, że zrezygnowałeś z tytułu. Nie zajmujesz się polityką. Twój ojciec się nią zajmował. Ale ty... Nie, po tobie się to nie pokaże. Ty nigdzie nie kandydujesz. I z nikim się nie ścigasz.

Mam tylko ochotę ruszyć teraz w te pędy do drzwi, pomyślał Melrose. Lady Agatha mogłaby tak gadać w nieskończoność. Jednak on nie zamierzał dać się w to wciągnąć. Opadł na oparcie i wbił wzrok w sufit. Pomyślał o ojcu, którego bardzo kochał i podziwiał. Za wszystko z wyjątkiem tych idiotycznych polowań. Zdaniem Melrose'a, to właśnie zamiłowanie do polowań sprawiło, że ojciec tak bardzo przyjaźnił się z Titusem Craelem. Tymczasem on sam nie widział się z tym człowiekiem od lat trzydziestu. Jedyne wspomnienie o nim, jakie mu pozostało, wiązało się z polowaniem na młode lisy. Melrose pamiętał wysoką, imponującą sylwetkę sir Titusa, a także to, że sir Titus stał tuż obok niego, trzymając martwego lisa. A potem nastąpiła ta koszmarna inicjacja, odbył się ten straszny rytuał krwi, podczas którego jego twarz, twarz dziesięciolatka, została pomazana krwią zabitego zwierzęcia.

Gdzie to było? Nie mógł sobie przypomnieć. Czy w którymś z hrabstw środkowej Anglii? A może w hrabstwie Rutland? Albo nawet tutaj, na terenach łowieckich w Yorkshire? Melrose pamiętał tylko krople krwi na śniegu. No, a potem nigdy w życiu nie czuł już pociągu do polowań...

- To porządny, stary dom - oznajmiła Agatha, jeszcze raz przerywając tok jego myśli. - Sądzę, że można by go sprzedać za pokątną sumkę. Ten sufit to dzieło jednego z braci Adam.

Melrose przyjrzał się delikatnym pastelowym kolorom i białym gzysom. To imitacja, pomyślał. Sufity były jego pasją. Znał wszystkie w Ardry End, swoim własnym domu, zbadał je cal po calu. Bo przecież wpatrywał się w nie zawsze, gdy ciotka przybywała na herbatę.



- Zastawa to porcelana Crown Derby. A stół to bardzo piękne dzieło Sheratona - powiedziała Agatha.

Melrose patrzył, jak małe oczka ciotki wędrują po pokoju, rejestrując figurynki ze staffordshirskiej ceramiki, ozdoby z papier mache, piękne dekoracyjne szkła, a kalkulatorówkę w jej głowie podsumowuje to wszystko. W poprzednim wcieleniu musiała być licytátorem aukcyjnym.

- A widziałeś, jaki wielki pierścionek Teddy miała na palcu dziś rano? Jak sądzisz, co to był za kamień?

Melrose spojrział na tytułową stronę gazety.

- Z pewnością kamień żółciowy.

- Oj, Melrose, ty naprawdę nie znosisz, kiedy ktoś jest bogatszy od ciebie. - Agatha spojrziała na paterę. - Wezwijmy kamerdynera, bo zabrakło rurek wafłowych z imbirem. - Pociągnęła za taśmę dzwonka. A potem usadowiła się wygodniej, przetrzepując poduszki. - Nie miałam pojęcia, że Teddy tak dobrze wyszła za mąż. Sądzę, że u niej wszystko toczy się równie doskonale jak w Ardry End.

- Chcesz powiedzieć, że ten dobrostan zapanował po śmierci nieboszczyka pana Harries-Stubbsa, tak?

- Melrose, co za cynizm! No, ale cóż. Takiego poglądu na małżeństwo należało się po tobie spodziewać.

Melrose nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w dyskusję na temat małżeństwa. Zaczynał już wątpić, czy kiedykolwiek znajdzie tę nieuchwytną „ona”, z którą będzie mógł dzielić życie w Ardry End. A Agatha, oczywiście, martwiła się jedynie o tę posiadłość. Lubiła wypytywać Melrose'a, wyciągała wciąż dawne nazwiska, wracała do starych wspomnień na temat kobiet znanych mu tak dobrze jak ciała denatek, które pojawiły się na jego drodze - a wszystko po to, by sprawdzić, czy zdoła zbić go z tropu i zmusić do zdradzenia się z jakąś sekretną miłością, o której nie wiedziała i która mogłaby odciąć ją, jako jego jedyną krewną, od Ardry End. Tak, odciąć ją od tej rezydencji z autentycznymi sufitami bra-

ci Adam, z wczesnogeorgiańskimi elementami wystroju, z miśnieńską porcelaną i kryształami marki Baccarat. A co było źródłem przekonania Agathy, że ten majątek jej się należy? Melrose nie miał pojęcia. Ciekawe też było, że choć liczyła sobie lat ponad sześćdziesiąt, a on miał zaledwie lat czterdzieści jeden, nie wyglądało na to, że sądzi, iż siostrzeniec ją przeżyje. Co bez wątpienia nosiło cechy myślenia życzeniowego.

-Tak się zastanawiam... Czy Vivian Rivington wróci wreszcie z tych Włoch?

Było to kolejne z jej podchwytliwych pytań.

Melrose nie odpowiedział na nie, bo jego wzrok przykuła wiadomość znajdująca się na pierwszej stronie „York Mail”.

W Rackmoor popełniono morderstwo.

Gazeta pisała, że w tej miejscowości, w jakimś zaułku, znaleziono leżące na ziemi ciało kobiety przebranej w kostium mima. Policja z Yorkshire już wkrótce dokona jakiegoś aresztowania. (Oznaczało to, że nie mają pojęcia, jak ugryźć tę sprawę.) Przypuszcza się, że zamordowana kobieta jest krewną sir Titusa Craela, łowczego i członka parlamentu - jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych obywateli hrabstwa York.

Hm, krewna sir Titusa. Melrose poczuł, że jest w nie lada rozterce. No bo, zaproszony czy nie, nie powinien chyba w tak okropnym momencie zwać się Craelowi na kark. Może, pomyślał, należy teraz po prostu się spakować, wrócić do siebie, do Northamptonshire, i wysłać list z przeprosinami? No tak, ale Northamptonshire oznaczało obecność Agathy oraz ogólną niemożność i całkowity zastój. A w Rackmoor, gotów był się założyć, panuje teraz z pewnością prawdziwe ożywienie.

Na śniegu widniały plamy krwi...

- Melrose, co się dzieje? Dlaczego jesteś błądy jak śmierć?

Od konieczności odpowiedzi na to pytanie wybawił go na szczęście Miles, kamerdyner Harries-Stubbsov, który się właśnie zjawił.

- Chciałabym napić się jeszcze herbaty i zjeść trochę tych rurek waflowych z dodatkiem imbiru - zwróciła się do niego Agatha. - Ale proszę, by kucharka upewniła się, że śmietana jest świeżo ubita. Powiedźcie jej po prostu, żeby trochę jej dorobiła.

Miles spojrział na nią swoim kuloodpornym wzrokiem. Prawda była taka, że Agatha zawsze bardzo szybko traciła wszelkie względy u służby.

- Tak, proszę pani - zabrzmiała twarda jak kamień odpowiedź, po czym, już cieplejszym tonem, kamerdyner zwrócił się do Melrose'a: - A pan, milordzie? Czy jest coś, czego pan sobie życzy?

- Owszem. Potrzebny mi telefon - odrzekł Melrose. - To znaczy... Proszę łaskawie zadzwonić pod ten numer i sprawdzić, czy jest tam ta osoba.

Melrose wyrwał kartkę z notesu i wręczył ją Milesowi.

- Oczywiście, milordzie.

- Do kogo dzwoniisz, Melrose?

- Do duchów z bezmiernych głębin - odrzekł, próbując wcisnąć gazetę między własne ramię a poduszkę fotela.

Gdyby Agatha wiedziała, że tam, dokąd on się wybiera, popełniono morderstwo, pojechałaby z nim i natychmiast zaczęłaby szukać poszlak. Uważała się bowiem za autorkę powieści kryminalnych. I nie była w stanie zapomnieć o tym, co nazywała „swoim własnym rozwiązaniem” tajemniczy morderstw, które popełniono w ich wiosce.

Miles jak gdyby nigdy nic wszedł ponownie do salonu.

- Mam... - tu posłał szybkie spojrzenie w stronę Agathy - ...mam tę osobę na linii.

- Dziękuję. Odbiorę w innym pokoju.

Kamerdynerzy to ludzie wprost zadziwiający. Melrose przypomniał sobie swojego własnego lokaja, noszącego nazwisko Ruthven. Tak, powiedział sobie w duchu, oni potrafią odgadywać myśli nawet w sytuacji, gdy brakuje myślącej głowy. A potem spojrzał na Agathę i wyszedł z salonu.

Tak, oczywiście, sir Titus nadal pragnie, by Melrose zjawił się u niego z wizytą. Być może nawet bardziej niż przedtem. W domu i w całym Rackmoor roi się od policji. Sugerowano nawet, że należy wezwać ludzi ze Scotland Yardu. Titus Crael roześmiał się, jednak bez specjalnego przekonania. No i ten sposób, w jaki przesłuchiwali Juliana... Pomyślałby ktoś, że... no... że Julian jest podejrzany.

- Posłuchaj, drogi chłopcze - powiedział w końcu sir Titus Crael. - Przydałaby się tutaj twoja pomoc. Bo trochę się martwię.

- O co, sir?

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Jestem tym wszystkim ogromnie skolowany. Ona była... No cóż, porozmawiamy, kiedy się tu zjawisz.

Melrose próbował przypomnieć sobie Juliana Craela, jednak bezskutecznie. Nie sądził, by się kiedyś spotkali, nawet w dzieciństwie. Ale zgodził się nie odwoływać umówionej wizyty, pojechać do Craelów i w miarę swoich możliwości udzielić pomocy.

- Z kim rozmawiałeś? - zapytała Agatha, kiedy wrócił do pokoju, w którym ją zostawił.

- Z sirTitusem Craelem. Uzgodniłem, kiedy mam przyjechać. Podróż potrwa ze dwie godziny.

Gdy ponownie zjawił się Miles, by podać herbatę i słodycze, a także poczęstować Agathę śmiercionośnym spojrzeniem, Melrose odezwał się znowu:

- Czy moglibyście, Miles, wrzucić moje rzeczy do torby?

Wkrótce wyjeżdżam.

Kamerdyner kiwnął głową i wyszedł.

- Mówisz poważnie? Już wyjeżdżasz? - Rurka wafłowa zawisła w powietrzu niby mały samolocik.

Melrose kiwnął głową.

- I będziesz jechał przez wrzosowiska północnego Yorku zimą?

- Przez ten „obcy nam kraj, skąd nikt nie wraca”.

Tak, i być może rezygnacja z powrotu to całkiem niezły pomysł.

Agatha wlepiła w niego wzrok.

- A wiesz, co do twego wuja Davidsona, to przypominam sobie...

Melrose Plant odwrócił minutnik.

\* William Shakespeare, *Hamlet*, akt III, scena 1, przeł. Józef Paszkowski, Warszawa 1974 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

### III

Popołudnie w Islington

# 1

Inspektora Richarda Jury'ego ze snu o malutkich ludzikach, przyszpilających go do ziemi niczym Guliwera, wyrwał prostacki dzwonek telefonu. Jury, zaspany, sprawdził swoje ręce i przekonawszy się, że nie są skrepowane cienkimi linkami, podniósł słuchawkę.

Po drutach dotarł do niego ironiczny głos nadinspektora Racera:

- Już po pierwszej, a wy wciąż odbywacie drzemkę dla poprawienia urody, Jury? Policjantki oszaleją na wasz widok. Miejcie litość, człowieku.

Jury ziewnął. Nie miało sensu przypominać zwierzchnikowi, że on, Jury, nie spał od czterdziestu ośmiu godzin. I nie potrzeba było Freuda, by zrozumieć, kim są lilipuci, którzy go we śnie przyszpilili do ziemi.

- Pan czegoś sobie życzy, panie nadinspektorze?

- Nie, Jury, tak naprawdę niczego sobie nie życzę - odrzekł Racer z wystudiowanym spokojem. - Zadzwoń, żeby poplotkować. Jury, do cholery, macie się zabrać do roboty!

Inspektor wiedział, że powinien czuwać pod telefonem. Ale był dopiero trzeci w kolejce. Przed nim znajdowało się jeszcze dwóch ludzi. Dźwignął się w łóżku i potarł mocno głowę, próbując rozruszać mózg.

- Czy Roper nie znajduje się w pierwszej kolejności?
- Nie mogę go złapać! - odwarknął Racer.

To niemożliwe, pomyślał Jury. Roper ma teraz co najmniej dwudziestogodzinny dyżur pod telefonem. Czy Racer w ogóle próbował się do niego dodzwonić?

- Dzwonili z policji w Yorkshire. Chcą, żeby ktoś tam pojechał. I to miгіem.

Jury stracił rezon. Yorkshire.

- Czy jest pan pewien...?

- ...miejscowość nazywa się Rackmoor. - Jury usłyszał w słuchawce szelest papieru. - To taka rybacka wioska nad Morzem Północnym.

Racer wypowiedział te słowa z wyraźnie dosłyszalną przyjemnością.

Jury zamknął oczy. W zeszłym roku o tej samej porze wysłali go do Northamptonshire. I okazało się, że zima jest tam naprawdę tęga. Nie miał nic przeciwko Yorkshire wiosną. Ani latem. Ani jesienią. Ale w styczniu? Czy Racer zamierzał go gnać coraz dalej na północ, niby jakiś zaprzęg psów husky? Jury spojrział przez okno sypialni i zobaczył płatki śniegu. Było ich tylko kilka - rozprasały się niczym jakieś resztki poprzedniej zimy. Jury zamknął oczy. Jego wyobraźnia wy-czarowała wrzosowiska Yorkshire -te ogromne, płaskie, ciągnące się w dal przestrzenie, pokryte gładką skorupą śniegu. Uchem wyobraźni dosłyszał też swoje własne kroki. Skrzyp, skrzyp, skrzyp, skrzypiały jego buty na pokrytej śniegiem ziemi. Następnie zaś skupił oko wyobraźni niczym soczewkę i zobaczył samego siebie - ciemną, malutką postać, brnącą przez biel - a także swoje własne ślady, przypominające haft ptasich łapek na śniegu. Uśmiechnął się. Bo miał pewną obsesję: kochał rozległe, śnieżne przestrzenie i wprost uwielbiał śnieg brudzić.

Słuchawka, którą trzymał w dłoni, zaskrzeczała nagle. Jury otworzył oczy. Musiałem przysnąć, pomyślał.



- Słucham, panie nadinspektorze?  
- Powiedziałem: jedźcie do biura. I to na jednej nodze. Zdarzyło się morderstwo i jesteśmy potrzebni. Wiggins oświeci was co do szczegółów.

- Kiedy to się stało?

- Dwa dni temu. To znaczy dwie noce temu.

Jury jęknął.

- To oznacza, że ruszyli ciało. Oznacza też, że...

- Nie biadolcie, Jury. Życie policjanta jest ciężkie.

Pół godziny później Richard Jury wychodził już z domu. Gdy znalazł się na zewnątrz, okazało się, że świeci blade słońce. Przed frontowym wejściem znajdował się rząd metalowych skrzynek pocztowych. Jury sprawdził swoją i znalazł w niej tylko reklamy. Wpakował je więc z powrotem i zszedł po kamiennych schodkach. Niewielki park po drugiej stronie ulicy zalany był bladym światłem, a mieniające się w nim zielenie i złoto przywodziły na myśl wyblakłe płótno jakiegoś mistrza.

Przy furtce Jury przypomniał sobie, że ma mały prezent dla swojej sąsiadki, pani Wasserman. Zawrócił więc i zszedł po czterech stopniach, prowadzących do jej mieszkania w suterenie. Zapukał, ale delikatnie, żeby kobiety nie przestraszyć. W środku panowała cisza. Pani Wasserman prawdopodobnie zastanawiała się, czy otworzyć. Zasłonka w oknie po lewej stronie odsunęła się i Jury przez podwójną żelazną kratę zobaczył jej oko i nos. Panią Wasserman nękały paranoiczne lęki. Dla niej dzielnica Islington była warszawskim gettem. Jury pomachał jej ręką. Zasłonka opadła. Brzęknął łańcuch. Drzwi się otworzyły. I pojawiły się obfity biust pani Wasserman oraz jej szeroki uśmiech.

- Pan Jury!

- Witam panią. Coś pani przyniosłem.

Jury podał starszej pani małą paczuszkę, którą wyjął z kieszeni płaszcza od Burberry'ego.

Gdy pani Wasserman otworzyła paczuszkę i zobaczyła gwizdek, twarz rozjaśniła jej się jeszcze bardziej.

- To gwizdek policyjny - oznajmił Jury. - Pomyślałem, że gdy będzie go pani miała na szyi, poczuje się pani trochę bezpieczniejszej, idąc na targ albo w stronę Camden Passage. Wystarczy, że pani raz zagwizdże, a wszyscy policjanci w promieniu mili ruszą w te pędy wzdłuż Islington High Street i zbiegną się w miejscu, gdzie będzie pani stała.

Mówiąc to, Jury grubo przesadzał. Wiedział jednak dobrze, że kobieta nigdy nie znajdzie okazji, by posłużyć się gwizdkiem. Gwizdek był bardzo stary, a on natknął się na niego w jakimś antykwariacie w pobliżu Camden Passage.

Jury często obserwował panią Wasserman. Widywał ze swego okna, jak kobieta idzie ścieżką prowadzącą do furtki, ubrana w czarny płaszcz i płaski czarny kapelusz, niosąc kwiciastą torbę na zakupy. Przy furtce zawsze się zatrzymywała i rozglądała w lewo i w prawo. Znalazłszy się już za furtką, czyniła to jeszcze raz. A następnie, idąc ulicą, spoglądała na boki i oglądała się za siebie...

Byli sąsiadami od lat, a ona w ciągu tego czasu kilka razy poprosiła Jury'ego, by jej towarzyszył na Islington High Street albo do stacji metra. Robiła to bardzo nieśmiało, a on, chcąc oszczędzić jej zażenowania, zawsze odpowiadał, że właśnie idzie w tamtą stronę. Zresztą prawda była taka, że w dni, w które nie był w New Scotland Yardzie, miał tyle swobody, że mógł iść, dokąd chciał. Patrzył na nią teraz, a ona, uszczęśliwiona jak dziecko, próbowała zagwizdać. Jury górował nad nią wzrostem, gdy tak stała obok - niska, korpulentna kobieta, z włosami zaczesanymi gładko i ściągniętymi na karku w mały koczek. I w granatowej sukni, do której przypięła filigranową broszkę. Jury był bardzo ciekaw, jak wyglądała jej przedwojenna młodość. Ta kobieta musiała być kiedyś naprawdę bardzo ładna, pomyślał.

Wojna była tym, co ich łączyło. Bo on stracił wtedy zarówno ojca, jak i matkę. Ojca pod Dunkierką, a matkę podczas nalotów na Londyn. Jury miał wówczas siedem lat, a ich dom zawalił się niczym domek z kart. Szukał potem matki w nocnych ciemnościach. I znalazł ją w końcu pod zwęglonymi resztkami belek i osmalonymi cegłami. Zobaczył jej rękę, wystającą spod gruzów jak spod kołdry. A potem przez całe siedem lat przekazywały go sobie ciotki i kuzynki. I dopiero w wieku lat czternastu zdołał się od nich odczepić i zacząć życie na własny rachunek.

Po tamtej traumie nie mógł już nigdy więcej spojrzeć na rękę kobiety. Kobięce przedramię, leżące na ciemnym obiciu fotela czy na drewnianym blacie stołu - nie twarz, nie ciało, ale właśnie przedramię - przyprawiało go o jakiś bezwład i drżenie. Ten obraz, który w innych warunkach byłby po prostu koszmarny, cechowało coś, co poeta określiłby mianem „strasznego piękna”. Porcelanowa dłoń zabitej matki na tle czarnych, dymiących zgliszcz londyńskiej kamienicy ukazywała mu się w snach niby latarnia w ciemnościach, niby światło w lesie.

- Ach, panie inspektorze - powiedziała pani Wasserman, przywracając go rzeczywistości. - Ja po prostu nie wiem, jak mam panu dziękować. To takie miłe z pana strony. - Chwyliła go za ramię gestem pasażera tonącego statku, który chwyta się drzewca masztu. - Mój brat, Rudy... No wie pan, ten, do którego pisuję. Ten, co mieszka w Pradze. A tak nawiasem, to jak pan myśli, czy oni tam cenzurują korespondencję? - Jury pokręcił głową; nie miał pojęcia. - Ach, kto to może wiedzieć! Więc ja mu zawsze piszę, żeby się o mnie nie martwił. Bo on lubi się zamartwiać. No to go zapewniam, że tutaj, tuż koło mnie, mieszka policjant. I to wcale nie taki zwyczajny. Tylko prawdziwy Anglik. Ach, niech pana Bóg błogosławi, panie inspektorze.

Jury usiłował się uśmiechnąć. Zdołał jednak tylko przełknąć ślinę. Uciekał przy tym wzrokiem w bok, w stronę malowanego słońcem parku.

- Dziękuję pani za te życzenia.

Uśmiechnął się w końcu i podniósł rękę, salutując krótko.

A potem, idąc Camden Passage w stronę stacji metra, noszącej nazwę Angel, czuł, że wyrastają mu skrzydła. Pani Wasserman zrobiła mu wielką przyjemność. Bo on, pomimo dwudziestu lat służby w Scotland Yardzie, pomimo że nieraz widywał różne ludzkie szumowiny, nie stał się cynikiem.

Prawdziwy Anglik.

Dla niego był to wciąż najwyższy komplement.

## 2

- ...jest położone nad morzem. To taka wioska rybacka... w pobliżu Whitby... A raczej była wioska... bo teraz to raczej miejscowość turystyczna, w każdym razie latem.

Sierżant Alfred Wiggins wyjął chusteczkę do nosa tak wielką jak mały obrus i wydmuchał nos. A potem, odchyliwszy do tyłu głowę, zapuścił sobie malutkim zakraplaczem krople i pociągnął nosem. Był hipochondrykiem, a hipochondria w jego wykonaniu okazywała się wręcz sztuką albo nawet sportem.

- Wciąż męczy was to przeziębienie, sierżancie? - Pyta nie to było tak retoryczne, że nawet sierżant Wiggins nie zadał sobie trudu, żeby na nie odpowiedzieć. - Czy ludzie z York shire nie mogą zająć się tym morderstwem sami? - mówił dalej Jury. - Przecież nie są głupi.

- To s pełnością nie jes tak po prostu moddestwo.

Jury z biegiem lat nauczył się interpretować tajny język Wigginsa rodem z izby chorych. Wiggins tak często trzymał przy twarzy chusteczkę albo pastylkę w ustach, że wszelkie

informacje przekazywał za pomocą czegoś, co można było nazwać sekretnym kodem.

- Co macie na myśli, mówiąc, że „nie jest to tak po prostu morderstwo”?

Wiggins zatkał malutką buteleczkę i pochylił głowę w przód.

- Wygląda na to, panie inspektorze, że są komplikacje. Ktoś z Rackmoor twierdzi, że ofiara nazwiskiem Gemma Tempie była w rzeczywistości kimś innym.

Jury zastanawiał się, jak zinterpretować tę wypowiedź i wycisnąć z niej jakąś wskazówkę.

- Czy sądzicie, że moglibyście to wyjaśnić?

- Tak, panie inspektorze. Ten ktoś miał na myśli fakt, że istnieją wątpliwości co do tożsamości denatki. Przebywała ona w Rackmoor od czterech dni, mieszkała w pokojach gościnnych przy pubie. Przedstawiała się jako Gemma Tempie. Ale zdaniem rodziny Craelów, była w rzeczywistości jakąś ich krewną. No wie pan, incognito, coś w tym sensie. - Wiggins przekartkował notatki. - Dillys March. Tak brzmi jej domniemane nazwisko. Zgodnie z tym, co mówią Craelowie. Ta kobieta wyniosła się z Rackmoor cichaczem... yyy... piętnaście lat temu. A potem, tak po prostu, pojawiła się znowu. I została zamordowana.

- Czy oni nie są pewni, kim ona jest? - zapytał Jury, a Wiggins pokręcił głową. - Ale przecież można to jakoś sprawdzić.

- Policja z Yorkshire wie tylko, że ta kobieta przyjechała z Londynu, panie inspektorze. Ostatnio mieszkała w Kentish Town. Niewiele więcej wiadomo.

- Gdzie jest teraz ciało?

- W kostnicy w Pitlochary. Około dwudziestu mil od Rackmoor.

- No, i oczywiście, wszystko zostało wyczyszczone i odkurzone. Prawdopodobnie nawet odkurzaczem.

Śmiech Wigginsa był raczej chichotem.

- Dlaczego, u diabła, ja zawsze dostaję takie sprawy, kiedy zdążą już ostygnąć? Są jacyś podejrzeni?

Wiggins pokręcił głową.

- Nie da się nic na ten temat powiedzieć. Poza tym, że ja kiś zwariowany malarzyna tej samej nocy głądził coś w pubie o zabójstwie. Gadał o jakimś Rasputinie.

Jury podniósł wzrok znad filiżanki herbaty.

- Rasputin? A co on ma z tym wspólnego?

- To jakiś Rosjanin. Twierdzący, że morderstwa popełniają ludzie ponadprzeciętni.

Jury zastanawiał się przez chwilę.

- Raskolnikow?

-Te ich rosyjskie nazwiska... Wszystkie brzmią tak samo.

Jury spojrzął na zegarek.

- Załatwiliście bilety na pociąg dla siebie i dla mnie?

- Tak, panie inspektorze. Obawiam się, że pociąg odjeżdża dopiero o piątej. Z Victoria Station. W Yorku ktoś nas z dworca odbierze.

## **IV**

Rackmoorska mgła

# 1

System grzewczy w małym fordzie eskorcie sapał i stękał. Strumień gorąca buchał jedynie na podłogę, wskutek czego Jury miał stopy rozgrzane do czerwoności, a nos zimny jak u psa.

Po obu stronach drogi ciągnęły się ogromne wrzosowiska północnego Yorku - całkiem białe i skute mrozem. Gdzieś w oddali, w półprzezroczystych odcieniach szarości, majaczył horyzont. Mignęło im kilka murów, jednak w większości teren był tutaj nieogrodzony, a ziemia stanowiła leżące odłogiem nieużytki. Nie było tu żadnych dróg, żadnych torów kolejowych, żadnych żywoptów ani murów, żadnych farm czy innych gospodarstw. Wrzosowiska ciągnęły się w nieskończoność niby jakaś odrębna kraina.

Pozostawiwszy za sobą York, pojechali prosto jak strześli. I przebyli tak sześćdziesiąt mil, po czym zatrzymali się tylko w Pitlochary, gdzie Jury obejrzał ciało zamordowanej kobiety i porozmawiał z lekarzem, który robił sekcję zwłok. Udało im się następnie przespać parę godzin. Teraz wstawał dzień, a Jury, jadąc tak z Wigginsem, miał wrażenie, że jest to najwcześniejszy ranek w jego życiu.

Jechali przez wrzosowisko Fylingdales, dostrzegając w oddali kopuły geodezyjne systemu ostrzegawczego marynarki Stanów Zjednoczonych. W stronę ich samochodu,



wzdłuż pobocza, zbliżało się powoli z pół tuzina owiec. Kule gęstej, kędzierzawej, oszronionej od mrozu wełny dreptały na patykowatych czarnych nóżkach. Miały też wydłużone, czarne i (tak przynajmniej pomyślał Jury) smutne mordki. Kiedy samochód je minął, Jury otworzył okno. Zobaczył, że ostatnia z owiec przystanęła, żeby poczochrąć się o stary krzyż, i obejrzała się za nimi ciekawie.

A jemu przypomniało się ciało młodej kobiety, które tak niedawno widział rozciągnięte na stole sekcyjnym w kostnicy w Pitlochary. I zapragnął nagle znaleźć się pośród ogromu całkiem obojętnej natury.

- Na miłość boską, panie inspektorze, proszę zamknąć okno!

Wiggins, który prowadził samochód, wyrzekł te słowa błagalnym tonem.

Jury zamknął więc okno, poprawił się na siedzeniu i zapatrzył na wymarły, opustoszały krajobraz, na te nienaruszone, dziewicze połacie śniegu, i westchnął.

Rackmoor leżało w rozpadlinie skalnej, zwrócone frontem do Morza Północnego, a tyłem do wrzosowisk. Wyglądało tak, jakby skrywało jakąś tajemnicę, a nawet winę.

Zajechali na parking usytuowany strategicznie - w najwyższym punkcie wioski. Sto jardów niżej, na spadającej na łeb na szyję High Street, utknęła ciężarówka naczepowa, której szoferka znajdowała się już za szaleńczo ostrym zakretem, a przyczepa - jeszcze pod kątem, ustawiła się wzdłuż wąskiej jezdni.

Jury spojrzął w dół i zobaczył morze, a także dachy o czerwonych dachówkach, stłoczone w nierównych warstwach wzdłuż ściany klifu. W oddali, na szarym horyzoncie, wyczekiwał statek, unieruchomiony pośród tego poranka. Wioska, którą spowijały mgła i poranne dymy, była całkiem monochromatyczna, jeżeli nie liczyć przytłumionej brązo-

wawej czerwieni dachówek. Jury poczuł się tutaj tak jak na wrzosowiskach. Miał wrażenie, że został uwieczony w jakiejś pętli czasu i że zmierza donikąd.

- No cóż, chyba nie mamy wyjścia, panie inspektorze. Musimy iść pieszo - odezwał się Wiggins i - bardzo niezadowolony - wciągnął w płuca morskie powietrze.

Na świecie istnieją znacznie lepsze klimaty niż ten tutaj, zdawał się mówić jego nos.

Kiedy mijali położony po lewej stronie pub „Pod Dzwonem”, usłyszeli krzyk kierowcy, który wychylał się z szoferki i wołał coś do grupki miejscowych. Jury zaczął się zastanawiać, jak wielkiej wiary w prawa grawitacji trzeba było, by ciężarówka zdołała przejechać choćby kawałek wzdłuż High Street. Wciskając się między szoferkę ciężarówki a sklep rybny - którego właściciel, ubrany w biały fartuch, wyszedł właśnie, by się przekonać, że znalazł się dosłownie o ułamek cala od potężnej maszyny - minęli zabójczy zakręt i skęcili w prawo. Ulica biegła teraz poziomo wzdłuż ciągu sklepów. Był tu sklepik z gazetami i stelażami pełnymi pocztówek, które w styczniu nie cieszyły się zapewne powodzeniem wśród turystów; był sklep z warzywami, zza którego szyby szpakowata właścicielka, wykładając brukiew, przyjrzała się Jury'emu i Wigginsowi wzrokiem kobiety interesu; był też niewielki budynek po prawej, w którego oknie spał szary cętkowany kot i gdzie mieściła się Galeria Rackmoorska. A jeszcze dalej znajdował się mały sklepik z sukienkami tak nieurodziwymi i burymi jak brukowe kamienie.

Drugi i (tego Jury był pewien) główny parking w wiosce urządzono na płaskowyżu, który mieli teraz po prawej. A za kolejnym zakrętem w lewo znajdowała się kolejna prowadząca w dół stromizna. Na drugim jej końcu Jury zobaczył teraz morze, sprawiające wrażenie obrazu umieszczonego u wylotu zielonego tunelu i tworzącego coś w rodzaju złudzenia optycznego. Po lewej i po prawej mijali małe podwórka

i mikroskopijne zaułki. W jednej z wąskich uliczek, noszącej nazwę Bridge Walk, Jury zauważył kilka prowadzących w górę stopni, a tuż obok mały potok. Chodniki były tu właściwie czymś w rodzaju klatek schodowych, a szczyty dachów spoglądały *nawzajem na siebie*.

U wylotu High Street znajdowała się niewielka zatoczka. Tego ranka fale załamywały się w oddali, tak jakby wcale nie świeciło słońce, a pozbawione blasku gniewne spojrzenie morza rzucało swoje własne światło na skały i nieruchome skalne zatoczki. Niewielkie stateczki, różnego rodzaju łódki rybackie, pomalowane na dziwne kolory - tkwiły na skraju lądu powyciągane na brzeg. Jedne były szafirowe, inne niebieskawozielone. Falochrony stanowiły część wału nadmorskiego.

Szyld pubu „Pod Przechytrzonym Lisem” kołysał się na metalowej szynie. Szarpał nim ostry wiatr. Na szyldzie tym widniał lis, który uszedłszy wielu niegdysiejszym pogoniom, był teraz trochę sfatygowany i leniuchował w zaroślach, zjadając winogrona. Tymczasem zza krzaków obserwowała nieszczęśnika cała sfora psów myśliwskich.

Jury i Wiggins obeszli zatoczkę i zbliżyli się do pubu. A przed pubem zobaczyli jeden z najelegantszych sportowych małych samochodów.

Wiggins zagwizdał cicho.

- Proszę, proszę, co za widok. Lotus elan. To cacko kosztuje równowartość mojej rocznej pensji.

- Ciekawe, jak się tu dostało - rzucił Jury. - Pewnie przeleciało przez zmrożone wrzosowiska na skrzydłach.

Pani Meechem - Kitty, jak przedstawiła się Jury'emu, patrząc na niego z zachwytem i znajdując się pod wrażeniem jego wzrostu, uśmiechu oraz dowodu tożsamości, albo wszystkich tych trzech rzeczy naraz - otóż pani Meechem zaprowadziła ich do małej jadalni na tyłach pubu, oddzielonej od

baru drzwiami z niskim nadprożem. Jury, przechodząc przez nie, musiał się pochylić.

W jadalni od stołu wstał szczupły, młodo wyglądający mężczyzna. To on z pewnością był właścicielem tamtego wspaniałego sportowego samochodu. A z faktu, że znajdował się w tym miejscu, należało wnioskować, że jest inspektorem Harkinsem z wydziału dochodzeniowo-śledczego w Pitlochary. Obok niego siedział niski, korpulentny człowieczek, który wyglądał tak, jakby pragnął ukryć się przed wzrokiem wszystkich obecnych.

- Nazywam się Harkins. - Szczupły mężczyzna podał rękę Jury'emu, ściągnawszy przedtem starannie perłową szarą rękawiczkę. - Dobrze, że pan przyszedł nam z odsieczą. I to tak szybko.

Kłamię, pomyślał Jury. Bo Harkins wcale nie sprawiał wrażenia człowieka, który naprawdę uważa, że to dobrze. Trudno go zresztą było za to potępiać. Prowincjonalnego policjanta zawsze będzie złościł fakt, że ktoś uzurpuje sobie prawo do zastępowania go. Tak więc będzie z tym mały kłopot.

Harkins przedstawił swego towarzysza.

- To jest Billy Sims - powiedział. - Pełni tutaj funkcję strażnika nocnego.

- Strażnika nocnego? A co to za funkcja?

Billy Sims zmiął czapkę w dłoniach i przebiegł spojrzeniem całe pomieszczenie, starając się ominąć przedstawiciela Scotland Yardu.

- Jestem tu strażnikiem nocnym już dziesięć lat - oznajmił. - Pan pułkownik Crael... To znaczy... to on mi za to płaci.

- To taka stara miejscowa tradycja - włączył się pośpiesznie Harkins, by szybciej skończyć z wyjaśnieniami. - Strażnik nocny odpowiadał kiedyś za bezpieczeństwo wioski. W Rackmoor go jednak nie było aż do chwili, gdy sir Titusowi przyszło do głowy, żeby tutaj tę funkcję wprowadzić. Natomiast Ripin miało chyba takiego strażnika. To Billy znalazł ciało.

- Rozumiem. Kiedy to było? - zwrócił się Jury do Billy'ego.

Billy Sims wbił wzrok w podłogę, tak jakby się spodziewał zobaczyć na niej ponownie tamten straszny widok.

- Koło północy. Na Angel Steps.

- Usłyszeliście coś przy tym? Albo może zobaczyliście?

Billy gwałtownie pokręcił głową.

- Nie, proszę pana.

- Pomoglibyście nam bardzo, gdybyście zechcieli pójść z nami na te schody...

Jury miał wrażenie, że biedak padnie zaraz przed nim na kolana i chwyci rąbek jego płaszcza.

- Och nie, proszę pana. Bardzo proszę... Wolałbym tego nie robić. Widok był taki okropny...

Na jego twarzy malowało się autentyczne przerażenie.

- No dobrze. W porządku. I tak bardzo nam pomogliście.

Wyglądało na to, że Harkins, odprowadzając wzrokiem odchodzącego Billy'ego, wcale się nie zgadza z opinią Jury'ego.

Tymczasem Jury rzucił płaszcz na krzesło i usiadł. Zauważył przy tym, że Harkins pozostał w swoim niewiarygodnie drogim wierzchnim okryciu z wielbłądziej wełny. Świadczyło to chyba o tym, że nie chce tu pozostawać ani chwili dłużej, niż wymagają obowiązki.

- Byli panowie w Pitlochary? Obejrzeć ciało? - zapytał.

Jury kiwnął głową. Harkins podał mu szarą tekturową teczkę, która wyglądała bardzo porządnie i była opatrzona naklejką.

- Wszystko jest tutaj, panie inspektorze - oznajmił, ateczka o mały włos nie upadła na blat stołu.

- Mam na imię Richard - powiedział Jury i wyjął paczkę papierosów. - Poczęstuje się pan?

Harkins pokręcił głową, uśmiechnął się blado i wyciągnął z kieszeni płaszcza skórzaną papierośnicę.

- Palę tylko te cygara. Kubańskie, bardzo dobre. Spróbuj pan?

- Oczywiście. Dzięki.

Jury poda! ogień Harkinsowi, sam też zapalił cygaro, a potem otworzył teczkę. Spojrzał na zdjęcia zrobione przez fotografa.

- Kto dla was fotografuje? Zdjęcia są doskonałe.

- A, pewien miejscowy.

- Proszę opisać miejsce zbrodni.

Zapanowało krótkie milczenie.

- Wszystko jest w teczce, panie inspektorze.

- Tak. Jestem pewien, że raport został sporządzony bardzo dokładnie. Gdybym go jednak usłyszał, zyskałbym lepszą perspektywę na całą sprawę. Bo widzi pan, ma pan nad mną przewagę. Widział pan to wszystko, a ja nie.

- Przewagę? Mam nadzieję, że to nie oznacza, że będziemy całą robotę robić do końca sami.

Harkins uśmiechnął się niewyraźnie. Nie było wątpliwości, że uważa siebie za Małą Rudą Kurkę z bajki, tę, która upiekła chleb, a Jury'ego za Indyka, który przyszedł ten chleb wydziobać.

W tejże chwili do salki weszła Kitty Meechem z kawą, ułatwiając Jury'emu zignorowanie uwagi Harkinsa. Gdy filiżanki stały już na stole, Wiggins spojrzał na Kitty z żalobnym wyrazem twarzy i poprosił o herbatę.

- Chyba mnie coś bierze - oznajmił. - Morskie powietrze zawsze mi szkodziło.

- Pan potrzebuje czegoś więcej niż herbaty - odrzekła Kitty, przyciskając tacę do piersi niczym paczuszkę listów miłosnych. - Najlepsze będzie piwo z masłem.

Po tych słowach wyszła pośpiesznie z pomieszczenia. Atrakcyjna kobieta, pomyślał Jury. W średnim wieku, przykości, a włosy ma przy tym ciemne i błyszczące.

- Co to jest piwo z masłem? - zapytał go szeptem Wiggins.

- Nie wiem - odrzekł Jury. - Ale mam pewność, że jest ono zdolne uleczyć nawet martwego konia.

- Ale ja nie mogę pić na służbie, panie inspektorze.

- To nie będzie picie, tylko zażycie lekarstwa, sierzancie - sprostował Jury, po czym, doszedłszy do wniosku, że Harkins nie bardzo ma ochotę porozumiewać się słownie, wziął teczkę, rozłożył błyszczące zdjęcia i zaczął się przyglądać jednemu z nich.

Na fotografii widniała część kamiennych stopni. Na najszerszym z nich, we wgłębieniu w murze, po lewej stronie, stała kamienna ława. Jury skupił uwagę na pozycji martwego ciała.

Leżało głową w dół, a jedna jego połowa zwisała z czegoś w rodzaju podestu. Nogi były zgięte, a tułów rozciągnięty na stopniach. Prawe ramię, odrzucone nad głowę, spoczywało na trzecim stopniu, a lewe wciśnięte zostało pomiędzy tułów a wysoki mur po lewej stronie. Twarz denatki odwrócona była ku muirowi. Widoczny na zdjęciu fragment tej twarzy pokrywała krew i szminka aktorska. Czerń, biel i czerwień w tym świetle nie odróżniały się od siebie. Czarna maska, która przedtem zasłaniała oczy, zwisała teraz na gumce. Biała atlasowa bluzka kobiety prawie fosforyzowała w świetle flesza. Światło odbijało się też od jej botków, a czarna peleryna sfrunęła w dół po schodach. Głowa znajdowała się na pierwszym planie, co dawało efekt nader dramatyczny. Bardzo żałując, że nie mógł zobaczyć ciała *in situ*, Jury zamknął teczkę, a potem, podparłszy brodę, zwrócił się do Harkinsa:

- Lekarz sądowy... jak on się nazywa?

- Dudley. Pomaga nam czasami.

- Mówi, że nie wie, czym zostały zadane te rany. A pan? Ma pan jakiś pomysł?

Harkins odwrócił wzrok, zastanowił się i już miał coś powiedzieć, w tej samej chwili jednak zjawila się Kitty.

- Proszę bardzo. To pana postawi na nogi - oświadczyła, stawiając przed Wigginssem leczniczy napój w cynowym kuflu.

Wiggins zajął do kufła.

- Co to jest? - zapytał podejrzliwie.

Kitty roześmiała się, a jej śmiech w tej lodowatej atmosferze zabrzmiał wręcz rozkosznie.

- Jest tu trochę cukru, odrobina masła i jajko. Zawsze mówię, że jajko potrafi rozwiązać każdy problem - odrzekła i już zabierała się do odejścia, gdy zagadnął ją Jury:

- Proszę posłuchać, Kitty. Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, będę później musiał zadać pani kilka pytań. Jak rozumiem, Gemma Tempie mieszkała tutaj, w pokojach gościnnych pani pubu.

- Tak. To prawda. Będę w pobliżu na wypadek, gdybym była panu potrzebna - odparła Kitty, a jej dłonie powędrowały ku włosom.

Kiedy kobieta się już oddaliła, Jury zwrócił się ponownie do Harkinsa:

- Mówiliśmy o narzędziu zbrodni.

- Tak. - Harkins strząsnął popiół z cygara do szklanej popielniczki. - Dudley twierdzi, że miało dwa szpikulce. Wskazuje na to rozstawienie otworów. Są ich co najmniej cztery pary. Zastanawiam się, dlaczego morderca wybrał tak niekonwencjonalną broń.

Jury uśmiechnął się.

- Żebyśmy musieli sobie nad tym łamać głowę, panie inspektorze. Wie pan, chciałbym zobaczyć te schody.

- Jesteśmy do pana usług, panie inspektorze.

Harkins wstał i poruszył się ostrożnie, tak jakby własną osobę traktował jak figurkę, którą trzeba przenieść z gzymsu kominka na blat stołu.

Wiggins dopił tymczasem swoje piwo.

- Niezłe - powiedział.

Jury żałował, że sam nie zjadł jajka. Bo jajko, jak twierdziła Kitty, potrafi rozwiązać każdy problem.



Wszyscy trzej stali teraz na szerokim stopniu, poniżej miejsca, w którym Angel Steps łączyły się z położoną po lewej stronie Scroop Street. Jury spojrział w dół, a potem w górę, na kościół.

- Niezły kawałek wspinaczki.

Stojąc twarzą do kościoła i patrząc w górę, widziało się, że na lewo od schodów wznosi się wysoki, kamienny mur, natomiast po prawej stronie mur jest niski i sięga człowiekowi tylko do pasa. Poza nim rozciągał się widok na Morze Północne. Można go było podziwiać, patrząc ponad dachami i kominami wioski. W tej chwili dym wzbijał się z tych kominów w górę fioletowymi wstążkami. Na parapetach przysiadło mnóstwo mew srebrzystych, usiana też nimi była niby punkcikami kamienista plaża, widoczna przy samej wodzie.

Jury spojrział w dół, w stronę Grapę Lane.

- Czy ta brama była wtedy zamknięta? - zapytał.

-Tak.

- Wnioskuje z tego, że nocą na Angel Steps nie ma wielkiego ruchu?

- Słuszny wniosek.

- Czy to oznacza, że do sklepów i pubów znajdujących się na dole można też dojść inną drogą?

Harkins kiwnął głową.

- Ze Scroop Street można przejść Dogger Alley koło pubu „Pod Dzwonem”. Uliczka ta łączy się z High Street.

- Zatem te schody zbudowano, kierując się najwyraźniej raczej względami religijnymi lub estetycznymi niż praktycznymi.

Jury spojrział na zdjęcia, które przyniósł tutaj ze sobą. Przyjrzał się jednemu z nich, a potem przeniósł wzrok na puście miejsce na schodach. No tak. Wypucowali tu wszystko jak się patrzy, pomyślał.

Wiggins, który po kuflu piwa z masłem odzyskał nieco wigoru, klęczał na stopniu i przyglądał się brukowi.

- Zaschnięta krew - powiedział. - No, a co to są te białe smugi?

Przeciągnął palcem po murze znajdującym się z lewej strony. Białe smużki były ledwie widoczne.

- Denatka uderzyła w to miejsce głową - wyjaśnił Harkins. - To jest szminka aktorska. Bo widzą panowie, ta zabawa była czymś w rodzaju balu kostiumowego.

- Mógłby mi pan powiedzieć o tym coś bliższego?

- Proszę bardzo. Otóż sir Titus Crael corocznie w święto Trzech Króli urządza taki bal. W swojej rodowej rezydencji, noszącej nazwę Old House.

Wiggins wstał i złożył scyzoryk, którym przed chwilą coś zeszkrobywał.

- Ona przyjechała z Londynu? - zapytał, a Harkins kiwnął głową. - No cóż, raczej nie jest prawdopodobne, żeby tamtej nocy ktoś za nią szedł. Morderca musiał znać wioskę bardzo dobrze.

Te słowa niezmiernie zaskoczyły Jury'ego. Wiggins bowiem był bardzo pracowitym policjantem i potrafił doskonale prowadzić notatki, jednakże rzadko porywał się na dedukcję.

- Musiał być kimś, kto doskonale wiedział, że na tych schodach nie będzie przechodniów.

- Racja, sierzancie. - Jury spojrział na zdjęcia, przerzucił je jeszcze raz. - Gemma Tempie... -Tu przerwał i pokręcił głową.

- Jeżeli to jest jej prawdziwe nazwisko. - Harkins uśmiechnął się z goryczą, sprawiając wrażenie zadowolonego z faktu, że może w ten sposób wsadzić kij w szprychy.

- Jej tożsamość... wzbudza wątpliwości - powiedział Harkins, gdy ponownie usiedli w pubie „Pod Przechytrzonym Lisem”. - Według pułkownika Craela... to znaczy sir Titusa... ale on lubi, gdy nazywa się go pułkownikiem... Otóż zgodnie z tym, co on mówi, Gemma Tempie, bądź też kobieta, która

się za nią podawała, twierdziła, że w rzeczywistości jest Dillys March. To znaczy podopieczną rodziny Craelów, dziewczyną, która zniknęła stąd piętnaście lat temu, mając lat osiemnaście czy dziewiętnaście, i której od tego czasu nie widziano w Rackmoor.

- „Twierdziła”? A sir Titus sam nie miał pewności, kim ona jest?

- Czy miał pewność, nie wiem, ale sądził, że ta osoba rzeczywiście jest jego wychowanicą Dillys March. Natomiast jego syn, Julian, twierdzi coś wręcz przeciwnego. Myślałem, że łatwo to będzie ustalić. Okazuje się jednak, że sprawa nastrecza trudności. Sprowadziliśmy tu z Londynu współlokatorkę denatki, osobę nazwiskiem Josie Thwaite. I ta osoba zidentyfikowała, co prawda, ciało jako Gemmę Tempie, ale potem okazało się, że nic o niej nie wie. Ta Tempie od jakiegoś roku wynajmowała z nią na spółkę mieszkanie.

- Gdzie ono się znajduje?

Harkins z demonstracyjną cierpliwością wskazał teczkę.

- W Kentish Town. Wszystko jest tutaj.

- Proszę mówić dalej.

- Pamiętała, że Gemma Tempie wspominała coś o jakiejś rodzinie, mieszkającej w Lewisham i, jak się zdaje, noszącej nazwisko Rainey. Sprawdzamy ten trop. A teraz co do próbek pisma. Mamy kilka zrobionych ręką Gemmy Tempie, ale żadnych próbek pisma Dillys March. Ani karteczki, ani jednego podpisu. Co do kartoteki dentystycznej - to samo, ani śladu. Pułkownik Crael mówi, że to Margaret, jego zmarła żona, zajmowała się takimi rzeczami. Nie wie, do którego dentysty chodziła z Dillys. Twierdzi, że do któregoś w Londynie.

- No to niech pan ich sprawdzi. Dentystów jest wielu, ale ta jej kartoteka gdzieś musi być. Trudno mi uwierzyć, że ktoś mógł żyć na świecie tak długo i nie pozostawić po sobie dowodu, że nie jest kimś innym.

- No cóż, denatce udało się to doskonale - odrzekł cierpko Harkins.

- Dlaczego ta March wyjechała z Rackmoor? I w ogóle jak to się stało?

- Po prostu. Dziewczyna wsiadła do samochodu i odjechała.

Odpowiedź ta nie zadowoliła Jury'ego. Doszedł jednak do wniosku, że lepszej nie usłyszy.

- W jaki sposób ta Tempie dostała się tutaj? Przyjechała samochodem?

Harkins kiwnął głową i zapalił zapalką kolejne kubańskie cygaro.

- Samochodem swojej współlokatorki Josie Thwaite. Obejrzelśmy go. I nic z tego nie wynikło.

- Domyślam się, że Gemma Tempie była podobna do Dillys March.

- Oczywiście. - Harkins wypuścił kilka kótek dymu. - Uwzględniając zmiany spowodowane upływem czasu, była jej sobowtorem.

Harkins otworzył teczkę, odpiął przypiętą spinaczem małą fotografię i bez słowa położył ją na stole.

Jury przyjrzał się zdjęciu, które przedstawiało bardzo ładną dziewczynę, opartą o kamienny mur, a właściwie pozującą pod tym murem. Ciemne proste włosy, obcięte na wysokości brody i lekko podwinięte, równiutka grzywka, ciemne oczy. Dziewczyna miała na sobie strój do konnej jazdy, jej rysy były ostre, oczy trochę skośne, a podbródek spiczasty jak u lisa. A i wyraz twarzy - kąciki ust wprawdzie uniesione, ale nie w autentycznym uśmiechu - wydawał się także jakiś lisi. Wyglądała dokładnie tak jak denatka, a ściślej, jak denatka, ale młodsza o piętnaście lat.

- Domyślam się, że to jest ta podopieczna rodziny Craelów, Dillys March. Czy tak?

Harkins wyglądał na rozczarowanego. Tak jakby Jury usiłował go oszukać.

- Co doprowadziło pana do takiego wniosku? - zapytał.

- Jedyne strój do konnej jazdy. Pułkownik Crael jest zapalonym myśliwym, prawda? Sądzę więc, że jego wychowanka także polubiła polowanie... - Jury przerwał, widząc, że Harkins patrzy na niego z nieskrywaną wrogością, i zmienił temat: - A zatem ojciec i syn nie zgadzają się w tej kwestii?

Harkins kiwnął głową i wyjął z kieszonki kamizelki srebrne cążki do paznokci. Sprawiał wrażenie człowieka, dla którego nie ma w tej chwili rzeczy ważniejszej niż manikiur.

- Proszę mi powiedzieć coś więcej o pułkowniku Craelu - próbował z niego wycisnąć dalsze informacje Jury.

- To człowiek bogaty. Bardzo bogaty. Jego ojcu nadano baronię, a rodzina zajmowała się między innymi przewozami morskimi. Poza tym pułkownik jest łowczym. I, o ile to potrafię ocenić, właścicielem połowy Rackmoor. A Rackmoor znajduje się na liście miejscowości z historyczną, zabytkową zabudową.

-Cała wioska?

- Tak. Wygląda więc na to, że warto ją trzymać w swoich rękach.

- A kim są spadkobiercy pułkownika Craela?

- Jest tylko jeden spadkobierca. Julian Crael, jego syn. Wiggins, który dotychczas siedział i w zamyśleniu mieczał herbatę, wyrzekł nagle dwa słowa:

- Córka marnotrawna.

I ściągnął tym na siebie spojrzenia Jury'ego i Harkinsa.

- Ostatnią osobą, którą chciałby tu widzieć syn - mówił dalej Wiggins - byłby ktoś, kogo nie było kopę lat i o którym powrocie ludzie snuliby łzawe opowieści.

To powiedziawszy, stuknął łyżeczką o filiżankę i zaczął pić herbatę.

Wyglądało na to, że podróż przez wrzosowiska przewiętrzyła mu głowę i rozwiązała język. Bo przecież nie upłynęła jeszcze godzina, a on wypowiedział się już po raz drugi.

- Racja, sierżancie. Ta dziewczyna nie byłaby przez niego mile widziana.

- I z pewnością to jest powód, dla którego ten syn zaprzecza, by to była ta March - powiedział znowu Wiggins.

- Być może. Jednak, z drugiej strony, może mieć rację. Dla mnie cała ta jej historia brzmi mętnie. - Widząc, że Harkins się niepokoi, tak jakby miał coś jeszcze w zanadrzu, Jury postanowił zmienić temat. Spoglądając ponownie na policyjne zdjęcie, powiedział: - Musiało być mnóstwo krwi. Trudno zatem uwierzyć, że ta krew nie splamiła ubrania mordercy.

- Znaleźliśmy duży kawał zaplamionego krwią płótna.

Dzięki za informację, Harkins, pomyślał posepnie Jury.

- Jakie to było płótno?

- Takie, jakiego używają malarze. Najakim malują obrazy, rozpiąwszy je na blejtramie. Mogło pochodzić z mieszkania Adriana Reesa. To znaczy, z jego pracowni, jak sam to miejsce nazywa. A znowu ten Rees dużo gadał o morderstwie.

- Harkins wyjął z teczki kolejną kartkę i przesunął ją po stole w stronę Jury'ego. - Przygotowałem tu dla pana listę nazwisk. Musieliśmy przesłuchać prawie całą tę cholerną wioskę.

Znowu daje do zrozumienia, że to oni zrobili całą robotę, pomyślał Jury.

- I wyłowilem z tego wszystkiego najważniejszych przesłuchanych - ciągnął Harkins. - Oto nazwiska tych, z którymi pan, być może, zechce porozmawiać w pierwszej kolejności. Jest między nimi naturalnie i nazwisko Craelów. A Adrian Rees, według naszej wiedzy, był ostatnią osobą, która widziała Gemmę Tempie jeszcze za życia. Minał ją na Grape Lane na chwilę przed morderstwem.

Jury złożył listę nazwisk i wsunął ją do kieszeni.

- Wezmę go więc na pierwszy ogień. Jeszcze przed rozmową z Craelami.

Harkins kiwnął głową i włożył rękawiczki.

- Mam nadzieję, że nie będzie pan oponował przeciwko temu, żebym wrócił do Pitlochary. Spodziewam się raportu, który ma nadejść z Londynu.

On się nie zachowuje normalnie, pomyślał Jury. Nie mówiąc już o tym, że takie postępowanie jest całkiem nieprofesjonalne. Powstrzymał się jednak od komentarza.

Harkins tymczasem włożył płaszcz i przybrał postawę trochę mniej oporną.

- Och - dodał - a tak przy okazji, są pewne komplikacje. Lily Siddons... To znaczy młoda kobieta, która prowadzi tutaj „Bridge Walk Cafe”... Otóż Lily Siddons mówi, że morderca popełnił okropny błąd.

- Błąd?

- Tak. Twierdzi, że to ona miała być ofiarą tego morderstwa.

Harkins rozejrzał się po obecnych z uśmiechem, tak jakby chciał im powiedzieć, że cały ten szyfr, który usiłują złamać, zawiera i tak mylne informacje.

- Sądzę, że ta kobieta bredzi, naprawdę. Mówi to, żeby znaleźć się w centrum uwagi. Twierdzi, że kostium, który miała na sobie denatka, należał do niej. I dlatego morderca się pomylił. No, będę już uciekał. Do Pitlochary jest dość daleko. Mam nadzieję, że się do czegoś przydałem.

Jury wbił wzrok w podłogę.

- Jestem panu dożywotnie wdzięczny.

## 2

Wciąż jeszcze słysząc pisk opon ruszającego z kopyta lotusa elana, Jury patrzy! na Kitty Meechem, która przygotowywała się właśnie do obsługi klientów podczas przedpołudniowej pory ożywionego ruchu w interesie. Wycierała porcelanowe uchwyty do nalewania piwa, polerowała ciemny blat kontuaru. Jury pomyślał, że zdecydowanie woli pogadać z tą kobietą o jedwabistych włosach, niż rozmawiać z inspektorem Harkinsem.

- Które pokoje przydzieliła pani sierżantowi i mnie? - za pytał.

Kitty zarzuciła ścierkę na ramię i obciągnęła sukienkę, uwydatniając ponętny dekolt.

- Och... zaraz je panom pokażę...

- Ależ nie, proszę się nie fatygować. Sierżant Wiggins z pewnością potrafi sam je znaleźć. Proszę mu tylko udzielić wskazówek. On pójdzie, a ja tymczasem utnę sobie z panią pogawędkę.

Kitty skierowała Wigginsa na ciemne, wąskie schody, znajdujące się na prawo od baru.

- Mamy tu tylko trzy pokoje. A policja nie chce, żeby ktokolwiek zajmował ten zarezerwowany dla funkcyjona riuszy.

Okazuje się - pomyślał Jury, skrywając uśmiech - że nikt, jak się zdaje, nie bierze nas za ludzi z policji.

- Dlatego nie będzie pan miał trudności ze znalezieniem waszych, panie sierżancie. Są to pierwsze dwa na górze. Oba wychodzą na morze, więc będzie pan miał mnóstwo świeżego morskiego powietrza. Bo muszę powiedzieć, że wygląda pan trochę mizernie - zauważyła Kitty.

Wiggins uśmiechnął się melancholijnie.

- Zdrzemnijcie się trochę, Wiggins - powiedział Jury.

- A ja wyciągnę was później.



Na twarzy Wigginsa odmalował się wyraz wdzięczności. Sierżant wziął dwie małe walizki i wyszedł.

- Nie jest pani Irlandką z Dublina, prawda, Kitty? - Jury uśmiechnął się uśmiechem, który sprawiał, że miękły kobiece serca, nawet bardziej odporne niż serce właścicielki pubu „Pod Lisem”.

- Co za spostrzegawczość! A z której części kraju pochodzę? Jak pan sądzi?

- Z West Country. Może ze Sligo?

- Tak! To prawda! - zawołała Kitty ze zdumieniem. - Nie-samowicie bystry z pana człowiek, panie inspektorze!

- Ależ bynajmniej. - Jury wskazał teczkę i rzucił na kon-tuar dwie pięćdziesięciopensówki. - Harkins wszystko tutaj zanotował. Proszę piwo dla nas obojga.

Kitty roześmiała się.

- Nie mam nic przeciwko temu.

- Ja napiję się guinnessa. Jest jak lekarstwo.

- To prawda. Moja matka wypijała codziennie dwie pół-kwarty tego piwa. Lekarz jej to zalecił jako remedium na słabość.

- Dlaczego mieszka pani w Yorkshire? Przecież Irlandia to taki wspaniały kraj.

- Mój mąż stąd pochodził. Poznałam go, kiedy przyje-chał na wakacje do Galway. Przez pewien czas mieszkaliśmy w Salthill. Ale on nie cierpiał Irlandii. Zresztą jak większość Anglików. Z Irlandią zawsze są problemy.

- No tak. Od jakichś dwustu lat.

Kitty, wsparłszy się pod boki, czekała, aż osiadzie piana na piwie.

- Czy zna pan Bertiego Makepiece'a, panie inspektorze? Chłopak mieszka na Scroop Street w domku zwanym Cross Keys.

Jury pokręcił głową.

- To ten stojący tuż przy Angel Steps. No, zresztą mniej  
sza z tym. Chcę powiedzieć, że jego matka parę miesięcy  
temu wyjechała do Irlandii. Staram się do niego zaglądać. Ale  
to naprawdę przechodzi ludzkie pojęcie. Jak można tak sobie  
wyjechać i zostawić dzieciaka na łasce losu, żeby radził sobie  
sam? Daję mu tutaj od czasu do czasu jakąś robotę. Podobno  
to z powodu chorej babci. Tak ona to tłumaczyła.

Kitty pokręciła głową, dołała piwa do szklanki i podsunęła ją Jury'emu.

- Zdrowie - rzekł Jury, podnosząc szkło. - A teraz, Kitty,  
proszę mi powiedzieć, co zdarzyło się tamtej nocy. To znaczy  
wtedy, kiedy popełniono morderstwo. Widziała pani Gemmę  
Tempie?

- Tak. Widziałam. Koło dziesiątej poszłam do swojego po-  
koju, a ona była wtedy w swoim. Zawołała mnie, żebym rzuci-  
ła okiem na kostium. Wyglądała w nim wspaniale. Naprawdę  
doskonale jej było w tych białych i czarnych atłasach. No i  
w tych czarnych butach. Powiedziała, że zaraz umaluje sobie  
twarz szminką aktorską. Połowę na czarno, a połowę na  
biało. Zamierzała też zasłonić oczy czarną масечką. - Kitty  
przerwała, odwracając wzrok. - Słyszałam, że kiedy ją znaleź-  
li, wyglądała okropnie.

Jury powstrzymał się od komentarzy.

- Więc mówi pani, że to było o dziesiątej?

Kitty kiwnęła głową.

- O dziesiątej albo trochę po.

- A ona właśnie zamierzała wyjść? To znaczy po nałożeniu szminki?

- Tak, tak mówiła. Miała zaraz wyjść. No i później już jej,  
biedaczki, nie widziałam. Nie znałam jej dobrze, to oczywi-  
ste. Ale przecież żal człowiekowi kobiety. Bo człowiek nie jest  
z kamienia.

- To prawda. Zatem zgodnie z pani wiedzą Gemma Tem-  
pie wybierała się na tę zabawę?

Kitty ponownie kiwnęła głową.

- Wygląda na to, że nikt z obecnych tutaj, w pubie, nie widział, jak wychodzi. Dlaczego tak się stało?

- Nikt tego nie widział. Ale mnie to wcale nie dziwi. Wszyscy byli przecież pijani. A poza tym ona nie przechodziła przez tę salę. Zeszła po schodach i skierowała się prosto do drzwi, przez które wyszła na zewnątrz. Wciąż zadaję sobie pytanie: Co ta kobieta robiła na Angel Steps? Bo widzi pan, gdyby chciała najkrótszą drogą dostać się do dworu, skręciłaby na brzeg morza, weszłaby na górę schodami, które nazywamy Fox Steps, dla odróżnienia od Angel Steps, a potem ruszyłaby wzdłuż wału nadmorskiego.

Jury kiwnął głową.

- A stamtąd, od wału nadmorskiego, doszłaby do ścieżki, która prowadzi wzdłuż klifu do Old House - zakończyła Kitty.

- Ale to nie jest jedyna droga, którą można się tam dostać?

- No nie. Można też wejść na górę schodami, które nazywamy Angel Steps, dojść do kościoła, potem pójść Psalter's Lane i przez las. Ale kto by chciał tamtędy chodzić? Tam jest okropnie ciemno. Po prostu strasznie.

- Czy ta kobieta, mieszkając tutaj, zaprzyjaźniła się z kimkolwiek?

Kitty pokręciła głową.

- Nie, z nikim. Rozmawiała tylko kilka razy z Maud Brixenham. Maud przychodzi zawsze w porze lunchu. Mieszka na Lead Street. Po drugiej stronie nabrzeża. A poza tym był jeszcze Adrian...

Kitty urwała.

- Adrian?

- Adrian Rees. Wydaje mi się, że raz z nim rozmawiała.

- Dlaczego pani się zawahała? Nie chciała pani o tym mówić? Dlaczego?

- Nobo...- Kitty oparła się o bar demonstrując raz jeszcze swój ponętny dekolt. - Nie chciałabym Adriana wpakować w kłopoty. Ale wie pan, on był tutaj tamtej nocy. I gadał o morderstwie. To znaczy o jakiejś postaci z książki. To okropne, ale właśnie Adrian okazał się ostatnią osobą, która widziała tę kobietę żywą. Ten pan Harkins bardzo się nim interesował.

- A pani co o tym sądzi?

Kitty machnęła ręką.

- A tam! Adrian nie byłby w stanie nikogo zabić. Awantu ruje się nieraz i rzuca, ale...

Pokręciła głową i dopiła swoje piwo.

- A co pani powie o Craelach? Podobno ta kobieta należała do grona ich przyjaciół czy krewnych.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Wiem tylko, że bywała w Old House. Wie pan, pułkownik Crael jest właścicielem połowy tego lokalu. Kupił swój udział, gdy był tu pub „Pod Wątluszem i Homarem”, a ja pracowałam jako barmanka. Pan pułkownik to prawdziwy dżentelmen. Wszyscy w Rackmoor go lubią.

- A co Gemma Tempie mówiła o Craelach?

- Nic. Nie rozmawiała ze mną na ten temat. Ale powiem panu, że Julian, syn pana pułkownika, jest dziwny.

- Dziwny? W jakim sensie?

- No bo to taki odludek. Prawie wcale nie widuje się go w wiosce. Ma czterdziestkę na karku, a nigdy nie był żonaty.

Tę ostatnią uwagę wypowiedziała takim tonem, jakby stan bezzenny w tym wieku był największą z możliwych ludzkich aberracji.

- Ja też mam czterdzieści lat i nigdy nie miałem żony.

Kitty spojrzała na Jury'ego zdumiona.

- No cóż - skomentowała po chwili - raczej trudno w to uwierzyć. Czy to dlatego, że nie gustuje pan w małżeństwie?

- Ależ gustuję, jak najbardziej. Nie знаła pani Dillys March, tej wychowawicy rodziny Craelów, prawda? Nie mieszkała tu pani wtedy?

- Nie, nie znałam jej. Ale o niej słyszałam. Ta dziewczyna stąd wyjechała i wyszła za mąż, prawda?

Kobiecie najwyraźniej uparcie chodziło po głowie małżeństwo.

- Nic nam o tym nie wiadomo. A co do tego kostiumu, to... Z tego, co wiem, należał on do osoby nazwiskiem Lily Siddons...

Kitty kiwnęła głową.

- Do Lily. Tak, panie inspektorze. Lily dała go tamtej. Czy może pożyczyła? Sama nie wiem. A potem poszła na zabawę razem z Maud Brixenham, przebrana za... - Kitty odeła wargi. - Za kogoś z Szekspira, ale nie pamiętam za kogo.

- Czy Lily Siddons jest bliską znajomą Craelów?

- Tak. Jej matka do śmierci pracowała w Old House jako kucharka. Nazywała się Mary Siddons.

- Więc Lily Siddons to córka kucharki Craelów? Sir Titus musi mieć poglądy bardzo egalitarne... - powiedział Jury i zaraz zauważył, że Kitty go nie zrozumiała. - To znaczy... chodzi mi o to, że utrzymuje stosunki towarzyskie z dziećmi własnej służby.

- Lily to nie jest taka zwykła córka służącej. Ona jest sir Titusowi bliska. Mieszkała we dworze z matką, odkąd jej tata zabrał się stąd i gdzieś wyjechał.

- No cóż, widzę, że ludzie z tej miejscowości mają zwyczaj znikać. Czy widziała pani Lily w tamtą noc... w noc morderstwa?

- Oczywiście. Zawsze tak mniej więcej w porze zamykania pubu ucinamy sobie pogawędkę. Lily mieszka po drugiej stronie ulicy. W tym śmiesznym małym domku u zbiegu High Street i Grapę Lane. Pobiegłam tam po zamknięciu...

Jury wyjął notes.

- O której to było godzinie?

- Dwadzieścia pięć po jedenastej. Zobaczyłam, że pali się u niej światło.

- Myślałem, że poszła na zabawę do dworu.

-Tak, ale szybko wróciła do domu. Razem z Maud Brbceham i jej siostrzeńcem, który się nazywa Les Aird. Lily źle się poczuła. - Kitty, widząc, że Jury otwiera teczkę, dodała pośpiesznie: - Zdaję sobie sprawę, że to ważne, bo właśnie w tym czasie zamordowano tę Tempie.

Jury podniósł na nią wzrok.

- Wie pani, o której dokładnie godzinie Gemma Tempie została zamordowana?

- Oczywiście, proszę pana. Wiedzą to wszyscy w Rackmoor. Została dźgnięta dwanaście razy.

- Ile czasu zajmuje droga stąd do Angel Steps, Kitty?

Kobieta uśmiechnęła się ujmująco.

- Pan Harkins pytał mnie dokładnie o to samo. Dziesięć minut. Na dojście stąd do miejsca, gdzie ta kobieta została za bita, trzeba dziesięciu minut. Więc ja nie mogłabym jej zabić, a potem wrócić i znaleźć się w mieszkaniu Lily o jedenastej dwadzieścia pięć, prawda?

Jury uśmiechnął się.

- Zatem i pani, i Lily macie doskonałe alibi.

Kitty rozpromieniła się na te słowa.

- Nie niepodważalne, oczywiście - dodał Jury. - Któraś z was mogła puścić się sprinterskim biegiem i...

Kitty czuła się wystarczająco pewnie, by się roześmiać.

- Och, niech pan da spokój, panie inspektorze. A czym ją zabito? - zapytała przyciszonym głosem.

- Myślałem, że pani mi to zdradzi. Jako osoba, która wie wszystko... No, a proszę mi powiedzieć, kto mógłby pragnąć zamordować Lily Siddons?

- Zamordować Lily?! - zapytała zszokowana Kitty. - Co pan ma na myśli?

- Pani się przecież z nią przyjaźni. Czy nie mówiła pani, że, jej zdaniem, ktoś wziął Gemmę Tempie za nią? Z powodu tego kostiumu?

- Boże miłosierny! Nie. Nigdy o tym nie wspomniała.
- Czy Lily i Gemma były do siebie podobne?
- Nie. Ale w tym kostiumie... trudno byłoby je odróżnić...

To znaczy, w tej mgle...

- Hm. No cóż, sądzę, że powinienem obejrzeć pokój, w którym mieszkała ta Tempie - powiedział Jury i dopił swoje piwo.

Kitty poprowadziła go najpierw wąskimi schodami, a potem korytarzem na piętrze do dużego, widnego pokoju z oknami wychodzącymi na wał nadmorski, za którym widać było szare jak łupek morskie fale.

Gdy Jury oglądał pokój - zerkając do schowków, a także za meble i lustra - Kitty wciąż mówiła. Oznajmiła, że rzadko wynajmuje pokoje.

- Bo widzi pan, w zimie zapotrzebowanie na nie jest nie wielkie. Pierwszym przybyszem, który zawitał tu od dwóch miesięcy, był ten dżentelmen, który wczoraj po południu siedział w kącie sali, czytał jakąś francuską książkę i pił ołd peculiar. Kto to pije w dzisiejszych czasach? Bitsy... to znaczy dziewczyna, która tu podaje, o ile w ogóle bierze się do pracy... a więc Bitsy mówi, że ten dżentelmen wpadł tu po drodze. Bo jechał do Ołd House. No więc zatrzymał się tutaj i rozglądał się po wiosce. Bitsy gadała o tym bez końca. Bo wie pan, ona zrobi wszystko, byle tylko nie zabrać się do roboty...

Ołd peculiar i literatura francuska.

- Jak wyglądał ten dżentelmen?
- Raczej wysoki. Jasne włosy. I fantastyczne oczy.
- Zielone?
- Zielone. I błyszczące. Skąd pan wie?

Melrose Plant. Co, do diabła, właśnie on robi teraz w Rackmoor?

### 3

Melrose Plant siedział w jadalni Craelów przy końcu stołu, który był ciemny i błyszczący niczym zalany światłem księżycy górski staw i zdawał się mieć ze ćwierć mili długości. Melrose jadł właśnie śniadanie, pałaszował jajecznicę. Zasnął w sposób wprost żenujący, a zszedłszy na dół, zapytał kamerdynera nazwiskiem Wood, czy może dostać filiżankę kawy. Choć jasne było, że pułkownik Crael przyjął jego przyjazd z prawdziwym zadowoleniem, to nie istniały żadne wątpliwości, że Julian jest z tego powodu wściekły. Przy czym Julianowi chodziło nie o osobę Melrose'a, tylko o sam fakt, że w domu pojawił się ktoś nowy. Zważywszy na dodatkową obecność policji, taka awersja do wszelkich przybyszów sprawiała, że Julianowi naprawdę nie było teraz łatwo.

Wood zapewnił Melrose'a, że sir Titus polecił, by gorące śniadanie czekało na gościa tak długo, jak to będzie konieczne. Pan pułkownik (poinformował Wood) pojechał do Pitlochary, do psiarni. A pan Julian Crael udał się na poranną przechadzkę.

To świetnie, pomyślał Melrose, usłyszawszy tę ostatnią informację. Bo choć pułkownika uważał za wspaniałego człowieka, to jednak Juliana zdecydowanie nie darzył sympatią. Odnosił się bowiem podejrzliwie do wszystkich bardzo przystojnych mężczyzn, a Julian należał do ich grona. Być może chodziło też o to, że osiągnąwszy wiek średni, Melrose zazdrościł ludziom młodym? Choć Julian tak naprawdę wcale nie był młodzieńcem. Różnica wieku między Melrose'em a nim wynosiła prawdopodobnie tylko pięć albo sześć lat. Problem polegał na tym, że Julian Crael wyglądał na człowieka wiecznie młodego. A to, zdaniem Melrose'a, było zdecydowanie bardziej naganne.

W chwili gdy Melrose przeprowadzał sekcję drugiego podczas tego posiłku wędzonego śledzia, do jadalni,



podzwaniając kluczami, wkroczyła Olive Manning, pełniąca w tym domu obowiązki gospodyni. Melrose, który myślał, że sprzączki przy pasku, służące do podwieszania kluczy, zniknęły ze świata wraz z siostrami Bronte i dziewiętnastowiecznymi powieściami gotyckimi, zobaczył teraz jedną z nich, wraz z pękiem kluczy brzęczących u paska tej kobiety.

- Pan pułkownik prosił mnie, żebym sprawdziła, czy panu czegoś nie potrzeba, a także zapytała, czy zechciałby pan później odbyć z nim przejażdżkę konną.

Do diabła, pomyślał Melrose. Dobrze mi tak! To kara za to, że zdradziłem się przed pułkownikiem, że w Ardry End mam konia.

- To bardzo miłe z jego strony - odparł. - Ale dokucza mi kolano. W zeszłym tygodniu podczas skoków musiałem sobie naciągnąć ścięgno.

Olive Manning w odpowiedzi kiwnęła tylko głową. Jej wyraz twarzy nie zmienił się przy tym ani na jotę. Najwyraźniej dokuczające kolano nie wchodziły w zakres jej kompetencji. Wypowiedziała jednak coś w rodzaju cichych i nieszczerych słów współczucia:

- Mam nadzieję, proszę pana, że wkrótce się panu poprawi. Bo inaczej straci pan polowanie.

- O mój Boże! Tego byśmy oczywiście nie chcieli. - Melrose wstał i wysunął jedno z krzeseł. - Wypije pani ze mną filiżankę kawy?

Olive Manning straciła pewność siebie. I, jak podejrzewał Melrose, nie spowodował tego względ na pozycję, jaką zajmowała w tym domu - bo traktowano ją tu prawie jak członka rodziny - ale fakt, że odnosiła się do niego nieco podejrzliwie. Sądziła z pewnością, że będzie krążył wokół tematu, podpytywał o zabawę, która odbyła się w święto Trzech Króli, i o towarzyszące jej okoliczności.

Melrose odwzajemniał tę niechęć. Nie podobała mu się kwaśna mina tej kobiety, kształt jej twarzy o zwięzającym

się podbródka, zmarszczone brwi i ściągnięte w ciup usta. Wyglądało to bowiem tak, jakby Olive Manning pałała bezustannym, choć tłumionym gniewem na cały świat. Włosy miała czarne, a jej głowa tkwiła na korpusie przypominającym głąb i przyobleczonym w (najdelikatniejszy, tego Melrose był pewien) ciemny batyst. Kobieta usiadła, wymówiła się od kawy, a ręce złożyła na blacie stołu, kładąc dłoń na dłoni. Na jej palcu Melrose zauważył różowy topaz, tak duży, że koń, połknąwszy go, zakrztusiłby się z pewnością. Było oczywiste, że w tym domu nikt nie przymiera głodem.

- Sir Titus mówił mi, że była pani... damą do towarzystwa lady Margaret.

Powiedział „damą do towarzystwa”, nie chcąc używać słowa „pokojówka” czy „służąca”.

-Tak.

Ta pojedyncza sylaba zabrzmiała łagodnie. Na krótką chwilę usta kobiety rozsznurowały się nieco.

- Przykro mi, że jej nie znałem. Mój ojciec, lord Ardry, opowiadał mi o niej... Twierdził, że była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu spotkał.

Była to najwyraźniej właściwa droga, bo pani Manning prawie się uśmiechnęła.

- To prawda. Ja też nie znałam piękniejszej kobiety. Jej włosy, kiedy je rozpuściła, przypominały blask słońca. Obaj chłopcy je odziedziczyli, zarówno Julian, jak i Rolfe. - Odwróciła wzrok. - Rolfe także, jak panu wiadomo, już nie żyje.

- Tak. To straszne, że oboje, zarówno matka, jak i syn, zginęli w ten sposób. Wypadek drogowy...Pan pułkownik mówił mi o tym.

Olive Manning westchnęła.

- To było osiemnaście lat temu - powiedziała. - Rolfe miał wtedy zaledwie trzydzieści dwa lata.

Obracała teraz w dłoni srebrny nóż. Wyglądało to tak, jakby zamierzała go zaraz wbić we własną pierś. Albo w pierś

Melrose'a. Na jej pełnej napięcia twarzy zaczęło pojawiać się coś w rodzaju grymasu cierpienia. Melrose wiedział, że kobieta ma syna, który przebywa w szpitalu psychiatrycznym. Nie zamierzał jednak o tym mówić. Spojrzał na nią z ukosa.

- To straszna tragedia. Sir Titusowi został tylko Julian.

- Tak - potwierdziła i posłała mu spojrzenie podobne do smagnięcia batem, jego ostatnia uwaga była bowiem zbyt bliska tematowi, którego za nic nie chciała poruszać.

Melrose wetknął do ust niewypalone do końca cygaro i opadł na oparcie krzesła z dłońmi splecionymi za głową. Wydmuchnął kółko dymu.

- Czy lubi pani polować?

Okazało się, że to teren bezpieczny. Twarz pani Manning znówu się odprężyła.

- Lubię - odrzekła. - Poluję od dzieciństwa. A w tym domu byłoby naprawdę trudno tego nie robić.

Światło, bardzo blade i jakby przesączone przez matowe szkło, dotknęło jej włosów. Musiała być kiedyś przystojną kobietą. Kiedyś - zanim ogarnęła ją ta furia, która teraz trzyma ją w swoich szponach.

- Ale Julian nie za bardzo lubi polować. A to nie może się podobać jego ojcu - uśmiechnął się Melrose.

- Rzeczywiście. Julian...

Jej wzrok ponownie uciekł w bok. Odwróciła się i spojrzała przez okno.

- Nie lubi także przyjęć i zabaw, prawda?

Melrose błędził wzrokiem po pokoju, omijając panią Manning. A ona zeszywniała i poprawiła się na krześle.

- Julian po prostu nie jest człowiekiem zbyt towarzyskim. W odróżnieniu od...

Przerwała.

- W odróżnieniu od...? - powtórzył Melrose.

- Chciałam powiedzieć: „w odróżnieniu do brata”. Rolfę

był bardziej synem swojego ojca. I swojej matki, jeżeli już o to chodzi.

Jej ton był dość neutralny, rzeczowy. Czy ta kobieta ceni Juliana, czy mu sprzyja? Czy też nie? Melrose mógł się tego tylko domyślać.

Postanowił mówić bardziej otwarcie.

- No cóż, to szkoda, że znalazł się w kręgu podejrzeń... Mam na myśli Juliana.

- Wiem, kogo pan ma na myśli, milordzie. Ale to absurd. - Wstała i przyglądała zebrane w kok na karku włosy. - Mam coś do załatwienia w związku z zaopatrzeniem kuchni. Jak długo zamierza pan u nas zabawić, wasza lordowska mość?

- Och, nie wiem. Dopiero co wyrwałem się z Yorku. Może zostaną przez parę dni. Dwa albo trzy. - Albo cztery lub pięć. - I nie jestem żadnym milordem, proszę pani. Jestem zwyčajnym człowiekiem. I nazywam się Melrose Plant.

Fakt, że jedyny syn utytułowanego ojca sam pozbawia się odziedziczonego tytułu, zdawał się kobiecie nie dziwić.

- Rozumiem, proszę pana. Proszę mi teraz wybaczyć, że się oddalę.

Znakomicie - powiedział sobie, idąc z jadalni do pokoju, który pułkownik Crael nazywał swoim „przytulnym kącikiem”. - Świetnie. Pomyśleć tylko, z jaką łatwością wydobylem z niej tyle informacji! Równie łatwo przyszłoby mi przeprowadzić leczenie kanałowe zęba. Całkiem zniesmaczony własnym brakiem sukcesów, usiadł z impetem w fotelu i skrzyżował nogi. A potem zgasił niedopalone cygaro, zapalił świeże i rozejrzał się za jakimiś karafkami. Zauważył też zaraz dwie, tak cenne, że za ich równowartość można było kupić wycieczkę na sam koniec świata, nalał sobie porto, po czym rozsiadł się wygodnie i pałac i popijając, zapatrzył się w sufit. Sufity były jego prawdziwą pasją. A ten, który miał teraz nad głową, stał nowił istny cud. Angelica Kauffmann? Joseph Rose? Nie miał

pojęcia. Ktokolwiek był jego autorem, okazał się wspaniałym twórcą stiuków, a jego dzieło działało relaksujące i pomagało Melrose'owi myśleć. I przypominać sobie ze szczegółami wczorajszą wieczorną rozmowę.

- Szantaż? - zwrócił się do niego wczoraj wieczorem Julian Crael z lodowatym uśmiechem. - A jakież ta Tempie mogła mieć podstawy, żeby sądzić, że może mnie szantażować? Melrose uśmiechnął się pogodnie.

- No cóż, stary, nie mam pojęcia. Jeżeli ktoś to wie, to ty sam.

Znajdowali się w salonie. Julian stał przy kominku, pod portretem swojej nieżyjącej matki. A Melrose zastanawiał się w duchu, czy płonący na palenisku ogień zdołałby stopić lód czający się w błękitnych oczach tego człowieka.

- Obawiam się, że moja przeszłość nie kryje niczego, co stanowiłoby informację, za którą ktokolwiek zechciałby zapłacić.

- Zatem życie bez skazy? Chcesz przez to powiedzieć, że na dźwięk skierowanych do ciebie słów: „Wiem, co zrobisz”, nie wzięłbyś nóg za pas?

Lodowaty uśmiech nie zniknął z twarzy Juliana. Nie padły jednak żadne słowa odpowiedzi.

- Zapewniam cię - nie ustępował Melrose - że nawet ktoś tak niewinny jak ja, nawet taki człowiek, którego dni płyną niby niesione prądem szczątki rozbitego statku, słowem, nawet ja potrafię sobie przypomnieć pewne drobne incydenty z własnego życia, o których nie chciałbym usłyszeć z niczyich ust nawet wzmianki. - Wszystko to powiedział z ujmującym uśmiechem.

- Radzę ci zatem - odrzekł Julian, odstawiając kieliszek - żebyś o nich nie wspominał nawet sam.

To powiedziawszy, przeprosił i po prostu wyszedł z pokoju.

Melrose westchnął teraz ciężko, wpatrując się w sufit. Obawiał się, że sir Titus Crael nie będzie zadowolony, zorientowawszy się, że on, Melrose, osoba w tej sprawie całkiem bezstronna, zamierza wydobyć z Juliana wszelkie informacje. Uważał Juliana za milczka i faceta pozbawionego uroku. Takiego, od którego uciekają zarówno psy, jak i dzieci. Ale z pewnością nie kobiety. Julian Crael nie ożenił się, co prawda, można się było jednak założyć, że jak północ kraju długa i szeroka, nie ma dziewczyny, która nie stanęłaby na głowie, żeby go chociaż zobaczyć. Bo Julian Crael miał i prezencję, i pieniądze. No i jakże uprzywilejowaną pozycję społeczną!

No cóż, mnie to wszystko też nie jest obce - pomyślał Melrose, ale nie poczuł dumy. Dobrze zresztą wiedział, że jeśli chodzi o prezencję, to nie dorasta Julianowi do pięt. Wstał i przechadzając się po pokoju, rzucił okiem na ozdobne lustro, którego pozłacaną ramę obsiadły dokazujące amorki. Wyglądał nie najgorzej, ale gdzie mu tam do Juliana! Melrose przypomniał sobie portret wiszący w salonie nad kominkiem. Julian jest podobny do matki, pomyślał, po czym jego wzrok padł na stół biblioteczny, obłożony książkami. Na grzbietach widniały nazwiska autorów. Whyte-Melville, Jorrock - wszystko to dotyczyło polowań. Melrose nalał sobie kolejny kieliszek porto, zakorkował kryształową karafkę, po czym usiadł i ponownie wpatrzył się w sufit.

Julian Crael miał doskonały motyw. I nie chodziło tylko o pieniądze, których ta Tempie mogłaby się domagać, gdyby rzeczywiście okazała się dawną podopieczną jego rodziców. Chodziło o to, że ta kobieta mogła zgłosić pretensje do uczuć sir Titusa. I stać się w ten sposób permanentną solą w oku młodszego Craela.

Jednak, niestety, Julian Crael oprócz doskonałego motywu miał także doskonałe alibi.

W chwili morderstwa znajdował się w swoim pokoju. Wróciwszy przedtem ze spaceru, nie włączył się do zabawy,

tylko poszedł prosto do siebie i już tam został. No i na do-  
datek był w stanie to udowodnić.

Melrose Plant zamknął oczy i potarł sobie głowę próbując rozruszać mózgi wycisnąć z niego rozwiązanie tej zagadki.

Gdy w chwilę później cofnął dłonie, jego jasne włosy były całkiem zmierzwione. Nie zamierzał się jednak poddać.

Gdzież jest ten Jury? - pomyślał zniecierpliwiony.

## 4

Szary cętkowany kot wstał z legowiska na parapecie okien-  
nym, spojrzął na Jury'ego przez szybę, ziewnął i zwinął się  
z powrotem w kłębek. Między szybą a gzymsem okiennym  
tkwiła mała tabliczka z napisem: OTWARTE. Druga, podob-  
na, wisiała na drzwiach i zapraszała: PROSZĘ WEJŚĆ. Jury  
i Wiggins weszli.

Rozległ się dzwonek. Gdzieś z góry dobiegła wypowie-  
dziana męskim barytonem prośba, żeby zaczekali. A potem  
właściciel tego pięknego głosu zbiegł po schodach. Miał na  
sobie dżinsy, niebieski sweter marynarski, czapkę że-  
glarską (włożoną błyszczącym daszkiem do tyłu) i skórzany  
fartuch, pobrudzony farbą w kolorze fuksji. Za jego uchem  
tkwiło cygaro.

- Pan Rees? Moje nazwisko Jury...

- Pan inspektor z wydziału dochodzeniowo-śledczego  
Scotland Yardu. 1 sierżant Wiggins. Wiem.

Jury schował do kieszeni swój dowód tożsamości.

- Zdaje się, że tutaj wieści rozchodzą się bardzo szybko.

Rees wyjął cygaro zza ucha i zaciągnął się nim.

- W Rackmoor, panie inspektorze, nie rozchodzi się do  
słownie nic poza wieściami. Przyszedł pan, żeby mnie prze-  
słuchać w sprawie tego morderstwa. Czy nie mógłbym po-  
prostu powiedzieć, że to nie ja, i na tym skończyć?

Jury uśmiechnął się.

- To nie zajmie zbyt wiele czasu, proszę pana.

- O, z pewnością. Z takim zapewnieniem zwrócono się przypuszczalnie do Tomasza Morusa, kiedy wstępował na szafot.

- Na co on odrzekł: „Proszę mi pomóc wejść. W zejściu nie będę potrzebował pomocy”.

Adrian był zdumiony. Bardziej tym, że Jury czytał coś na ten temat, niż tym, że Morus naprawdę wypowiedział te słowa.

- Boże drogi, czy on naprawdę tak powiedział?

- O ile mi wiadomo, tak. Choć oczywiście nie byłem przy tym obecny.

- Mój Boże, ludzie w tamtych czasach mieli klasę, co się zowie! A my? Dlaczego my w obliczu śmierci zachowujemy się jak kwilące niemowlęta? Dlaczego okazujemy taką słabość?

- To filozofia Raskolnikowa?

- Chryste Panie! - Adrian złapał się za głowę. - Czy to będzie mnie prześladowało aż do śmier... A, mniejsza z tym.

Jury błędnym wzrokiem po obrazach wiszących na ścianach długiego pomieszczenia.

- Świetna robota. I jestem pewien, że ten landszaft przedstawiający opactwo, tam na końcu, to nie pańskie dzieło.

- To prawda, nie moje - odrzekł Adrian, patrząc w tamtą stronę. - Ale ja też muszę malować na zamówienie. Inaczej nie związałbym końca z końcem. Wie pan, tutejszy artysta, koloryt lokalny, miejscowy śmietnik... Ale latem to się sprzedaje.

- Spodziewam się. Podoba wam się to, Wiggins?

Sierzant Wiggins podszedł do malowanego olejami zdekomponowanego aktu. Odchrząknął.

- To... interesujące.

- Proszę posłuchać, czy mogliby panowie wejść ze mną na górę do pracowni i tam mnie przepisać? Nie zamierzam



odgrywać przed wami natchnionego artysty, ale farba zasycha mi na płótnie, a kiedy zaschnie, to już nic nie będę mógł z nią zrobić. Chodźmy na górę. Dobrze?

- Oczywiście. - Jury pociągnął Wigginsa za ramię.

Sierżant bowiem, przekrzywiając głowę pod dziwnym kątem, przyglądał się nagiej kobiecie czy też może kobietom namalowanym w manierze kubistycznej. Różne części ich anatomii zajmowały dziwne miejsca na obrazie. A poza tym kobiety zdawały się brać udział w jakiejś hulance, co w tej chwili najzupełniej nie interesowało Jury'ego.

Adrian Rees ruszył przodem i wszyscy trzej weszli po wąskich schodach do bardzo dużego pomieszczenia, załanego szarym światłem, wpadającym do wnętrza głównie przez świetlik w suficie.

- To z powodu światła kupiłem ten dom - wyjaśnił Adrian. - We wszystkich innych domach w Rackmoor jest ciemno jak w studni. Wynika to z tutejszej zabudowy. Domy stojące wyżej zasłaniają światło tym, co są pod nimi. W nie jednym z nich są pokoje, w których ludzie muszą przez cały dzień palić światło elektryczne.

Pomieszczenie było puste, jeżeli nie liczyć płócien ustawionych po trzy, cztery pod ścianami. Były tu pejzaże, martwe natury, malowidła wyglądające tak, jakby artysta pomazał płótno palcami zamoczonymi w farbie, oraz portrety. Rees z pewnością miał talent. Świadczył o tym malowany „po bożemu” portret kobiety w długiej zielonej sukni.

- To piękne - powiedział Jury.

- Nadaje się na ozdobę do eleganckich wnętrz. Nudne.

Adrian przykucnął nad bieżącą robotą. Płótno było wielkie, leżało na podłodze podparte ukośnie, a do podstawionego pojemnika, czegoś w rodzaju rozciętej na pół rury, skapywała z niego farba. Adrian wziął małe wiaderko i połał malowidło. Struga jasnoczerwonej farby spłynęła niczym

rzeka krwi lewą stroną obrazu i zaczęła skapywać do pojemnika. Wiggins patrzył na to zafascynowany.

- Leje pan po prostu farby na płótno i pozwala im się na nim pomieszać? Tak pan to robi?

- Właśnie tak, panie sierżancie.

Wiggins wyjął chusteczkę do nosa i spojrzał na Jury'ego załzawionymi oczyma.

- Jak pan myśli, panie inspektorze, czy ja mam alergię na farbę?

Jury zignorował to pytanie. Rola lekarza sierżanta Wigginsa bynajmniej mu nie odpowiadała. Usiadł na pochłapanym farbami stołku.

- Zatem, panie Rees - zaczął - widział pan Gemmę Tempie na chwilę przed morderstwem? Czy tak?

Adrian, starając się w skupieniu skierować czerwoną strużkę w lewo, kiwnął głową. A zaraz potem powiedział:

- Szedłem Grapę Lane. Od strony pubu „Pod Lisem”.

- A gdzie dokładnie pan się znajdował? Koło Angel Steps?

Adrian ponownie kiwnął głową.

- Kawalek za nimi. Zdażyłem je już minąć. A ona szła w dół po drugiej stronie ulicy.

Adrian wstał i zabrał się do zapalania tkwiącego w zębach cygara, pocierając zapalką o paznokieć.

- Powiem panu coś. To była artystka, co się zowie. W pierwszej chwili pomyślałem, że wypilem o jeden kieli szek za dużo. No cóż, zdarza mi się to bardzo często. Ale tej nocy nie piłem, bo byłem bez grosza.

Adrian wziął kolejne wiaderko - tym razem pełne jaskrawoniebieskiej farby - i powoli wylał jego zawartość na płótno oparte ukośnie na podłodze. A potem, bardzo szybko, przemieścił się na drugą stronę i grubym pędzlem pokierował wąski, niebieski strumyk w taki sposób, że ten przeciął farbę czerwoną, zrobił pętlę i zawrócił.

- Widziałem ją tylko przez chwilę po drugiej stronie ulicy. I w dodatku była przy tym mgła. Jak zwykle zresztą.

- Chce pan przez to powiedzieć, że nie przyjrzał jej się pan dokładnie?

- Nie, nie to mam na myśli. Bo widziałem ją dobrze. I nigdy nie zapomnę tego widoku. - Wstał. - Proszę tu na chwilę podejść.

Jury poszedł posłusznie w drugi koniec pracowni, a Adrian zdjął zasłonę ze stojącego tam niewielkiego obrazu. Postać ludzka nie była dokładnie namalowana, ale tło robiło wrażenie: ciemności, mgła, aureola światła wokół ulicznej latarni i niewyraźnie majacząca sylwetka w pelerynie.

- Chce pan mi dać do zrozumienia, że to jest właśnie ona, Gemma Tempie?

Adrian kiwnął głową.

- Szkoda, że pan nie skończył malować obrazu. Bo może wtedy stanowiłby jakąś pomoc.

Adrian zakrył płótno.

- Zapomniałem, że we dworze odbywa się bal kostiumowy z okazji święta Trzech Króli. Ja nie chodzę na te imprezy, nie znoszę ich. Ale proszę nie powtarzać moich słów pułkownikowi Craelowi. Pan pułkownik jest prawdziwym mecenasem artystów. I udziela bezprocentowych pożyczek. Zamawia też obrazy.

Rozmawiając, zdążyli już wrócić do płótna, nad którym Adrian właśnie pracował. Adrian przygotował kubek z zieloną farbą.

- Panie sierzancie - zwrócił się do Wigginsa, który patrzył na niego zafascynowany - czy może mi pan pomóc? Kiedy ta zieleni znajdzie się obok pana, niech ją pan zawróci.

Wiggins najwyraźniej poczuł się zaszczycony.

- Och. No cóż... jeżeli pan inspektor...

Jury sięgnął po notes, a Wiggins zakasał rękawy i przykucnął. Jury pokręcił głową i wyjął pióro.

- Proszę mówić dalej, panie Rees.

- Sądzę, że ona mnie nie widziała. Zatrzymała się na chwilę pod latarnią w pobliżu schodów. - Adrian wstał i zarzucił na ramię wymyśloną pelerynę. - Czarna peleryna, biała koszulowa bluzka. - Przycisnął dłoń do twarzy, zasłaniając jej połowę. - Lewą stronę twarzy miała białą, a prawą czarną. A na dodatek nosiła czarną maskę...

- Ale skąd pan wiedział, że to jest Gemma Tempie?

- Nie wiedziałem. Nie miałem o tym pojęcia aż do chwili, gdy kilka godzin później wróciłem w to miejsce wraz z resztą ciekawskich mieszkańców wioski. Usłyszałem wycie policyjnej syreny. Wozy policyjne w Rackmoor? Nie mogłem w to uwierzyć. Z początku pomyślałem, że to karetka pogotowia. Chociaż, mieszkając tutaj od pięciu lat, nie widziałem dotychczas ani jednej. Nikt tu chyba nie choruje ani nie umiera. Dowodem na to jest Percy Blythe. Wyrzależem przez okno i zorientowałem się, że coś się dzieje. Włożyłem więc spodnie i wyszedłem, żeby zobaczyć co takiego.

- Widział pan ciało?

- Nie. Nie widziałem. I inni też nie. Na schodach stało wielu policjantów. Ale ludzie mówili, że to ktoś z grupy mimów, kobieta w czarno-białym kostiumie.

- A co pan zrobił potem?

- Wróciłem tutaj, do siebie. Byłem trochę zdenerwowany, nie mogłem spać. Więc zacząłem malować ten obraz.

- Rozmawiał pan z nią, prawda? Raz czy dwa razy w pubie.

Adrian przez dłuższą chwilę patrzył na „lury'ego, paląc przy tym cygaro.

- Raz czy dwa razy, tak. Nie powiedziała mi nic o sobie... poza tym, że jest z Londynu... Mieszkała w Kentish Town. Chyba tak mówiła... No i że jest dawną znajomą rodziny Craelów.

- A pan? Dobrze pan zna tę rodzinę?

- Tak. W każdym razie pułkownika Craela znam dobrze. Bo co do Juliana, to wątpię, czy ktokolwiek... zdołałby za wrzeć z nim bliską znajomość.

Adrian zanurzył pędzel w farbie koloru ochry i rozsmarował ją w rogu obrazu.

- A czy ona nie powiedziała panu, jaki jest cel jej wizyty w Rackmoor?

Adrian pokręcił głową.

- To cholernie dziwne, że tu przyjechała. Bo Rackmoor w styczniu to raczej nie miejsce na wakacje, prawda? Aha. Przypominam też sobie, że chyba mówiła, że jest aktorką.

Jury zastanawiał się przez chwilę.

- Zna pan Lily Siddons?

Adrian podniósł wzrok, zaskoczony.

- Tak, oczywiście. Ona prowadzi „Bridge Walk Cafe”.

- Czy przychodzi panu do głowy jakiś powód, dla którego ktoś mógłby chcieć ją zabić?

Adrian wstał z klęczek.

- Zabić Lily? Na Boga, nie. Skąd takie pytanie?

Jury nie odpowiedział. Wstał i dał znak Wigginsowi, który przestał kontemplować płótno i także się podniósł.

- A tak nawiasem mówiąc, panie Rees, czy nie brak panu kawałka płótna?

- Kawałek płótna? Cóż... - Wzrok Adriana pobiegł w kąt pokoju, gdzie znajdowały się pojemniki z farbą, ramy, płótno.

- Nie sprawdzałem, naprawdę. A dlaczego pan pyta?

- A czy wychodząc, zamyka pan pracownię na klucz?

- Boże drogi, nie. Myśl, że ktoś mógłby ukraść jakiś obraz, jest nieco... - Wzruszył ramionami.

- Dzięki. Porozmawiam z panem jeszcze później.

- Oczywiście.

Adrian wytarł ręce w jakąś szmatę i odprowadził Jury'ego i Wigginsa na dół.

Gdy przechodzili przez galerię, Wiggins zatrzymał się, żeby ponownie spojrzeć na akt. Czy też akty.

- Podoba się panu ten obraz? - zapytał Rees. - Nosi tytuł *Tarcza do gry w strzałki*.

- Ciekawe - orzekł Wiggins. - Wygląda na to, że tu, w samym środku, są malutkie dziurki. Czy chodzi o to, że kobiety są traktowane jak cel albo zabawki seksualne?

To powiedziawszy, wydmuchał dokładnie nos, jedną dziurkę po drugiej.

Wiggins jako krytyk sztuki - to było dla Jury'ego coś całkiem nowego.

- Nieźle pan kombinuje, ale nie - odrzekł Adrian. - Po prostu pewnego wieczoru nudziłem się, więc rozpiąłem to płótno na tablicy korkowej i namalowałem na nim tarczę. Proszę zobaczyć... - Pochylili się obaj nad płótnem. - Widzi pan te koła? Tutaj, pod płatami bieli? Jednak dziurek nie mogłem się pozbyć. To dość ciekawy efekt. Bo te nagie kobiety wyglądają dzięki temu jak sito.

- Albo też jakby miały ospę.

- Hm. Podoba mi się ta myśl. Świetnie. Zatytułuję obraz *Zaraza Britannica* i podniosę cenę o pięćdziesiąt funtów.

- Na pańskim miejscu rzuciłbym jeszcze kilka strzałek w twarz tej. Zrobi się dzięki temu bardziej ospowata.

Wiggins uśmiechnął się i poczęstował Adriana cukierkiem przeciwkaszlowym.

## 5

Dom sir Titusa Craela, baroneta, był dworem w stylu elżbietańskim. Jego usytuowanie sprawiało, że z okien rozciągał się widok na potężne klify Morza Północnego. Dwór wyglądał tak, jakby go zbudowano z wymytego prawie do białości przez deszcze tego samego rodzaju wapienia, co mury

otaczające miasto York. Wylaniał się teraz z grubej warstwy wiszącej tuż nad ziemią mgły i majaczył poprzez unoszące się wyżej opary.

Wiggins służbowym policyjnym fordem wjechał na żwirowany podjazd i zatrzymał samochód tuż obok rozległych zabudowań stajennych. W tej samej chwili przestraszony tym wspaniałym koń stanął dęba. Jednak dosiadający go starszy, wysoki i dystyngowany mężczyzna natychmiast doskonale nad nim zapanował. Zsiadł też zaraz z wierzchowca i podszedł do samochodu.

- Panowie są ze Scotland Yardu, prawda? Nazywam się Titus Crael.

Zdecydowanym ruchem wyciągnął silną dłoń.

Jury i Wiggins wysiedli.

- O samochód proszę się nie kłopotać. Zostawcie go pa nowie tutaj. I wybaczenie, że spotykamy się tak nieoficjalnie, koło stajni. Ale... ja nie znoszę oficjalności. I, panie inspektorze, chciałem z panem zamienić słowo, zanim pan wejdzie do środka. Nie ma pan nic przeciwko temu, prawda? Bracewood będzie dyskretny.

Jury rozejrzył się za kimś o nazwisku Bracewood i zaraz uświadomił sobie, że Crael ma na myśli swego konia. Pułkownik wciąż trzymał lejce w obciążonych skórzanymi rękawiczkami dłoniach i opierał się z lekka o swego wierzchowca, tak jak niektórzy opierają się o kogoś bliskiego, szukając w nim oparcia - fizycznego lub moralnego.

- Nie mają panowie nic przeciwko temu? Prawda, panie inspektorze? Prawda, panie sierżancie?

Jury doszedł do wniosku, że pułkownik chce być przesłuchany właśnie tutaj, pod gołym niebem. I zaraz pomyślał, że choć nie jest zimno, lecz tylko wilgotno, Wiggins będzie umęczony. Mimo to odrzekł:

- Nie, raczej nie. Jednak sierżantowi polecę wejść do środka i porozmawiać ze służbą.

- Oczywiście, jęk pan sobie życzy. Proszę wejść tamtędy, przez tamte drzwi. Vood... to znaczy mój kamerdyner... pana poprowadzi. - Sir Ttus wskazał wspaniałą fasadę dworu, tak jakby było to po prostu wejście do krytej strzechą chałupy. - Kucharka przygotowuje dla pana herbatę, panie sierżancie. Bo widzę, że wygląda pan na przemarzniętego.

Wiggins był nie tylko przemarznięty, ale też wdzięczny za tę obietnicę. Skierował się ku wejściu.

- Prawdę powiedziawszy, panie inspektorze - odezwał się pułkownik Crae^ - chciałem tylko porozmawiać z panem o całej tej okropnej sprawie, zanim pan pomówi z Julianem. Bo mój syn i ja różnimy się w opiniach na temat tej dziewczyny. Nie chciałem ponownie wspominać przy nim o tej różnicy poglądów, bo jego to strasznie złości. - Pułkownik owinął sobie palce lejcami. - Co do mnie, to jestem pewien, że Gemma Tempie i moja dawna wychowanica, Dillys March, to jedna i ta sama osoba.

Przebiegł wzrokiem po zasnutych mgłą skałach, spojrzął na majaczące niby widma buki i zaczął opowieść o swojej wychowanicy. Powiedział, że zjawiała się w domu Craelów jako zaledwie ośmioletnia dziewczynka, kiedy jej rodzice zginęli tragicznie w katastrofie samolotu.

- Oboje bardzo się przyjaźnili z lady Margaret... - Pułkownik przerwał na moment, tak jakby to imię spowodowało jego potknięcie. - Margaret była moją żoną - wyjaśnił zaraz. - Mam w domu jej piękny portret, który jest dziełem Adriana Reesa. Adrian namalował go z fotografii. Ten facet ma naprawdę wielki talent. Wyda się panu może, że jej pochlebił...Jednak to nieprawda. Bo moja żona rzeczywiście była prawdziwą pięknoscią...

- Ale zaczął pan mówić o Dillys March.

- Tak. Ta dziewczyna była dla nas kimś w rodzaju... adoptowanej córki. Mam na myśli to, że traktowaliśmy ją jak rodzoną córkę, chociaż nigdy nie przeprowadziliśmy prawnej procedury adopcyjnej.



- Zgodnie z raportem inspektora Harkinsa, oświadczył pan, że Dillys March miała odziedziczyć pieniądze będące częścią majątku, jaki pozostawiła pańska zmarła żona. I właśnie wtedy nagle wyjechała.

- Nie było tego zbyt dużo - rzucił pułkownik lekceważącym tonem. - Zaledwie pięćdziesiąt tysięcy funtów. Dillys miała je otrzymać z chwilą ukończenia dwudziestu jeden lat.

- A czy te pieniądze znajdują się wciąż w rękach powierników?

- Powróciły do majątku. Margaret zostawiła wszystko Julianowi i Rolfe'owi. Tylko tych pięćdziesiąt tysięcy funtów przeznaczyła dla Dillys. Kiedy Rolfe stracił życie...

Przerwał.

- Pieniądze przeszły na Juliana - dokończył Jury.

- Tak. - Pułkownik przełknął ślinę. - Oboje, Margaret i Rolfe, zginęli w wypadku drogowym.

Jury milczał przez chwilę.

- No cóż, to musiało być okropne. Pomyśleć, że stracił pan równocześnie i żonę, i syna.

Sir Titus nie odpowiedział; wpatrywał się uparcie w drzewa.

- Czy Dillys March była osobą skłoną tak po prostu odejść i nie skorzystać ze spadku? - zapytał Jury. - Który wynosiłby więcej niż pięćdziesiąt tysięcy, bo dostałaby przecież także coś od pana?

- W odpowiedzi na pierwsze pańskie pytanie powiem: Nie, nie była. A na drugie: Tak, dostałaby. Przyznaję, że byliśmy bardzo zaskoczeni jej odejściem. Muszę jednak powiedzieć, że przedtem zdarzały jej się podobne ucieczki. Dillys po prostu wyjeżdżała. Na szesnaste urodziny podarowałem jej czerwonego mini. I ona wsiadała w ten właśnie samochód i wyruszała w drogę. Pewnego razu zniknęła na cały tydzień. Sprowadziliśmy ją wtedy z Londynu.

- Czy miała bogate życie seksualne?

- Nie... Właściwie tak bym tego nie określił.

Co oczywiście oznaczało „tak”.

- A kiedy zniknęła ostatnim razem... Czy pan wtedy nie wezwał policji?

- Policja odwiedziła nas wówczas wcale niewzywana. Funkcjonariusze znaleźli samochód Dillys w Londynie. Został najwyraźniej porzucony. A po niej nie pozostał żaden ślad.

- A co się stało później?

- Coś bardzo... przykrego. Policjanci, co całkiem naturalne, byli przekonani, że dziewczyna wyjechała z własnej woli. Ale sądzę, że musieli też brać pod uwagę ewentualność jakiejś nieczystej gry. Otóż miałem szofera nazwiskiem Leo Manning. To syn Olive... mojej gospodyni. Okazało się, że między nim a Dillys coś było. I Leo okazał się ostatnią osobą, która ją widziała. Najprawdopodobniej byli razem. No i to spowodowało, że Leo stał się jednym z pierwszych podejrzanych. Jego matka sądzi, że właśnie wskutek tego chłopak się załamał. Psychicznie. Teraz znajduje się w zakładzie psychiatrycznym. A Olive zawsze nienawidziła Dillys March.

- Jaki powód podała... To znaczy, jaki powód podała Gemma Tempie na usprawiedliwienie tak długiej nieobecności?

- Wyrzuty sumienia. Wstyd. Jej życie, jak sądzę, nie było zbyt ciekawe. Twierdziła, że wynajęła pokój gościnny w pubie „Pod Przechytrzonym Lisem”, bo nie wiedziała, czy w moim domu będzie mile widziana. Choć prawda jest taka, że oczywiście była. Proszę posłuchać, panie inspektorze. Jeżeli ta Gemma Tempie, czy ktokolwiek, kim była ta kobieta... więc jeżeli ona była oszustką, to skąd, na miły Bóg, mogła wiedzieć wszystko to, co wiedziała? Znała nawet takie różne drobne szczegóły... dotyczące dzieciństwa Dillys.

- Mogła działać z kimś w zмовie. Z kimś z Rackmoor, być może z pańskiego własnego domu. Z kimś, kto dużo wiedział o Dillys March i kto chciał się z Gemmą podzielić zyskiem.

Albo kierował się chęcią zemsty, zazdrością... Mogą też być inne motywy.

- Ale takie oszustwo jest wprost nie do pomyślenia. - Sir Titus westchnął. - No cóż, widzę, że pan zgadza się z Julianem.

- Nie, nie. Ja chwilowo z nikim się nie zgadzam. Wiem jeszcze zbyt mało. Ale zapewniam pana, panie pułkowniku, że takie oszustwa zdarzały się już przedtem. A może mi pan powiedzieć, kto mógł ją znać wystarczająco dobrze, żeby udzielić takich informacji?

- Jedynymi takimi osobami, poza Julianem i mną, mogli być: Olive Manning, mój kamerdyner Wood i stara pokojówka nazwiskiem Stevens. Ale myśl, że którekolwiek z nich mogłoby... no cóż... Sporo rozmawiałem o Dillys z Maud Brixenham, z którą się przyjaźnię. Maud mieszka w wiosce, na Lead Street. A także z Adrianem Reesem, kiedy malował portret Margaret. Chodziłem wtedy do jego pracowni, żeby popatrzeć... - Sir Titus pomasaował dłonią szyję Bracewooda. - Za życia Margaret ten dom był zupełnie inny niż teraz. Zawsze pełen ludzi. No i żyli wtedy obaj moi synowie. Rolfe był o czternaście lat starszy od Juliana. Ale obaj byli podobni do matki. Z powodu złocistych włosów nazywano ich Złotymi Bliźniętami. Tak, tak o nich mówiono. Julian to z wyglądu wykapaną matką. Żałuję tylko, że także pod innymi względami nie przypomina jej w tym samym stopniu. Tak prawdę mówiąc, to ja, jego ojciec, nie mam właściwie pojęcia, jaki on jest. Rolfe znacznie bardziej od niego lubił wesołe życie. Być może lubił je nawet za bardzo. Rozumie pan, kobiety. No i była jeszcze w tamtych czasach Dillys. Margaret z kluchowatej dziewczuszki przerobiła janaosobę, która bardzo przypominała jąsamą. Pod względem ubioru, zachowania, takich rzeczy. Dillys nie była piękna, jeśli o to chodzi, nie przypominała Margaret. Ani nawet Juliana. No, a z drugiej strony, Margaret nie była kimś, kogo można by określić jako dobrego człowieka... - Sir

Titus odwrócił wzrok, twarz mu spochmurniała. - Ale Julian ją uwielbiał. Osoby o takim wyglądzie... No cóż, sama ich fizyczna uroda... sprawia, że zwykłe zasady moralne zdają się ich nie dotyczyć. Mam nadzieję, że pan się ze mną co do tego zgadza?

Jury przyjrzał się starszemu mężczyźnie, jego wyrazistej twarzy i silnym dłoniom, w których ten dzierżył wodze, a także siwym wąsami i czuprynie.

- Nie, nie zgadzam się - zaprzeczył.

Wzrok pułkownika pobiegł w stronę zasnutego mgłą dziedzińca. Zdawało się, że obaj dryfują w tym białym тумanie. Milczenie się przedłużało, a stopy mężczyzny i końskie kopyta gubiły się w mlecznym oparze. W końcu pułkownik podniósł wzrok i uśmiechnął się ze smutkiem.

- Czy nie zapyta mnie pan, gdzie byłem tamtej nocy? Inspektor Harkins zdawał się szczególnie akcentować to pytanie.

- Zamierzałem to zrobić - odparł również z uśmiechem Jury. - Urządził pan wtedy zabawę z okazji święta Trzech Króli, prawda? Sądzę, że był pan zajęty gośćmi.

- Wydaje się pan wyrażać bardzo uprzejmie.

- Nie zamierzałem być jakoś szczególnie uprzejmy. Czytałem pańskie zeznania. To wszystko.

- Aha. Wobec tego mogę je tylko powtórzyć. Tak, zajmowałem się gośćmi. Nie jestem jednak w stanie dowieść, że mam alibi. Nie potrafię dokładnie określić, co w tym czasie robiłem. Inaczej niż... - Tu popatrzył Jury'emu prosto w oczy. - Inaczej niż mój syn, Julian.

- Rozumiem. No cóż, sądzą, że teraz powinienem porozmawiać właśnie z nim. - Jury spojrział w stronę wejścia do domu. - Sam trafię. Więc jeżeli pan zamierzał udać się na konną przejażdżkę, to proszę jechać.

- Skoro jest pan tego pewien... Tak, taki właśnie miałem zamiar. Za trzy dni będziemy tu mieli polowanie. Chciałem

pojechać do psiarni. Wood poszuka Juliana. Jeżeli mój syn już wrócił. Bo wie pan, on bez względu na pogodę dużo spaceruje. - Sir Titus dosiadł konia i pogłodził jego szyję. - Zatem jadę. A w razie potrzeby będę do dyspozycji.

- Sądzę, że taka potrzeba rzeczywiście zaistnieje. Aha, i jeszcze jedno. Ma pan w domu gościa?

Sir Titus był zaskoczony.

- Tak, w istocie - potwierdził. - To stary przyjaciel... a raczej syn pewnego mego starego przyjaciela. Lorda Ardry'ego. Wspaniały był z niego człowiek. Wielki miłośnik polowań. Ale ten lord Ardry... to znaczy jego syn... używa nazwiska Melrose Plant.

Jury uśmiechnął się. W ustach pułkownika Craela to nazwisko i imię brzmiały jak pseudonim.

- No, w każdym razie zrezygnował z tytułu... - mówił dalej sir Titus. - Nie mam pojęcia dlaczego. Ja swój zdobywałem długo, a jestem tylko baronetem. Niewarte uwagi, co? A Plant... on teraz...

- Wiem. Poznałem go. W Northamptonshire.

- A tak. Słusznie. Mówił mi o tym. Okropna historia, prawda?

- Jak każde morderstwo.

Kamerdyner wziął od Jury'ego płaszcz, poinformował go, że pan Julian jeszcze nie wrócił, i zapewnił, że zaraz przyprorowadzi lorda Ardry'ego. Jury rozejrzał się po holu - który stanowił imponującą mieszaninę ciemnej boazerii i doryckich kolumn - i pomyślał, że choć Plant zrezygnował z tytułu, wszyscy uparcie mu go zwracają. Po czym spojrzął pod nogi, na czarno-białą marmurową posadzkę, i poczuł żal, że jego własne myśli nie układają się w taki uporządkowany, geometryczny wzór. Na prawo znajdowała się Długa Galeria. Jury, mijając malowidła, przechodził przez to pomieszczenie

o wachlarzowym sklepieniu, zastanawiając się przy tym, czy portret lady Margaret znajduje się właśnie tutaj...

- Czyżby pochłoneły pana marzenia, panie inspektorze?

Melrose Plant, stojąc przy wejściu do Długiej Galerii, leniwym ruchem podniósł do ust papierosa. Znajdował się dość daleko od Jury'ego. Podniósł więc głos, który odbił się echem od ozdobionego sztukaterią sufitu, od kolumn z imitacji marmuru i połączanych luster. Melrose miał na sobie szary garnitur, uszyty na zamówienie przez jakiegoś okropnego krawca.

Jury był zachwycony, że go widzi.

- Ach, pan Plant. - Podeszedł do niego, wyciągając dłoń na powitanie. - Prawie nie wierzę własnym oczom. Rozumiem, że jest pan starym przyjacielem tego domu.

- Byłem w Yorku, kiedy się dowiedziałem, co zaszło. Wygląda na to, że za każdym razem, kiedy nie jestem panu potrzebny, znajduję się w pobliżu.

- Ależ wprost przeciwnie, panie Plant. Tutaj może się pan okazać bardzo przydatny. Właśnie jako przyjaciel domu. Podczas tury po nim, że tak powiem. - Jury spojrzął bystro na swego rozmówcę. - Jako pomocnik w nawigacji po tych wodach.

- Ha. To może się okazać nieco trudne. Julian Crael jest dość potężną górą lodową. Spędza sporo czasu na spacerach po klifie i po wrzosowiskach. A tak w ogóle jest osobnikiem bladym i interesującym.

- Czy mam przez to rozumieć, że niespecjalnie lubi pan Juliana Craela?

Melrose wzruszył ramionami, uśmiechnął się i zmienił temat.

- Śledziłem w prasie rozwój pańskiej kariery.

- Musiała to być lektura bardzo błaha.

- O, bynajmniej. Wiedziałem, że oddano panu tę sprawę. Muszę przyznać, że tamta w Long Piddleton dostarczyła mi sporo zabawy... choć mogła się wydawać trochę makabryczna. Tak, bawiłem się prawie tak samo dobrze jak Agatha.

- Jak ja sobie bez niej poradzę? - Jury rozejrzył się szybko.-Jej nie...

- Jest pan bezpieczny, panie inspektorze. Nie ma jej tutaj. No, a teraz, czy mógłbym nakłonić pana, żeby zjadł pan ze mną kolację w pubie „Pod Przechytrzonym Lisem”? Słyszałem, że bardzo dobrze tam karmią.

- Świetny pomysł. Może o siódmej?

- A może o szóstej? O tej godzinie otwierają pub, a ja mam chęć na rackmoorską mgłę.

- A co to takiego?

- To taki drink, wynalazek właścicielki pubu... pani Meechem, zdaje się... przeznaczony dla turystów. Dżin, rum, brandy, whisky i ząb rekina. Proszę poradzić sierżantowi Wigginsowi, żeby tego spróbował. Wykuruje go to ze wszystkiego, nawet z dżumy.

- Zatem widział się pan z Wigginsem?

- Tak. Sierżant jest w kuchni. Nakłania kucharzkę do wyznań.

- Pójdę tam. Do zobaczenia o szóstej. Jeżeli nie przyjdę, proszę sobie strzelić dwa drinki.

- Wtedy nie zobaczylibyśmy się wcale! - zawołał Melrose do oddalających się pleców Jury'ego. - A tymczasem czy nie przydałaby się panu pomoc? Chociażby ze strony kogoś, kto wysłuchałby pańskich przemyśleń. Albo coś by przewąchał.

Jury zastanowił się.

- Być może. Skoro pan już tu jest, panie Plant, to może poszedłby pan do Makepiece'ów i spróbował się czegoś do wiedzieć. To domek stojący tuż przy Angel Steps, na Scroop Street. Nazywa się Cross Keys i możliwe, że jego mieszkańcy coś słyszeli.

Twarz Melrose'a Planta wyraźnie się rozpromieniła. I Melrose zapisał coś w notatniku, który, co zaskakujące, do złudzenia przypominał notes Jury'ego.

W kuchni o rozmiarach boiska do gry w rugby siedział zgarbiony nad swoim notesem Wiggins, a obok niego stał imbryk z herbatą i talerz z apetycznymi kanapkami. Natomiast na przeciwko niego zajęła miejsce pulchna kobieta w nieokreślonym wieku, z kokiem i o czerwonej twarzy.

- To jest pani Thetch, panie inspektorze - powiedział Wiggins. - Okazała się tak miła, że poczęstowała mnie herbatą.

Jury poczuł głód, co z pewnością było wynikiem działania morskiego powietrza. Wziął więc kanapkę. Siekany kurczak, bardzo dobre, pomyślał.

- Podam panu filiżankę, panie inspektorze.

Pani Thetch już miała wstać, Jury jednak dał jej znak, żeby siedziała.

- Dziękuję pani - rzekł. - Wystarczy kanapka. Proszę mi powiedzieć, jak długo pracuje pani u państwa Craelów?

- Osiemnaście lat. Właśnie informowałam o tym pana sierżanta.

- Znała pani zatem lady Margaret.

- Tak, proszę pana. Ale niezbyt dobrze. Zaczęłam tu pracować nie tak dawno przed... no wie pan. - Jej twarz przybrała obowiązkowo smutny wyraz. - Przez kilka miesięcy byłam pomocą kuchenną, a potem, kiedy zmarła ta biedaczka Mary Siddons, zostałam kucharką.

- A ta Mary Siddons... ona miała córkę, Lily, prawda?

- Tak, proszę pana. Lily wciąż mieszka w Rackmoor. To straszne, co stało się z jej matką. Bo wie pan, Mary Siddons utonęła. - Pani Thetch wskazała ruchem głowy tylną część domu i klify. - Nikt nie ma pojęcia, dlaczego poszła tamtędy, po kamieniach, dlaczego zrobiła to tuż przez przypiływem. Tam jest takie wąskie przejście, zaraz pod klifem. Można



tamtędy przejść z Rackmoor aż do Runner's Bay. Ale tylko wtedy, kiedy jest odpływ. Wiele osób tak robi. Tymczasem ta biedaczka... zrobiła to najwyraźniej tuż przed przypływem - powiedziała, a w tej samej chwili zjawił się Wood i poinformował Jury'ego, że pan Julian czeka na niego w pokoju zwanym Bracewood Room.

Najwyraźniej pułkownik ponadawał pokojom w swoim domu nazwy od imion koni, pomyślał Jury, a kamerdyner spojrzął spod oka na gadatliwą panią Thetch i poprowadził go do Juliana.

Jedno zniknięcie, pomyślał Jury, idąc za nim, dwie ofiary wypadku samochodowego, jedna osoba w zakładzie psychiatrycznym, jedna utonęła. No i w końcu jedna zamordowana. Rackmoor, pomimo rzeńskiego morskiego powietrza, nie wydaje się najzdrowszym miejscem na Wyspach Brytyjskich.

## 6

Wchodząc do Bracewood Room, Jury natychmiast się zorientował, że odnalazł portret lady Margaret Crael. Portret wisiał właśnie tutaj, nad marmurowym kominkiem, przy którym stał teraz Julian Crael. Kobieta z portretu natomiast siedziała na sofie czy szeszlunku, którego drewniane oparcie tworzyło za nią coś w rodzaju ciemnego łuku. Wyglądało to tak, jakby malarz zaskoczył swoją modelkę od tyłu, bo to tył mebla przedstawiał się oczom widza na pierwszym planie, natomiast sportretowana kobieta widoczna była od ramienia w górę i z profilu. Siedząc z głową odwróconą w lewą stronę, spoglądała na swoje opięte czarnym rękawem ramię, spoczywające na mahoniowej ramie. Na sofę ktoś rzucił kawałek jedwabiu - być może hiszpański szal z czarnymi frędzlami. Chcąc dostrzec szczegóły obrazu, trzeba było wysilić wzrok, bo ciemna materia stapiała się z czarną suknią, a z kolei suk-

nia z ciemnym tłem. Ciemne na tym obrazie było wszystko - z wyjątkiem profilu damy i jej włosów. Te, jasne i złociste, spływały jej luźno na ramiona i były odgarnięte z czoła, tak jakby przez pokój przeleciał właśnie łagodny powiew wiatru. Lekko stulona dłoń kobiety była odwrócona do góry. Wyglądało to tak, jakby kobieta przyzywała gestem kogoś, kto znajdował się poza ramą obrazu.

- Nazywam się Julian Crael - powiedział mężczyzna stojący pod portretem i zaraz, dostrzegając, na co patrzy Jury, dodał: - To moja matka.

Informacja o tym, że jest synem kobiety z portretu, była całkiem zbyteczna. Każdy bowiem, kto nie był ślepy, mógł to stwierdzić bez żadnego trudu. Gdyby Julian Crael był kobietą, można by go było wziąć za bliźniaczkę sportretowanej damy. Pastelowy koloryt, głęboko osadzone niebieskie oczy, włosy barwy wąsów kukurydzy - słowem, wyglądał tak, jakby sam wyszedł z ram obrazu.

- Nadzwyczaj piękna kobieta - Jury zdobył się na banalny komentarz.

- Podobieństwo jest bardzo dobrze uchwycone, zwłaszcza że Rees malował z fotografii. Rees to nasz miejscowy artysta. Zniża się czasami do tego, żeby namalować portret. Dzięki temu, jak sądzę, wystarcza mu na czynsz. W chwili gdy ten obraz powstawał, moja matka nie żyła już od osiemnastu lat.

Julian Crael dopił swojego drinka i wbił wzrok w przestrzeń, gdzieś ponad ramieniem Jury'ego.

- Przepraszam - powiedział inspektor. - Nie przedstawiłem się jeszcze. Richard Jury z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Chciałem zadać panu kilka pytań na temat Gemmy Tempie.

Julian oderwał się od kominka i nalał sobie kolejnego drinka. A potem podniósł karafkę z whisky z niemym zapytaniem. Jury pokręcił głową.

- A co pana interesuje? - zapytał Julian. - Chce pan wie-  
dzieć, dlaczego ojciec i ja różnimy się w opiniach na temat jej  
tożsamości? On uważa, że Gemma Tempie to Dillys March,  
a ja nie. Ale na dobrą sprawę, dlaczego mielibyśmy się co do  
tego zgadzać? Zważywszy zwłaszcza, że w ogóle rzadko się  
ze sobą zgadzamy.

Julian podniósł szklanke, posiał Jury'emu lodowaty  
uśmiech i napił się whisky. A potem wrócił na swój posteru-  
nek przy kominku i oparł wyciągnięte ramię na jego gzymsie  
gestem bardzo podobnym do gestu sportretowanej kobiety.  
Jednak Jury miał pewność, że nie była to wystudiowana,  
świadoma poza.

- Jest pan pewien, że ta Gemma Tempie to nie była Dillys  
March? - zapytał.

- Najzupełniej. To po prostu oszustwo. To znaczy byłoby  
to oszustwo, gdyby jej się udało osiągnąć cel, jaki sobie po-  
stawiła.

- Skoro tak pan uważa, to musiał pan dojść do wniosku,  
że istniała tu jakaś zmowa. Bo ta Gemma Tempie posiadała  
informacje, których musiał dostarczyć jej ktoś, kto dobrze  
znał Dillys.

Julian, paląc teraz, obracał w palcach srebrną zapal-  
niczkę.

- Tak właśnie sędzę.

- A kto to mógł być, proszę pana?

Julian włożył zapalniczkę do kieszeni i wciąż paląc, od-  
wrócił się plecami do kominka.

- Nie mam pojęcia.

- Ale zgadza się pan, że to jedyna możliwość? Jeżeli Gem-  
ma Tempie nie była Dillys March, to tak musiało być, prawda?  
- Jury, pragnąc zmusić Juliana, żeby przyznał mu rację, dzi-  
wił się równocześnie, że Julian nie chce tego zrobić. - Panie  
Crael?

Julian kiwnął głową.

- Zgadzam się.  
- A proszę mi powiedzieć, dlaczego przed laty Dillys tak nagle wyjechała?

Julian, wciąż paląc, pokręcił głową.

- Pan pułkownik mówi, że poprzednio także zdarzały jej się ucieczki z domu.

Julian kiwnął głową.

- Dillys była upartą, rozpuszczoną egoistką. Sądzę, że moi rodzice dawali jej wszystko, czego tylko zapragnęła, chcąc dziewczynie zrekompensować utratę jej własnych rodziców. Mnie nie dziwiłby żaden wyskok Dillys.

Na kominku, sypiąc iskrami, rozpadło się polano. Lizwały je teraz drobne języki płomieni. A oczy Juliana zdawały się płonąć i mienić błękitem tak jak one. Jury'ego po raz któryś z rzędu uderzyła uroda jego twarzy. Przyszło mu też na myśl, że ta twarz zdaje się nie pasować do otoczenia, że należy do jakiejś innej, sielskiej epoki.

- Z pańskich słów wnoszę, że nie za bardzo pan Dillys March lubił.

Julian odwrócił na chwilę wzrok, nie mówiąc ani słowa. A Jury skorzystał z tej okazji, by niepostrzeżenie schować do kieszeni zapalniczki leżące na szklanym talerzu tuż obok jego fotela. Skąd one się tu wzięły? - zastanowił się. - Skąd taka marnej jakości rzecz w tym pokoju, gdzie znajdowały się dwie eleganckie stołowe zapalniczki - jedna z zielonego weneckiego szkła i druga z porcelany - i gdzie Julian bawił się swoją srebrną zapalniczką?

- Czy pan, panie inspektorze, nie powinien przypadkiem zadawać mi pytań bardziej na temat? Czy nie powinien pan na przykład spytać, gdzie byłem w chwili morderstwa?

Jury uśmiechnął się, bo przypomniał sobie, że podobnie reagował ojciec Juliana.

- Wiem z pańskich zeznań, że znajdował się pan wtedy we własnym pokoju.

- To prawda. Nie lubię tych imprez, które odbywają się w święto Trzech Króli. Zaczęła je urządzać moja matka. Ona uwielbiała przyjęcia i zabawy. Uwielbia je też mój ojciec. A ja nie. Jestem w istocie dość aspołeczny. - Zdawał się przez chwilę oczekiwać, że Jury zakwestionuje to twierdzenie. - Chciałbym panu coś pokazać.

Julian podszedł do oszklonych drzwi, prowadzących na zewnątrz, i skinął na Jury'ego. Wyszli obaj na taras, gdzie ogarnęło ich lodowate powietrze. Szron osiadł na balustradzie, ku której Julian się teraz cofnął. Stał, mając za plecami morze obmywane swymi falami podnóże klifu, i patrzył w górę, na ścianę domu.

- To są moje okna - powiedział, pokazując palcem.

A potem przeszedł przez taras i wskazał widoczną stąd wioskę.

- Widzi pan te stopnie, prowadzące na taras? Otóż istnieje ścieżka, która do nich dochodzi. Przyjemnie się nią spaceruje wzdłuż klifów. Ścieżka biegnie do innych stopni, po których można zejść ku wałowi nadmorskiemu. Do naszego domu najłatwiej jest się dostać, idąc najpierw schodami przy pubie, a potem dalej wzdłuż wału nadmorskiego do ścieżki, z której można wejść na taras. I właśnie tą drogą ludzie tu przychodzili i tędy opuszczali dom. - Julian zawrócił i podszedł do Jury'ego. - Przez całą noc Trzech Króli, panie inspekto rze. - W jego oczach po raz pierwszy zabłysło coś w rodzaju iskierki humoru. - A teraz jeżeli chodzi o wnętrze domu. Do mojego apartamentu prowadzi dwoje drzwi. I jedno, i drugie wychodzą na podest, na którym przez cały wieczór przygry wali muzykanci. Ach, prawda, po jakimś czasie zrobili sobie krótką przerwę. Jednak, przez cały wieczór na podeście ktoś był. Ja wszedłem do swojego apartamentu o dziesiątej. Za bawa zaczęła się już wtedy na dobre. Gdybym z niego wychodził, ktoś musiałby mnie zobaczyć. Gdyby nawet istniał cień szansy na to, że ja jestem winowajcą, to fakty są takie, że

nie mógłbym wyjść ze swoich pokoi i wrócić do nich niezauważony przez nikogo.

- No cóż, nie mógłby pan także wspiać się po ścianie do okien - zauważył Jury.

Tak rozmawiając, zdążyli już wrócić do salonu. Jury siedział teraz w tym samym fotelu co przedtem. Wyjął z kieszeni pudełko mające formę książeczki, w którym znajdowały się zapalki, i zginał je jedną po drugiej.

Julian, ponownie stanąwszy przy kominku, rozłożył ręce z udawaną bezradnością, sprawiając przy tym wrażenie ubawionego.

- Czy często zatrzymuje się pan w hotelu „Sawry”, panie Crael?

- Co takiego?

- W hotelu „Sawry”. To miejsce dość ekskluzywne, znajdujące się w Mayfair, w Londynie, nieprawdaz?

Nastąpiła chwila konsternacji. Zaraz jednak Julian zaczął ponownie manifestować swoją lodowatą niefrasobliwość.

- Nasza rodzina korzysta z usług tego hotelu. Ja też czasami jeżdżę do Londynu. Tak jak każdy. Dlaczego pan pyta właśnie o to?

Jury podniósł zapalki okładką do góry. Julian popatrzył na nie przez chwilę i zaraz odwrócił wzrok.

- Gemma Tempie przyjechała z Londynu.

- Ależ panie inspektorze! W Londynie bywa Adrian Rees. I Maud Brbcenham. Także Olive Manning właśnie stamtąd wróciła. Połowa świata bywa w Londynie.

Po tych słowach Julian dopił drinka.

- Proszę mi opowiedzieć o Lily Siddons.

Julian, który właśnie zamierzał sobie dolać whisky, odstawił szklanekę z mocnym stuknięciem.

- Co, na miłość boską, ona ma z tym wspólnego?

- Nie wiem. I dlatego właśnie pytam. A czy w państwa

domu, w dzień poprzedzający Trzech Króli, nie wydano uroczystego obiadu?

- A tak. Rzeczywiście. Podczas tego obiadu nastąpił debiut panny Tempie. Ojciec zaprosił Lily. A także Reesa i Maud Brixenham. Ale ja wciąż nie rozumiem...

- Ten kostium. Ten kostium, który miała na sobie Gemma Tempie, tak naprawdę należał do Lily Siddons. Najwyraźniej więc nastąpiła jakaś zamiana.

Julian popatrzył na Jury'ego zdumiony.

- Czy pan chce przez to powiedzieć, że morderca chciał zabić Lily?

Jury nie odpowiedział. Po prostu nie spuszczał wzroku z Juliana. Julian odchrząknął, po czym potrząsnął głową jak pies myśliwski, skonsternowany tym, że zaplątał się w smycz.

- Prawdę mówiąc, nie przysłuchiwałem się uważnie ich rozmowie i nie pamiętam, by coś mówiły o kostiumach. Choć nie, przypominam sobie, że ta Tempie martwiła się, że nie ma kostiumu. Ale ja właśnie wtedy wyszedłem. Będzie pan musiał zapytać o to mojego ojca. Albo Maud. Albo samą Lily. Dlaczego pan nie zapytał właśnie jej?

- Oczywiście, że zapytam ją o to. Lily Siddons mieszkała kiedyś w tym domu, prawda? Wtedy gdy jej matka pracowała tu jako kucharka?

- Tak, przez kilka lat, kiedy Lily była jeszcze dzieckiem.

Jury zamyślił się na chwilę.

- Wie pan, czasami mam wrażenie, że morderstwa po pełnia się jakby w przeszłości. Że jest tak, że kiedyś, dawno temu, ktoś zamierzał kogoś zabić... że długo nosił się z tym zamiarem... że ciągnął go za sobą jak trupa... A potem, w końcu, udaje mu się go spełnić. Taki ktoś zabija i porzuca trupa już w czasie teraźniejszym. Na Angel Steps. Czy gdziekolwiek indziej.

Jury przerwał, widząc twarz Juliana: zmarnowaną, zszokowaną, koloru popiołu. Trwało to tylko kilka sekund, ale było wystarczająco wyraźne, by Jury nabral przekonania, że Julian już miał się do czegoś przyznać, już miał uczynić krok w przepaść... i cofnął stopę.

- Czy chce pan zasugerować, że papa - powiedział - usiłuje skojarzyć mnie z Lily? Sądzę, że może tak być. Zawsze miał do niej słabość. Chociaż ona jest córką kucharki.

- Przypuszczam, że pański ojciec chciałby, żeby pan się ożenił. A przy tym stanowi pan z pewnością doskonałą partię. Jest pan utytułowany, bogaty, przystojny, inteligentny... Jak panu się dotychczas udało nie pozwolić się zaprowadzić przed ołtarz?

- Cieszę się, że wyliczył pan te cechy we właściwej kolejności. Ale ten tytuł to nic wielkiego. To zaledwie tytuł baroneta. Nasz gość, pan Plant, zrezygnował z czegoś znacznie większego. No tak, pewnego dnia będę sir Julianem.

Jury odniósł wrażenie, że ta myśl sprawia Julianowi przyjemność.

- A co do Lily, to tak, rzeczywiście, mój ojciec bardzo ją lubi. Widok jej osoby przenosi go w przeszłość. Sprawia, że starszy pan doznaje złudzenia, że to wszystko nie przeminęło bezpowrotnie.

- A zatem, panie Crael... czy Lily Siddons może liczyć na jakieś pieniądze?

Julian zmarszczył brwi.

- Być może. A dlaczego pan pyta?

- Bo każdy, kto kiedykolwiek mógłby zgłaszać pretensje do części majątku pańskiego ojca, albo w sensie dosłownym, albo emocjonalnym, mógłby mieć powód, by pragnąć, żeby Dillys March została definitywnie usunięta z drogi.

Julian wlepił na chwilę wzrok w Jury'ego. A potem roześmiał się.



- Boże drogi, co też pan mówi! Więc Lily najpierw miała być ofiarą, a teraz jest kandydatką na morderczynię? Już sama myśl, że to ona posłużyła się tym nożem... jest niedorzeczna. Nie mówiąc o tym, że byłaby to nader okrutna droga do uzyskania spadku - dodał szyderczo.

- Dlaczego niedorzeczna? Te rany mogła zadać kobieta.

- Ale Lily jest tak strasznie rozsądna. Pracuje niczym mrówka w swojej restauracji. I nie ma... - Przez chwilę poszukiwał słowa zdolnego opisać ten brak. - Nie ma w niej namiętności, która doprowadziłaby do morderstwa. Lily to trochę taka góra lodowa. Taka Królowa Śniegu. - Jury powściągnął uśmiech. - Wystarczająco chyba ładna, by ją w ten sposób określić. Błada cera, blond włosy. Tak, sądzę, że dość ładna. - Julian zdawał się zastanawiać nad własnym stwierdzeniem, tak jakby przed chwilą dokonał tego odkrycia. - A pułkownik to wielki demokrat, nieprawdaż?

- Kto, pańskim zdaniem, panie Crael, mógł popełnić to morderstwo?

Julian roześmiał się krótko.

- Nikt. Och, chociaż zastanówmy się. Jest Adrian Rees. Facet pełen ognia. Wybuchowy. Wdaje się w awantury przy barze. Żyje stosownie do swego wizerunku.

- Nie lubi go pan?

- Jest mi najzupełniej obojętny.

Ta obojętność, pomyślał Jury, w stosunku do większości spraw i ludzi jest zbyt wystudiowana, żeby mogła być szczerą.

- Rees oczywiście zdolny jest do wejścia z kimś w zmowę. Wiem, że potrzebuje pieniędzy na swoją galerię. Ojciec sporo mu pożyczył.

- Czy Adrian Rees wiedział o Dillys March wystarczająco dużo, by móc poinstruować Gemmę Tempie?

- Nie mam pojęcia. Pułkownik oczywiście zwierza się różnym ludziom. Na przykład Maud Brixenham. Jeżeli

mnie wzrok nie myli, to ta kobieta chciałaby zostać kolejną lady Crael. Papa ma całkiem dobrą prezencję. Jest z piętnaście, dwadzieścia lat od niej starszy, ale nie wygląda na swoje lata. A ona w końcu ma pięćdziesiątkę, więc jaka to różnica?

Jury uśmiechnął się, słysząc tę godną małego chłopca opinię na temat starości, w której namiętności nie mogą już grać żadnej roli.

- Pułkownik jest bardzo atrakcyjny. To te cholerne polowania tak go chyba konserwują.

- Czy pański ojciec zdradza skłonność do tej pani?

- On się zwierza, panie inspektorze. Ale nie mnie. - Julian posłał Jury'emu ironiczne spojrzenie. - No cóż, stara Maud z pewnością nie chciałaby, żeby Dillys wróciła i zaczęła zgłaszać pretensje, jak pan to określa, do uczuć mojego ojca. Olive Manning też by tego nie chciała. Sądzę, że ona obwinia ojca, uważając, że pozwolił na to, żeby zaistniał ten okropny romans między jej synem Leem a Dillys. Leo przebywa teraz w jakimś zakładzie psychiatrycznym. Jednak trzeba uczciwie powiedzieć, że był niezrównoważony na długo przedtem, zanim się tutaj pojawił. Ojciec, chcąc zrobić przysługę Olive, zatrudnił go jako szofera. Ale on się nie sprawdzał, ani jako szofer, ani jako człowiek. Jednak jego matka, oczywiście, w to nie wierzy. Nie, dla niej jego choroba powstała z winy Dillys. To znaczy z naszej winy. Papa płaci za pobyt Lea Manninga w tym zakładzie. Jest hojnym człowiekiem. W swoim testamencie z pewnością ustanowi pensję dla niejednej osoby. - Po tych słowach Julian znowu spojrzął na Jury'ego. - Nie, panie inspektorze, nie zamierzał mnie wydziedziczyć na rzecz Dillys March. Choć, oczywiście, jest całkiem prawdopodobne, że pozostawi cały swój majątek Klubowi Hodowców Psów albo organizacji wspierającej myśliwych, którzy pozostali bez środków do życia. - Julian zamilkł na chwilę i zaciągnął się dymem. - Być może ta Gemma Tempie chciała

po prostu zgarnąć pięćdziesiąt tysięcy funtów przeznaczonych dla Dillys March, a potem zniknąć.

- Albo też zostać na miejscu.

- Nie udałoby jej się to. Nigdy w życiu.

- Wygląda jednak na to, że zrobiła dobry początek.

- Ale doprowadzenie takiego planu do końca byłoby niemożliwe. Udawać kogoś przez czterdzieści osiem godzin to jedno. Ale wpuścić się na stałe w odgrywanie innej osoby...?

Julian pokręcił z niedowierzaniem głową.

- O ile zdążyłem się zorientować, Dillys March nie była powszechnie lubiana.

- To prawda. Nie była.

- Ale ta dziewczyna miała zaledwie osiemnaście lat, kiedy stąd wyjechała.

- Rzeczywiście. Tak wynikało z jej metryki.

- A jak wyglądały jej stosunki z mężczyznami?

- Prawdopodobnie miała jeden stosunek z każdym, którego napotkała na swej drodze. No i lubiła rozrabiać. I sprawiać kłopoty.

- Pozostaje jednak pytanie: Jeżeli ta kobieta, ta Gemma Tempie, to nie Dillys March, to gdzie jest Dillys? I dlaczego nigdy tu nie wróciła?

Julian wbił wzrok w dywan tak, jakby w jego wzorze szukał natchnienia do odpowiedzi.

- Myślałem, że... no, wie pan... że może ona nie żyje.

Wraz z tą uwagą do salonu wkroczyła jakby zima. Jury miał przedziwne wrażenie, że w jego kąty nawiało nagle śniegu, że na parapetach pojawił się lód, analustrach osiadł szron. I że szare światło zawisło w powietrzu niby olów. Z miejsca, w którym siedział, dostrzegał wysokie okna, wychodzące na taras. Przedstawiały ponury widok, bo napierała na nie mgła. Całun przygnębienia, który nie był mu nigdy tak do końca obcy, owinał inspektora Jury'ego cięższymi niż zwykle zwojami.

## 7

- Zrobione! Wszystko jest teraz super!

Bertie wyłączył odkurzacz i pokłonił się stojącej na gzym-sie elektrycznego kominka figurce Najświętszej Paniienki. Jego koncepcja religii ciążyła wyraźnie w stronę teorii zba-wienia przez pracę, a nie dzięki łasce.

- Chodź, Arnold. - Chłopak odwrócił się zgrabnie na pię cie, ciągnąc odkurzacz za sobą. - Hip, hip! - zawołał jeszcze i wmaszerował tryumfalnie do schowka znajdującego się w malutkim, ciemnym przedpokoju.

Arnold zawsze bardzo pilnie obserwował swego mło-dego pana, kiedy ten sprzątał. Czasami nawet pomagał mu, wyciągając spod krzeseł stare papierki od cukierków i różne drobne śmiecie. Bertie wrócił teraz do bawialni, żeby się po niej dobrze rozejrzeć.

- Żabie Oko powinna być zadowolona.

Potwierdzające szczeknięcie Arnolda okazało się równie inteligentne jak uwaga Bertiego. Określenie „Żabie Oko” za-wsze wywoływało wrogą reakcję psa.

Żabie Oko - czyli osoba znana w wiosce jako panna Frother-Guy - była jedną z tych kilku kobiet, które przyjęły na siebie obowiązek opieki nad Bertiem pod nieobecność jego mamy. Oprócz niej uczyniła to panna Cavendish, biblio-tekarka, a także Rosę Honeybun, żona pastora. Zmieniały się, dopilnowując Bertiego. Z tych trzech opiekunek chłopak najbardziej nie lubił panny Frother-Guy, przede wszystkim z powodu jej widocznej antypatii do Arnolda. Żabie Oko uwa-żała bowiem psa za całkiem nieodpowiedniego towarzysza dla pozbawionego matki dzieciaka.

Niechęć była wzajemna, bo Arnold także nie odnosił się do kobiety z zachwytem. Potrafił nieraz stanąć przed nią i na-trętnie się w nią wpatrywać.

Natomiast Bertiemu panna Frother-Guy, osoba o drobnych rysach, cienkich wargach i wiecznie poirytowanym wyrazie twarzy, przypominała mysz o spiczastym nosku ze znanej bajki dla dzieci. Co do panny Cavendish, to ta była mniej ostra, ale za to irytująco zakurzona. W fałdach jej garderoby Bertie zawsze znajdował brudne ślady po zabłoconych butach albo jakieś kłaki. Uważał, że są to pozostałości po ciągłym odkurzaniu półek w bibliotece. Wątlusz (to znaczy panna Cavendish) najwyraźniej nie była zadowolona z obowiązków, które nałożyła na nią panna Frother-Guy, i ograniczała się do wtykania głowy przez frontowe drzwi domku Bertiego i omiatania jego wnętrza spojrzeniem bladych oczu, przypominających ruchliwe rybiki. Nie zostawała nigdy na podwieczorek.

Inaczej niż Rosę Honeybun, która była najsympatyczniejsza z całej trójki. Dostarczała też na ich wspólne podwieczorki większość przysmaków. Najwyraźniej jej chrześcijańskie uczucia znajdowały najlepszy wyraz w przynoszeniu Bertiemu różnych ciasteczek i drożdżówek z rodzynkami. Rosę Honeybun, choć była żoną pastora, cechowało pewne nieobyczajne zainteresowanie seksualną stroną życia mieszkańców Rackmoor. Ale też charakteryzowała ją pełna wesołości serdeczność, która czyniła z niej naprawdę dobrego kompana. Pastorowa lubiła przesiadywać przy stole, wypijać po kilka filiżanek herbaty, palić papierosy i wyciągać od Bertiego wszelkie plotki niby rodzynki z ciasta. Lubiała też Arnolda i przynosiła mu kości. A on natychmiast gdzieś je ukrywał.

Bertie szczerze żałował, że dzisiaj to panna Frother-Guy, a nie pani Honeybun, sprawuje obowiązki jego strażnika więziennego. Nie miałby bowiem nic przeciwko pogawędce na temat morderstwa.

Trzy wymienione opiekunki uprawiały coś w rodzaju sztafety, w której Bertie funkcjonował jako podawana z rąk do rąk pałeczka. Najwięcej kłopotów sprawiała przy tym Ża-

bie Oko, bo to ona wciąż postulowała, żeby sprawą chłopca zajęły się „władze”. Gdy matki Bertiego nie było w domu już od sześciu tygodni, Żabie Oko doszła do wniosku, że obecne życie chłopca można urządzić w sposób bardziej „odpowiedni”. A Bertie na samą myśl o tym aż się wzdrygał. I powstrzymywał od jakichkolwiek kroków pannę Frother-Guy, a także wszystkich innych interesujących się jego sprawą, zapewniając, że miał wiadomości od mamy, choć zgubił jej listy, i że wie, że ona wciąż gdzieś w Irlandii Północnej opiekuje się umierającą babcią.

Istniał jednak list rzeczywiście napisany przez matkę, którego nie chciał pokazać nikomu. Ostatnio coraz rzadziej wyjmował go z komody, jednak na tyle często, że przez pozostawione po składaniu i rozkładaniu zagięcia papieru zaczęło prześwitywać światło. Zagięć tych było coraz więcej, bo Bertie składał list w coraz mniejsze kwadraciki. Gdy rozłożył go teraz, list wyglądał jak małe okienko o szybkach ujętych w ołowiane ramki. Bertie nie rozumiał jego treści. Motywy, którymi zdawała się kierować matka, przyprawiały go o mętlik w głowie.

Jednak jej nieobecność w domu wcale nie zdezorganizowała jego dotychczasowego życia. Razem z Arnoldem żyli tak jak zawsze. Trzeba bowiem powiedzieć, że nawet przed odejściem matki to Bertie zajmował się domem - sprzątał, gotował posiłki, wyprawiał sam siebie do szkoły. A matka przeważnie marzyła o Londynie albo siedziała w domu i zajadając czekoladę Cadbury'ego z orzechami i owocami, czytała thrillery.

Nie chodziło więc o to, że chłopcu brakowało jej opieki. Miał jednak poczucie, że został opuszczony, zwłaszcza gdy widział innych chłopców z matkami. Przypominał dzieciaka, który patrząc z utęsknieniem na dwukołowy rower, myśli sobie w duchu: „Wszyscy takie mają. Więc dlaczego nie ja?”

Przez pewien czas po odejściu matki zdarzało mu się zapominać, że ona nie mieszka już w domu, i nakrywać do

podwieczorku dla trzech, a nie dla dwóch osób. A potem siedzieli z Arnoldem przy posiłku i każdy z nich wyglądał przez swoje okno. I trwało tak, dopóki Arnold, znudzony, nie zeskoczył z krzesła i nie zapragnął zostać wypuszczony na zewnątrz. Czasami spacerowali we dwóch po deszczu, a Bertie miał nadzieję, że mżawka „użyźni mu mózg” do tego stopnia, że będzie zdolny wymyślić jakieś sprytnie wyjaśnienie nieobecności mamy, co z kolei sprawi, że Żabie Oko i Wątlusz powstrzymają się od wszelkich kroków. Bywało, że chłopak przystawał, zapatrzony w morze. A Arnold odbywał wtedy swoje karkołomne wędrówki po klifach i zbiegał wąziutkimi ścieżynkami, tropiąc wijące sobie gniazda ptaki. Bertie stał tymczasem i czekał na powrót psa, szukając rozwiązania swojej sytuacji w falach załamujących się przy brzegu. To podczas jednego z takich postojów wpadł na ten pomysł z Belfastem. Pomysł jest świetny, pomyślał, bo ani Żabie Oko, ani Wątlusz nie zechcą z pewnością wściubić swych długich nosów w sprawy Irlandii Północnej.

Bertie wiedział, że istnieją domy dziecka. Wiedział też, że istnieją posterunki policji. I sądził, że są to jedyne „władze”, które mogą się zainteresować jego sytuacją. Dlatego w chwili, gdy do jego drzwi zapukał inspektor Harkins, poczuł potężny szum w uszach i po raz pierwszy w życiu pomyślał, że zaraz zemdleje. Jeżeli ten detektyw nie przyszedł po to, żeby zabrać mnie do jednego z tych „domów”, to z pewnością pojawia się w sprawie czeków, pomyślał.

Okazało się jednak, że inspektora Harkinsa nie interesuje ani jedno, ani drugie. Nie, inspektor Harkins przyszedł w związku z popełnionym morderstwem.

## 8

Jednak dzisiaj, gdy Bertie otworzył drzwi, na progu nie stała Żabie Oko. Nie stał tam też nikt z policji. Tylko Melrose Plant. Bertie spróbował się skupić. Zmrużył oczy i otworzył usta, demonstrując jeden ubytek w uzębieniu oraz resztę zębów w bardzo złym stanie. Kosmyk ciemnych włosów sterczał mu na czubku głowy niczym malutka flaga. Jego pumpy w kolorze błota miały na kolanie zacerowaną dziurę, a kardigan był zapięty krzywo i sfalowany na jednym ramieniu, co powodowało, że chłopak wyglądał tak, jakby był trochę garbaty.

No cóż, ten terier w kolorze karmelu o błyszczących brązowych oczach wygląda zdecydowanie lepiej niż dzieciak, pomyślał Melrose, stojąc na progu w swoim płaszczu o aksamitnym kołnierzu i z laską o srebrnej gałce, opartą na ramieniu.

- Mógłbyś poprosić ojca, chłopczyku?

Bertie spojrzał na przybysza spod przymrużonych powiek.

- Mój tata nie żyje.

- Och, przepraszam. No cóż, czy mogę zatem zamienić słówko z twoją matką?

- Mama wyjechała - padła po krótkim milczeniu odpowiedź. - W domu jesteście tylko ja i Arnold.

- No cóż, może więc ten Arnold zechciałby ze mną porozmawiać. Ktoś ze Scotland Yardu prosił mnie, żebym tu wpadł - dodał Melrose z zadowoleniem.

Chłopakowi zabrakło tchu.

- Jest pan ze Scotland Yardu?

- Nie całkiem. Powiedzmy, że ludziom ze Scotland Yardu pomagam. Nazywam się Melrose Plant. - Jego wzrok pobiegł ponad chłopcem, szukając kogoś większego. - A ty nazywałeś się...?

- Bertie Makepiece.



Chłopak otworzył szeroko drzwi i Melrose zauważył, że za jego plecami panuje cisza, a dające się dostrzec pomieszczenia - trójkątna bawialnia i mała kuchenka - są puste. Dwie szkaradne aspidistry stały w wąskim korytarzyku. Gdzieś tykał zegar.

-A to jest Arnold.

Melrose spojrział w dół.

- To pies.

- No tak.

Melrose spróbował się uśmiechnąć, przeklinając w duchu Jury'ego. Zastanawiał się, jak zachęcić chłopaka do rozmowy.

Przez całe życie starał się unikać pewnych rzeczy, wśród których były dzieci i zwierzęta. I zawsze ogarniało go uczucie konsternacji, gdy jakieś dziecko czy zwierzę patrzyło na niego z zainteresowaniem, oczekując z jego strony błyskotliwej inteligencji lub też słodyczy czy kości. Czasami nosił w kieszeni cukierki albo herbatniki, na przykład na wypadek nieplanowanego spotkania w pociągu. Czynił to jednak tylko po to, by pozbyć się tych zakłócających jego prywatność intruzów. Bywał więc wielce zaskoczony, kiedy skutek poczęstunku okazywał się wprost przeciwny i kiedy poczęstowawszy dziecko, zmuszony był wysłuchiwać rozwlekłych, wręcz barokowych opowieści o szkole, niańce czy znieawidzonej siostrze. Człowiek mógłby pomyśleć, że darowując dziecku coś słodkiego i mówiąc mu: „Słyszę, że woła cię ciocia, biegnij”, spowoduje, że dziecko pojmie aluzję. Tymczasem nic podobnego. Skutki takiej darowizny przybierały bowiem postać przymilnych uśmiechów albo, w wypadku zwierzęcia, energicznego merdania, w oczekiwaniu na kolejną nagrodę.

- No, no, jaki to ładny domek - powiedział teraz Melrose tonem pełnym serdeczności, której z całą pewnością nie odczuwał.

Oj, odwdzięczę ja się za to Jury'emu, pomyślał. W Ardry End nie było ani dzieci, ani psów (jeżeli nie liczyć Mindy, która przybłąkała się pewnego razu i już została), ani aspidistry. Tymczasem w tym małym domku aż roilo się o tego wszystkiego. Chłopak i pies, a także roślina, skupili się w jednym miejscu, tak jakby pozowali do portretu.

Bertie na dodatek uśmiechał się głupio, a i na mordzie psa zdawał się igrać uśmieszek. Obaj, i chłopak, i pies, wyglądali tak, jakby się spodziewali, że Melrose zrobi za chwilę coś śmiesznego.

- Proszę wejść do kuchni - zaprosił Bertie. - Myślałem, że to Żabie... To znaczy... że to panna Frother-Guy.

Melrose wszedł do wysprzątanej kuchni, rzucając po drodze płaszcz na balustradę schodów i wtykając laskę w doniczkę z aspidistrą.

Nakryte było dla dwóch osób. Arnold wszedł chyłkiem pod stół, położył się tam z głową na łapach i leżał tak, spoglądając ponurym wzrokiem na Melrose'a. Melrose nie był pewien, w jaki sposób ludzie ze Scotland Yardu zabraliby się do uzyskiwania informacji od kogoś tak młodego jak Bertie. Czy powinno się na przykład podnieść chłopaka do góry i nim potrząsnąć? Melrose zdecydował się na ton, który - jego własnym zdaniem - był zarówno przyjazny, jak i stanowczy.

- Wygląda na to, że twój domek znajduje się najbliżej Angel Steps - zagadnął. - Na których znaleziono ciało. Pomyśleliśmy, że może widziałeś coś tamtej nocy.

- Słyszałem, że zaliczyła dwanaście ciosów. I że była cała zakrwawiona.

Melrose wolałby w głosie chłopca słyszeć trochę mniej lubości.

- Przesada. Pytanie brzmi: Czy widziałeś lub słyszałeś wtedy cokolwiek?

- Nie. - Nawet ta pojedyncza sylaba świadczyła o jego rozczarowaniu. Chłopak wziął psią miseczkę i wsunął ją pod

stół. - Nie bocz się, Arnold - powiedział, a zaraz potem poinformował Melrose'a: - Siedzi pan na krześle Arnolda.

- Aha. No to mógłbym usiąść pod stołem - zaproponował Melrose.

- Nie ma potrzeby - brzmiała odpowiedź. - Filiżanka, proszę. Zalewam właśnie fusy.

Przy całym właściwym sobie braku umiejętności porozumiewania się z osobami w tym wieku, Melrose pomyślał, że nie powinien stracić tej okazji, by pouczyć małego.

- Czy nie sądzisz, że twoja matka wolałaby, żebyś powie dział: „parzę herbatę”?

Bertie wzruszył ramionami, a szeroki biały fartuch, który miał na sobie, uniósł się i opadł na jego piersi.

- Mógłbym tak powiedzieć. Ale mamy tu nie ma, a ja nie muszę być taki elegancki. Zresztą zgadzam się na wszystko, pod warunkiem że fusy się moczą. Zje pan kawałek tortu bisz koptowego albo babeczkę owocową?

- Nie, dziękuję. A co tutaj robią te weetabiksy?

Bertie sięgnął do pudełka.

- Są dla Arnolda. Na podwieczorek zawsze zjada dwa - wyjaśnił i wsunął dwa sucharki pod stół.

Tymczasem Arnold ani na chwilę nie odrywał wzroku od Melrose'a Planta. Jego spojrzenie nie było przy tym wrogie, tylko pełne skupienia.

Melrose pomyślał, że jakoś dziwnie odbiegli od tematu.

- Inspektor Jury...

Wzrok Bertiego zrobił się zachłanny.

- To ten ze Scotland Yardu?

- Tak. No więc słyszałeś coś wtedy albo widziałeś?

Bertie poruszał imbrykiem, mieszając herbatę.

- Nie. Tylko... tylko teraz, kiedy o tym myślę... Przypomni nam sobie, że był... jakiś taki skrzek. Ale to pewnie mewa.

Albo twoja wyobraźnia, pomyślał Melrose.

- O której godzinie to się zdarzyło?

- Nie jestem tak do końca pewien. Może o jedenastej... albo o wpół do dwunastej.

- To późno jak na Ciebie. Nie musisz wcześniej wstawać, żeby pójść do szkoły?

- Wtedy na drugi dzień szkoły nie było.

- Mówiłeś, że twój ojciec nie żyje. A gdzie jest twoja matka?

- Wyjechała. - Imbryk znieruchomiał na chwilę w dłoni chłopca. - Ciekawe, co się dzieje z panną Frother-Guy? Ona się mną opiekuje pod nieobecność mamy.

- Aha. A kiedy twoja mama wraca?

- Niedługo.

Melrose'owi nie przychodziło do głowy żadne kolejne stosowne do sytuacji pytanie. Spojrzenie Arnolda naprawdę zbijało go z tropu. Dotknął lekko stopą nosa psa, żeby skłonić go do odwrócenia wzroku. Ale Arnold oparł po prostu nos na drugiej łapie.

- Czy sądzisz, że w Rackmoor dzieje się obecnie coś szczególnego? Może dziwnego?

Takie ogólne pytania lubił zadawać Jury. I obserwować reakcję. Wydobywał w ten sposób z ludzi wiedzę, z której posiadania sami nie zdawali sobie sprawy.

Bertie wrzucił ramionami i usiadł.

- Nie więcej niż zwykle.

- Hm. A zwykle co takiego się dzieje?

- No nie wiem. - Chłopiec wziął bułeczkę z talerza i zaczął ją obgryzać, jak mysz, naokoło. - Percy Blythe mówi... Poznał pan Percy'ego?

-Nie.

Melrose patrzył, jak Arnold, ze wzrokiem wciąż skierowanym ku górze, żuje swego weetabiksa.

- Percy mówi, że ta kobieta, która zaliczyła te... no wie pan... - Tu Bertie przesunął palcem wskazującym po własnej szyi. - Więc Percy twierdzi, że ona tutaj kiedyś mieszkała.

Ci Marchowie to okropni ludzie. Tak mówi Percy. Powiedział też, że ona mieszkała we dworze i że wciąż były z nią kłopoty. Zniknęła przed laty, a teraz wróciła. Tak mówi Percy. Wróciła jak jakaś kłątwa. I Percy ma najwyraźniej rację. No bo niech pan sam popatrzy, co się stało.

- Twój kolega Percy nie bierze pod uwagę faktu, że ta kobieta nie nazywała się March.

Bertie wzruszył ramionami i bardzo powoli uwolnił babeczkę z karbowanego papierka. Melrose poczuł się nieswojo, bo przypomniał sobie Agathe, która w ciągu ostatniej doby dzwoniła do niego aż dwa razy.

- Ja tam nie wiem - powiedział Bertie. - Percy mówi, że kiedy mieszkała we dworze, rozrabiała bez ustanku. Okropni ludzie. A, i jeszcze twierdzi, że ten pan Crael jest do niej podobny.

Zaskoczyło to Melrose'a.

- Masz na myśli starszego pana Craela czy młodszego?

- Pan wie, którego. Tego pana Juliana. No bo czy on nie zachowuje się trochę dziwnie? Nigdy nie schodzi do wsi ani nic takiego. A nocą spaceruje wśród klifów. Percy mówi, że natknął się na niego kiedyś we mgle i że to był prawdziwy szok.

- A co ten Percy robił nocą na wrzosowiskach?

- On pracuje u pana pułkownika. Przy polowaniach. Zatyka nory lisom. - Bertie pił herbatę, trzymając filiżankę oburącz. - Percy mówi, że młodszy pan Crael od lat zachowuje się dziwnie. To znaczy od chwili, gdy zniknęła ta dziewczyna. A teraz ona jest tu znowu. To znaczy była.

Bertie ponownie przeciągnął sobie palcem po gardle.

- A więc... Skoro ten Percy wie tak dużo... to musiał domyślić się, kto popełnił ten okropny czyn.

- Może i tak. Ale nic mi o tym nie mówił.

- Bardzo bym chciał poznać tę wyrocznię.

Melrose spojrział na zegarek. Nie było jeszcze piątej, a on z chęcią pogadałby sobie z Jurym, który wrobił go w to beznadziejne przedsięwzięcie.

Oczy Bertiego ukryte za grubymi szklami otworzyły się szeroko.

- Moglibyśmy tam pójść teraz, proszę pana. Bo ja mam trochę czasu przed pracą. Percy mieszka na Dark Street, nie daleko stąd. To ta uliczka za biblioteką. Na pewno zjadł już podwieczorek i chętnie z panem pogada. On dużo mówi, na prawdę.

Bertie wstał od stołu, zostawiając na talerzu niedojedzone drugie ciastko.

Gdy Melrose, mamrocząc cicho pod nosem, wciąż jeszcze wyrażał zgodę, Bertie był już w przedpokoju, przy schowku z ubraniami. I wkładał na siebie za duży czarny płaszcz. Obejrzał się jeszcze z niepewną miną na stół, gdzie stały brudna filiżanka i nieumyty talerz.

- Chyba mogę to pozmywać później - powiedział.

- Zostaw tę robotę Arnoldowi - poradził mu Melrose, także wkładając swój płaszcz i obserwując przy tym, jak Bertie krzywo zapina guziki.

- Na miłość boską, czy ty nie potrafisz porządnie się zapiąć? - Melrose odłożył laskę, rozpiął Bertiemu płaszcz, a potem zapiął go przyzwoicie.

Płaszcz był na chłopca o wiele za duży. Bertie wciągnął jeszcze na głowę czarną wełnianą czapkę i teraz widoczne były tylko jego drobna biała twarz i grube okulary.

- Skąd bierzesz te swoje ubrania? Kupujesz je na wyprzedży starych ciuchów dla wielorybów?

- W życiu są rzeczy ważniejsze niż eleganckie łachy - odrzekł Bertie, patrząc na aksamitny kołnierz Melrose'a i na jego laskę ze srebrną gałką. - Chodźmy.

A potem, idąc już wzdłuż Grapę, za Arnoldem, który otwierał pochód, dodał jeszcze:

- Niech pana nie zbrzydzi mieszkanie Percy'ego. On nie jest zbyt porządny, inaczej niż my z Arnoldem. Ma mnóstwo wypchanych ptaków i ryb. Jest u niego trochę brudniej, niż

być powinno. Ma też takie zabawne rozmaitości na ścianach i w różnych misach. Tak, proszę pana, w Rackmoor jest dużo dziwnych rzeczy.

Patrząc na Arnolda ślizgającego się po świeżo spadłym śniegu i na małego, czarnego krasnala u swojego boku, Melrose upewnił się:

- Naprawdę?

## 9

Percy'emu BlytheWi brakowało tylko siedzącej na ramieniu sowy.

A on sam siedział za monstualnych rozmiarów stołem bibliotecznym w stylu epoki króla Jakuba, pośród ciemnego, pełnego kurzu gotyckiego bałaganu - wypchanych ptaków i ryb, świec łożowych, kawałków drewna wyrzuconych przez morze, sieci rybackich, cuchnących części garderoby, starych gazet i książek. Choć papiery i książki wprowadzały tu atmosferę uczoności, Percy Blythe robił w tej chwili coś bardzo mało skomplikowanego - przekładał na blacie stołu muszle. Był drobnym człowieczkiem o spiczastych diabelskich uszach i nosił okulary bez oprawek. Gdy Bertie ich sobie przedstawił, Percy spojrział na Melrose'a bez błysku zainteresowania w oku. Ubrany był w sposób „wyszukany” - miał na sobie kurtkę, sweater i fular, a na głowie czapkę podobną do czapki Bertiego. Spojrzawszy na Melrose'a, wrócił do swoich muszli.

- Mam szczerą nadzieję, że nie zakłóciliśmy panu spokoju podczas posiłku - powiedział Melrose, patrząc na ciemną skórkę chleba, pozostałość kanapki, i szklanek z osadem mleka, wyglądające tak, jakby znajdowały się tu, na krawędzi stołu, już od kilku dni, ale Percy Blythe w odpowiedzi pochylił się tylko nad swoimi muszlami. - Bardzo interesujące wewnątrz. Naprawdę, baaardzo interesujące.

Z braku jakiegokolwiek reakcji gospodarza Melrose rozejrzał się za czymś, co stworzyłoby możliwość kontynuowania konwersacji. Ponieważ jednak do pomieszczenia nie doprowadzono elektryczności, trudno było dostrzec szczegóły zamkniętych w szklanych kulach i gablotach wypchanych obiektów, które dostarczyłyby okazji do dalszych uwag. Nikłe, osłonięte matowymi szkiełkami płomyki, oświetlające wnętrze, migotały, rzucając na ściany złowrogie cienie.

Domek Percy'ego Blythe'a był najwęższym szeregowcem, jaki Melrose'owi zdarzyło się w życiu widzieć. Stał przy Dark Street, która w rzeczywistości była raczej podwórzem niż ulicą. Jeden jej koniec skręcał w stronę Scroop Street. Z drugiej strony natomiast można było do niej dotrzeć, zdążając wzdłuż Dagger Alley, będącej po prostu prymitywną, kamienną ścieżyną, biegnącą pomiędzy pubem „Pod Dzwonem” a magazynem mieszczącym się na High Street.

- Jest pan prawdziwym kolekcjonerem - zauważył Melrose, nie bardzo wiedząc, jak wyjaśnić swoją obecność.

Bertie absolutnie nie mógł mu w tym pomóc, a poza tym czuł się tutaj prawie jak u siebie. Przyglądał się właśnie znajdującemu się na półce jeżowcowi. Arnold tymczasem wziął w posiadanie kawałek rzuconej w kąt starej koldry. We wnętrzu słychać było jedynie ciche drapanie przesuwanych po stole muszelek. Kilka arkuszy papieru sfrunęło na podłogę, ale Percy Blythe zdawał się całkiem nieświadomy panującego wokół nieładu. Nie zauważał po prostu zwałów papieru, gotowych osunąć się niby piaszczyste wydmy, ani stosów książek wznoszących się niczym połamane kolumny na stołach, parapetach i podłodze.

A poza tym Melrose nigdy dotąd nie spotkał nikogo mniej niż Percy Blythe skłonnego sprostać najbardziej podstawowym choćby wymaganiom społecznego obcowania.

- Powiedziałem mu - odezwał się Bertie - że ma pan tu różne ciekawe rzeczy. Co to jest?



Bertie wziął do ręki coś, co przypominało kość. A potem, traktując milczenie Percy'ego Blythe'a całkiem obojętnie, odłożył po prostu ten przedmiot na półkę i zaczął oglądać jakąś dawno pozbawioną życia rybę.

Melrose przełożył z ręki do ręki swoją laskę ze srebrną gałką i pochylił się trochę. Cała ta werbalna nieaktywność mniej zbijałaby go z tropu, gdyby gospodarz poprosił ich, by usiedli, albo przynajmniej zaproponował im zdjęcie płaszczy. Jednak Percy Blythe zdawał się nie być skłonny do takich uprzejmości ani też do żadnych innych. Pozostali więc obaj w wierzchnich okryciach. I tylko Arnold spał sobie smacznie na kawałku koldry. Bertie czuł się przy tym całkiem jak u siebie w domu. Nucił coś, biorąc do ręki to jeden przedmiot, to drugi. Jednak Melrose'a Planta niezmiernie milczenia Percy'ego Blythe'a przyprawiało o poczucie, że jest rozbitkiem. Odchrząknął jednak i zdobył się na kolejną próbę:

- Panie Blythe - zagadnął - jestem gościem w Old House i przyjacielem sir Titusa Craela.

Wyznanie to sprawiło, że został omieciony ponurym spojrzeniem. A potem głowa gospodarza pochyliła się ponownie nad muszlami.

- Pamięta pan, panie Percy, mówił mi pan, że Julian Crael jest strasznie dziwny. - Bertie trzymał teraz w dłoniach szklaną kulę, pełną wody, w której coś pływało. - Co to jest? Wygląda tak, jakby było żywe.

Melrose miał co do tego poważne wątpliwości. Ale uczepił się sprytnie uwagi Bertiego, która w sposób pośredni mogła nasuwać myśl o zbrodni.

- To straszne, że takie okropne morderstwo zdarzyło się w tej małej wiosce rybackiej. - Żadnej odpowiedzi. Melrose brnął dalej: - Z pewnością na wieść o tej makabrycznej zbrodni był pan zszokowany, tak jak i inni mieszkańcy Rackmoor. - Percy nie przejawiał żadnych objawów szoku. - Musiał pan... - powiedział Melrose, przekładając laskę do drugiej

ręki i opierając się na niej - ...musiał pan... być zaskoczony, że taka okropna rzecz mogła się tutaj zdarzyć. - Zakrzywiony palec nadal popychał muszle, z których jedna spadła na podłogę. Percy nie zadał sobie trudu, żeby ją podnieść. - Może zainteresowałoby pana, panie Blythe, że w mojej własnej wiosce, w Northamptonshire, mniej więcej rok temu, także zdarzyły się straszne zbrodnie. I to cała ich seria. Zajmował się nimi inspektor Jury, ten sam, który przyjechał teraz do Rackmoor. Sądzę, że zjawi się tu wkrótce, żeby zadać panu kilka pytań.

- Panie Percy, czy mógłbym dostać tę muszlę, którą mi pan obiecał? - zagadnął nagle Bertie.

Pod szalem Percy'ego nastąpił jakiś nerwowy ruch ramieniem.

- Może pamięta pan cokolwiek, co zdarzyło się tamtej nocy? - zasugerował Melrose.

Percy Blythe łypnął tylko na niego ponad szklami okularów, pokręcił głową i ponownie zajął się muszlami. Może ten facet, pomyślał Melrose, cierpi po prostu na patologiczną nieśmiałość. Może czuje się dobrze jedynie w towarzystwie przedmiotów wypchanych albo zakonserwowanych w jakiś inny sposób.

- Ależ, panie Percy, pan na pewno pamięta... - odezwał się Bertie. - Pamięta pan? Mówił mi pan, że to pana nie zdziwiło. Twierdził pan, że pan sobie pomyślał, że po pojawieniu się tej kobiety w miasteczku z pewnością będą kłopoty.

Wypowiadając te słowa, Bertie zaskarbił sobie jedynie jadowite spojrzenie, ostrzegające go najwyraźniej, by nie wciągał Percy'ego Blythe'a w tę głupią rozmowę.

Tymczasem Melrose szybko skorzystał z okazji.

- Dlaczego pan tak sądził, panie Blythe? - zapytał i nie otrzymał, oczywiście, żadnej odpowiedzi.

I poczuł się jak ktoś, kogo fala zmywa powoli do morza wraz z muszlami i innym pływającym śmieciem. To zabawne,

ale zawsze myślał o sobie jako o kimś, kto potrafi prowadzić jeżeli nie wręcz błyskotliwą, to w każdym razie wciągającą rozmowę. Niech lepiej zajmie się tym Jury, pomyślał, wkładając z westchnieniem rękawiczki i mając nadzieję, że Jury pozwoli mu przyjść tu ze sobą po raz drugi.

- No cóż, chyba powinniśmy już pójść - oznajmił. - Muszę się z kimś spotkać.

- A ja muszę iść do pracy, panie Percy. To na razie. Chodź, Arnold! - zawołał chłopiec, a w tej samej chwili jakiś kot, wyrwany ze snu i przerażony jego rozkazem, wyskoczył z którejś z półek.

Melrose, który dotychczas myślał, że zwierzę jest wypchane, aż podskoczył. A potem ruszył w stronę drzwi.

- Evelyn... to ktoś, kogo trzeba zapytać - powiedział jeszcze Percy Blythe.

Melrose obejrzał się na niego. Ale mężczyzna wkładała właśnie muszle do kieszeni i nic w jego zachowaniu nie wskazywało na to, że to on jest autorem tej enigmatycznej sugestii.

## 10

Dziewczyna, która otworzyła drzwi, miała twarz tak szczupłą, że nie można jej było określić mianem konwencjonalnej piękności. Okazała się kruchą blondynką, przezroczystą niby szkło. W tej chwili, o piątej, było już ciemno, a poza tym między dziewczyną a Jurym znajdowały się całe warstwy mgły. Światło stojącej w głębi lampy naftowej wydobywało kontury jej sukni - białej, z dużym dekoltem, obszernej i bezkształtnej. Ta suknia ogarniała dziewczynę niczym chmura, upodabniała ją do ducha. Jury pomyślał, że tej blondynce brak tylko świecy w dłoni, by można było pomyśleć, że wkroczyło się w sam środek jakiejś pełnej mściwych uczuć tragedii.

- Czy panna Siddons? - Jury wręczył jej swoją wizytówkę. - Nazywam się Richard Jury. Pracuję w wydziale dochodzeniowo-śledczym. Mam nadzieję, że nie przyszedłem nie w porę. Muszę zadać pani kilka pytań.

- O. - Zebrała suknię takim gestem, jakby fakt, że jest taka luźna, był czymś żenującym. - Dopasowuję właśnie tę suknię. Nie mam wykroju i... no... sama jestem manekinem. Proszę wejść. - Jury wszedł, a ona zamknęła za nim drzwi. - Zdejmę ją tylko. Przepraszam.

Zauważył szpilki wpięte w materiał wokół szyi i na ramionach.

- Szyje ją pani?

- Tak, ale nie dla siebie. Dla jednej z kobiet w wiosce. Czasami, zimą, kiedy w kawiarni jest niewiele roboty, zajmuję się szyciem. Kawiarnia jest na Bridge Walk.

Jury kiwnął głową.

- Wiem. A co do sukni, to ładnie pani w niej wygląda.

Twarz dziewczyny była najzupełniej niezwykła. Jury zauważył to dopiero teraz, kiedy mógł się jej lepiej przyjrzeć. Trójkątna, o bursztynowych oczach, z cerą o blasku pereł.

Dziewczyna podniosła dłoń ku dekolтови, tak jakby zauważała, w którą stronę biegnie wzrok Jury'ego.

- To potrwa tylko minutkę. Naprawdę - zapewniła z niepokojem.

Zabrzmiało to tak, jakby dłuższa zwłoka mogła spowodować, że osuną się oboje do morza.

Jury skinął głową, a ona szybko wyszła z pokoju i pobiegła na górę.

Inspektor rozejrzał się po saloniku, w którym tłoczyły się obite perkalem fotele i różne bibeloty. Małe ozdóbki i obrazki zdawały się zapełniać tutaj każdy kąt. Były na półkach, na gzymsach, na stolikach. Salonik wzięły też w posiadanie filiżanki i spodki, żłobkowane dzbanuszki, małe porcelanowe puzderka. Ku zaskoczeniu Jury'ego okazało się, że jest

tu nawet kryształowa kula, leżąca na podstawce obciągniętej czarnym aksamitem. Wziął ją do ręki, obrócił, spojrział w jej głębie, ale nie uzyskał żadnej wróżby. W saloniku roilo się też od pamiątek z Bognor Regis, z Tunbridge, z Southend-on-sea - ze wszystkich tych modnych niegdyś uzdrowisk, w których przechadzały się damy z parasolkami oraz wachlarzami i w których teraz ich miejsce zajęły parki rozrywki i tłuste dzieciaki z wiaderkami do zabawy w piasku. Na stołach i ścianach widać było ponadto mnóstwo zdjęć, z których sporo zrobiono w tychże uzdrowiskach. Na jednym z nich widniała młoda kobieta, stojąca na molo w niemodnej sukni z lat pięćdziesiątych i przytrzymująca dłonią rondo kapelusza. Dzień musiał być wietrzny, bo morski wiatr podwiał jej spódnice, którą ona skromnie przytrzymywała drugą ręką. Było to naprawdę dobre zdjęcie, najlepsze ze wszystkich, które znajdowały się na stole - świeże i żywe. A dziewczyna - prześliczna. Jury spojrział na zdjęcie ponownie. I dopiero wtedy zaczął się zastanawiać, dlaczego dziewczynę ustawiono tak niefortunnie - w pobliżu lewego brzegu fotograficznej klatki. Odstawił zdjęcie na miejsce i przyjrzał się innym, postawianym na stole w prostokątnych i owalnych ramkach. Większość przedstawiała tę samą kobietę - uwiecznioną w różnych miejscach i w różnym czasie. A jedno zostało zrobione w Old House - Jury poznał dziedziniec stajenny. Patrząc na to wszystko, doszedł po chwili do wniosku, że kobieta musi być matką Lily Siddons.

- To moja matka. - Jej głos dobiegł z tyłu, potwierdzając domysły Jury'ego. - Już nie żyje. Umarła młodo.

Jury rozejrzał się wokół.

- *Księżna d'Amalfil*

- Co takiego?

- Myślałem, że cytuje pani tę sztukę.

Przechyliła lekko głowę, a w jej bursztynowych oczach odbił się blask padający z kominka.

- Nie znam jej.

- To mówi jej brat. To znaczy brat księżnej. „Twarz zasłoń. Umarła młodo”\*. - Jury odstawił zdjęcie ostrożnie, tak jakby istniało niebezpieczeństwo, że ponownie pozbawi kobietę życia. - Ten brat, Ferdynand, był szalony.

Jury poczuł się przytłoczony, sam nie wiedząc dlaczego, dokuczało mu jakieś nerwowe ściskanie w żołądku.

- Tak jak Julian Crael? To chce pan powiedzieć? Objęła się ramionami, zakrywając piersi tym bezwiednym gestem, którym kobiety bronią się przed gwałtem.

- Julian Crael?

- Zawsze był dziwny. - Lily usiadła na małej, krytej perkalem sofce. - Napije się pan kawy?

Jury pokręcił głową.

- Dziwny? W jakim sensie? - zapytał.

Wzruszyła ramionami, tak jakby chciała zapomnieć o Julianie Craelu. A potem powiedziała:

- Czy to on ją zabił?

Jej bezbarwny ton, a także pytanie, zaskoczyły Jury'ego.

- Dlaczego pani tak mówi?

- Chyba dlatego, że on jest do tego zdolny.

Jury uśmiechnął się nieznacznie.

- Wszyscy jesteśmy do tego zdolni. W odpowiednich okolicznościach.

Pokręciła głową.

- Nie wierzę w to. - Swoimi kocimi oczami spojrzała na

Jury'ego. - Pan by mógł? Zamordować kogoś?

- Tak. Tak myślę. Ale pani mówiła o Julianie.

Odgarnęła z ramion przytrzymywane na skroniach szylkretowymi grzebykami jasne włosy.

\* John Webster, *Księżna d'Amalfi*, akt IV, scena 2, przeł. Jerzy Strzetelski, Wrocław 1968.

- Nigdy go nie lubiłam. Myślę, że pan wie, że w dzieciństwie mieszkałam długo we dworze. Tak, mieszkałam tam aż do... śmierci mojej matki.

Jej wzrok pobiegł ku małemu stolikowi, na którym stała fotografia.

- Powiedział mi o tym pułkownik Crael. On panią lubi.

- Tylko on jeden spośród nich jest naprawdę przyzwoity.

To prawdziwy dżentelmen.

- Właśnie pułkownik? A nie Julian?

- Julian. - Machnęła tylko ręką. - Nie, nie. Julian z pewnością nie jest przyzwoitym dżentelmenem.

Jury zaczął się zastanawiać, czy takiej postawy dziewczyny nie spowodował przypadkiem zawód miłosny. Jednak intuicyjnie jakoś w to wątpił.

- Była pani na przyjęciu w Old House, prawda?

- Tak. Pułkownik zaprosił mnie na kolację. Z początku myślałam... - Przerwała. - Z początku myślałam, że ona...

Lily Siddons, trąca czoło jakby w pogoni za jakąś ulotną myślą, robiła teraz wrażenie zdenerwowanej.

- Źe ona co?

- Czy pułkownik nie powiedział panu, że ta kobieta wyglądała dokładnie tak jak jego wychowanka? Jak ta dziewczyna, która wyjechała piętnaście lat temu? Czy on panu nie mówił o Dillys?

- Niech pani mi o niej opowie - poprosił Jury.

Lily spojrzała na swoje spoczywające na kolanach dłonie i powiedziała tonem osoby czytającej z książki:

- Państwo Craelowie wzięli ją do siebie, kiedy stracili ją cie jej rodzice. I kiedy ona sama miała osiem czy dziewięć lat. Ja wtedy byłam bardzo mała. Właściwie dorastałyśmy razem, a Dillys, pięć lat starsza ode mnie, lubiła mną rządzić, tyrani zować mnie. Bo ja, widzi pan, byłam tylko córką kucharki. Kiedy się bawiliśmy, musiałam odgrywać służkę, a ona zawsze grała księżniczkę. Lady Margaret rozpieściła ją w nieprawdo-

podobny sposób. Nie chodziłyśmy do tej samej szkoły. Dillys i Julian uczęszczali oczywiście do szkoły prywatnej, a ja do takiej zwyczajnej. To było wtedy, kiedy już podrośliśmy. Ona wciąż mi powtarzała, że choćbym robiła nie wiem co... Tak, powtarzała mi, że choćby nie wiem co, to i tak nie będę... Tak jakbym ja naprawdę myślała, że...

- A co pani poczuła, widząc Gemmę Tempie po raz pierwszy? Kiedy się tu zjawiała?

- Bałam się tego, że Dillys wróci. - Lily spojrzała Jury'emu prosto w oczy. - No cóż, jeżeli szuka pan kogoś, kto mógł mieć motyw, to tak, ja go miałam. Kiedy opuścił nas mój ojciec... To znaczy, kiedy porzucił mamę i mnie... musiałyśmy zamieszkać we dworze. I uważam, że państwo Craelowie postąpili bardzo przyzwoicie, pozwalając mi mieszkać z mamą, zapewniając mi dach nad głową. Ale Dillys... Dillys była jak drzewo, które zważyło się w poprzek mojej ścieżki. Nie mogłam jej ani usunąć z drogi, ani w jakikolwiek sposób ominąć.

Lily przerwała ze wzrokiem wbitym w ogień.

- A kiedy pułkownik Crael powiedział pani, że to jest właśnie ta daleka kuzynka... Uwierzyła mu pani?

- A dlaczego miałabym nie uwierzyć? - odrzekła. - Jeżeli to byłaby Dillys, to dlaczego sir Titus miałby kłamać?

- A czy piętnaście lat temu nie wydało się pani bardzo dziwne, że Dillys March w ten sposób zniknęła? Że odeszła, zostawiając wszystkie te pieniądze, które miała odziedziczyć?

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że to naprawdę była Dillys?

- Nie. Ja po prostu pytam. Inspektor Harkins powiedział mi, że pani twierdzi, że ten, kto zabił Gemmę Tempie, w rzeczywistości chciał zabić panią. To bardzo dziwne, panno Sidons. Czy zechciałaby mi pani wyjaśnić, dlaczego pani tak uważa?

- Proszę pana, mnie naprawdę ktoś usiłował zabić.



Lily Siddons opadła na oparcie z ciężkim westchnieniem i odwróciła twarz do ognia. Płomienie ozłociły jej bladą cerę, nadały blask bursztynowym oczom, a na jej nogi, obciążone jedwabnymi pończochami, rzuciły pasiaste cienie. Te nogi, jak zauważył w duchu Jury, były bardzo zgrabne. Ale sama kobieta nie tyle go podniecała, co zdumiewała. Zwłaszcza tutaj, w tym otoczeniu. Była jak motyl dziwnego gatunku, który wyfrunął poza swoje terytorium. Jak jakiś cytrynek w zimnej porze roku.

- Po raz pierwszy zdarzyło się to, kiedy jeździłam konno. W październiku. Wzięłam wtedy konia noszącego imię Red Run, którego pułkownik pozwala mi dosiadać. Przeskoczyłam przez mur w pobliżu Tan Howe i omal nie nadziałam się na pozostawione po drugiej stronie grabie. Gdybym wylądowała o parę cali dalej, nabiłabym się na ich zęby. Bo te grabie leżały zębami do góry.

- Ale nawet jeżeli założymy, że grabie zostały w tym miejscu pozostawione celowo, czy ktoś mógł wiedzieć, dokąd pani pojedzie?

- W tym właśnie cała rzecz. Ćwiczyłam skoki akurat tam, bo podczas polowania Red Run kilka razy odmówił przeskoków przez ten mur. Próbowałam więc skłonić go, żeby wyzbył się lęku. Oczywiście, wtedy myślałam, że to przypadek. Ale opowiedziałam o wszystkim pułkownikowi, a on obiecał, że dopilnuje, żeby żaden farmer nigdy więcej nie zostawił grabi w tym miejscu. Był bardzo zdenerwowany.

- A kiedy nastąpiło kolejne domniemane usiłowanie zabójstwa?

- Trzy albo cztery tygodnie później. W listopadzie. Tym razem zawiodły hamulce w moim samochodzie. Trzymam go na parkingu na szczycie wzgórza. Wie pan, na tym pierwszym.

Jury kiwnął głową.

- Nie jeżdżę nim po wiosce. Ale tego akurat dnia mu siałam coś przewieźć z kawiarni. Torty i ciasta na kiermasz

parafialny w Pitlochary. Kiedy wsiadłam, przypomniałam sobie, że potrzebuję czegoś z Whitby, więc zamiast zjechać ze wzgórza, pojechałam w drugą stronę. I dzięki Bogu. Widział pan to wzgórze? Wylądowałabym na ścianie pubu „Pod Dzwonem”. Ale widzi pan... aż do czasu, gdy... gdy to się stało z Gemmą Tempie, nie zdawałam sobie z tego sprawy. To nie był przypadek. Bo są ludzie, którzy wiedzieli, że tego dnia zamierzam jechać samochodem.

- Kto o tym wiedział?

- Mnóstwo osób - odrzekła zniecierpliwiona. - Rozmawiałam o tym przedtem z Kitty Meechem w pubie. Był tam wtedy Adrian. Craelowie też o tym wiedzieli. Wspominałam, że mam taki zamiar, w ich obecności.

Jej twarz w półmroku była biała jak wosk.

- Więc sądzi pani, że ten kostium to spowodował?

Kiwnęła głową.

- A dlaczego Gemma Tempie miała na sobie pani kostium?

- Poprzedniego wieczoru, podczas kolacji, pułkownik powiedział, że Gemma Tempie nie ma kostiumu na zabawę, i zapytał, czy ja nie mogłabym jej czegoś pożyczyć. A wtedy Maud zaproponowała, żebyśmy we dwie, to znaczy ona i ja, przebrały się za Sebastiana i Violę z *Wieczoru Trzech Króli*. Spodobał mi się ten pomysł. I dlatego pożyczyłam Gemmie kostium, w którym poprzednio zamierzałam wystąpić.

- A dlaczego to ona nie przebrała się za Violę i nie wystąpiła w parze z panią Brixenham?

Lily wzruszyła ramionami.

- Była tu obca, więc nie знаła Maud.

- A dlaczego nie poszła do dworu razem z panią? Kitty Meechem twierdzi, że wyszła z pubu dopiero dziesięć po dziesiątej.

Lily roześmiała się.

- To oczywiste. Jestem pewna, że chciała mieć wejście. Całkiem sama. - Jej ton nabrał cech goryczy. - Taka z niej była aktorka!

- Zatem twierdzi pani, że wszyscy uczestnicy tamtego obiadu wiedzieli, że nie będzie pani ubrana w czarno-biały kostium?

Lily pokręciła głową.

- Nie. Wiedzieli o tym tylko Maud i pułkownik Crael. Kiedy o tym mówiliśmy, pozostałych nie było w pokoju. No, a na drugi dzień, podczas tej zabawy kostiumowej, poczułam mdłości. Myślę, że to przez te kanapki z pastą rybną. Zawsze się po nich źle czułam. Albo z powodu ponczu. W Old House robią bardzo mocny. W wieczór Trzech Króli widziałam się w Old House tylko z kilkoma osobami. I muszę powiedzieć, że jedynymi osobami, które z całą pewnością nie usiłowały mnie zabić, są pułkownik i Maud. Bo oni oboje wiedzieli, że wystąpię w innym kostiumie, niż początkowo zamierzałam.

Co oczywiście eliminowało ich, jeżeli to Lily Siddons miała być ofiarą.

- Gdybym nie pożyczyła jej tego kostiumu, mogłaby wciąż jeszcze... Wie pan, mam wyrzuty sumienia.

Jury wyjął notes.

- Powiedziała pani inspektorowi Harkinsowi, że wróciła pani do domu mniej więcej kwadrans po dziesiątej.

- Rzeczywiście. Maud została ze mną na chwilę, żeby się upewnić, czy się nie zatrulałam. A potem poszła. A ja włożyłam szlafrok i trochę czytałam. Tak gdzieś do jedenastej.

- Adrian Rees jakiś czas potem widział, jak Gemma Temple idzie uliczką Grape Lane. Było to mniej więcej kwadrans po jedenastej, tuż przed zamknięciem pubu. W pobliżu Angel Steps.

Lily, patrząc w ogień, kiwnęła głową.

- Wiem.

- Czy ona tutaj była?

Lily błyskawicznie odwróciła głowę.

- Tutaj? Dlaczego miałyby być właśnie tutaj?

Jury z początku nie odpowiedział, Patrzył na nią z niewzruszonym spokojem.

- Bo między godziną dziesięć po dziesiątej, to znaczy chwilą wyjścia z pubu, a momentem, w którym widział ją Rees, musiała gdzieś być. Najwyraźniej nie poszła prosto na przyjęcie.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Dlatego, że szła pod górę, wchodząc po Angel Steps.

- No cóż, ludzie przecież chodzą tamtą drogą.

- Ale nie zimą, nie uważa pani? Nie wtedy, kiedy wisi tabliczka ostrzegająca, żeby tego nie robić. Musiała się tam z kimś spotkać. - Jury czekał na odpowiedź, ale Lily nic nie odrzekła. - A Kitty Meechem wpadła tutaj do pani zaraz po zamknięciu pubu. To znaczy około wpół do dwunastej albo nawet wcześniej. Jakieś dwadzieścia pięć po jedenastej. Tak mi mówiła.

Lily ruchem osoby znużonej przetoczyła głowę po obitym perkalem oparciu sofy.

- Nie wiem. Chyba tak. Nie patrzyłam na zegarek.

- To ważne. Bo pani nie mogła w ciągu dziesięciu minut skoczyć na Angel Steps i wrócić do domu. No, chyba że poruszałyby się pani z szybkością błyskawicy.

Popatrzyła na niego, oczy jej pociemniały. Miały teraz barwę karneolu.

- Pan mi nie wierzy, prawda? Nie wierzy pan, że ktoś usiłuje zabić mnie?

- Nie chodzi o to, w co ja wierzę. Sądzę natomiast, że pani w to wierzy. Ale jaki miałby być motyw? Pieniądze? Zemsta? Zazdrość?

- Nie mam pieniędzy. I o ile wiem, nigdy nic nikomu nie zawiniłam. A zazdrość? O co?

- Mężczyźni. Moglibyśmy zacząć od tego.

- Ma pan na myśli zazdrosnego kochanka czy coś takiego? - Roześmiała się, ale smutno. - W Rackmoor to nie jest prawdopodobne.

- Czy kiedykolwiek miała pani wrażenie, że pułkownik Crael sądzi, że pani i Julian moglibyście...? Przerwał, bo jej policzki nagle oblał rumieniec. - Julian? Ja i Julian? Ależ to nonsens! Craelowie nie żenią się z córkami służących.

- Co się stało z pani ojcem, Lily?

- Odszedł, kiedy byłem bardzo mała. Prawie go nie pamiętam. - Wyciągnęła rękę w stronę małego stolika i wzięła z czarnej podstawki kryształową kulę. - Lubię w nią patrzeć. Dał mi ją Percy Blythe. Latem zabieram kulę do kawiarni i udaję, że umiem przepowiadać przyszłość, że mam dar jasnowidzenia. No cóż, turyści to uwielbiają. Proszę mi dać rękę.

Jury wyciągnął prawą dłoń, a ona przytrzymała ją w swojej.

- Ma pan szeroką dłoń. Jest pan bardzo tolerancyjny. Długi kciuk. To oznacza zdecydowanie w dążeniu do celu. Proste palce. Współczucie. To bardzo dobra dłoń.

Po tych słowach wypuściła ją tak, jakby było wprost przeciwnie, a jej wzrok pobiegł ku małemu stolikowi, na którym stały liczne fotografie.

Sięgnęła po tę, która przedstawiała kobietę na moło.

- Była pani bardzo przywiązana do matki, prawda?

-Tak.

- Nie chcę do tego wracać, bo to musi być ogromnie bolesne... - Pomyślał, że sprawianie ludziom bólu nieodłącznie wiąże się z jego zajęciem. Wydobywał ból, oddzielał jego warstwy jak karty w talii. - Ale... tego dnia, kiedy utonęła...

Lily nie podniosła wzroku.

- Dlaczego pani matka poszła taką niebezpieczną drogą, i to tuż przed przyływem?

Lily pokręciła głową. Widać było, że jest bliska łez.

- Czy to był wypadek?

Lily płakała z głową pochyloną nad fotografią. Jury przesunął się na **krawędź krzesła**, wziął od niej zdjęcie i wsunął je do kieszeni.

- Przykro mi, Lily. Pójdę już.

Wyszedł z małego domku, okrążył zatoczkę i skierował się do pubu. Niebieskie i zielone łódki rybackie kołysały się na ciemnej wodzie jak dziwne kwiaty.

Trzymał zdjęcie w kieszeni.

## 11

- Poproszę rackmoorską mgłę - powiedział Melrose Plant.

- A co dla pana, panie inspektorze? - zwróciła się Kitty do Jury'ego. - Ma pan ochotę spróbować tego samego?

- Z tego, co słyszałem, rackmoorską mgłą jest warta mojej posady. Ja jednak poproszę whisky.

Wiggins zdążył już zacząć jeść. Pałaszował właśnie rybę z frytkami i fasolą.

Kitty oddaliła się, a Jury zwrócił się do Melrose'a:

- No cóż, panie Plant, jak potoczyło się pańskie śledz two?

Melrose spiorunował go wzrokiem.

- Muszę powiedzieć, że Arnold okazał się bardzo rozmowny. Znacznie bardziej niż ten Percy Blythe.

- Percy Blythe? Nie znam go. Kto to taki?

Jury skradł frytkę z talerza Wigginsa.

- Musi się pan sam przekonać, panie inspektorze. Musi pan pójść do niego i przepytać go osobiście.

- Mógłbym oczywiście to zrobić, jeżeli on coś wie. Czy jest na liście Harkinsa, Wiggins?

- Tak, panie inspektorze - odrzekł Wiggins z pełnymi ustami.

- Dziwię się, że on się znajduje na czyjejkolwiek liście  
- zauważył Melrose.

Kitty przyniosła drinki. Rackmoorska mgła znajdowała się w dużym kielichu. Była to mętna mikstura, z której wystawały spowite jakimś oparem kosmyki.

Wiggins wskazał kielich widelcem.

- Co to jest? To, co wystaje, tutaj, u góry?

- To jest właśnie mgła. - Melrose zbliżył miksturę do ust, napił się i skrzywił. - Oraz wąsonogi i płetwa rekina.

- Moim zdaniem, nie wygląda to zbyt zdrowo - odrzekł Wiggins, mierząc kielich wzrokiem, a potem powrócił do swojej bezpiecznej herbaty.

Jury ze zdumieniem przyglądał się, jak sierżant sypie do niej tony cukru, nie myśląc wcale o jego działaniu choćby na zęby.

- Czy wie pan, panie inspektorze, jaki to enigmatyczny przekaz wydobył się z jego popękanych i obrośniętych brodawkami ust w chwili, gdy od niego wychodziliśmy?

- Ma pan na myśli usta Percy'ego Blythe'a?

- Tak. Powiedział: „Evelyn... to ktoś, kogo trzeba zapytać”.

- A kim ona jest? Plant

pokręcił głową.

- Wiggins? Czy na tej liście była jakaś Evelyn?

Wiggins także pokręcił głową.

- Gdzie mieszka ten Blythe?

- Na Dark Street.

Wiggins niczym harpunnik nabił kawałek ryby na widelce.

- Teraz, kiedy pan o tym mówi, przypominam sobie wyraźnie, że w notatkach Harkinsa było to nazwisko. Ale nie sądzę, by ten Blythe miał do powiedzenia coś ciekawego.

- Żartuje pan. - Ton Melrose'a był sarkastyczny.

- Pójdziemy tam po posiłku.

- Świetnie! - ucieszył się Melrose.

- Mam na myśli siebie i sierżanta Wigginsa.

- A mógłby się pan obejść beze mnie, panie inspektorze? Mam robotę ze wszystkimi tymi notatkami z przesłuchań ludzi w Old House. Są ich całe sterty. Muszę je uporządkować.

- To prawda. Niech sierżant Wiggins zajmie się notatkami. Proszę pamiętać, że to ja byłem u Percy'ego Blythe'a. Właściwie go odkryłem.

Melrose uśmiechnął się ujmująco i przekonał się, że to nie działa. Zrobił więc smutną minę.

- No dobrze, panie Plant. Ale proszę mi nie przerywać, gdy będę mu zadawał pytania.

- Nawet by mi to przez myśl nie przeszło, panie inspektorze. I zapewniam pana, że bardzo bym nie chciał przepuścić tego spotkania.

Melrose wyglądał jak sowa.

- Myślałem, że opuścił pan już szeregi, panie Plant. No dobrze. Ale zjedzmy coś. Umieram z głodu. Słyszałem, że Kitty robi bardzo dobre befsztyki i nerki zapiekane w cieście.

- A jak pan sądzi, czy ma też wino? Otóż ma. Chateau de Meechem rocznik 1982. Dojrzewające w beczkach - zapewnił Melrose, po czym rozejrzał się po sali i powiedział: - Zastanawiam się, czy to Surtees projektował wystrój tego wnętrza. Proszę popatrzeć na wszystkie te sztychy, przedstawiające sceny z polowania.

Kiedy Melrose i Jury rozglądali się po sali, zwróciło się w ich kierunku kilka par oczu. Jury był osobą znaną. Gdy wszedł, głowy zaczęły się obracać jak na naoliwionych oskach, znieruchomiały wbite w nich spojrzenia, rozmowy ucichły. Jednak zaraz potem, bardzo szybko, stali bywalcy, udając brak zainteresowania, odwrócili wzrok.

- Mam wrażenie, że wszyscy tutaj zgromadzeni ruszą za raz na polowanie z nagonką. Czuję się jak w samym środku *Toma Jonesa*.



W kącie koło kuchennych drzwi Kitty najwyraźniej spierała się o coś z Bertiem Makepiece'em, który miał na sobie biały fartuch i trzymał pod pachą tacę.

- Kim jest ten chłopak? - zapytał Jury.

- To Bertie Makepiece. - Melrose spojrział na drzwi łączące bar z salą jadalną na tyłach pubu. - A to jest Arnold, jeżeli pan go jeszcze nie poznał.

Arnold leżał na progu. Kitty podeszła do stolika.

- Przepraszam, panie inspektorze. - Zarumieniona, odgarnęła jasnobrązowe włosy z wysokiego czoła. - Bertie się żołądkuje. Zatrudniam go tutaj tylko wtedy, kiedy są goście, którzy przyszli zjeść obiad. Wiem, że chłopak ma dopiero dwanaście lat i nie powinien pracować w pubie, ale nie pozwalałam mu stać za barem ani roznosić drinków alkoholowych... No, czasami tylko zdarza się, że poda butelkę wina. Chodzi o to, że jego mama wyjechała i chłopakowi naprawdę potrzebne są pieniądze. Bardzo chce panów obsłużyć, ponieważ jednak pan jest z policji...

- Przepisy dotyczące pracy nieletnich zostają w tym wypadku uchylone - przerwał jej Jury i uśmiechnął się.

Melrose obserwował uważnie Kitty, która - prawdopodobnie by nie paść Jury'emu do nóg w chwili, gdy ten się do niej uśmiechnął - chwyciła się oparcia wolnego krzesła.

- Proszę cielęcinę i nerki w cieście - powiedział Jury do Bertiego.

Byli jedynymi gośćmi w tej niewielkiej salce jadalnej, gdzie jasno płonął ogień, a na ścianach błyszczały miedziane i cynowe naczynia.

Melrose wybrał miks z grilla.

- Weźmiemy też butelkę waszego najlepszego wina, Copperfield. Nie masz listy win, co?

- Nie, proszę pana. Ale w piwnicy jest mnóstwo butelek. Są tak zakurzone, że najwyższy czas, żeby ktoś do nich zajrzał. Nie znaczy to - zapewnił gładko - że coś jest z nimi nie w porządku. Ale kolejny rok czy dwa lata mogą nie zrobić im dobrze.

- No cóż, jeżeli znajdziesz butelkę wina Côte de Nuit z sześćdziesiątego czwartego roku, to przynieś. Ale uważaj, nie wstrząśnij. Tylko ją trochę odkurz.

- Odkurz ją odkurzaczem.

Bertie oddalił się szybko, niosąc wysoko tacę.

- To jest ten chłopak, którego matka zniknęła? A gdzie ona się podziewa?

- Nie mam pojęcia. Bertie twierdzi, że w Belfaście. - Mel-rose strzepnął śnieżnobiałą serwetę wielkości obrusa i położył ją sobie na kolanach. - Przynajmniej obrusy są w tym lokalu czyste. O, widzę tu więcej sztychów ze scenami myśliwskimi. Czy pan wie, że sir Titus jest właścicielem połowy tego pubu? I jak pan sądzi, dlaczego pub nazywa się „Pod Przechytrzonym Lisem”? Sir Titus jest tytularnym przywódcą wioski, jak słyszę. Ktoś mi mówił, że chciał ją przemianować na Foxmoor. Ale mu nie pozwolono. Ten stary dżentelmen ma obsesję na punkcie polowań.

- A co do pana, panie Plant, to jak pan się rozstał z lady Ardry?

- Z największą trudnością. Mogę pana o tym zapewnić. Ściagała mnie do ostatniej chwili.

Jury uśmiechnął się.

- Brakowało mi jej.

- No to jest pan pod tym względem jedyny. Ona znajduje się teraz w Yorku. Otrzymuję codzienne biuletyny na temat wszystkich zajęć jej i jej przyjaciółki Teddy. Gdyby wiedziała, że pan jest tutaj, przyturlalaby się przez wrzosowiska niby wielka śnieżna kula.

Pojawił się Bertie.

- Oto przystawki, proszę panów.

Postawił na stole dwa małe talerzyki.

- Przykro mi, ale nie ma wędzonego łososia - zwrócił się do Melrose'a, po czym kontynuował półgłosem, tak jakby razem z Kitty skradli ukryte zapasy: - Ale Kitty znalazła ten ładny kawałek ryby z Whitby i dodała do niej sosu.

Po tych słowach oddalił się żwawo, zatrzymując się jedynie, żeby upomnieć Arnolda, który spokojnie leżał w drzwiach i uważnie obserwował Melrose'a.

Melrose obejrzał podejrzliwie rybę.

- Założę się, że to płastuga. Ciekawe, jak do tego sosu będzie pasowała rackmoorska mgła. Chciałbym dostać od Kitty Meechem przepis na ten trunek. Pochęstowałbym nim Agathę i zostawił ją potem za katedrą. Zauważył pan, jak ten pies się we mnie wpatruje? Pewnie mi pan tego nie powie, ale spytam: Kto, pańskim zdaniem, jest głównym podejrzanym?

- Nikt.

Melrose westchnął.

- No tak, to oznacza, że po prostu nie chce mi pan tego powiedzieć.

Jury pokręcił głową i zabrał się do ryby.

- Taka jest prawda. Nikt.

- Mogłoby się zdawać, że to Julian Crael miał najpoważniejszy motyw.

- Tak właśnie myśli inspektor Harkins.

- Co mnie wcale nie cieszy. Bo nie chciałbym być tego samego zdania co on.

- Dlaczego? To przecież bystry facet.

- To elegancik i, moim zdaniem, służbista. A poza tym, szczerze mówiąc, wygląda na to, że on się dziwi, dlaczego ja, człowiek obcy, mieszkam u Craelów. Uważa mnie za Wędroznego Mordercę z Wrzosowisk. A, jest wino.

Melrose zatarł ręce.

Przy ich stoliku stał już Bertie z tacą pod pachą i butelką wina w drugiej ręce.

- Proszę spojrzeć, proszę pana. Jestem pewien, że będzie panom smakowało. - Podsunął etykietę Melrose'owi. - To nie to, o które pan prosił... jak ono się tam nazywało... ale kolor ma ładny. Czerwony.

- Czerwony. Tak. Jednak rocznik nie ten. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty szósty. To nie to samo co sześćdziesiąty czwarty, jak sądzę?

Bertie zacisnął usta.

- Jest świeższe - oznajmił autorytatywnie. - Chwileczkę, wyciągnę tylko korek. - Trzymając butelkę między nogami, Bertie zastosował korkociąg. Wyciągnięty korek upadł na stół i potoczył się kawałek. - Korek, proszę pana.

- Rzeczywiście, wygląda to na korek.

- Ale czy pan nie powinien powąchać korka?

- A, tak. Zagapiłem się. - Melrose przeciągnął korek pod nosem. - Bogaty bukiet.

Bertie trzymał butelkę przy piersi, pozerając Melrose'a wzrokiem.

- Byłem pewien, że się panu spodoba, proszę pana. Proszę teraz spróbować. - Nalał ostrożnie wina do kieliszka Melrose'a. - Proszę potrzymać na języku.

Melrose usłuchał.

- Doskonale. Trochę za młode, ale doskonale. - Wyjął z portfela banknot i włożył go Bertiemu do kieszeni. - Najwyraźniej pochodzisz z rodu sommelierów.

Bertie promieniał.

- Proszę pozwolić mu pooddychać.

- Rytuał związany z winem ma pewien rozmach. Zgodzi się pan? - zwrócił się Melrose do Jury'ego.

- Moim zdaniem, odbył się wzorowo - oświadczył Jury.

- Ale proszę mi powiedzieć, dlaczego pan sądzi, że to Julian

Crael jest winien. Miał pan więcej okazji ode mnie, żeby go obserwować.

- Wcale nie twierdziłem, że tak sędzę. Powiedziałem tylko, że on ma najsilniejszy motyw. Gdyby Dillys March pojawiła się ponownie, znacznie pomniejszyłoby to jego spadek. Wygląda na to, że Craelowie traktowali ją prawie jak córkę. To znaczy pułkownik i jego żona.

- I traktowaliby ją tak do dziś... gdyby się tu ponownie pojawiła. A gdyby kobieta, która zjawiała się w Rackmoor, nie była w rzeczywistości Dillys March, tylko Gemmą Tempie, to żeby się podawać za Dillys, musiałaby uzyskać naprawdę mnóstwo informacji od kogoś, kto tamtą znał. A ostatnią osobą, która mogła jej ich udzielić, byłby Julian Crael.

Melrose zamyślił się.

- Rozumiem, co pan ma na myśli. Ale dlaczego tak zawzięcie broni pan Juliana Craela?

- Ja go nie bronię. Formułuję tylko swoją hipotezę. A pan go nie lubi, to oczywiste.

- Moim zdaniem, jest to człowiek zimny, o twardym sercu. I jednocześnie zagadkowy.

- Zagadkowy?

- Aspołeczny. - Melrose wziął do ust kawałek ryby. - Inaczej niż sir Titus. Sir Titus, gdyby mógł, zaprosiłby na podwieczorek wszystkich mieszkańców tego kraju. No cóż, nie chcę być niezyczliwy... Zresztą wydaje mi się, że powiedzenie o pułkowniku Craelu czegoś niemiłego budzi w człowieku poczucie winy. No, w każdym razie Julian prowadzi życie pustelnika. Nie bierze udziału w polowaniach, nie znosi przyjęć. Nie poszedł nawet na tę zabawę w wieczór Trzech Króli. I wygląda na to, że wcale nie jest w dobrych stosunkach z ojcem. Te ich dzikie awantury na temat Gemmy Tempie czy Dillys March... czy kimkolwiek ona była... To znaczy nie „dzikie”, bo Julian nie doznaje dzikich uczuć, prawda? On po prostu lodowacieje. Pułkownik Crael był za tym, żeby tę kobietę zaprosić do Old

House. Z bagażami. A Julian przysięgał, że ona jest oszustką. Z drugiej jednak strony, jak ona mogła mieć nadzieję na to, że poda się za Dillys March i wszyscy jej zaraz uwierzą?

- Mogło to wcale nie być takie trudne, jak pan myśli. Bio rąc pod uwagę pomoc tego kogoś, kto dostarczał jej informacji, i łatwowierność pułkownika... No cóż, jedyną przeszkodą byłby Julian.

Jedli przez chwilę w przyjaznym milczeniu. A potem odezwał się znowu Melrose:

- Old House przypomina mi dom Usherów z opowiadania Poe'go. Wyobraźmy sobie, że zajeżdżam o północy powozem... - Melrose ułożył dłonie w kształt ramki obrazka. - Dwór na tle czarnego nieba, oświetlony jedynie bladym światłem księżyca w pełni. Sękate dęby, odbijające się w ciemnym stawie. Pęknięcie tynku na ścianie. I Roderick - to znaczy Julian - ponury, przy fortepianie oświetlonym światłem świec w kandelabrze.

- Czy tak to się odbyło?

- Niezupełnie.

- Dom wydaje się dość solidny.

- No cóż, jednak Julian nie jest solidnie materialny. Bardziej przypomina swego własnego ducha. Jest jak mgła. Mam wrażenie, że gdybym chciał go dotknąć, moja dłoń przeniknęłaby przez niego.

- Mnie się wydaje dość melancholijny, ale niespecjalnie podobny do zjawy.

- Czy pan nie ma wyobraźni?

- Raczej nie. Jestem po prostu dociekającym prawdy policjantem. Jednak pańskie porównanie jest interesujące. Roderick Usher. - Jury przypomniał sobie uwagę Lily Siddons.

- Czy chodzi o to, że uważa pan Juliana za trochę szalonego?

- „Trochę” szalonego? Co za dziwne podejście. Utrata rozumu jest z pewnością czymś takim jak utrata dziewictwa. Tracąc go trochę, człowiek traci mnóstwo.

- Jakkolwiek zatem zechce pan to określić: nieźrówno ważony, psychotyczny...?

- Ma pan na myśli „zdolny do morderstwa”?

Jury zrobił lekceważący gest.

- Żeby popełnić morderstwo, nie trzeba być szaleńcem. Morderstwo to czyn raczej przyziemny. Ja tylko próbuję zrozumieć tych ludzi.

- W całej rodzinie jest coś, co mnie niepokoi. W Craelach dawnych i obecnych. - Melrose nabił na widelec kawałek smażonego pomidora. - W tym domu dźwięczą echa przeszłości. Oni żyją przeszłością.

Jury zakręcił kieliszkiem.

- A czy my wszyscy nią nie żyjemy? - Odwrócił wzrok. - Sądzi pan tak, bo oni o przeszłości dużo mówią?

- Nie. Mówić to oni mówią o rzeczach teraźniejszych. Ale myślą o przeszłości. Zachowują się tak, jakby ich oczy były bez przerwy utkwione w portretach zmarłych. Zwłaszcza w portret przedstawiający lady Margaret. Żałuję, że nie znałem tej kobiety.

Jury uśmiechnął się.

- Czy spodziewa się pan, że... tak jak w wypadku lady Magdaleny... da się słyszeć „pochrzest łamanej trumny”?

- Pan doprawdy gustuje w makabrze. Nie, tego się nie spodziewam. Ale w tym domu czuje się obecność lady Margaret.

- A czy czuje się także obecność Dillys March?

- Nie za bardzo. Może była zbyt młoda na to, by odcisnąć takie trwałe piętno. Jednak w tym domu panuje jakaś przenikająca wszystko ponurość, zaś wspomnienie Dillys jest tej ponurości częścią. No, a Julian żyje jak mnich. Mógłby równie dobrze mieszkać w klasztorze. Ten człowiek tylko spacekuje i myśli.

Edgar Allan Poe, *Zagłada domu Usherów*, przeł. Bolesław Leśmian, Warszawa 2002.

- A o czym?

- Julian, jeżeli w ogóle ma serce, nie otwiera go przede mną, panie inspektorze.

Jury oczyma wyobraźni dostrzegł obraz Juliana wspartego o gzyms kominka.

- O, ja sądzę, że je ma.

- Jeżeli tak, to z pewnością z lodu, którego nie stopiła żadna z okolicznych dam.

Wrócił Bertie z deserem. Czyli z tarteletkami śliwkowymi.

- Powiedz mi, Bertie - zwrócił się do niego Jury, gdy chłopak zbierał talerze ze stołu - jak długo nie ma już twojej matki?

- Ponad trzy miesiące, proszę pana.

Jury przyjrzał się chłopcu, nie zdołał jednak odczytać wyrazu jego oczu. Maskowały je bowiem grube szkła okularów. A reszta jego dość mizernej twarzy była całkiem bez wyrazu. Może postrzegał tę sytuację jako superpozytywną? Nie musiał przynajmniej, mając te swoje dwanaście lat, wysłuchiwać gadania matki. Pewnie tak, pewnie tak ją postrzegał, ale jedynie pod warunkiem, że był pewien powrotu matki...

- To dziwne, że twoja matka nie załatwiła ci kogoś do opieki.

- Ależ załatwiła, proszę pana - brzmiała pośpieszna odpowiedź Bertiego. - Wątlusz... to znaczy panna Cavendish... I panna Frother-Guy. One bardzo się do tego przykładają. Wprost nabożnie. Zawsze są w pobliżu.

Jury ukrył uśmiech. Jasne było, co Bertie sądzi o wszelkim pilnowaniu i nadzorowaniu.

- Pojechała do Irlandii, tak?

- Do Irlandii Północnej - odrzekł Bertie z naciskiem. - Chodzi o jej babcie. Myślę, że traktowała tę swoją babcie jak własną mamę. Więc kiedy babcia zachorowała, musiała tam pojechać.



- Tak. Ale zostawić cię tak całkiem samego...  
- Nie jestem sam. Jest ze mną Arnold. I, jak już mówiłem, panna Cavendish...

- Gdzie w Irlandii Północnej mieszka ta babcia?

- W Belfaście - brzmiała krótka i rzeczowa odpowiedź. A potem padło z błyskawicznym spojrzeniem: - W dzielnicy Bogside\*.

I chłopaka już nie było.

- Bogside - powtórzył Jury, uśmiechając się do swojej sliwkowej tarteletki.

- Chłopak imponuje zaradnością, to pewne. No cóż, ludzie w tej okolicy naprawdę znikają. Przypomina to Trójkąt Bermudzki.

- Na przykład matka Lily Siddons, Mary, która podobno przypadkiem utonęła.

- Tak. Słyszałem o tym. Pułkownik martwi się, że Lily zamknęła się w sobie. Jej matka utonęła wkrótce po wypadku, w którym zginęli lady Margaret i Rolfé Crael. Musiał to być niezbyt szczęśliwy okres dla Craelów.

- No cóż, Rackmoor, ogółem biorąc, nie wygląda na miejsce zbyt szczęśliwe.

Melrose Plant nalegał, że zapłaci, więc Jury przeprosił i poszedł zamienić kilka słów z Kitty. A Melrose, wkładając już płaszcz, zwrócił się do Bertiego:

- Doskonałość potraw przewyższyła tylko doskonałość obsługi. Nawet u Simpsona nie zostałem lepiej potraktowany.

Bertie otrzepał stół serwetą, pozbywając się okruszków z obrusa. A Arnold, widząc ożywienie, usiadł z postawionymi uszami.

\* Bogside to dzielnica Derry (Londonderry), a nie Belfastu. W dzielnicy tej w roku 1969 toczyły się zażarte walki między katolikami a protestantami.

Melrose wetknął Bertiemu do kieszeni banknot pięćofuntowy.

- Masz, Copperfieldzie - powiedział. - To ci ułatwi wydo stanie się z Salem House.

## 12

Kiedy Melrose Plant zajął przez okno, Percy Blythe wciąż siedział przy bibliotecznym stole. I, o ile Melrose mógł się zorientować, nadal przekładał swoje muszle.

- No cóż, panie inspektorze, wejdziemy? Mam nadzieję, że uda się panu dojść do słowa.

Jury uśmiechnął się tylko.

A wszedłszy do środka, wcale nie czekał, aż Melrose go przedstawi. Przeszedł natomiast przez pokój, ciemniejszy teraz o trzy tony niż podczas ostatniej wizyty Melrose'a, wyciągnął rękę i powiedział:

- Witam, panie Percy. Nazywam się Jury. Jestem ze Scotland Yardu.

Melrose omal się nie roześmiał, kiedy dłoń Jury'ego zawisła w powietrzu, a Percy się nawet nie poruszył. Inspektora jednak nie zbiło to z tropu. Jury po prostu cofnął rękę, zdjął z jakiegoś stołka stos książek, przysunął stołek do bibliotecznego stołu i usiadł, opierając stopy na szczebelku. Melrose tymczasem odkurzał parapet okienny, przygotowując sobie miejsce do siedzenia. Choć niechętnie, podziwiał tupet Jury'ego. Jury wyjął coś z kieszeni i rzucił na blat stołu.

- Proszę się poczęstować, panie Percy - zachęcił.

Melrose, zaciekawiony, podszedł do półek i zaczął udawać, że przygląda się jakiejś czarnej, wyglądającej na martwą klusze, która pływała w wypełnionej wodą kuli. Zerknął przy tym na stół, z którego Percy Blythe wziął coś, co rzucił Jury, i teraz żuł tę rzecz intensywnie. Tytoń? Melrose spojrzął na

Jury'ego. Inspektor Jury żuje tytoń? No tak, on także żuł. Obaj coś żuli. A Percy Blythe przesuwał przy tym stopą w stronę Jury'ego spluwaczkę. Martwa klucha poruszyła się. Melrose spojrział na nią i odstawił kulę.

- Słyszałem, panie Percy, że zajmuje się pan kryciem da chów strzechą - zagadnął Jury. - To zanikająca sztuka. Pocho dzi pan ze Swaledale, prawda?

Melrose patrzył, jak Percy Blythe żuje tytoń i jak jego twarz rozciąga się i kurczy niczym akordeon.

- Ze Swardill. Tak. I od czterdziestu lat zajmuję się kryciem dachów i pielęgnowaniem żywopłotów.

- W dzisiejszych czasach to rzadkie zajęcia.

- Noo! Ta robota wymaga wysiłku. Nikt już teraz nie robi tego tak dobrze jak kiedyś. - Percy pokręcił głową ze smutkiem. - W Swardill zawsze mieszkali najlepsi spece. No i miotlarze. Mam tam na ścianie jeszcze parę narzędzi.

Wskazał przez ramię ruchem kciuka ścianę, na której, niby obrazy, wisiały porządnie zawieszzone narzędzia.

Melrose spojrział ponad jeżowcem na Jury'ego, który wesoło żuł nadal, najwyraźniej rozbawiony tym wszystkim, podpierając dłońmi brodę, a łokcie trzymając na stole.

- Kiedyś strzecha potrafiła przetrwać pięćdziesiąt lat. Ale ja byłem też i miotlarzem. Niech mi pan poda to szydło.

Te ostatnie słowa były skierowane do Melrose'a, stanowiły coś w rodzaju polecenia, by nie stał jak słup, lecz postarał się do czegoś przydać.

- Szydło?

- No to, co jest na ścianie.

Percy Blythe zniecierpliwiony wskazał palcem narzędzie. Melrose podszedł bliżej. Nigdy w życiu nie widział takich przedmiotów. Każdy opatrzony był etykietą. Jakies noże poluzowujące, jakies skręcarki? Znalazł szydło i zdjął je z gwoźdza. Był to długi, podobny do kija od wędki przedmiot

z czymś w rodzaju pętli, którym jakiś olbrzym mógł szyć, tworząc wielkie ściegi.

Percy Blythe nie podziękował mu za fatywę. Wziął tylko narzędzie i powiedział:

- Tak, byłem miotlarzem. I skoro już o tym mowa, jednym z najlepszych. A mój tata był kiedyś najlepszym w okolicy ko siarzem. Potrafił w ciągu dnia skosić trzy akry pola. I przejść przez całe to pole z sześciopensówką na ostrzu. I ta moneta nie spadła. Nauczył mnie robić kosą. Jako chłopak kosiłem całymi dniami. Tak, tak, całymi dniami machało się kosą na polu. I był to widok co się zowie! Tylko Bob Fishpool potrafił tacie w tym dorównać. Kosiliśmy zawsze i zwozili zboże aż do wieczora.

Melrose poczuł na sobie mroczne spojrzenie tego prostego człowieka, który chciał mu chyba dać do zrozumienia, że to tacy jak on bogacze zmuszają biedaków, ludzi lepszych od siebie, do podobnej harówki.

- Napije się pan piwa, młodzieńcze? - zaproponował Percy Blythe Jury'emu. - A może odrobinę czegoś mocniejszego? - Wstał, nie czekając na odpowiedź, i wziął z półki dzban. - Czy oni tam w policji nigdy wam nie dają wolnego? - zapytał i zachichotał jak po opowiedzeniu świetnego dowcipu.

Jury roześmiał się także i wypił to, czego mu nalano.

Melrose zastanawiał się, co to takiego. Ponieważ jednak go nie poczęstowano, doszedł do wniosku, że zapewne nigdy się tego nie dowie.

- Świetne - pochwalił Jury, ocierając usta dłonią. - Nigdy czegoś takiego nie piłem.

- Nikt już tego nie robi. A dobrze by było, gdyby dodatkowo pływały po tym grzanki i drożdże.

Melrose poczuł ulgę na myśl, że nie musi przyjmować takiego poczęstunku.

A Percy Blythe założył ręce na piersi i rzekł:

- Domyślam się, że przyszedł pan w związku z dziewczyną. Tę, co nie żyje.

- To prawda, panie Percy. Czy wie pan może coś, co mogłoby nam pomóc?

- Może wiem, a może nie wiem.

Cisza.

- Bertie Makepiece sądzi chyba, że pan ją znał. Przed laty.

- Nie mówię, że nie. Jak ją zobaczyłem w pubie, to zaraz pomyślałem, że to chyba duch. Piętnaście lat upłynęło, od kiedy stąd zniknęła.

- Mówi pan o Dillys March?

- Tak. To zła dziewczucha.

- Zła? W jakim sensie?

Ale Percy Blythe przymknął tylko oczy na grzechy młodości Dillys March i wrócił do picia.

- Powiedział pan obecnemu tu panu Plantowi, żeby za pytał Evelyn.

Percy Blythe odwrócił głowę w stronę Melrose'a i posłał mu spojrzenie, które było jak uderzenie pięścią w twarz.

- No cóż, dał mi pan taką radę - odezwał się Melrose po nad skamieniałą rybą. - Niecałe dwie godziny temu. Powie dział pan, żebym ją zapytał o tę March.

Percy Blythe splunął.

- Nie ja, kretynie! Jego! Toma Evelyny. - Odwrócił się do Jury'ego tak, jakby inspektor był tu jedynym człowiekiem mającym olej w głowie. - Tom jest psiarczykiem. Zajmuje się psami pana pułkownika w Pitlochary. I tam też mieszka.

- Znał Dillys March? - padło pytanie.

Jednak Percy Blythe nie chciał rozwinąć tematu. Pił tylko swoje piwo.

- Znał pan Mary Siddons, matkę Lily?

- Tę, co była kucharką w Old House? Znałem ją. Utonęła. To smutne.

Pokręcił głową.

- A Lily? Ją też pan zna?

- Znam. Przychodzi tutaj i patrzymy razem w kryształową kulę. To ja nauczyłem tę dziewczynę wszystkiego, co teraz potrafi. - Poklepał się dłonią po głowie. - Po mojemu ona ma dar.

- Jaki dar?

Percy Blythe pokręcił enigmatycznie głową.

Melrose pod jedynym, a jednak czujnym okiem zaniedbanego kota oglądał zbiór narzędzi Percy'ego Blythe'a. Doszedł przy tym do wniosku, że kot ma mordę podobną do łopaty.

- Proszę posłuchać, panie Percy - powiedział Jury - czy sądzi pan, że Lily może coś wiedzieć o kimś w Rackmoor, kto... To znaczy... czy może wiedzieć o czymś groźnym?

- Nie wiem, człowieku. Nie wiem. Może.

Zapadła długa cisza. Percy Blythe wrócił do przekładania muszli. Po chwili, kiedy Jury wstał, Melrose poczuł prawdziwą ulgę.

- Sądzę, że zabraliśmy panu wystarczająco dużo czasu. Pójdziemy już. Dziękuję za pomoc, panie Percy.

- Niech pan jeszcze wpadnie, młodzieńcze. Na piwo. Melrose zwrócił uwagę, że to zaproszenie odnosi się jedynie do Jury'ego.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, inspektor chuchnął w dłoń.

- Gadatliwy gość, co?

Melrose spojrzał na niego kątem oka.

- Miotły, żywopłoty, strzechy. Pan nie miał nawet pojęcia o jego istnieniu, dopóki ja panu o nim nie powiedziałem. Skąd więc, u diabła, wiedział pan to wszystko?

- To proste. Zapytałem Kitty, zanim wyszliśmy z pubu.

- Jury spojrzał na zegarek. - No cóż, chyba pójde po Wigginsa. Jest jeszcze jedna osoba, z którą chcę się spotkać. Maud Brixenham.

- Poznałem ją. Przywodzi mi na myśl antylopę.
- Chce pan pójść ze mną?
- Nie. Sądzę, że zajmę się robieniem notatek.

Wiggins nie był bynajmniej zadowolony z tego, że się go wy-  
ciąga z ciepłego pubu i zmusza do chodzenia we mgle.

Gdy wyszli już na zewnątrz, powiedział Jury'emu, że, co  
prawda, parę osób spośród służby jak przez mgłę pamięta  
Dillys March, ale wszystkie te osoby mają żelazne alibi.

- To znaczy, wszystkie z wyjątkiem Olive Manning. Bo  
ona poszła na górę mniej więcej w tym samym czasie co Ju-  
lian Crael. Koło dziesiątej, jak mówi. A jej pokój jest w innym  
skrzydle. Więc mogła się z łatwością wymknąć i nikt by o tym  
nie wiedział. No, a poza tym ona ma wielką pretensję do Dil-  
lys March. O to, że z powodu tej dziewczyny jej syn Leo wpadł  
w kłopoty zdrowotne.

- Tak, wiem. Będę musiał porozmawiać z panią Manning.  
- Znaleźli się właśnie po drugiej stronie zatoczki. - Gdzie jest  
Lead Street? - zapytał Jury.

Wiggins wskazał małą, biegnącą kuliście uliczkę, tak wą-  
ską, że z trudem mogły nią przejść obok siebie dwie osoby.

- Tam, panie inspektorze. Stoją przy niej domki rybackie,  
przerobione na chatki letników.

- Co za wytworność i elegancja - skomentował tę infor-  
mację Jury.

## 13

Maud Brixenham szła przez życie, gubiąc woale i szpilki.

W każdym razie takie wrażenie miał Jury, patrząc, jak na  
kształt fali ciągnie się za nią tiulowy szal, w chwili gdy ona  
sama przemieszcza się pomiędzy sofą a komodą. Jury zasta-  
nowił się, czy udrapowała ten szal na sobie dla ukrycia oznak

starzenia się, takich jak żyły występujące na szyi czy drobne zmarszczki.

- Sherry? - rzuciła w jego kierunku przez ramię.

Jury i Wiggins, obaj usadowieni wygodnie na sofie, odmówili.

- A ja się napiję - oznajmiła - jeżeli panowie nie mają nic przeciwko temu.

Jej głos popłynął ku nim tak samo jak opadający zwiewny szal. Nalewała z butelki, której Jury nie widział. Zobaczył natomiast chusteczkę do nosa, wypadającą z jej kieszeni czy rękawa, w chwili gdy odstawiała butelkę. Zobaczył też szpilki do włosów, sterczące niby kolce jeżozwierz z luźnego koka na karku kobiety. Wydawało mu się, że te szpilki przytrzymują bardzo niewiele, bo kok prawie się rozpadał, a rozwichrzono kosmyki wystawały z niego niczym pióra kurczaka.

Maud Brbcenham wróciła na swoje miejsce naprzeciwko obu policjantów i usiadła, trzymając kieliszek na płasko ułożonej dłoni. Westchnęła.

- Sądzę, że przyszlście tu panowie w związku ze sprawą tej dziwnej młodej kobiety.

Jury uśmiechnął się nieznacznie. Nie „nieszczęśliwej”, nie „biednej”, tylko „dziwnej”. Maud Brixenham nie marnowała czasu na udawanie współczucia. Upiła nieco sherry i postawiła żłobkowy kieliszek na stole. Jury zauważył, że jak na sherry płyn jest bardzo jasny. Czyżby to był dzin? - pomyślał.

- W jakim sensie „dziwnej”, panno Brixenham?

- Chciałam to ująć grzecznie. Miałam na myśli to, że ona była przebiegła.

- Przebiegła?

- No tak. Całe to jej udawanie. To podszywanie się pod Dillys March.

- „Udawanie”? „Podszywanie się”?

Spojrzała mu prosto w oczy.



- Czy pan zawsze bawi się w echo, panie inspektorze? Okazuje się pan gorszy od mojego psychiatry. A z niego jest naprawdę niezłe ziółko. Dobrze, udam, że pan nic o tym nie wie, i wyjaśnię. Otóż ta Tempie zjawia się w Old House, oznajmia, że jest dawno zaginioną podopieczną Titusa, i wkręca się do domu, mając nadzieję, że zostanie przygarnięta na łono rodziny.

Maud Brixenham machnęła ręką z dezaprobatą i wzięła kieliszek.

- Nie uwierzyła pani w jej opowieść?

- Ani na moment. A pan w nią wierzy?

Wyjęła papierosa z pudełka z laki i wetknęła go w mającą stopę długości onyksową cygarniczkę. Palce miała upierścienione.

- Ale sir Titus w nią uwierzył.

- Sir Titus jest moim najdroższym przyjacielem, jednak muszę przyznać, że raczej łatwowierny z niego człowiek. Rzecz polega na tym, że uwielbiał Dillys, gdy ta była jeszcze dzieckiem. A poza tym czuje się bardzo rozczarowany, bo nie ma wnuków. I nie będzie miał. Bo wygląda na to, że Julian nigdy mu ich nie da.

- Lubi pani sir Titusa?

Odpowiedzią były dwa jaskrawe rumieńce, które pojawiły się na jej dużej, kwadratowej twarzy. Maud Brixenham nie była piękną, ale miała klasę. Przypominała konia dobrej rasy, a pułkownik mógł to doceniać.

- Poszła pani na tę zabawę w wieczór Trzech Króli, prawda?

- Tak. Prawie wszyscy mieszkańcy Rackmoor bywają na tych zabawach. To taka tutejsza coroczna impreza. Bal kostiumowy... Ale pan to, oczywiście, wie. W chwili śmierci ta kobieta miała na sobie kostium. Był niezwykle, czarno-biały. To Lily go wymyśliła. Bardzo oryginalny i bardzo dziwny, wie pan, jak rysunek Picassa, z tym efektem zniekształconych

połówek... Co do mnie, to poszłam przebrana za Sebastiana. Myślałam, że tak będzie dobrze. A Lily przebrała się za Violę. I muszę powiedzieć, że okazała się tym urodziwszym z bliźniąt. No, ale ona jest naprawdę ładną młodą kobietą. Les, to znaczy mój siostrzeniec, przebrał się, że tak powiem, za samego siebie. Bo on zawsze chodzi w kostiumie. Kowbojski kapelusz, kowbojskie buty, kurtka z frędzlami, no i dżinsy. A także T-shirty z okropnymi obrazkami, na przykład wywalonymi językami albo jakimiś zwiariowanymi napisami w rodzaju *Friday*. Jeżeli o mnie chodzi, to wolę nie pytać, co to znaczy. Czy pan to wie?

- Frisbee - poprawił Wiggins, a gdy oboje na niego spojrzeli, wyjaśnił: - Wie pani, taki plastikowy talerz, którym się rzuca.

Jury przekonywał się nie po raz pierwszy, że sierżant potrafi być kopalnią przypadkowych informacji.

- Co za inteligencja, panie sierżancie. - Maud Brbcenham podniosła wzrok na sufit. - On teraz jest tam. Nie mam pojęcia, dlaczego nie słyhać muzyki.

- Ale opowiadała pani o balu, panno Brixenham.

-r Ach tak. Przepraszam. No cóż, uczestniczyło w nim ze czterdzieści albo i pięćdziesiąt osób. Był ogromny bufet. Wszystko zaczęło się chyba gdzieś tak po dziewiątej. Większość zaproszonych znajdowała się w salonie zwanym Bracewood Room... Titus nadaje pokojom we dworze nazwy od imion swoich koni. Czy to nie urocze? Ale właściwie od gości roilo się w całym domu. Na podeście przygrywali muzycanci. Ten podest wygląda trochę tak jak galeria dla minstreli. A ci muzycanci minstreli bardzo przypominali. Na pewien czas rozeszli się po domu. I też byli w kostiumach. Catering pochodził... Nie, nie wiem, z jakiej firmy. Kelnerzy uwijali się wszędzie. A jakie kostiumy powymyślali mieszkańcy wioski! Panna Cavendish, ta z biblioteki, w przebraniu Madame Du Barry była całkiem odmieniona. Wyobraża pan sobie ją jako

Madame Du Barry? Przyszli też państwo Steedowie... To takie młode małżeństwo, mieszkają na Scroop Street... Byli przebrani za Henryka VIII i jedną z jego żon, nie pamiętam którą. No cóż, to raczej bez polotu. A znowu Honeybunowie...

- A pani? O której godzinie pani się tam zjawiała?

- Koło wpół do dziesiątej. Nie jestem tego tak do końca pewna. Ale Les może lepiej pamiętać. Chociaż nie. On nic nie pamięta. Natomiast Lily pewnie tak. Zatrzymaliśmy się po drodze, żeby zabrać na zabawę i ją.

- A o której pani wyszła ze dworu?

- Niedługo po dziesiątej. Bo Lily źle się poczuła. Zjadła coś, co jej zaszkodziło. Wyszłam więc z nią, udałam się do niej i przez jakiś czas tam zostałam.

- Czy tamtej nocy widziała pani Gemmę Tempie?

- Ależ nie. Jak już mówiłam inspektorowi Hawkinsowi...

- Harkinsowi.

- Tak. Gemma Tempie nie pojawiła się tamtego wieczoru w Old House. - Maud Brixenham przeniosła wzrok z Jury'ego na Wigginsa, tak jakby przyszła jej do głowy jakaś myśl. - Wydaje mi się, że to była wymarzona noc na morderstwo. Prawie wszyscy mieszkańcy wioski znajdowali się we dworze. No, może poza stałymi bywalcami pubu „Pod Przechytrzonym Lisem” i drugiego, „Pod Dzwonem”, których trudno stamtąd wyciągnąć.

- Którędy pani i panna Siddons... i Les, tak?... no więc którą wracaliście do domu panny Siddons?

- Tylko Lily i ja. Bo Les poszedł chyba przez las. No, w każdym razie obie z Lily poszłyśmy wzdłuż wału nadmorskiego.

To trochę dłuższa droga, ale tamta, ta, którą wybrał Les... tam jest tak ciemno i strasznie...

Maud Brixenham wdrygnęła się lekko i sięgnęła po drinka.

- Więc idąc, nie znalazłyście się w pobliżu Angel Steps?

-Nie.

- A czy po drodze minęłyście się z kimś?

-Nie.

Nastąpiło krótkie milczenie. Mierzyli się nawzajem wzrokiem, a Maud wypła do końca swego krystalicznie jasnego drinka.

- Rozmawiała pani z panną Tempie w pubie, prawda?

- Tak, rozmawiałam. Spędzam w pubie „Pod Lisem” sporo czasu. Zwłaszcza kiedy nie idzie mi pisanie. A poza tym lubię trochę ponosić miejscową atmosferę. Muszę panu powiedzieć, że naprawdę żałuję, że nie jestem autorką powieści kryminalnych. Gdybym nią była, mogłabym tę historię wykorzystać.

Wiggins podniósł wzrok znad notesu.

- Jest pani pisarką? - zapytał zaskoczony. Rozejrzał się po pokoju wzrokiem, jakim mógłby oglądać grootę Merlina.

- A jakie książki pani pisze?

- Och, takie zwyczajne. O europejskich jaskiniach rozputy, o handlu żywym towarem, o mordercach. A wszystko pełne niecenzuralnych słów. Rosalind van Renseleer. To mój pseudonim literacki.

- Widziałem gdzieś pani książki. A pan, panie inspektorze?

Jury nie widział, ale uśmiechnął się i kiwnął głową.

- O czym pani rozmawiała z panną Tempie? Wtedy kiedy mówiłyście ze sobą w pubie?

- Nie rozmawialiśmy o niczym istotnym. Mogę pana zapewnić, że ona bynajmniej nie wyglądała na osobę sąd. Z takiej wioski, jaką jest Rackmoor. Sztuczne futro prawie do kostek. Prosto z Carnaby Street. Modne botki, które przy tej pogodzie na nic się nie zdają. Opowiadała o Londynie, narzekała na tutejszą pogodę, mówiła o morzu. Jeżeli chce pan wiedzieć więcej, to radzę spotkać się z Adrianem Reesem.

Maud Brixenham niedbałym ruchem zdjęła z bluzki jakiś kłaczek.

- Z Adrianem Reesem?

- No wie pan, chodzi o to, że pewnego wieczoru widziałam ich razem. - Maud posłała Jury'emu znaczące spojrzenie. - Szli wzdłuż High Street. Przypuszczam, że do niego.

Jury nic na to nie powiedział.

- To było w przeddzień obiadu u Titusa. Zabawne, ale Adrian podczas tego spotkania nie dawał po sobie poznać, że ją zna. To było takie małe przyjęcie. Tylko Titus, Lily Siddons, Adrian i ta Tempie. No i ja. Znajdowaliśmy się w Bracewood Room. Przypominam sobie, że panna Tempie siedziała przed kominkiem. Julian i ja staliśmy z kieliszkami sherry. To chyba wtedy weszła Lily. Wyglądało na to, że na widok tej Tempie doznała okropnego szoku. Skamieniała po prostu w drzwiach i zaczęła się w nią wpatrywać.

- Uderzyło ją jej podobieństwo do Dillys March, tak?

- Uderzyło? Ona była naprawdę w szoku. Pobladła. Twarz zrobiła jej się tak biała jak sukienka. No cóż, podobieństwo było naprawdę uderzające. Ale powiedzieć, że ta kobieta to naprawdę Dillys March... - Maud wzruszyła ramionami. - Julian oczywiście zgadza się ze mną. Cała ta sprawa jest wręcz groteskowa.

- Czy rozmawiając z panią w pubie, Gemma Tempie zdradziła się z tym, że zna Rackmoor? Że tu kiedyś mieszkała?

- Nie. Ale jestem pewna, że chciała ten smakowity kąsek zachować na później. Jak by powiedział Les, zachowywała spokój. Nie wydała mi się typem osoby, która może doprowadzić do tego, że zostanie zamordowana. Nie była na to wystarczająco inteligentna.

To naprawdę świeże spojrzenie na sprawę, pomyślał Jury.

- Nie całkiem panią rozumiem - powiedział.

- No cóż, wydawała się osobą skłoną raczej wykonywać cudzy plan niż inicjować swój. Co raczej nie sprowadza na kogoś śmierci z rąk mordercy, prawda?

- Co ona dokładnie pani powiedziała podczas tej rozmowy?

- Że jest na wakacjach. I ma w Rackmoor przyjaciół. I że tymi przyjaciółmi są Craelowie. Tak, nie kto inny, tylko właśnie oni. Co do mnie, to nie łączyłabym jej z tą rodziną. To nie był ten typ.

- A czy podała jakieś szczegóły dotyczące swoich związków z rodziną Craelów?

- Nie. Ale powiedziała, że zna ich od dawna. Od dzieciństwa. I nic więcej.

- A któredy dokładnie szły panie przez wioskę? To znaczy, już po przejściu wzdłuż wału nadmorskiego.

- Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że się jeszcze napiję? Po drinku będzie mi łatwiej mówić. Wygląda na to, że dziś mnie suszy. Pisanie nie idzie mi dobrze.

Zerwała się, gubiąc spadające kaskadą szpilki do włosów, a także gruby skórzany pas, zapięty luźno na bluzce z drukowanej indyjskiej tkaniny. Znalazszy się ponownie koło barku, wzięła butelkę tak, żeby ta była niewidoczna, i wróciła na swoje miejsce, podtrzymując płasko rozłożoną dłonią pełny kieliszek. Wiggins odsunął od nosa inhalator tak, jakby podczas spełniania toastu chciał grzecznie przyłączyć się do niej.

- Zeszliśmy po schodach zwanych Fox Steps, tych, co prowadzą do wału nadmorskiego. Minęliśmy pub i poszłyśmy do domku Lily. Jak już mówiłam, zostałam z nią przez jakiś czas. Chciałam się upewnić, że nie potrzebuje...

Trzask. A właściwie nie trzask. Raczej ryk potężnego klaksonu sprawił, że wszyscy troje podnieśli nagle głowy. To, co z początku było ogłuszającym hałasem, okazało się w końcu brzmieniem z trudem dających się rozróżnić instrumentów - gitar elektrycznych, perkusji. Słyszać też było rytmiczny, nosowy śpiew, słów jednak nie dawało się zrozumieć.

- A nie mówiłam? - powiedziała Maud, po czym, nie wstając, sięgnęła po długi kij, oparty o biblioteczkę i najwyraźniej przeznaczony do tego, do czego go teraz użyła.

Buch, buch, buch - zaczęła nim walić w sufit. Piekielny hałas nieco przycichł.

- Widzi pan, jakie mam tutaj atrakcje? The Grateful Dead. Jeżeli Les wkrótce nie wyjedzie do Stanów, to chyba sama wstąpię do tego zespołu.

- To pani siostrzeniec? Jest Amerykaninem?

- Jedno spojrzenie przekonałoby pana o tym. To syn mojej siostry. Jest z Michigan czy Cincinnati. No wie pan, z jednego z tych ichnich miejsc. Siostra doszła do wniosku, że Boże Narodzenie spędzone w Anglii poszerzy jego horyzonty. No i mam go teraz na karku. Jego ferie dobiegają już końca, ale jakoś nie mogę się go pozbyć. Sądzę, że w tych komunalnych blokach znalazł sobie jakąś dziewczynę. No i, co oczywiste, nie pali się do powrotu do szkoły. A moja siostra nie pali się do tego, żeby mieć go znowu na głowie. Nie mam doprawdy pojęcia dlaczego. - Stuknęła jeszcze kilka razy kijem w sufit i hałas znowu odrobinę przycichł. - Od czasu gdy się tu pojawił, mnie z pewnością przesunął się próg. Zaraz to wyjaśnię. O ile mi wiadomo, ucho ludzkie zdolne jest tolerować dźwięki na poziomie stu piętnastu decybeli jedynie przez piętnaście minut. Przeciętny koncert rockowy, jakiego jest mi dane wysłuchać dzień w dzień, dostarcza uchu koło stu czterdziestu. To jest próg bólu.

Maud uśmiechnęła się promiennie, gdy łomocząca piosenka dobiegła końca, a muzyka ucichła. Zaraz potem na schodach rozległ się tupot ciężkich buciorów.

Wiggins, podatny na wszelkie choroby i dolegliwości, łącznie z głuchotą, oderwał dłonie od uszu.

Młody chłopak w wieku jakichś lat szesnastu wpadł do pokoju tak gwałtownie, jakby wpędziły go tu wichur i burza. Jego ubranie - kowbojski kapelusz, dzinsy, kowbojskie buty,

kurtka z frędzlami oraz ciemne okulary - tworzyło piorunującą mieszankę, a on sam zdawał się być czymś więcej niż sumą wszystkich tych elementów.

- To mój siostrzeniec, Les Aird - przedstawiła go Maud Brixenham. - A to pan inspektor Jury ze Scotland Yardu.

Jury przypomniał sobie, że sam, mając szesnaście lat, zachowywał się dokładnie tak jak Les w tej chwili, to znaczy usiłował udawać, że nic nie jest w stanie zrobić na nim wrażenia. Czy naprawdę kiedykolwiek byłem w tym wieku? - zastanowił się jeszcze i przywołał obraz nastoletniej, amorficznej, nudnej i nieokreślonej kluchy.

Les Aird próbował tymczasem przyjąć postawę manifestującą zarówno szacunek, jak i znudzenie. Żucie gumy ustało, okulary zostały poprawione, dało się słyszeć odchrząknięcie, a ręce chłopaka powędrowały do kieszeni dżinsów. Próbował grać na zwłokę. W końcu jednak zdecydował się po prostu wyciągnąć rękę, kiwnąć energicznie głową i powiedzieć:

- Hej, to super.

Przy czym tonu tego powitania nie cechował bynajmniej brak respektu. Przypominało ono raczej generalskie: „Czołem, żołnierze!” A Les zaczął się powoli wyłaniać ze swojego nastoletniego zbiornika nonszalancji.

- Chciałbym zadać ci kilka pytań - odezwał się Jury.

Morderstwo potrafi człowieka podekscytować, jak i wytrącić z równowagi. Dlatego też po tych słowach usłyszał, że Lesowi łamie się trochę głos.

- Okej, proszę pytać - odrzekł chłopak.

Po czym usiadł na kanapie obok ciotki. A raczej przysiadł na brzeжку mebla, jak zauważył Jury, wychylony do przodu, z jedną ręką na obleczonym w dżinsowy materiał kolanie, a drugą wspartą o biodro.

- Niech pan strzela.



To zaproszenie mogło być całkiem dosłowne. Przeżuwa-  
jące szczęki poruszały się teraz bardzo szybko.

- Chodzi o tę zamordowaną. Czy podczas jej pobytu w  
Rackmoor kiedykolwiek ją widziałeś?

- Tak. To była seksowna lala.

Les uśmiechnął się i poruszył brwiami.

- Próbowaleś z nią w ogóle rozmawiać?

- O czym?

Obojętność spojrzenia chłopaka była niemal oślepiająca.

- Rozmawiałeś z nią, Les? -

Nie.

- Ale ją widziałeś - ciągnął Jury.

- Widywałem tu i ówdzie.

- A tego wieczoru, kiedy została zamordowana? -

Nie.

-Tak.

Powiedzieli to równocześnie - Les Aird i Maud Brixen-  
ham. Maud wyglądała na ogromnie zaskoczoną.

- Widziałem ją, ciociu.

- Nie mówiłeś mi o tym. Les  
wzruszył ramionami.

- Wtedy o tym nie wiedziałem.

- Nie powiedziałeś o tym także inspektorowi Harkinsowi.

- Wtedy też o tym nie wiedziałem. To znaczy, nie wie-  
działem, że to była ona. Ten inspektor Harkins powiedział  
tylko, że ktoś tę kobietę sprzątnął. Nie powiedział mi, jak wy-  
glądała. Więc skąd miałem wiedzieć, że ta, którą widziałem,  
to właśnie ona? To było po wyjściu z tej imprezy, tak koło  
wpół do jedenastej, no, może za kwadrans jedenasta. Wtedy  
ją widziałem. Kiedy ją zobaczyłem w tym kostiumie, pomy-  
ślałem, że jest jedną z osób, które idą do dworu. Nie przepa-  
dam za takimi imprezami. Ale wyzerka była super. Jedzenia  
potąd. Naprawdę. Jednak kiedy zobaczyłem te wszystkie  
króliki, wymiękłem i ewakuowałem się.

Jury zamrugał powiekami.

- Króliki?

- Biegało ich chyba z pół tuzina. Po prostu obłąd.

- Troje mieszkańców wioski - wyjaśniła Maud - postanowiło przebrać się za króliki o imionach Flopsy, Mopsy i Cottontail.

- Którędy wróciłeś do wioski?

- Szedłem ścieżką, która się kończy w pobliżu kościoła i Psalter's Lane.

- A potem którą?

- Potem zszedłem po Angel Steps do Scroop Street. Leciał za mną Am, więc poszedłem z nim wzdłuż Scroop Street, a potem Dagger Alley do High Street. I kiedy zza ściany mgły wyłoniła się ta twarz, poczułem się naprawdę dziwnie. Pomyślałem, że to godzina wampirów. Twarz była w połowie czarna, a w połowie biała. - Les narysował dłonią linię od swego czoła do nasady nosa, oddzielając lewą część twarzy od prawej.

- Nawet Am zaczął szczekać. A jego niełatwo skłonić do ujadania.

- I to było na High Street?

- Tak. Pomyślałem, że ona wyszła spod „Dzwonu”.

- I dokąd poszła? Wzdłuż Dagger Alley?

- Nie potrafię powiedzieć. Albo tamtędy, albo wzdłuż High Street.

- I było wtedy, twoim zdaniem, około wpół do jedenastej?

- Coś koło tego, jeżeli dobrze pamiętam.

- Przejście z Old House na High Street zajęło ci pół godziny?

Les kiwnął głową, ale wyglądał przy tym dość nieswojo.

- Tak. Pomyliłem drogę. Skręciłem nie w tę uliczkę, co trzeba, i musiałem zawrócić.

Jury nie naciskał. Pewnie Les po drodze przystanął, żeby wypalić papierosa. Jury wąpił, by za tą różnicą czasu kryło

się coś poważniejszego. Ale z całą pewnością zastanawiająca była różnica czasu w wypadku tej Tempie.

- Widziałeś ją koło wpół do jedenastej. Adrian Rees wi-  
dział ją tuż przed zamknięciem pubu, jakiś kwadrans po jede-  
nastej. Gdzie ona była przez te czterdzieści pięć minut?

Jury postawił to pytanie raczej sobie niż Lesowi, ale Les  
odpowiedział na nie:

- Nie mam pojęcia. Ewakuowałem się stamtąd. Poszed-  
łem pod górę na osiedle Strawberry Flats. Żeby się zobaczyć  
z moją dziewczyną.

- Kto mieszka w tamtej części wioski, Wiggins? Spójrzmy  
na plan.

Adrian Rees, oczywiście. Bez najmniejszych wątpliwości.  
Wiggins wyjął i rozłożył plan wioski, który dostał od  
Harkinsa.

- Jest. Percy Blythe. Mieszka na Dark Street. Steedowie  
mieszkają naprzeciwko biblioteki, to znaczy przy końcu  
Scroop Street. O tej porze roku większość domów w tej oko-  
licy jest pusta.

Jury pochylił się i zaczął się przyglądać planowi. Nigdy  
w życiu nie widział takiej pajęczyny wąskich uliczek. To  
znaczy nie, nie pajęczyny. Pająki budują znacznie bardziej  
symetryczne sieci niż sieć uliczek w Rackmoor. Dark Street  
była ślepym zaułkiem, z którego jedyne wyjście prowadziło  
na Scroop Street. A Dagger Alley - wąziutką niczym ostrze  
noża uliczką między pubem „Pod Dzwonem” a jakimś pu-  
stym magazynem.

- No cóż, dzięki, Les. Daj mi znać, jeżeli sobie coś jeszcze  
przypomnisz.

- Dobra.

Les poprawił ciemne okulary.

Maud Brixenham odprowadziła Jury'ego i Wigginsa do  
drzwi, ciągnąc za sobą kawałek papieru, który odkleił się jej  
od buta. Toczył się też za nią mały guziczek, który w końcu

poddał się sile ciężenia. Jury zastanawiał się w duchu, jak ta kobieta uniknęłaby identyfikacji, gdyby popełniła morderstwo. Bo przecież zostawiłaby za sobą cały ogon śladów, ciągnący się od Rackmoor do Scarborough.

Już na zewnątrz, znalazłszy się we mgle, odwrócił się ku niej i powiedział:

- Dziękuję, panno Brixenham.

- Niech panowie nie zabłądzą we mgle.

Jury uśmiechnął się.

- Sądzę, że Rackmoor jest na to za małe.

- O, niech pan w to nie wierzy. Było to kiedyś ulubione miejsce spotkań przemytników. Łatwo się tu schować wśród tych krętych małych uliczek.

Jury'emu wydawało się, że Wiggins manifestuje pewną niechęć do ruszenia się z miejsca, w którym się znajdowali.

- Czy miałby pan jeszcze jakieś pytania, panie sierżancie?

- Zastanawiałem się tylko... - zwrócił się Wiggins do Maud Brixenham - czy pisanie to trudne zajęcie?

Jury westchnął i zapalił papierosa. Czyżby Wiggins próbował w Rackmoor odnaleźć swoją prawdziwą tożsamość?

## 14

Przygnębienie i zdenerwowanie, w które popadł, rozmawiając z Lily Siddons, zagarnęły go niby ciemna fala, gdy na drugi dzień rano obudził się i zwrócił twarz ku oknu, wiedząc, że nie zobaczy nic poza szarą mgłą, zasłaniającą wszelki widok. Smutek przysiadł zgarbiony na jego piersi niczym senny koszmar. Jury zmusił się jednak do wstania i podszedł do okna. Wyrzał i w słabym świetle poranka dostrzegł pełną niepokoju morską wodę o barwie cyny, a także małe zielone i niebieskie łódki rybackie.

Ubrał się i z jednym butem w dłoni usiadł ponownie na łóżku. Wpatrywał się w dywan - w jego wywołujący amnezję wzór z wijących się łodyg i liści, wyblakły tak, że zlewał się z szarym tłem. Nie podobała mu się ta sprawa. Przy jej okazji uczucia, które dawno ukrył na wysokich półkach swego umysłu, wciąż groziły, że stamtąd wychyną.

Zawiązał drugie sznurowadło, wstał, podszedł do wysokiego obrotowego lustra, spojrzął w nie i po raz setny, nie - tysięczny, zastanowił się, dlaczego został policjantem i dlaczego być nim nie przestał. Zastanawiał się też, czy nieświadomie nie współdziała z nadinspektorem Racerem na własną niekorzyść, jeżeli chodzi o drogę do awansu. Stanowisko nadinspektora od dawna mu się należało, ale wciąż go nie miał. Patrząc w lustro, pomyślał, że wygląda jak glina, a raczej wręcz jak uosobienie gliny - wysoki, dobrze zbudowany, w ciemnym garniturze. I jest taki solidny. Dokładnie jak glina albo jak urzędnik Banku Anglii.

Jak zwykle w stanie przygnębienia, przyjrzał się dokładnie swojemu ubraniu, zwracając uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Tak jakby przełożenie chusteczki z jednej kieszeni do drugiej miało moc przemienienia go z żaby w księcia.

Dlaczego włożyłem ten stary niebieski krawat? - zastanowił się. Do diabła z nim! Cisnął ten idiotyczny krawat, zdjął marynarkę, włożył gruby sweter, do którego pasowała wiatrówka. Z łóżka z baldachimem wziął tweedowy kapelusz i włożył go sobie na głowę. Dlaczego to robię, dlaczego pełen próżności przeglądam się w lustrze, przebierając w ubraniach jak debiutantka zmieniająca suknie przed bale? Teraz wyglądał tak, jakby brakowało mu tylko laski z tarniny i paru psów myśliwskich, z którymi chodzi się na spacerach po wrzosowiskach.

W jego umyśle pojawił się pewien obraz i zaraz zniknął - niby coś, co unosi się na wodzie u brzegu stawu, coś poza zasięgiem człowieka, coś, co migocze, tonie. Coś jak nazwi-

sko na końcu języka, jak ulotna twarz, jak senny majak, który pojawia się i znika. To spojrzenie w lustro go wywołało. Jury przypomniał sobie wszystkie czynności, które wykonał, stojąc w tym pokoju, ale to coś nie wyłoniło się ponownie, nie wypłynęło na powierzchnię. Był pewien, że gdyby zdołał tę rzecz odnaleźć, gdyby udało mu się wytropić ten mały szczegół, miałby w ręku niezmiernie ważną część układanki.

Wciąż przeglądając się, westchnął. Czy ja jestem wystarczająco inteligentny, żeby być gliną? - zadał sobie w duchu pytanie, odwrócił się od lustra i zszedł na śniadanie.

Śniadanie okazało się imprezą nieco pogodniejszą od ubierania, mimo że na dole siedział już Wiggins i popijał jakieś dwukolorowe pigułki sokiem pomarańczowym. Tego ranka okazał jednak litość - powstrzymał się od opisywania różnych odmian kaszlu, chłodu i przeziądek, które sprawiły, że przez całą noc przewracał się z boku na bok. Tak, Wiggins sprawiał wrażenie wręcz wesołego. Pochwalił przygotowane przez Kitty śniadanie, składające się z wędzonego śledzia, jajecznicy, grzanek i smażonych pomidorów.

- Dzwonił dziś rano inspektor Harkins - oznajmił. - Z informacjami na temat Gemmy Tempie. Dotyczyły Raineyów, rodziny, u której mieszkała przez osiem czy dziewięć lat.

- Czy ci ludzie potrafiliby zaręczyć, że to była Gemma Tempie, a nie ktoś inny?

- I tak, i nie.

- To znaczy?

- Zamieszkała u nich dopiero w wieku lat osiemnastu czy dziewiętnastu. Jako *aupair* i w ogóle służąca. Ta rodzina mieszka w Lewisham. - Wiggins zajrzał do notesu i odczytał: - Na Kingsway Close pod numerem czwartym.

- Ale oni z pewnością zażądali referencji. Przecież dziewczyna miała opiekować się ich dziećmi.

- Miała referencje. Jednak gdy Harkins je sprawdził, okazały się fałszywe.

- A co ze zdjęciem Dillys March? Nie potrafili nic powiedzieć na jego podstawie?

- Stwierdzili, że dziewczyna na zdjęciu wygląda kropka w kropkę jak Gemma. No i, oczywiście, potrafili zidentyfikować Gemmę na podstawie zdjęć zrobionych w kostnicy. Według nich, to była Gemma.

- No tak. Ale pozostaje pytanie, czy to była także Dillys. Czy Harkins sprawdził kartotekę dentystyczną?

- Nic o tym nie wspominał. Ale ta Olive Manning... Sądzę, że pan powinien z nią porozmawiać. Jest okropnie na tę Dillys March zawzięta. Moim zdaniem, miałyby naprawdę poważny motyw.

- Hm. Poważny motyw. No może. Chociaż jest mało prawdopodobne, że to załamanie nerwowe u Lea Manninga spowodowało Dillys March. Nie sądzę, żeby człowieka do choroby psychicznej doprowadzał drugi człowiek. A pan, sierżancie, jak pan sądzi?

Wiggins sprawiał wrażenie, że się zastanawia.

- No cóż, było przecież to, co Charles Boyer zrobił Ingrid Bergman. Oglądałem na ten temat program w telewizji.

Jury udął, że nie słyszał tych słów.

- Czy Olive Manning sprawiała wrażenie przekonanej, że ta kobieta to Dillys March, która wróciła na łono rodziny Craelów?

- Zdecydowanie nie.

- Czy miałyby zatem powód, żeby ją zabić?

- No nie. Ale mogła przecież kłamać, mówiąc, że nie jest o tym przekonana.

- Hm. A spójrzcie na to, Wiggins. - Jury wyjął zdjęcie, które zabrał ukradkiem z domku Lily. - To Mary Siddons, matka Lily.

Wiggins wziął zdjęcie do ręki.

- Ta, co utonęła, tak?

- Utonęła podobno przypadkiem. Choć ja jestem pewien, że to było samobójstwo. Ona przecież tutaj mieszkała, więc musiała dobrze wiedzieć, że chodzenie tamtą drogą podczas przyływu jest cholernie niebezpieczne. Ale mnie interesuje nie ona, tylko to zdjęcie. Proszę zobaczyć, zostało obcięte.

- Jury wyjął zdjęcie z ramki. - Niech pan spojrzysz tu, po lewej stronie. Zastanawiałem się, dlaczego ta kobieta znajduje się tak blisko górnej krawędzi fotografii. Odpowiedź brzmi: Bo zdjęcie zostało obcięte. Powstaje pytanie: Dlaczego?

- Ktoś je przyciął, żeby dopasować do ramki?

- Jest znacznie bardziej prawdopodobne, że ktoś został z niego wycięty.

Wiggins ponownie przyjrzał się zdjęciu.

- Może ojciec tej Lily? Odszedł przecież i zostawił je na pastwę losu.

Jury wzruszył ramionami i włożył zdjęcie do kieszeni. Wiggins wyjął krople do nosa.

Jury przechylił się do tyłu razem z krzesłem i zaczął się przyglądać wiszącym rzędem na ścianie sztychom, przedstawiającym sceny myśliwskie.

- Myślałem o tym kostiumie. Czy można przypuszczać, że za tym, że Lily pożyczyła go Gemmie Tempie, krył się jakiś motyw? Lily Siddons bała się, że ktoś próbuje ją zabić. Twierdzi, że już przedtem zdarzyły się dwie próby zamachu na jej życie. Więc może po prostu postanowiła spowodować, żeby to Dillys March zajęła jej miejsce jako ofiara?

Zbliżając malutki zakraplacz do prawego nozdrza, Wiggins powiedział:

- Ttoche prematyżne.

Po czym wciągnął krople.

Jury dość dobrze opanował słownictwo Wigginsa, prze-filtrowane przez chmury chustek do nosa i opary lekarstw, jednak te dwie jednostki leksykalne zupełnie mu umknęły.



- Proszę to przetłumaczyć, sierżancie.

- Przepraszam, panie inspektorze. Ta cholerna wilgoć zaatakowała mi zatoki. Mówiłem, że to trochę problematyczne. Bo tak jest, prawda? To znaczy, Lily Siddons nie ma nawet pewności, albo nie miała jej do chwili morderstwa popełnionego na Gemmie Tempie, że ktoś rzeczywiście próbował ją zabić. Więc podsunąć tej Tempie swój kostium, w nadziei że ktoś weźmie tę kobietę za nią, byłoby... no cóż, sposobem bardzo niepewnym... A poza tym co ona mogła mieć przeciwko Gemmie Tempie?

- Przeciwko Gemmie Tempie nic. Ale mnóstwo przeciwko Dillys March. Lily nienawdziła Dillys. Prawdopodobnie z wzajemnością. Chociaż muszę się z panem zgodzić, sierżancie, że byłby to cholernie niepewny sposób na pozbycie się wroga.

- I co by na tym zyskała? Co by osiągnęła, prócz zemsty?

- W ostatecznym rozrachunku - pieniądze od pułkownika Craela. Nie uwierzę, że nie może liczyć na sporą sumkę od niego. Zresztą to bardzo łatwo sprawdzić. Gdyby teraz pojawiła się tu Dillys March, to sądzę, że bez trudu utorowałyby sobie drogę do zapisu na swoją korzyść. - Jury przechylił się przez stół. - Proszę posłuchać, sierżancie. Zrobmy przegląd tych osób, które prawdopodobnie poniosłyby stratę, gdyby Dillys March wróciła do Rackmoor. I zastanówmy się, jak silny motyw i jak dobrą okazję miała każda z nich.

- Julian Crael. Moim zdaniem, miał najsilniejszy motyw. Ale ma też żelazne alibi.

- Zastanawiające - zauważył Wiggins, składając starannie serwetkę.

- Zastanawiające, ale możliwe. Następnie jest Adrian Rees. Miał doskonałą okazję. Szedł Grapę Lane i widział tam tę kobietę. Jednakże motyw w jego wypadku jest bardzo mierny. Przypuszczam, że w razie pojawienia się Dillys mece-

nat pułkownika Craela w stosunku do Reesa trwałyby nadal, choć być może w nieco okrojonej formie.

- Dalej jest Maud Brixenham. Miała zarówno motyw, jak i okazję. Załóżmy, że pułkownika interesuje małżeństwo. W razie powrotu córki marnotrawnej jego kapitał emocjonalny uległby podziałowi.

- Lily Siddons. Motyw? Tak. Ale okazja? Raczej nie. Jeżeli nie potrafiłaby w ciągu dziesięciu minut przybiec pędem ze swego domku, zamordować tej kobiety i wrócić do siebie, to nie wchodzi w grę jako podejrzana. Bo na dojsięcie w jedną stronę potrzeba co najmniej dziesięciu minut. A dodatkową komplikacją jest tutaj fakt, że być może ktoś usiłuje zabić właśnie ją.

- Kitty Meechem...

- O nie, panie inspektorze! Z pewnością nie!

Wiggins spojrział na obfite śniadanie, którym się właśnie raczył, tak jakby nie mógł uwierzyć, że zostało przygotowane przez morderczynię.

- Chcecie jeszcze jajecznicy, Wiggins?

- O nie, dziękuję. Już się najadłem.

Wiggins poklepał się po brzuchu.

Jury rzucił na stół kilka monet napiwku dla dość powolnej kelnerki imieniem Biddie czy Bitsy, która- zanim dopadła ją Kitty - spędziła mnóstwo czasu na przekładaniu sztuców na innych stołach i przyglądaniu się obu mężczyznom, i powiedział:

- Więc chodźmy.

Jury przechylił się przez wał nadmorski w miejscu, gdzie odpływ pozostawił po sobie obłe kamyki i muszle, a także wyciągnięte na brzeg małe łódki. Poranek był jaśniejszy niż poprzedni dzień, horyzont przypominał firankę z gazy, a zamglone słońce wisiało na niebie. Cała ta mała wioska, ze swymi pnącymi się w górę czerwobrazowymi dachami,

wyglądała na cudownie niestabilną - zdawało się, że w każdej chwili może się zwalić w dół niby konstrukcja zbudowana z klocków.

- Kiedy Maud Brixenham opisywała tę kolację... Proszę zajrzeć do notatek, sierżancie.

Wiggins wyjął notes. Jury często się dziwił, że sierżant na takich malutkich karteczkach potrafi aż tyle zapisać. Ale działa się tak pewnie dlatego, że pisał naprawdę drobnym maczkiem. Sierżant odszukał odpowiednie miejsce i zaczął czytać:

- „To było takie małe przyjęcie. Tylko Titus, Lily Sidons, Adrian i ta Tempie. No i ja. Znajdowaliśmy się w Bracewood Room...” To ten pokój, panie inspektorze, w którym pan rozmawiał z Julianem Craelem. „...i Gemma Tempie siedziała przed kominkiem. Julian i ja staliśmy z kieliszkami sherry...”

Jury spoglądał na morze, nie mając nic przeciwko nudzie ziejącej jak zwykle z notatek Wigginsa. Jego złość na sierżanta, spowodowana okolicznością, że ten zamiast faktów przedstawia czasem własne opinie, a także bolesnymi wprost dłużyznami, malała znacznie na myśl, że tam, gdzie chodziło o precyzję, nikt nie mógł dorównać sierżantowi Wigginsowi. W tej chwili przydługie sprawozdanie sierżanta wydłużało się jeszcze z powodu zamięłowania Maud Brixenham do szczegółów. Głos Wigginsa brzęczał, przedstawiając opis faktur materiałów obciowych i obrazów na ścianach. Sam Trollope nie mógłby zrobić tego lepiej. Jury czekał więc po prostu na tę część sprawozdania, która interesowała go najbardziej, patrząc, jak blade słońce, wyglądające zza chmur, rzuca nieregularny złocisty wzór ze światła i cienia na kamyki nadbrzeżne. W stronę morza wystrzelił petrel.

- „...a potem otworzyły się drzwi i weszła Lily. Skamieniała po prostu w drzwiach i zaczęła wpatrywać się w tę Tempie”. „Uderzyło jaje podobieństwo Dillys March, tak?”

To pan powiedział, panie inspektorze. A wtedy panna Brixenham odpowiedziała: „Uderzyło? Ona była naprawdę w szoku. Pobladła. Twarz zrobiła jej się tak biała jak sukienka”.

- Tego właśnie nie mogę zrozumieć - powiedział Jury.  
- Zareagowała tak, jakby sądziła, że to z całą pewnością jest Dillys March, i wcale nie sprawiło jej to przyjemności. I zdało się, że absolutnie nie kwestionuje tej historii, którą opowiedział pułkownik... że to ta daleka kuzynka... Uwierzyłyby pan w nią na miejscu Lily Siddons?

- Nie, chyba nie. Bo dlaczego owa kuzynka nie pojawiła się w domu nigdy wcześniej?

- I cała ta historia z kostiumem.

Jury stanął tyłem do wału, wyjął paczkę papierosów i ją otworzył. Wiggins tymczasem, jakby w braterskim zjednoczeniu ze zwierzchnikiem, wyciągnął nowe pudełeczko cukierków od kaszlu.

- Przypuśćmy na chwilę, że Lily naprawdę uwierzyła, że ta tak zwana Gemma Tempie to rzeczywiście Dillys. Nie znosiła tej dziewczyny. Bo w dzieciństwie grała zawsze drugie skrzypce, podczas gdy Dillys - pierwsze. Dlaczego zatem pożyczyła jej swój kostium?

- Bo chciała zrobić przysługę pułkownikowi Craelowi?

- Być może. A czy nie lepiej by było przygotować drugi kostium dla panny Tempie? Wie pan, sierżancie, ja myślę, że ona kłamie.

- Och. No cóż, panie inspektorze. - Twarz Wigginsa rozciągnęła się w wilczym uśmiechu. - Najprawdopodobniej oni wszyscy kłamią, jeżeli już o to chodzi. - Wiggins wrzucił sobie do ust cukierki przeciw kaszlowi i ssąc go, dodał jeszcze: - Na pańskiej liście nie ma pułkownika Craela. Czy to znaczy, że pan uważa, że on jest poza wszelkimi podejrzeniami? No, a poza tym naprawdę nie mam pojęcia, jaki motyw mogłaby mieć Kitty.

Jury roześmiał się.

- To pana gryzie, co? No cóż, przyznam, że nie jest zbyt prawdopodobne, by miała jakikolwiek. Ale założę się, że pułkownik zostawi jej swoje udziały w pubie. Trudno jednak stwierdzić, jak to mogłoby się wiązać z morderstwem popełnionym na Gemmie Tempie. No, w każdym razie Kitty ma takie samo alibi jak Lily. Były razem. A co do pułkownika, to zdecydowanie miał okazję do popełnienia tego morderstwa, ale moim zdaniem, nie miał absolutnie żadnego motywu.

- Nie wciągnął pan też na listę Olive Manning. A ona miała zarówno motyw, jak i możliwości.

Jury uśmiechnął się.

- Wygląda na to, sierżancie, że ją faworyzujecie. Podkradacie się do niej chyłkiem.

- Chodzi o to, że ona przecież znała Dillys March, i to naprawdę dobrze. A skoro już bierzemy pod uwagę zmowę, to trzeba stwierdzić, że bardzo prawdopodobne jest, że to właśnie ona znalazła tę Gemmę Tempie i widząc, jak bardzo ta kobieta przypomina Dillys, sprowadziła ją do Old House.

- Tak. Tu macie rację.

- Pan ma intuicję, panie inspektorze. Kto z nich jest, pańskim zdaniem, winien?

- Nie poznałem jeszcze oczywiście tej Manning, ale...

- No to kto z pozostałych?

To właśnie tak bardzo przygnębiało Jury'ego tego ranka. Przygnębiała go rzecz, która skierowała jego myśli w stronę wciąż niedoszonego awansu, w stronę pozycji, której tak skromnie nie brał w ogóle pod uwagę, powiadając sobie, że niepotrzebne mu te pieniądze, ten prestiż, to rozdymanie ego. Zastanawiał się teraz, czy nie zagraża mu wręcz degradacja. Bo przecież nie wiedział, jak odpowiedzieć na pytanie Wigginsa. Patrząc na mewy spacerujące po kamykach, na przygaszone złoto horyzontu, powiedział w końcu:

- Nikt z nich.

Ale ta powściągliwość nie sprawiła, że ucichły jego wzburzone uczucia.

## 15

Szary cętkowany kot zsunął się z parapetu i pomaszzerował na tyły Galerii Rackmoorskiej, demonstrując dobitnie, że jest jej właścicielem. Jury zakłócił bowiem jego drzemkę, przysunawszy twarz do szyby.

A wchodząc do środka, omal nie nadepnął na kopertę, którą ktoś najwyraźniej wsunął pod drzwi. Koperta się odkleiła i Jury dostrzegł, że wystaje z niej jeden z kilku włożonych tam banknotów funtowych. Koperta była tania, zaadresowana do B. Makepiece'a i wysiana kilka miesięcy temu. Jury'ego zainteresował adres nadawcy./?. *V.H. LondynS.W.I.* Przyglądał się mu jeszcze, kiedy pojawił się Adrian Rees. Malarz miał na sobie pobudzony farbami fartuch i trzymał małą miseczkę. Kiedy postawił ją na drewnianej podłodze, szary cętkowany kot zbliżył się natychmiast.

- Powiedziałbym: „Proszę wejść”. Ale cóż, pan już jest w środku.

Adrian Rees ziewnął.

Jury podał mu kopertę.

- Znalazłem to na podłodze przy drzwiach. Adrian spojrzał na kopertę i lekko się zarumienił.

- O, no tak. To tylko taka mała pożyczka. Od Bertiego.

Jury zmierzył artystę wzrokiem, a on mówił dalej:

- Ależ, na miłość boską, co pan sobie pomyślał? Że ja szantażuję chłopaka? Nic podobnego! Rzecz w tym, że Bertie to jedyna osoba w Rackmoor, na którą można liczyć w sprawach finansowych.

-Nocóż, wyobrażam sobie, żejestdobrym bankierem. Czy mogę zatrzymać tę kopertę? Panu chyba nie jest potrzebna?

Adrian spojrział na kopertę, wyjął z niej banknoty i wręczył kopertę Jury'emu.

- Czy w pubie „Pod Lisem” znowu brakuje firmowej pa-peterii? - Zmarszczył brwi. - Do diabła, wiem, że to okropne pożyczać od chłopca. Ale bardzo potrzebuję pieniędzy... No cóż, to nie najlepsze, co mogłem powiedzieć w tych okolicznościach...

Westchnął i powolnym ruchem wytarł pędzel w fartuch.

- Co pan sądzi o jego historyjce?

- Czyjej?

- Bertiego. O tym, że jego matka pojechała do Irlandii.

Adrian uśmiechnął się.

- Trudno uwierzyć, że ktoś wkłada tyle trudu w opiekę nad chorą starą babcią.

- Znał pan jego matkę?

- Robertę? Widywałem ją, to wszystko. Była bardzo chwiejna, zwłaszcza w sferze psychicznej. Ale wydaje się, że stare wioskowe zawzięte purytanki wzięły za dobrą monetę historyjkę o babci. To znaczy Wątlusz i Żabie Oko, tego typu osoby. Musi pan przyznać, że z praktycznego punktu widzenia okazało się to całkiem korzystne. No bo kto by telepał się do Belfastu, żeby całą rzecz sprawdzić? To w tej sprawie pan przyszedł?

- Nie. Przyszedłem w związku ze sprawą Gemmy Tempie. Wasze stosunki były cokolwiek bliższe, niż pan przedtem przyznawał.

Zapadła przydługa cisza. Adrian Rees wciąż w milczeniu wycierał pędzel. A potem wzruszył ramionami.

- Ktoś nas widział - powiedział. - Tak?

Jury kiwnął głową i czekał.

- No cóż, nie nazwałbym tego „stosunkami”. To był tylko jeden raz.

- W ciągu jednego razu wiele może się zdarzyć. - Jury'ego zawsze zaskakiwał fakt, że niektórzy ujmują te sprawy w kate-

goriach liczbowych. Przypomnił sobie kobiety, które poznał w ostatnich latach. Naprawdę, podczas jednego spotkania może się wiele wydarzyć. - Dlaczego mi pan nie powiedział, panie Rees? Przecież z łatwością mogłem się o tym dowiedzieć. No i dowiedziałem się. Aha, jeszcze jedno. Czy widział się pan z Gemmą Tempie w noc morderstwa? To znaczy, z nią i m zobaczył ją pan na Grapę Lane?

- Co?! Nie, absolutnie! Ten, kto twierdzi inaczej, kłamie.

- Widziano ją na High Street. W pobliżu pańskiego domu.

- Nic mi o tym nie wiadomo. A co do tego, że nie powiedziałem panu o tamtym, to... To przecież padło już na mnie wystarczająco dużo podejrzeń. Więc wołałem nie, dzięki. Byłem ostatnią osobą, która widziała Gemmę Tempie żywą. I to na dodatek po tej swojej głupiej gadaninie w pubie o Raskolnikowie i morderstwach.

- Nie sądzi pan chyba, że przywiązywałem do tej gadaniny jakąkolwiek wagę. Tego rodzaju zbrodnia mogła być przekonująca na kartach powieści Dostojewskiego. Jednak na ulicach Londynu nigdy na coś takiego nie natrafiłem.

- No to dlaczego mi pan o tym nie powiedział? Może gdyby pan to zrobił, przyznałbym się, że znałem tę kobietę.

- Ależ panie Rees, śledztwo to nie jest handel wymienny. No, ale teraz... będzie mi pan łaskaw opowiedzieć o Gemmie Tempie?

- No dobrze już, dobrze - odparł Adrian zadzierzyscie.

- Widzieliśmy się raz tutaj i kilka razy w pubie. A ja, oczywiście, tam, w pubie, zwróciłem na nią uwagę. Ale kto by tego nie zrobił? Była przecież naprawdę ładna i całkiem nowa w tej dziurze. Pewnej nocy, zaraz po zamknięciu, wyszła z pubu, a ja poszedłem za nią. Szła w stronę Old House wzdłuż wału nadmorskiego. Dogoniłem ją i porozmawialiśmy przez chwilę. A potem zaproponowałem, żeby wstąpiła do mnie na drinka. Nie była to zbyt wyszukana propozycja, ale nie potrafiłem



wymyślić nic innego. Bo przecież Rackmoor to nie jest żadna angielska Sodom i Gomora. Tak czy inaczej, znaleźliśmy się tutaj.

- A co potem?

- Jak to „co potem”? Wie pan co. Scenariusz jest całkiem schematyczny.

- Nie wymagało to nadmiernej perswazji. To chce pan powiedzieć?

- Panie inspektorze, to nie wymagało żadnej perswazji. A ja przecież nie uważam się za aż tak atrakcyjnego.

Jury pomyślał, że to zbytnia skromność. Adrian Rees emanował bowiem seksem i był bardzo męski, a atrakcyjności dodawał mu jeszcze fakt, że jest artystą, malarzem.

- Kiedy to było?

- Dwa dni przed morderstwem.

Adrian uśmiechnął się ponuro.

- Co ona panu powiedziała o sobie?

- Absolutnie nic. Taka jest prawda. To znaczy, nie więcej niż usłyszał pan ode mnie w poprzedniej rozmowie. Chodziła z drinkiem w dłoni, patrzyła na moje obrazy i wygłaszała na ich temat, jak prawie każdy przypadkowy widz, idiotyczne komentarze. Mówiła też o naszej wiosce, która wydała jej się dość nudna. Zresztą nie rozmawialiśmy zbyt wiele.

Adrian uśmiechnął się łobuzersko.

- I nie wspominała o tym, że tu kiedyś mieszkała?

Malarz pokręcił głową.

- No i kiedy następnego wieczoru pojawiła się na tej kolacji u sir Titusa, to ja zacząłem się jąkać i rumienić. A ona... No cóż, można było sądzić, że widzi mnie po raz pierwszy w życiu. Nie miałem pojęcia, że była jakąś kuzynką Craelów.

- A ile pan wiedział o Dillys March?

- Ma pan na myśli tę ich podopieczną? Tę, co zniknęła?

Jury kiwnął głową.

- Tylko tyle, ile powiedział mi o niej pułkownik. O niej, a także o lady Margaret i swoim starszym synu, który miał na imię Rolfe. Podczas malowania portretu lady Margaret by wałem w Old House, a pułkownik przychodził tutaj... Ale co dokładnie chce pan wiedzieć?

Jury nie odpowiedział na to pytanie.

- Jest pan całkiem pewien, że nie spotkał pan Gemmy Tempie, zanim pojawiła się w Rackmoor?

Adrian sprawiał wrażenie wściekłego.

- Do diabła! Oczywiście, że jestem pewien!

Przez twarz Jury'ego przemknął uśmiech.

- Proszę się zbytnio nie irytować. Przecież poprzednio nie powiedział mi pan prawdy. - Wzrok Jury'ego pobiegł w ciemny kąt pomieszczenia, gdzie siedział kot, myjąc się dokładnie. - Czy skończył pan ten obraz? Ten przedstawiający Gemmę Tempie? Chciałbym go zobaczyć.

- Nie skończyłem. *Ale skończę*. Pracowałem właśnie nad nim, kiedy pan przyszedł.

Jury spojrział w dół.

- Suchym pędzlem?

Złość, która zaczęła już znikać z twarzy Adriana, powróciła.

- Boże drogi, pan wszystko zauważy!

- Za to właśnie mi płacą. Do widzenia. Zobaczymy się jeszcze.

## 16

Gdy Jury wchodził do środka, nad drzwiami „Bridge Walk Cafe” odezwał się dzwonek. Sala jadalna była niewielka, miała niski, belkowany sufit, pobielone wapnem ściany i stały w niej małe stoliki oraz krzesła z oparciami ze szczebelków. Był tu też duży kredens, a w nim mnóstwo biało-niebieskiej

porcelanowej zastawy. Bardzo czysty i estetyczny lokal. I całkiem pozbawiony gości. No, ale w środku zimy nie można się było tutaj spodziewać ruchu.

Zjawiła się Lily Siddons, z jasnymi włosami, przewiazanymi chustką. I w fartuchu. Stała w drzwiach, które, jak przypuszczał Jury, prowadziły do kuchni.

- O, dzień dobry.

Jury dotknął kapelusza i - trochę zaskoczony - poczuł pod palcami jego tweedową wiotkość. Bo nieomal zapomniał, że tego ranka włożył go na głowę.

- Panno Siddons, czy nie miałaby pani nic przeciwko temu, żebym zadał pani kilka dodatkowych pytań?

Wytarła ręce w fartuch.

- Nie. Nie mam nic przeciwko temu. A gdyby pan nie miał nic przeciwko rozmowie w kuchni, mogłabym rozmawiając z panem, zajmować się pracą.

W kuchni Jury przekonał się, że siekała właśnie warzywa. Przyciągnął sobie krzesło i usiadł. Lily Siddons pracowała przy ogromnym, stojącym na środku stole rzeźniczym.

- Chciałem panią zapytać o pani matkę.

Milczała przez chwilę. A potem powiedziała:

- Nie widzę związku.

Wzięła filiżankę z najwyraźniej wystygłą już kawą. Wylała kawę do zlewozmywaka, odwracając się do Jury'ego plecami.

Jury czekał, aż znowu stanie twarzą do niego. Przeciągał przy tym palcem po mące rozsypanej na stole - prawdopodobnie otrząśniętej z bochenków chleba, rosnących teraz pod ręcznikami. Na ścianach w pobliżu dużego pieca wisiały miedziane misy. Rząd małych, wysoko umieszczonych okien wychodził na potok przepływający pod mostem. Smugi porannego światła kładły się na parapetach, tworzyły jasne romby na podłodze i odbijały się od miedzianych mis.

- Robi pani to wszystko sama?

Odwróciwszy się przodem do stołu, kiwnęła głową i wzięła nóż.

- W zimie zupełnie sama. A w lecie mam pomoc. Jest tu wtedy mnóstwo letników.

Jury nigdy w życiu nie widział, żeby ktoś siekał z taką szybkością. Lily przyciskała koniuszek dużego noża palcami prawej dłoni, a lewą ręką podnosiła rękojeść i opuszczała ją krótkimi, delikatnymi, rytmicznymi ruchami. A nóż ciął marchewkę na coraz mniejsze kawałeczki.

- Bardzo zręcznie pani sobie poczyna z tym nożem. Jury szukał papierosa w kieszonce koszuli, opukiwał kieszenie, próbując umiejscowić zapałki.

- Sztuka polega na tym, żeby ostrze ani na chwilę nie odrywało się od deski - powiedziała, nie patrząc na niego, i za raz dodała: - Sądzę, że sugeruje pan, że potrafiłabym tak jak tę marchewkę pociąć także człowieka. Czy tak?

- A czy Gemmę Tempie zabito nożem? Pierwszy raz słyszę. Lily przerwała siekanie i zirytowana wzięła się pod boki.

- Czy mógłby mi pan uprzejmie oddać zdjęcie? To, które zabrał pan wczoraj wieczorem z mojego domu.

Jury sięgnął do kieszeni.

- Przepraszam. Wziąłem je przez pomyłkę.

Położył na stole zdjęcie ponownie oprawione w ramkę.

- Pani ojciec musiał być niezrównoważony. Skoro odszedł, zostawiając was w taki sposób. - Lily nie odpowiedziała. - Dziwne jest też, że pani matka wyszła za kogoś, kogo tak mało znała. Jak długo byli małżeństwem?

Nóż znieruchomiał.

- Próbuje pan powiedzieć coś paskudnego, prawda? Na przykład, że zrobił jej dziecko i musiała za niego wyjść.

- A zrobił?

-Nie.

Podkreśliła tę pojedynczą sylabę ruchem noża, którym zgarnęła wszystkie warzywa do nierdzewnej stalowej misy.

- Po pani przyjściu na świat matka pracowała nadal jako kucharka w Old House, tak?

Lily wytarła ręce w fartuch.

- Panie inspektorze, pan to wszystko wie. Więc dlaczego pan wciąż pyta?

Żeby sprawdzić, czy nie okaże się inaczej, pomyślał Jury. Obserwował uważnie jej twarz.

- Dlatego, że musi być w tym wszystkim powód, dla którego pani matka popełniła samobójstwo. A także powód, dla którego pani życie jest zagrożone. - Spuściła szybko oczy, robiąc przy tym smutną minę, ale nie powiedziała ani słowa. - Czy te próby morderstwa mogły mieć związek z pani matką?

Podniosła oczy zaskoczona.

- Co pan ma na myśli?

- Może chodzi o coś, co się zdarzyło, kiedy ona żyła? Albo o coś, co pozostawiła? Sam nie jestem pewien, co mam namyśli.

Lily odwróciła się, z wściekłością kręcąc głową i głośno stukając nożem i misą o obudowę zlewozmywaka. Jury jednak nie rezygnował. Mówił dalej:

- Czy to może być coś, o czym pani nie wie, a równocześnie coś, o czym ktoś sądzi, że pani wie? Czy to możliwe, że pani komuś zagraża?

- Zagrażam? Co za idiotyzm.

- A Craelom?

Odwróciła się gwałtownie. Jej twarz była tak biała jak mąka rozsypana na stole.

- Ja im zagrażam? Ja? - Przyłożyła dłonie do niemodne go bawełnianego fartucha w kratkę, tak jakby chciała udo wodnić własną tożsamość. - Ja byłam tylko córką kucharki. „Córka kucharki”. Tak o mnie mówili. Nie „Lily”, tylko po prostu „córka kucharki”. - Na jej policzkach pojawiły się ceglaste rumieńce. - Myślałam nawet, że to jest moje imię. Mama

opowiadała, że gdy kiedyś ktoś na ulicy zapytał mnie o nie, odpowiedziałam: „Córka kucharki”. Uważała, że to strasznie śmieszne.

- Ale pani, oczywiście, nie była tego zdania.

Teraz stała do niego tyłem, ze spuszczoną głową. Jury, zauważywszy, że sięga dłonią do policzka, a potem opuszcza rękę, nabrał pewności, że płacze. Odkręciła wodę, zwilżyła twarz i urwała kawałek papierowego ręcznika. A potem odwróciła się przodem do niego i mówiła dalej.

- Jeden tylko pułkownik postępował przyzwoicie. No, w każdym razie wiedział, jak mi na imię. I tylko on bronił mamy, kiedy... - Przerwała i odwróciła wzrok. - Dillys mnie nienawidziła, ale pułkownik Crael o tym nie wiedział. Jedy nym powodem, dla którego spędzałyśmy razem tyle czasu, był fakt, że lubił nas obie. Wydaje mi się, że zawsze pragnął mieć córkę. I nie jest snobem, różnił się pod tym względem od pozostałych członków swojej rodziny, od lady Margaret, Juliana, Rolfe'a. Chociaż co do Rolfe'a, to on trochę bardziej niż pozostali lubił się bawić. Pułkownik zabierał mnie na spa cery, podczas których polowaliśmy na motyle. To było na prawdę piękne...

Odwróciła się, spojrzała przez niewielkie okienko, za którym słabe zimowe słońce ozłacało gałązki.

Czy... zastanowił się Jury, czy ona widzi w tej chwili lato? Czy widzi ten ogromny dom z jego aksamitnymi trawnikami, mieniącym się dywanem morza na tyłach i ogromem wrzosowisk od frontu? Patrząc teraz na nią, widząc jej obrysowany światłem profil, czuł, że mógłby wkroczyć do wnętrza jej głowy, pobiec po trawie, usłyszeć świst siatki na motyle.

- Powiedziała pani, że pułkownik Crael był jedyną osobą, która broniła pani matki. Przed czym mianowicie jej bronił? - zapytał.

Lily usiadła teraz naprzeciwko niego. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

- Przed oskarżeniami lady Margaret. Bo w pewnym momencie okazało się, że zginęła jakaś biżuteria, jakieś szmaragdy czy coś takiego... Lady Margaret powiedziała, że to mama je wzięła. A przecież mama pracowała tam tyle lat... Zaczynała jako pomocnica kucharki... I co, nagle miałyby postanowić coś ukraść?

To powiedziawszy, Lily Siddons znowu odwróciła się od Jury'ego. A on widział ją teraz z profilu, siedzącą na wysokim stołku, ze skrzyżowanymi nogami i rękami założonymi na piersiach. Wyglądało to tak, jakby wycofała się z całej tej sytuacji, stała się ciałem astralnym, opuszczającym zwykłe, materialne ciało, zastygłe w marmurowej pozie.

- Ale to raczej nie mógł być powód do samobójstwa, prawda?

Lily powoli odwróciła głowę i Jury zobaczył, że jej burztynowe oczy pociemniały, że przybrały barwę karneolu, taką jak przedtem, przy kominku. Głos miała spokojny, ale oczywiście było, że jest naprawdę rozszuszczona.

- Więc pan zna wszystkie możliwe powody, dla których ludzie popełniają samobójstwa?

- Nie. Ale... żeby to zrobić... człowiek musi być naprawdę przygnębiony. niesprawiedliwe oskarżenie, a pani, jak się zdaje, jest pewna, że pani matkę oskarżono niesprawiedliwie, otóż takie oskarżenie wywołałoby raczej słuszny gniew, a nie skutkującą samobójstwem depresję. Czy pani wierzy, że matka mogła odebrać sobie życie z takiego powodu?

- Kiedy umarła, miałam zaledwie jedenaście lat - odpowiedziała wymijająco.

- To prawda. Ale czy pani w to wierzy?

- Nie wiem.

Jej twarz była szara, a ton lodowaty.

- Co się z panią wtedy działo? To znaczy, po jej śmierci?

- Pojechałam do ciotki Hildy, do Pitlochary. Nie znosiłam jej. A ona wcale nie chciała mnie wziąć. Ale lubiła myśleć o so-

bie jako o bogobojnej chrześcijance. A przejęcie opieki nad mną było jej obowiązkiem.

- Dziwi mnie, że nie zaopiekowali się panią Craelowie. Pułkownik Crael przecież tak panią lubi.

- Boże drogi! Ależ panie inspektorze, ja byłam tylko dzieckiem służącej! Sympatia arystokraty nie może sięgać aż tak daleko. Zresztą nawet gdyby pułkownik tego chciał, inni by się na to nie zgodzili. Julian, Olive Manning, Dillys. Zwłaszcza Dillys, która owinęła go sobie przecież wokół palca, nie będąc nawet prawdziwym członkiem rodziny. Pułkownik dopilnował jednak, żebym dostawała dodatkowe pieniądze, żebym miała się w co ubrać. Pilnował też, żebym chodziła do szkoły. Płacił mojej ciotce, tego jestem pewna. Myślę, że gdyby nie to, ciotka wykierowałaby mnie na kelnerkę czy kogoś w tym rodzaju.

- A ta kuzynka, która pojawiła się tak nagle po latach, ta Gemma Tempie? Mogło wyglądać na to, że ona też będzie w stanie owinąć sobie pułkownika wokół palca.

- Nie wiem, co pan ma na myśli.

- Nie wie pani?

Jury był pewien, że Lily Siddons kłamie.

## 17

Wypożyczalnia książek w Rackmoor była długim, wąskim pomieszczeniem, znajdującym się na parterze małego szeregowego domku, który z zewnątrz przypominał wszystkie stojące w sąsiedztwie. Parter jednak został wewnątrz przebudowany. Usunięto ściany, dzięki czemu to, co kiedyś było prawdopodobnie przedpokojem, jadalnią, salonem i kuchnią, stanowiło teraz jedną dużą przestrzeń. Kontuar dla bibliotekarki wyglądał tak, jakby go tu przeniesiono z jakiegoś starego pubu. Na kontuarze znajdowała się



tabliczka domagająca się od czytelnika CISZY, zanim ten zdążył się nawet rozejrzeć. Różnej wysokości półki z książkami, wytarty dywan, pewna liczba małych lampek, stanowiących zbieraninę nie od kompletu - wszystko to sprawiało wrażenie, że do urządzenia tego pomieszczenia użyto przedmiotów, które pozostały po wyprzedaży rzeczy używanych.

Sama panna Cavendish swoim wyglądem także przywodziła na myśl taką wyprzedaż. Do tego wrażenia przyczyniały się: jej stara brązowa spódnica, sięgająca prawie kostek, obwisły oliwkowy kardigan oraz ciemne włosy, uczesane w kok przypominający poduszeczkę do szpilek. Wchodząc, Jury zobaczył, że panna Cavendish udziela właśnie reprimendy grupce dzieci w wieku szkolnym. Zobaczywszy Jury'ego, ruszyła w jego stronę, a dzieci, jak to dzieci, ponownie pochyliły ku sobie swoje lśniące główki i powróciły do chichotów i szeptów. Oprócz nich w pomieszczeniu znajdowała się jeszcze jedna osoba - tęga kobieta, przesuwająca się powoli wzdłuż jednej z półek.

Wszystko wskazywało na to, że praca w bibliotece stanowi prawdziwe powołanie panny Cavendish. Jej oczy, patrzące teraz na Jury'ego ponad szklami okularów, które zabezpieczała okalająca jej szyję wąska taśma z rypsu, sprawiały wrażenie słabych i zdawały się sugerować, że ich właścicielka spędziła zbyt wiele wieczorów na czytaniu. Ziemista twarz panny Cavendish, upstrzona licznymi pieprzykami, przypominała pokrytą pozostałymi z pleśni przebarwieniami kartkę książki. A kiedy kobieta się poruszała, zdawała się szeleścić tak jak książka, której kartki wypadają z grzbietu, choć w rzeczywistości ten odgłos był prawdopodobnie szelestem jej sztywnej halki.

Jury pokazał swój dowód tożsamości.

- Chciałbym zadać pani kilka pytań, panno Cavendish.
- Podejrzewałam, że to właśnie pan.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów z pełnym zadowolenia cmoknięciem, które wydobyło się z jej nieumalowanych ust.

- Nie wiem jednak, jak mogłabym panu pomóc. Mieszkam na drugim końcu wioski. To znaczy, w stosunku do miejsca, gdzie ona została... tak brutalnie zamordowana. Powiedziałam to już temu drugiemu policjantowi.

- Tak, wiem. Ale ja tak naprawdę przychodzę do pani w innej sprawie.

Panna Cavendish uniosła brwi, najwyraźniej zdziwiona, że jakaś inna sprawa może w ogóle istnieć.

- Chodzi o panią Makepiece, matkę Bertiego. O ile dobrze rozumiem, zagłada pani do chłopca.

- Tak. Roberta... to znaczy matka Bertiego... Otóż Roberta prosiła mnie, żebym miała na niego oko. Pomagają mi w tym Rosę Honeybun i Laetitia Frother-Guy. Ale zaraz, to przecież nie jest przedmiotem zainteresowania policji, prawda? Chciałabym mieć nadzieję, że nie będziemy obciążone odpowiedzialnością za dobro tego dziecka.

Jury usiłował coś powiedzieć, ale ona, bardzo pośpiesznie, broniła się dalej:

- My naprawdę nie możemy za to odpowiadać. Laetitia Frother-Guy natychmiast skontaktowała się z opieką społeczną. I ktoś stamtąd zjawił się zaraz w domku Makepiece'ów. Ale na miejscu okazało się, że u Bertiego wszystko idzie gładko. A poza tym Roberta już przedtem zniknęła. Tak, oczywiście, robiła to nieraz. Proszę nie myśleć, że było inaczej. No cóż, dla mnie to szokujące. Naprawdę szokujące. Bez względu na to, czy ktoś z rodziny choruje, czy nie. A zresztą, szczerze mówiąc, mam co do tego wątpliwości. Wedle słów chłopca, pojechała do Belfastu. Chociaż mnie ona sama powiedziała co innego. I nie pierwszy raz poprosiła, żebym miała na niego oko, mówiąc przy tym, że musi zrobić sobie małe wakacje. To zdarzyło się już po raz czwarty czy

piąty. Wie pan, co mam na myśli, tu chodzi raczej o *affaires d'amour* niż o chorą babcię. Takie jest moje zdanie. Roberta po prostu nie powinna była mieć dziecka. Tak powiedziałam mojej *confrere* Rosę Honeybun. Moim zdaniem, osoby takie jak ona powinny zadowolić się towarzystwem papuzki falistej. Ten dzieciak Bertie niemal od urodzenia musiał sam troszczyć się o siebie. I trzeba powiedzieć, że potrafi to robić lepiej niż jego matka. Czy pan wie, że od czasu, kiedy poszedł do pierwszej klasy, na jego barki spadło całe zmywanie, gotowanie i zakupy? No, ale oczywiście jest, że potrzebne mu jakieś życiowe przewodnictwo. Chłopak powinien żyć *en familie*. Jednak, z drugiej strony, muszę powiedzieć, że nigdy nie spotkałam tak samowystarczalnego dziecka. Przyznaję, że dla mnie jego manieri są dość antypatyczne. Nigdy nie wiem, co się dzieje w tej jego łepetynie. Jest z niego trochę takie *enfant terrible*. No i ten jego pies jest naprawdę denerwujący. To taka *betę noire*... Człowiekowi zdaje się, że ten zwierzak czyta w myślach. No i na dodatek sposób, w jaki on na człowieka patrzy.

- Dokąd pojechała pani Makepiece? Zgodnie z tym, co sama mówiła? - przerwał Jury ten potok wymowy.

- Do Londynu. Tak, do Londynu. Jestem całkiem pewna, że tak mi powiedziała. Dlatego byłam taka zdziwiona, kiedy chłopiec utrzymywał, że babcia, to znaczy ta chora, mieszka w Belfaście i że matka tam właśnie pojechała. Akurat tam, a nie gdzie indziej.

Wizja ubranych w czarne berety irlandzkich nacjonalistów poraziła bez wątpienia wyobraźnię bibliotekarki.

- A czy nie zdziwił pani fakt, że ona twierdziła, że jedzie do Londynu?

- Rzeczywiście, zastanowiło mnie to. Ale Roberta Makepiece, jak już mówiłam, co jakiś czas robiła sobie takie małe wakacje. I nie można się było nawet skrzywić na te jej *affaires du coeur*. Bo wtedy wściekała się nie na żarty. Jej mąż zmarł, kiedy była dość młoda, i nie jestem pewna...

- Zatem nie zdziwiła się pani, że pojechała do Belfastu?  
- Pomyślałam chyba po prostu, że musiała pojechać do Londynu, a stamtąd pociągiem do miejsca, skąd odplywa statek. Albo na Heathrow.

Jury zastanawiał się przez chwilę. Tak zaplanowana podróż z Yorkshire wyglądała na stratę zarówno czasu, jak i pieniędzy. Jeżeli Roberta Makepiece chciała pojechać do Irlandii Północnej, powinna była udać się do Szkocji i wsiąść na prom w Stranraer.

- Panie inspektorze, dlaczego policja zadaje mi wszystkie te pytania? Mówiłam już panu, że ja próbowałam tylko pomóc.

- Po prostu martwię się o chłopca. Jest za mały na to, żeby mieszkać sam.

Panna Cavendish najwyraźniej wzięła te słowa za krytykę pod własnym adresem.

- Sądzi pan, że o tym nie wiem? Matka, która robi coś takiego... To jest po prostu szokujące. Powiedziałam Rosę i Laetitię, że powinnyśmy spowodować, aby opieka społeczna na coś w tej sprawie zrobiła. Okazało się jednak, że ludzie z opieki są zdania, że na razie nic nie trzeba robić. No i co pan na to? Matki nie ma już w domu od ponad trzech miesięcy. Przecież chłopca należy umieścić w jakimś domu dziecka!

Jury oczyma wyobraźni zobaczył długie sale o nagich ścianach i rzędy żelaznych łóżek. Spróbował umieścić Bertiego w murach takiego przybytku. I nie był w stanie.

Za oknem biblioteki spostrzegł teraz małego kudłatego pieska z błękitną kokardą, który prawdopodobnie czekał na zazywną kobietę, myszkującą w stosach książek.

- Nie wiem, czy to by było dla Bertiego najlepsze rozwiązanie - powiedział. - A poza tym, co by się stało z Arnoldem? Oni są przecież kolegami.

- No cóż, ja raczej nie uznałabym psa za wystarczające

towarzystwo dla dziecka. Arnold to taka *betę noire*, mówiłam już panu.

Panna Cavendish pociągnęła nosem.

Jury spojrzął na kontuar. Napis CISZA najwyraźniej wpływał na pannę Cavendish tłamsząco.

- No tak. No cóż, *delenda est Carthago*. Do widzenia pani.

Odwrócił się, a panna Cavendish zamrugnęła oczyma.

Już na zewnątrz, na Scroop Street, zastanowił się, dlaczego powiedział jej, że Kartagina powinna zostać zniszczona. Prawdopodobnie dlatego, że była to jedyna rzecz, jaka przyszła mu w tej chwili do głowy. Jury uwielbiał Wergiliusza.

Idąc Scroop Street, zajrzał przez okno do Bertiego. W środku było ciemno, panował spokój i nic nie wskazywało na to, że chłopiec czy pies są w domu. Na kołku przy kuchennym kontuarze wisiał tylko duży fartuch. Bertie musiał być w szkole.

Dotarłszy do Angel Steps, Jury postanowił pójść pod górę Psalter's Lane i podejść do Old House ścieżką biegnącą przez las. U szczytu schodów, poniżej kościoła, odwrócił się i spojrzął w dół. Rackmoor, nawet to zimowe Rackmoor, było cudownie nierealne. Cała wioska leżała przed nim jak na dłoni, wrosnięta w zbocze klifu - piętrzące się warstwami domy, kręte uliczki, małe niebieskie i zielone łódki, stanowiące jedyne plamy koloru na monochromatycznym tle szarego kamienia, nieba i morza. Ale w rzeczywistości były tu dwa widoki, bo daleko po prawej stronie Jury dostrzegał początek wrzosowisk północnego Yorku i całe ciągnące się w dal mile śniegu.

Patrząc na nie, zapragnął znaleźć sobie jakieś usprawiedliwienie, które by mu pozwoliło znaleźć się tam i przemierzać wrzosowiska, iść przed siebie po śnieżnej równinie.

Sierżant Wiggins, niby wędrowny ptak, zawsze kierował się tam, gdzie jest ciepło. Dlatego Jury zastał go w pobliżu kuchennego pieca. Sierżant siedział naprzeciwko Olive Manning, a obok stał imbryk z herbatą.

Jednak co do samej Olive Manning, to ta nie emanowała bynajmniej ciepłem. Podała Jury'emu chłodną, suchą dłoń i zaoferowała jeszcze chłodniejszy uśmiech. Sprawiała wrażenie osoby, której jest niewygodnie we własnym ubraniu. Tak jakby to ubranie zostało źle uszyte (co z całą pewnością nie było prawdą) albo przeznaczone dla kogoś innego. Siedząc w swojej ciemnej sukni, u której paska wisiał pęk kluczy, Olive Manning zdawała się składać z samych kantów - łokci, kości policzkowych, prostego ostrego nosa. Jej głos także był ostry i dźwięczał metalicznie. Obowiązkowy uśmiech zniknął z jej twarzy zaraz po przywitaniu, sama zaś twarz zniechęciła niczym oblicze widniejące na monecie. Oczy kobiety były jak zmatowiałe srebro, a usta bardzo cienkie. Na jej ciemnych niegdyś włosach osiadła siwizna niczym nałot na nieświeżej czekoladzie.

Jury przyciągnął sobie krzesło i nie przyjął zaproponowanej filiżanki herbaty.

- Proszę pani - zwrócił się do Olive Manning - nie chcę, żeby pani powtarzała mi teraz wszystko, co pani już powie działa sierżantowi Wigginsowi. Najbardziej interesuje mnie, czy, pani zdaniem, ta młoda dama to była Dillys March.

Olive Manning pokręciła stanowczo głową.

- Oczywiście, że nie.

- Skąd pani czerpie taką pewność, skoro sir Titus jest przekonany, że to była ona?

Jury nie miał wątpliwości, że Olive Manning jest absolutnie pewna każdego ze swoich przekonań. Uśmiechnęła się lekko.

- Sądzę, panie inspektorze, że ze strony sir Titusa to było myślenie życzeniowe. Zdaje pan sobie, oczywiście, sprawę, że Julian zgadza się ze mną w tej sprawie.

Jury kiwnął głową.

- Istnieje niewątpliwie pewne powierzchowne podobieństwo...

- Z całą pewnością nie tylko powierzchowne. Na podstawie zdjęć tej March powiedziałbym, że Gemma Tempie była jej sobowtórem.

- To prawda. Rzecz w tym, że te zdjęcia Dillys są sprzed piętnastu lat, prawda? I nie chodzi tylko o jej wygląd. Są jeszcze inne rzeczy. Gesty, sposób mówienia...

- Nie najelegantsze?

- Jeżeli pan chce to tak określić. Moim zdaniem, ta Gemma Tempie była trochę wulgarna. W końcu kindersztuba to kindersztuba.

- A czy przez piętnaście lat Dillys nie mogła zapomnieć trochę z tego, czego się nauczyła?

Olive Manning nie odpowiedziała.

- Pani syn, proszę pani, znajduje się, nad czym ubolewam, w zakładzie. Prawda?

W jej stalowych oczach pojawiło się coś nieokreślonego, ale odpowiedź była krótka: -Tak.

- Z tego, co słyszałem, uważa pani, że to Dillys March jest w znacznym stopniu odpowiedzialna za jego załamanie nerwowe.

Twarz i postawa Olive Manning były pełne stanowczości. Wykręcała jednak swoje upierścienione palce, tak jakby powstrzymywała się od chwycenia Jury'ego za gardło.

- No cóż, skoro pan słyszał wszystkie plotki, to nie ma potrzeby, żebym cokolwiek prostowała, prawda, panie inspektorze?

- Są wszelkie po temu powody, jeżeli to tylko... plotki. Co zaszło między Dillys a pani synem?

- Przez cały czas jego pobytu tutaj... Leo był tu przez rok, pracował jako szofer pana pułkownika... Więc przez cały ten czas ta dziewczyna za nim latała.

- No i co? Dopadła go?

Zaległa cisza.

- Wodziła go za nos. Nie byłoby tak źle, gdyby był dla niej jedynym. Ale, niestety, okazało się, że jest jednym z wielu.

- Czy dlatego, że dziewczyna była tak bardzo atrakcyjna?

Olive Manning uśmiechnęła się ironicznie.

- Ależ doprawdy, panie inspektorze. Do tego nie trzeba być atrakcyjną... Wystarczy... - Spojrzała na Jury'ego tak, jak by uważała, że on powinien dobrze wiedzieć, o co chodzi.

- Na dodatek ta dziewczyna omal nie spowodowała, że mój syn po miesiącu straciłby pracę. A potem było to okropne śledztwo. Wszyscy myśleli, że Leo miał coś do czynienia z...

- Przerwała i zbładła. Gniew, który z takim trudem starała się opanować, wziął górę. - Biedny chłopak nie wytrzymał tego stresu. On naprawdę ją kochał.

Jury przypisał te emocje uczuciom macierzyńskim, choć Olive Manning zdawała się bardzo mało uczuciowa.

- To pani była osobą, która tamtej nocy widziała, jak Dillys March wyjeżdża. Prawda? Proszę mi o tym opowiedzieć.

- Nie sypiam dobrze. Zresztą nigdy dobrze nie sypiałam. Tej nocy też byłam na nogach. Nie wiem, co mnie zważyło do okna. Być może trzaśnięcie drzwiczek samochodu. Wyjrzałam i zobaczyłam ją przy wejściu do garażu. Głowę miała spuszczoną, chyba szukała kluczyków. A potem wsiadła do tego swojego czerwonego samochodu i odjechała. Ruszyła z piskiem opon. Zawsze tak ruszała.

- I to był ostatni raz, kiedy ją pani widziała? - Kiwnęła głową. Jury zmienił temat: - Odwiedziła pani ostatnio swoją



siostrę w Londynie, prawda? Na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem?

- Tak. Zatrzymuję się u niej, kiedy jadę się zobaczyć z synem... Ten policjant, ten inspektor Harkins, czy też jeden z jego ludzi miał rozmawiać z Leem. To naprawdę okropne. Czy nie mogą tego biednego chłopaka zostawić w spokoju? On jest przecież całkiem niewinny, nie ma o niczym pojęcia...

Jury ze zdziwieniem zauważył, że kobieta jest bliska łez. Pomyślał jednak, że syn to jedyna osoba na świecie zdolna wzbudzić w niej jakieś uczucia.

- Rozmawiali z nim, to prawda. Nie sądzę jednak, by Leo mógł okazać się pomocny. Pamiętał... niewiele. - Zgodnie z raportem Harkinsa, nie pamiętał dosłownie nic. - To pułkownik Crael płaci za jego pobyt w tym zakładzie, prawda?

Podniosła gwałtownie głowę.

- Pan pułkownik był zawsze człowiekiem odpowiedzialnym. Sądzę, że zdaje sobie sprawę, czyja to wina.

- Ale nie byłoby dobrze, gdyby Dillys March wróciła i skłoniła go do zmiany opinii na ten temat, prawda?

Olive Manning spiorunowała Jury'ego wzrokiem i już miała coś odpowiedzieć, ale się rozmyśliła.

- Chciałbym zamienić parę słów z pani siostrą. Mogłaby pani dać mi jej adres?

- Ale po co? Co ona ma z tym wspólnego? Czy sądzi pan, że kłamie, mówiąc o tej wizycie?

- Nie. Nie kłamie pani. Zwłaszcza że wystarczyłoby zatelefonować, żeby to sprawdzić. Więc jaki to adres?

Pani Manning była purpurowa. Jej dłonie cięży powietrze niby trzepoczące skrzydła ptaka.

- Nie rozumiem, dlaczego pan chce z nią rozmawiać. Ona nazywa się Fanny Merchant. Jest żoną Victora Merchanta. Mieszkają na Ebury Street, pod dziewiętnastym. Niedaleko Yictoria Station.

- Dziękuję pani. - Jury wstał, a Wiggins poszedł w jego ślady. - Być może będę jeszcze musiał z panią porozmawiać.

Olive Manning nie odpowiedziała. Nie odwróciła też głowy, gdy wychodzili z kuchni.

- Posłuchajcie, Wood, czy widzieliście dziś pana Planta?

- Nie, proszę pana. Pan Plant jeszcze nie zszedł na dół. W każdym razie ja nic o tym nie wiem.

- A więc gdy się zjawi... Czy możecie mu powiedzieć, że pojechałem do Londynu? - Jury uśmiechnął się. - A także, żeby nie wylegiwał się w łóżku w nieskończoność?

Nieznaczny uśmieszek kamerdynera zdawał się porozumiewawczy. Tak jakby obaj - on, Wood, i Jury - dobrze znali obyczaje arystokracji.

Gdy przemierzali czarno-białe marmury holu, Jury zwrócił się do Wigginsa:

- Kiedy wy, sierżancie, będziecie organizowali samochód, ja pójdę pogadać z Tomem Evelynem. W Londynie nie zabawię długo, najwyżej jeden dzień. Ale chcę pogadać z niektórymi z tych osób.

- Inspektor Harkins może to potraktować jako aluzję sugerującą, że jest winien zaniedbania swoich obowiązków, prawda? - uśmiechnął się Wiggins.

- To nie ma znaczenia. On w ten sposób traktuje wszystko, co ja robię. Ale zostawię was w Pitlochary i będziecie mogli mu to wyjaśnić.

- To miłe z pana strony, panie inspektorze - odrzekł Wiggins z miną całkiem poważną, lecz z twarzą trochę przysłoniętą inhalatorem.

## 19

Melrose Plant rzeczywiście leżał, choć nie tyle w łóżku, ile na łóżku. I nie w tym sensie, o którym mówił Jury.

Leżał całkiem ubrany i wpatrywał się w wyszukane malowidła sufitowe, przedstawiające bogów, boginie i amorki. Uśmiechał się przy tym, myśląc o pokoju Juliana Craela, znajdującym się o troje drzwi dalej.

To właśnie z apartamentu Juliana wziął zdjęcie, które teraz obracał w dłoniach. I, prawdę mówiąc, był z tego powodu dosłownie uszczęśliwiony.

Zanim tam poszedł, upewnił się najpierw, że Julian wybierze się na poranny spacer. Uczynił to, proponując mu swoje towarzystwo. Julian spojrział na niego wtedy jak na kogoś, kto sugeruje, żeby odbyli wspólną kąpiel w wannie. Włóczenie się przez godzinę po wrzosowiskach, w czasie gdy można było siedzieć w ciepłe przy kominku i pić doskonałe porto, było, zdaniem Melrose'a, istnym wariactwem. Stwarzało mu jednak możliwość poszukiwań w apartamencie Juliana.

Nie lubili się, to było oczywiste. Przy czym podobieństwa - mniej więcej równy wiek, pozycja społeczna, zamożność - nie zbliżały ich bynajmniej do siebie. A na dodatek Melrose miał poczucie winy, bo tak naprawdę to chciał od Juliana coś uzyskać. Coś, być może jakieś wrażenie, nic więcej, coś, co zmniejszyłoby niepokój pułkownika. Bo Melrose czuł, że starszy Crael martwi się o młodszego - i to niezależnie od tego, czy ma on alibi, czy go nie ma.

Ich stosunki - Juliana i Planta - przypominały relacje między człowiekiem próbującym wycisnąć krew z kamienia a tymże kamieniem, choć Melrose nie mógł właściwie winić o to młodszego Craela. Natomiast Jury przypominał świętego Piotra, uderzającego w skałę - wystarczyło, że wszedł do domku Percy'ego Blythe'a, a od razu popłynął wartki strumień konwersacji.

Dlatego Melrose postanowił, że nie będąc w stanie uzyskać informacji w trakcie rozmowy, spróbuje innego sposobu. Jak postanowił, tak zrobił. Być może przeszukiwanie pokoju dzentelmena nie jest czynem dzentelmeńskim, pomyślał. Ale przecież morderstwo także nim nie jest.

A potem udał się do apartamentu Juliana, sam nie bardzo wiedząc, jakich dowodów szuka. I nie bardzo wierząc, że będzie miał tyle szczęścia, by je znaleźć. Mimo to podjął próbę.

W całym domu panował w tej chwili zupełny spokój. Pułkownik Crael pojechał do psiarni, do Pitlochary. Olive Manning była w Whitby, a służba, jak to służba, próżnowała.

Tak więc Melrose miał dom właściwie dla siebie. A także wystarczająco dużo rozsądku, by zostawić drzwi do apartamentu Juliana szeroko otwarte. To zaś na wypadek, gdyby ktoś tamtędy przechodził. Bo dzięki otwartym drzwiom nie sprawiłby wrażenia, że myszkuje. Wymyśliłby po prostu na poczekaniu historyjkę o tym, że chciał pożyczyć od Juliana jakąś książkę. Bo Julian był posiadaczem cudownego starego księgozbioru na temat Yorkshire.

Znalazłszy się w apartamencie, Melrose szybko przeszuwał wszystko - każdą szufladę, każdą półkę, każdy schowek. Nie zajęło mu to zbyt wiele czasu, bo apartament był wręcz spartański. I dość ponury ze swymi kotarami w kolorze mchu i ciężkimi meblami w stylu Tudorów.

Melrose rozsunął zasłony i wyjrzał przez wysokie okna, wychodzące na morze, chcąc się upewnić, że Julian nie postanowił nagle wrócić. Słońce, choć słabo, jednak przyświecało, a mgła była niezbyt gęsta, dzięki czemu dostrzegał spory fragment ścieżki biegnącej wzdłuż klifu. Na której nie widać było ani śladu Juliana Craela.

Apartament składał się z dwóch pokoi - sypialni i niewielkiego gabinetu, a może raczej biblioteki. Melrose

rozpoczął swoje poszukiwania od sypialni. Podeszedł do komody, gdzie znajdowały się zwykle przybory dżentelmena, a wśród nich wiktoriańska wbudowana kasetka i neseser zawierający oprawne w srebro szczotki do włosów (które Melrose brał po kolei do ręki z zazdrością). Były tu także klucze, butelka wody wapiennej i fotografia lady Margaret. W szufladach nie znalazł nic interesującego. W schowku na ubrania natomiast wisiały nieliczne, ale bardzo dobre, doskonale uszyte garnitury, szlafrok oraz marynarka do jazdy konnej. Pewnego dnia, bardzo wczesnym rankiem, Melrose widział, jak Julian wyprowadza konia. Więc jeździł konno. Nie uczestniczył jednak w polowaniach.

Po przepatrzeniu sypialni Melrose wrócił do biblioteki, gdzie we wnęce ściennej, między półkami pełnymi książek, stał piękny sekretarzyk. Melrose przeszukał go, ale nie znalazł w nim właściwie nic prócz przyborów do pisania. Żadnych osobistych papierów, poza kilkoma rachunkami od londyńskiego krawca. Systematyczny przegląd szuflad także ujawnił bardzo mało - papeterię, pióra i parę zdjęć luzem. Zdjęcia, które Melrose uważnie obejrzał, przedstawiały przeważnie dwór i wrzosowiska, tak przynajmniej sądził, i zostały zrobione jakiś czas temu. Melrose pozamykał szuflady i zaczął robić przegląd półek z książkami. Zdawał się na nich panować doskonały porządek, nic nie zostało schowane za nimi. Okazało się też, że nie ma żadnych zakamuflowanych płytcin ani ukrytych dokumentów.

Na dwóch półkach poustawiane zostały małe zdjęcia w ramkach. Było ich z tuzin - w kolorze brązowym, co świadczyło, że są dość stare. Na kilku z nich Melrose rozpoznał małego Juliana, a także elegancką lady Margaret (wspartą na ramieniu męża). Wiedział też, że ciemnowłosa dziewczynka to z pewnością Dillys March, bo widział te jej fotografie, które pułkownik Crael pokazał policji.

W bibliotece Juliana fotografii Dillys było z pół tuzina, a może nawet więcej, jeżeli liczyć także te, na których pojawiała się z innymi osobami. Na jednej - zrobionej, gdy dziewczynka miała lat dziesięć albo jedenaście - widać było ją i lady Margaret w ogrodzie. Inna przedstawiała Dillys, Juliana i młodzieńca, który z pewnością był jego bratem, Rolfe'em. Wszyscy troje dosiadali koni. Rolfe w porównaniu z pozostałą dwójką - uwiecznioną w trudnym wieku - wyglądał na dojrzałego człowieka. Był przystojny, lecz daleko mniej urodziwy od Juliana. Miał jednak złote, odziedziczone po matce, włosy. Następnie Melrose znalazł dwa zdjęcia Dillys i Juliana, zrobione nieco później. Przedstawiały ich oboje, stojących sztywno na schodach Old House. Na kolejnych trzech widniała tylko Dillys. Na jednym konno. A na pozostałych dwóch oparta o płot ze sztachet, z głową nieśmiało przechyloną, z oczami spuszczoneymi i ocienionymi równo obciętą grzywką. Mogła mieć wtedy lat siedemnaście, osiemnaście lub dziewiętnaście i nosiła tę samą lekką jedwabną sukienkę, w której stała na schodach.

W sumie było siedem fotografii, przedstawiających Dillys March. Czyli więcej niż tych, które przedstawiały kogośkolwiek innego. A mimo to Julian Crael utrzymywał, że nie lubił Dillys.

Melrose nie miał pojęcia, co mimo woli przywiodło mu na myśl pewien stary trik, jakim posługiwała się jego własna matka. Kiedy mianowicie miała więcej zdjęć niż ramek, albo gdy chciała zastąpić starsze, bardziej podniszczone zdjęcie nowszym, wysuwała po prostu tekturową podkładkę i wkładała nowe zdjęcie przed stare. Melrose postanowił sprawdzić, czy Julian nie robi tak samo. Zaczynając od fotografii Dillys i Juliana, pousuwał aksamitne podkładki. Nie znalazł jednak niczego prócz kawałków tektury. To samo powtórzył z czterema innymi zdjęciami. Pod piątym, tym, na którym

Dillys opierała się o płot, znalazł inne, przedstawiające Dillys w jakimś parku. Czy to Regent's Park? - zastanowił się. A może Hyde Park?

Zdjęcie jednak nie przedstawiało dziewczynki, tylko dorosłą kobietę. Czy to Dillys March? - pomyślał Melrose. Czy może Gemma Tempie? Nie widział żadnych zdjęć Gemmy, jeżeli jednak podobieństwo było aż tak wielkie, jak słyszał...

W szóstej ramce także znalazł drugie ukryte zdjęcie. Kobieta przedstawiona na nim stała przed jakimś budynkiem, oparta o żelazną poręcz. Budynek nie różnił się od setek innych ceglanych domów, wzniesionych przy ulicach miast. Melrose chętnie obejrzałby od środka wszystkie pozostałe ramki, obawiał się jednak, że wróci Julian i zaskoczy go przy tym zajęciu. Bo od jego wejścia do gabinetu upłynęło już dobre pół godziny.

Otworzył więc szufladę biurka, tę, w której znalazł fotki luzem, wziął dwie i wsunął je w ramki za zdjęcia Dillys. Łączyło się to oczywiście z ryzykiem. Jeżeli jednak Julian sprawdzał ramki, badając ich grubość i upewniając się, że są w nich dwa zdjęcia, to pewnie nie zada sobie trudu, żeby wyjąć te z tyłu. Rzecz była zatem warta zachodu. A teraz, pomyślał Melrose, zdjęcia musi koniecznie zobaczyć Jury.

Wróciwszy do swojego pokoju i leżąc już na łóżku, Melrose uświadomił sobie, że znalazł to, co znaleźć pragnął. A to, czy tamta kobieta była Dillys March, czy Gemmą Tempie, w tej chwili nie miało dla niego prawie żadnego znaczenia. Bo kimkolwiek była, nie powinna pojawić się w Londynie. Ani w żadnej z ramek w apartamencie Juliana Craela.

## 20

^ Dillys March? Znałem ją bardzo dawno temu. A co ona ma z tym wspólnego?

Tom Evelyn, psiarczyk z Pitlochary, w chwili gdy Jury zbliżył się do niego, niósł właśnie do psiarni coś, co wyglądało na wiadra owsianki.

- A tę Gemmę Tempie... kiedy pojawiła się w Rackmoor... widział ją pan wtedy?

Evelyn pokręcił głową.

- Bo wie pan, między nią a Dillys March było uderzające podobieństwo.

Tom Evelyn, zdziwiony, otworzył szeroko swoje bardzo niebieskie oczy. Zbliżał się już do czterdziestki, ale sprawiał wrażenie człowieka dwudziestoparoletniego. Za dziesięć, piętnaście lat z pewnością będzie się prezentował prawie tak samo jak teraz, pomyślał Jury. Będzie szczupły, ciemny i - dzięki wyprostowanej postawie - wyglądający na wyższego niż w rzeczywistości. A piętnaście lat wcześniej zdawał się prawdopodobnie równie pociągającym mężczyzną - zarówno dla kobiet gustujących w płci przeciwnej, jak i dla niektórych o nieco innych preferencjach.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że ta zamordowana kobieta to Dillys March? - zapytał teraz Jury'ego.

- Nie - odrzekł Jury. - Ale pragnęlibyśmy od tych, co znali Dillys, dowiedzieć się o niej jak najwięcej.

Evelyn spuścił zawinięte rękawy koszuli i powoli zapiął skórzaną kamizelkę.

- Sprawiała spore kłopoty.

- Komu?

- Każdemu mężczyźnie, na którego zagięła parol.

- A panu?

Spojrzenie jego niebieskich oczu odbiegło w dal, w drugi koniec dziedzińca psiarni. Tom Evelyn był zmieszany - tak



pomyślał Jury - ale nie pokazywał tego po sobie. Jury zastanowił się też, czy jego sztywność - wyprostowana postawa, rzeźbione rysy - nie brała się przypadkiem z tego, że miał przeważnie do czynienia ze zwierzętami, a nie z ludźmi. I bez wątplenia lubił zwierzęta bardziej niż ludzi. Na jego wiecznie opalonej twarzy widział lekki rumieniec.

- Nie była w stanie. Nie pozwoliłbym jej na to. Pracuję w tej psiarni od dziesięciu lat. A przedtem byłem skrzydłem, to znaczy pomocnikiem łowczego w polowaniach na lisy. Nie zaryzykowałbym tego wszystkiego dla kogoś takiego jak ona.

Jego ton był nie tylko pogardliwy, ale wręcz jadowity. Evelyn nie wyglądała na człowieka, który otwarcie okazuje uczucia. Więc skoro wzmianka o Dillys March po piętnastu latach potrafiła go aż tak wzburzyć, to - wbrew jego słowom - dziewczyna musiała być dla niego nie lada kłopotem. Toma Evelynę cechowała ponadto wielka duma, z którą Jury postanowił obchodzić się ostrożnie.

- Pan być może chciał sobie z nią dać spokój - zaczął. - Ale czy ona miała ochotę zostawić pana w spokoju?

Evelyn przykucnęła, zamieszał owsiankę, tak gęstą, że można w niej było postawić łyżkę. Z psiarni dobiegło ujadanie zgłodniałych psów.

- Spowodowała, że straciłem pracę. Na jakiś czas.

- Jak to było?

- Pewnego razu... No tak... tylko tym razem okazałem się idiotą... Widzi pan, byłem wtedy młody. No więc pewnego razu Dillys przyszła do psiarni. Ja pełniłem wówczas funkcję drugiego skrzydła. Była w towarzystwie pana pułkownika. I została, kiedy on już sobie poszedł i... - Wzruszył ramionami i zaczął, aż Jury zapisze to, co powiedział. - Chciała to potem ciągnąć, ale ja się bałem. Dobry Boże, wychowanica pana pułkownika! No tak, była wychowanica tej rodziny, ale wcale, ale to wcale nie przypominała żadnego z jej członków.

Nie obchodzi mnie, skąd przyszła. I nie obchodzi mnie, dokąd odeszła. Dillys March była śmieciem.

- A jak pan myśli, dokąd się udała? I czy ten jej wyjazd... czy to, że wyjechała w ten sposób... nie wydało się panu dziwne?

- Nie płacą mi za myślenie o takich rzeczach.

- A co z tym Leem, synem Olive Manning? Słyszałem, że między nimi coś było.

Śmiech Toma Evelyna był ostry, przypominał sygnał dla psów.

- Oczywiście. Dla niej każdy chłop był dobry. Olive Manning gotowa byłaby ją zamordować... - Evelyn posłał Jury'emu pośpieszne spojrzenie. - To znaczy... wie pan, co mam na myśli. Kiedy Leo poszedł do szpitala, Olive miała rozdarte serce.

- Ale nie wierzy pan chyba, że dziewczyna mogła naprawdę zrobić z człowieka zdrowego psychicznie osobnika ogarniętego psychozą?

Evelyn nie odpowiedział. Schylił się i wziął wiadra pełne białej, kleistej substancji.

- Sądzę, że to dziwne, że przegapiła faceta, który znajdował się tuż pod jej nosem i z całą pewnością byłby najlepszą zdobyczą.

- Nie rozumiem. Rolfe Crael interesował się kobietami, a nie dziewczynkami. - Evelyn uśmiechnął się zaskakująco ciepłym uśmiechem. - Ale jestem pewien, że Dillys próbowała...

- Nie miałem na myśli Rolfe'a. Myślałem o Julianie.

- A co pana skłania do sądzenia, że się za nim nie ugaśniała?

- Tak naprawdę to nic. Poza jednym, a mianowicie tym, że on miał do niej silną awersję.

I znowu ten ostry śmiech.

- Co za bzdury! Julian szalał na jej punkcie. Wszyscy to widzieli.

## 21

Do drzwi Melrose'a ktoś bardzo cicho zapukał. Melrose wetknął fotografię pod poduszkę i powiedział:

- Proszę.

W drzwiach ukazał się Wood w całej swojej znumifikowanej okazałości.

- Przepraszam, sir. Ale jest do pana telefon. A ponadto pan pułkownik Crael chciałby zamienić z panem słowo. Kiedy pan zejdzie na dół. Pan pułkownik jest w pokoju zwanym Red Run Room. To taki jego przytulny kącik, proszę pana.

Melrose zauważył na twarzy Wooda leciutki grymas dezaprobaty. Dżentelmen ucinający sobie drzemkę w ubraniu, w samym środku dnia, i leżący w butach na narzucie. Jego własny lokaj, Ruthven, ukryłby ten wyraz twarzy. Melrose podziękował Woodowi, zdejmując równocześnie nogi z łóżka.

- Czy macie tu gdzieś szkło powiększające? Potrzebne mi do czytania drobnego druku.

- Pan pułkownik często posługuje się szkłem przy oglądaniu motyli. Znajdę je.

- Zaraz zejdę na dół. I czy moglibyście mi skombinować herbatę i grzanki? A tak przy okazji, czy to inspektor Jury dzwoni?

- Nie, proszę pana. Pan inspektor prosił, żebym pana poinformował, że pojechał do Londynu. Dzwoni lady Ardry.

O Boże!-pomyślał Melrose. A nadodatek Jury pojechał do Londynu! Więc co mam zrobić z tymi zdjęciami?

- Czy sierżant Wiggins pojechał z inspektorem?

- Naprawdę nie potrafię powiedzieć. Ale wyszli z domu razem. Polecę kucharce, żeby przygotowała panu herbatę - oznajmił Wood, po czym, zanim wyprostowany jak struna wyszedł z pokoju, dodał jeszcze refleksyjnie: - Pan inspektor to człowiek bardzo zajęty.

Ku przerażeniu Melrose'a głos Agathy brzmiał tak, jakby jego właścicielka znajdowała się w sąsiednim pokoju.

I okazało się na dodatek, że tam właśnie miała zamiar aę znaleźć w ciągu dwudziestu czterech godzin. Droga Teddy także została zaproszona przez sir Titusa. Przyjadą razem samochodem.

Wprosiła się sama, to oczywiste. Melrose wiedział, że nie zdoła jej przekonać, by nie przyjeżdżała. Ani skutecznie obrazić. Ani zastraszyć. Była impregnowana na wszelkie takie chwytły. Mógł, oczywiście, zatłuc ją na śmierć, tylko że ona znajdowała się w Yorku, a on tutaj. Jedyłą możliwością, jaka mu pozostawała, okazało się zatem działanie podstępem.

- Jakież to miłe - powiedział do niej, zaciskając cierpiętniczo powieki. - Ale posłuchaj, ciociu. Może mogłabyś zostać na miejscu jeszcze przez parę dni? Ja będę tamtędy przejeżdżał. - Zniżył głos. - Jest dla ciebie coś bardzo ważnego do zrobienia w Yorku. I to Jury chce, żebyś to zrobiła. Bardzo cię prosił o pomoc.

Jury mnie zabije, pomyślał.

W słuchawce zapanowała pełna zachwyty cisza. Była prawie namacalna. A potem lady Agatha przypomniała Melrose'owi, że zawsze bardzo chętnie pomaga policji. Czyżby już zapomniał, jak ogromnie się przydała w Northampton-shire?

Melrose odłożył w końcu słuchawkę, nie mając zielonego pojęcia, jakie zajęcie wyznaczy jej w Yorku. No, ale coś wymyśli.

Jednak ten kłopotliwy telefon okazał się dla niego pewną inspiracją. Gdy Wood, niczym czarny łabędź, wpłynął z szelestem w jego pole widzenia, zapytał go, czy w domu jest książka telefoniczna Londynu. Wood odrzekł, że ją znajdzie i przyniesie razem ze szkłem powiększającym.

- Odbyłem właśnie bardzo miłą pogawędkę z twoją ciotką - oznajmił sir Titus Crael, zamykając z trzaskiem jakąś powieść Whyte-Melville'a. - A oto twoja herbata. Zaspaleś, co?

Melrose z przyklejonym do ust uśmiechem przyjął gładko filiżankę.

- To bardzo miłe z pana strony, panie pułkowniku, że pan ją tutaj zaprosił. Postąpił pan naprawdę uprzejmie.

- Żałuję tylko, Melrose, że nie wspomniałeś, że lady Aga-tha znajduje się tak blisko. Jest przecież w Yorku. A to tylko parę godzin drogi stąd.

Wiem o tym aż nadto dobrze, pomyślał Melrose. Po czym wyczyścił chusteczką szkła swoich okularów w złotych oprawkach, wetknął chusteczkę z powrotem do kieszeni i zlustrował okiem wyobraźni zabytki Rackmoor. Osoby takiej jak Agatha po prostu się nie sprowadza do wioski tak drogocennej, że objęto ją ochroną. Bo sprowadzenie jej tutaj byłoby tym samym, co wprowadzenie krowy na pałacowe schody Castle Howard. Melrose powiódł wzrokiem po pokoju, a jego umysł zaczął mozolnie brnąć przez wszystkie lata z Agathą. Dlaczego to właśnie ona musi być moją ostatnią żyjącą krewną? - zadał sobie w duchu pytanie.

- Jednakże - powiedział - czy naprawdę sądzi pan, panie pułkowniku, że to jest najlepsza chwila na taką wizytę?

Sir Titus wyglądał na zaskoczonego.

- Ależ ona twierdzi, że jest bardzo bliską znajomą inspektora Jury'ego! Mówiła też, że w twojej własnej wiosce w Northamptonshire pracowała z nim razem nad pewną sprawą. Nic mi o tym nie wspominałeś, Melrose.

Melrose roześmiał się.

- Myślałem, że w tej sytuacji ma pan wystarczająco wiele na głowie...

Zamilkł, wodząc tu i tam oczyma w poszukiwaniu inspiracji. Mógł powiedzieć pułkownikowi, że Agatha się nagle przeziębila albo umarła... albo że stało się z nią coś w tym

rodzaju... Jego wzrok padł na kolekcję sztychów przedstawiających sceny myśliwskie i wyglądających na pochodzące z tego samego zbioru co te, które widział w pubie.

- Powiedział jej pan o polowaniu, sir?

- O polowaniu? No cóż, nie. Nie powiedziałem. A. Dlaczego pytasz, mój chłopcze?

Melrose klepnął się dłonią w czoło.

- O mój Boże! - zawołał. - To bardzo źle! Bo Agatha ma straszną alergię na konie.

Sir Titus wlepił w Melrose'a wzrok z otwartymi ustami. Z pewnością zareagowałby tak samo, gdyby Melrose oznajmił mu, że ciotka cierpi na jakąś wstydliwą chorobę.

- Tak, panie pułkowniku. Za każdym razem, kiedy koń znajdzie się w pobliżu, moja ciocia dostaje potwornego ataku.

- Wzruszył ramionami. - Obawiam się, że kiedy ją zawiadomię, że za trzy dni będzie tutaj polowanie, ona zmieni plany. Tego rodzaju alergii to coś okropnego.

Prawda była taka, że widział raz Agathę na Bouncerze. Patrzył wtedy z tyłu i trudno mu było stwierdzić, gdzie zaczyna się koń, a gdzie kończy Agatha. Zresztą Bouncer bardzo szybko się jej pozbył.

Czyli uczynił to, co powinni zrobić wszyscy. Melrose westchnął i dopił swoje sherry.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Melrose obejrzał przez szkło powiększające drugie zdjęcie - to znaczy to, które zostało zrobione przy poręczy przed jakimś budynkiem.

Z początku pomyślał, że biaława plama za kobietą to jej własna biała sukienka, odbijająca się w szybie okiennej. Jednak szkło powiększające wydobyło na światło dzienne jakąś postać w białej marynarce. Być może to kelner, pomyślał Melrose. Na szybie za kobietą biegły łukiem litery: A C E. To chyba nie jest całe słowo? Raczej jego część? Melrose naprowadził szkło powiększające na amorficzne kształty, za-

wieszane w oknie. Lampiony. Kiczowate lampiony. Najprawdopodobniej takie, jakie ozdabiają orientalne restauracje. Mogło to też stanowić wyjaśnienie istnienia białej marynarki. Budynek, a raczej jego dostrzegalny fragment, przypominał zabudowania magazynowe. To by się też zgadzało. Wiele takich restauracji tak właśnie wygląda. Litery A C E mogły oznaczać cokolwiek. Melrose chwycił książkę telefoniczną Londynu, otworzył żółte strony w miejscu, gdzie był spis restauracji i... natychmiast utracił wiarę w sukces. Bo w spisie figurowało ze sto albo więcej chińskich i innych orientalnych lokali. Potem jednak, przebiegając spis wzrokiem, zauważył, że niektóre z nich łączy jeden wspólny mianownik: słowo PALĄCE w nazwie. Jeszcze raz spojrzął na zdjęcie. Zagadkowe litery A C E zdawały się w ten sposób znajdować wyjaśnienie.

Melrose ponownie przejrzał spis, szukając restauracji ze słowem PALĄCE w nazwie. Zaczął od CHINA PALĄCE. I znalazł ze dwadzieścia takich lokali. Niemało. Ale przecież mniej niż sto. Dobrze i to, pomyślał.

A potem zamknął z trzaskiem książkę telefoniczną i zaczął się zastanawiać. Ponieważ Jury'ego i Wigginsa nie było na miejscu, należało chyba przekazać zdjęcia Harkinsowi. Jednak Harkins, jak Melrose słyszał, znajdował się w Leeds, u szefa policji.

Do diabła z tym! Może przecież ubić trzy ptaszki jednym kamieniem! Tak, zrobi to, jeżeli sam pojedzie do Londynu, dostarczy dowody do Nowego Scotland Yardu i pomoże Jury'emu, znajdując tę restaurację ze słowem „Palące” w nazwie, a po drodze zatrzyma się w Yorku i sprytnie pozbędzie się Agathy. Spojrzął na zegarek. Nie było jeszcze pierwszej. Przed późnym lunchem około drugiej albo też przed podwieczorkiem mógł znaleźć się w Yorku. A w Londynie najpóźniej przed wpół do dziesiątej, jeżeli jadąc, rozwinie taką prędkość jak zwykle.

Bardzo z siebie zadowolony, pomyślał, że ubije trzy ptaszki jednym kamieniem.

A raczej dwa ptaszki i jednego indyka.

## 22

Budynek „Sherry Club” był surową, pobielaną budowlą o płaskim frontonie, stojącą niedaleko ulicy Shambles w cieniu katedry. Jego budowniczowie dokonali poważnego wysiłku, by nie kojarzył się z jakąkolwiek komercją. Mała mosiężna plakietka, umieszczona na prawo od dębowych drzwi, informowała, co się tutaj mieści. Budynek zachował charakter i funkcję klubu dżentelmenów, jednakże damy miały prawo wstępu do jadalni. Wymagano od nich jedynie braku ostentacji i ciszy.

Klub nie był zatem miejscem, w którym chętnie pojawiłyby się Agatha.

Melrose siedział tu teraz wściekły. Do pasji doprowadzała go myśl, że musi zmarnować cenną godzinę, a może nawet dwie, na podwieczorek w towarzystwie ciotki. Z drugiej jednak strony, wiedział, że Agatha z pełnym żołądkiem staje się osobą bardziej uległą. Podsumowując, doszedł do wniosku, że to spotkanie to niewielka cena za niedopuszczenie do tego, by Agatha zjawiała się w Rackmoor. I to w towarzystwie Teddy.

Poprosił o stół w pobliżu jednego z wysokich okien jadalni, wychodzących na ulicę. Nie dlatego, że z wielką niecierpliwością oczekiwał chwili, w której ujrzy ciotkę, tylko dlatego, że sądził, iż ona pomimo jego wskazówek raczej przeoczy dyskretnie umiejscowiony klub. Siedząc przy oknie, pomyślał, będą mógł w razie konieczności w nie zastukać i zwrócić na siebie jej uwagę.

Celowo zjawił się w klubie wcześniej. Chciał bowiem przed przybyciem ciotki zorientować się, jaka tutaj uczęszcza



klientela. Była godzina późnego lunchu, ale w jadalni znajdowało się niewielu gości. Przy stoliku w głębi siedziała ich trójka - mężczyzna i dwie kobiety. Nie, pomyślał Melrose, ci się nie nadadzą. Poza nimi na sali był tylko drobny džentelmen o ptasim wyglądzie, zjadający się ciepłymi bułeczkami, oraz drugi - lepiej rokujący - ubrany w czarny garnitur właściciel melonika i parasola. Twarz tego mężczyzny o profilu jastrzębia była całkiem nieruchoma. Jego melonik natomiast leżał na stole, a ciasno zwinięty (i z pewnością nigdy nierozwijany) parasol wisiał zaczepiony na oparciu krzesła. Mężczyzna czytał gazetę.

Melrose gestem dłoni przywołał kelnera.

- Tamten džentelmen - powiedział - wydaje mi się znajomy. Sądzę, że przed laty był, podobnie jak ja, uczniem Harrow. To szanowny John Carruthers-White, prawda?

Kelner pobiegł wzrokiem za spojrzeniem Melrose'a.

- O nie, proszę pana. To jest pan Todd. Ponieważ nasz klub jest położony tak blisko katedry, ten pan regularnie spożywa tu lunch.

- A niech mnie! - rzucił Melrose, udając zdumienie. - Ten człowiek to kropka w kropkę Carruthers-White. Katedra? A co pan Todd robi w katedrze?

- Odpowiada za organizację zwiedzania, proszę pana. - Kelner białą serwetą strzepnął ze stołu nieistniejące okruszki. - Katedra jest bardzo popularna.

Powiedział to tak, jakby ta świątynia była jakąś grupą rockową.

- No tak - potwierdził Melrose. - Tak słyszałem. A czy pan Todd oprowadza grupy także w miesiącach zimowych? To znaczy teraz?

Kelner nie sprawiał wrażenia wścibskiego. Nie interesowało go najwyraźniej, dlaczego pan Todd, który nie jest panem Carruthers-White'em, budzi taką ciekawość Melrose'a.

- O tak. Dziś po południu będą chyba ze dwie tury. Tak około trzeciej.

A więc ten człowiek niedługo wyjdzie. Do licha z tą Agathą, spóźnia się.

- Proszę o dwie herbaty, dobrze?

Kelner wycofał się. A po paru chwilach zjawił się ponownie - z herbatą. Ustawił na stoliku imbryk i filiżanki, a także ciasteczka. W tej samej chwili Melrose zobaczył ciotkę. Stała, gapiąc się na wejście do klubu. Udało jej się przy tym - zwykła rzecz - wyglądać jak ktoś wyobcowany, jak przybysz z innego Układu Słonecznego. Kapelusz, który miała na głowie, wzmaczał to wrażenie - stanowił bowiem jaskrawą kombinację fioleto i błękitu, a jego zwieńczeniem było długie zielone pióro. Zniknęła.

A potem pojawiła się ponownie - w jadalni. Kelner prowadził ją już do stolika Melrose'a. Melrose zerknął na Todda, pragnąc się upewnić, że ten nie przygotowuje się do wyjścia właśnie teraz, w momencie przybycia Agathy. Ale nie, mężczyzna zdawał się siedzieć spokojnie - ukryty za gazetą, ze swoim dzbankiem kawy.

- No cóż, Melrose, widzę, że zaczęłaś beze mnie. - Agatha odchyliła pokrywkę srebrnego imbryka, zajrzała do środka, a potem przyjrzała się kanapkom i ciastkom. Wskazując palcem każde z pięter wielokondygnacyjnej patery, wypowiadała nazwy leżących tam przysmaków. - Hm, nie ma babeczek - stwierdziła w końcu.

- Lepsze restauracje czy herbaciarnie nie oferują babeczek, ciociu. U Fortnuma ich nie ma, prawda? Będziesz musiała zadowolnić się tym, co tu jest.

Agatha zdjęła sfatygowane futro z lisów i zabrała się do jedzenia.

- Posłuchaj, Melrose, czy wyciągnąłeś mnie z domu tylko po to, żeby rozmawiać o ciastkach? Czy znowu piłeś?

Nie pił, ale żałował, że przed rozmową z ciotką nie wzmocnił się kilkoma dużymi kieliszkami brandy. Bo cała ta sytuacja przypominała płynięcie pod prąd, w czasie którego dostał się w sam środek ławicy ryb. Agatha wypila pierwszą filiżankę herbaty i pochłonęła kanapkę z pastą rybną. No, a potem zabrała się tak naprawdę do jedzenia.

Melrose posmarował masłem trójkątny placuszek z jęczmiennej mąki, choć w rzeczywistości nie przepadał za tego rodzaju wypiekami, w które powtykano owoce.

- Ja... to znaczy my... mamy dla ciebie pewne zadanie. Ale musisz to utrzymać w absolutnej tajemnicy.

- A o co chodzi? Jak się ma Jury? I dlaczego go tu nie ma? Szkoda, że zawsze wysyłają go do takich zapadłych dziur. Czy on nie jest wystarczająco dobrym policjantem na to, żeby pracować w Londynie?

-Wiesz doskonale, że jest świetnym policjantem. Pracuje w wydziale zabójstw. No i przeprasza cię bardzo za to, że obecne morderstwo nie zostało popełnione w jednym z miejsc bardziej modnych, takich jak Belgravia czy Mayfair. A ja, no cóż, domyślałem się, że bardzo podziwiasz Jury'ego.

- O, zaraz „podziwiam”. Uważam go po prostu za dobre go profesjonalistę. I tyle.

Agatha nałożyła gęstej śmietany na swój trójkątny placuszek.

Było całkiem jasne, że naprawdę boleśnie przeżywa nieobecność Jury'ego.

- Posłuchaj, ciociu, tam za tobą, po lewej stronie, siedzi pewien dzentelmen. Nie! Nie odwracaj się, bo zwróci na ciebie uwagę.

Agatha, choć z wielkim trudem, powstrzymała się jednak. A potem, skończywszy jeść trójkątny placuszek, skosztowała twardego ciasteczka z rodzynekami, doszła do wniosku, że to nie to i - niczym źle wychowane dziecko - odłożyła je, a wzięła ciastko z owocami.

- No więc co z tym dżentelmenem?  
- Moim zdaniem, on mnie śledzi. Nie mam, oczywiście, co do tego pewności, ale... Nie! Nie patrz! Jury sądzi, że to jakiś *agent prouocateur*.

Melrose widział, że ciekawość Agathy to nie jeden stopień prowadzący do piekła, ale cała klatka schodowa. Mimo to mówił dalej:

- Jest coś, co ja... to znaczy, czego wykonanie Jury chciałby zlecić tobie i pani Harries-Stubbs.

- Teddy? I mnie? No więc o co chodzi?

- Przebywając w domu pani Harries-Stubbs, okazałem się... przynajmniej to że skrucha... okazałem się bardzo niedbały.

Agatha uśmiechnęła się uszczęśliwiona, dając do zrozumienia, że mogła się tego po nim spodziewać.

- Zginęło mi pokwitowanie. Znajdowało się w moim portfelu. I nie mam pojęcia, w jaki sposób wypadło. Wiem jednak, że zginęło gdzieś w domu Teddy, bo zorientowałem się, że go nie mam, zaraz po wyjeździe stamtąd.

- A czego ono dotyczyło?

Melrose przez chwilę zastanawiał się nad kilkoma możliwymi odpowiedziami.

- Pochodziło - zdecydował się wreszcie - z biura rzeczy znalezionych na Victoria Station.

Do takiego biura ludzie przecież bez przerwy przynosili różne przedmioty.

- A co ten dżentelmen ma z tym wspólnego?

- Tego dżentelmena, pana Todda, także interesuje to pokwitowanie.

Melrose zapalił papierosa - niedbale, jak ktoś, kogo nie śledzi żaden tajny agent.

Agatha zrobiła wielkie oczy.

- Czy on jest niebezpieczny?

- Nie sądzę. W końcu przecież nie wie, że to pokwitowanie znajduje się w domu Teddy, prawda? - Melrose uśmiech-

nał się promiennie. To sprawi, że obie damy zostaną w domu i będą go przeszukiwać aż do upragnionego skutku. - Musicie z Teddy wywrócić dom do góry nogami. Ta karteczka jest bardzo mała. Łatwo ją przeoczyć.

- A co będzie, jeżeli służba ją wyrzuciła?

Melrose wbił wzrok w koniuszek papierosa.

- Przeszukajcie też kosze na śmieci.

Wyglądało na to, że Agatha niechętnie odnosi się do takiej perspektywy. Melrose położył jej rękę na dłoni. Był to gest do tego stopnia dla niego nietypowy, że Agatha spojrzała na jego dłoń tak, jakby ta była rybą, która wylądowała na blacie stołu.

- Ciociu, to jest naprawdę bardzo ważne. Nie zawiedziecie mnie, prawda? To znaczy, nie sprawicie nam zawodu?

Agatha strzepnęła okruszki ze swego trójkątnego płaszcza na rękaw Melrose'a.

- No cóż - odrzekła - jeżeli zwracasz się z tym do mnie przez wzgląd na dawne czasy... - Najwyraźniej nie przyszło jej do głowy, że Jury do takich poszukiwań mógł zaangażować całą policję hrabstwa. - A kiedy zobaczę się z Jurym? Żeby zdać raport?

Te dwa ostatnie pytania mogły być szantażem. No cóż, może skłonię Jury'ego, żeby się tu zatrzymał w drodze powrotnej z Londynu - pomyślał Melrose. - Bo jest przecież pewne, że Jury tak samo jak ja nie będzie chciał dopuścić do pojawiania się Agathy w Rackmoor. Przeszkadzałyby mu tam tylko przecież. Już on będzie umiał przymilić się do niej, a równocześnie ją zignorować. I Agatha się w tym nie zorientuje. A tak nawiasem mówiąc, gdzie on nabył tych umiejętności? - zadał sobie pytanie Melrose, wspominając Percy'ego Blythe'a.

- Aha, pan Todd pracuje w katedrze. Ta praca to taka jego przykrywka. Jest tam przewodnikiem wycieczek.

- Naprawdę? Ale co taki ktoś jak on ma wspólnego z rodziną Craelów?

Melrose mógł z powodzeniem spędzić całe popołudnie na wymyślaniu związków między Craelami a Toddem. Sęk w tym, że chciał jak najszybciej dostać się do Londynu. A poza tym zauważył, że pan Todd składa gazetę i bierze parasol. Pragnąc zatem, żeby ten człowiek go śledził, musiał się szybko stąd zabierać. Zwrócił się więc przyciszonym głosem do Agathy, która była właśnie zajęta rurką wafłową z dodatkiem imbiru.

- Jeżeli teraz wyjdziemy - powiedział - to go wykołujemy.

- No cóż - odrzekła zrzędliwie Agatha - nie skończyłam jeszcze podwieczorku. Ale skoro tak trzeba...

Melrose wziął ją pod ramię i zmusił, żeby wstała.

U stóp schodów prowadzących do „Sherry Club” Melrose postarał się zyskać na czasie, upuszczając kluczyki od samochodu. Równocześnie zauważył, że drzwi za nimi otwierają się i że ukazuje się w nich pan Todd.

- Chyba nie zdążyliśmy - szepnął. - Udawaj, że go nie zauważasz. Będzie musiał iść. No wiesz, nie może przystanąć i zacząć się gapić w niebo. Prawda?

Pan Todd zgodnie z przewidywaniami Melrose'a ruszył żwawo ulicą.

- Sprytny, co? - zauważyła Agatha. - Nikt by się nie do myślił, że cię śledzi. - Teraz to ona położyła pocieszającym gestem rękę na ramieniu siostrzeńca. - Pamiętaj, Melrose, gdyby coś ci się stało, Ardry End znajdzie się bezpieczne w dobrych rękach.

Spoglądając na pulchną dłoń na swoim ramieniu, Melrose wziął te słowa za prawdę tak pewną jak Ewangelia. Palce Agathy były ozdobione dwoma pierścionkami jego matki.

- To bardzo przyzwoite z twojej strony, droga ciociu - po wiedział i dotknął kapelusza.

A potem każde z nich trojga - on, Agatha i pan Todd - udało się w swoją stronę.

V

*Limehouse Blues*

# 1

Jury wpadł do siebie do mieszkania, żeby odebrać pocztę, która składała się z rachunków, jakichś biuletynów oraz listu od kuzynki mieszkającej w wielkim ośrodku przemysłu garncarskiego w środkowej Anglii. Osoba ta była dla niego bardziej siostrą niż kuzynką, o czym nigdy nie omieszkala mu przypominać. I czyniła to w celu zwrócenia uwagi nie tyle na swoje siostrzane względem niego, ile na jego braterskie względem niej obowiązki.

Jury rozdarł kopertę i przeczytał list, pokonując równocześnie dwie kondygnacje schodów prowadzących do mieszkania. Z listu wynikało, że jego kuzynkę, jak zwykle, do szalu doprowadzał Alec (czyli jej mąż alkoholik), a także dzieci, brak pieniędzy oraz nadmiar pracy. Jury spojrzła na znaczek. Z daty wynikało, że pełen ubolewań list leżał w jego skrzynce od trzech dni.

Czyżby tylko trzy dni nie było mnie w domu? - pomyślał i przeciągnął się zmęczony. Miał neodparte wrażenie, że nie od trzech dni, lecz raczej od trzech tygodni ugania się po wrzosowiskach. Zapalił lampę na biurku i przyjrzał się panującemu w mieszkaniu bałaganowi. Salonik pełen był tylko częściowo przeczytanych książek i nieumytych filiżanek po kawie. Jury wziął telefon i umieścił go sobie na kolanach. Odchylił głowę na oparcie jedyne fotela i zamyślił się nad



losem kuzynki. Jej mąż nie był może najwspanialszym z ludzi - to prawda. Ale przecież sama go sobie wybrała. Każdy z nas, myślał dalej Jury, do pewnego przynajmniej stopnia sam wybiera swoje życie. Dlaczego więc ludzie, z którymi żyjemy, zaskakują nas zawsze niczym rzeczy albo meble, o które się potykamy w ciemności?

Jury wziął telefon niechętnie i z ociąganiem. Wiedział bowiem, co teraz nastąpi. Bity kwadrans wyliczania kłopotów. W rzeczywistości jednak okazało się, że z powodu płaczu zrobiło się z tego kwadransu raczej pół godziny. W końcu Jury poradził kuzynce, żeby zrobiła sobie urlop, zatrudniła gospośnię i wyjechała na tydzień na przykład do Blackpool. Powiedział też, że przyśle jej na to pieniądze. Gdy się z nią rozłączył, kobieta wydawała się niemal szczęśliwa. Jury wiedział doskonale, że robi to wszystko nie tyle dla niej, ile dla jej rodziców. Bo oni tuż po wojnie zachowali się wobec niego bardzo przyzwoicie. Zabrali go z domu dziecka. I wzięli do siebie. Teraz, gdy nie było ich już pośród żywych, Jury pomyślał też o dzieciach kuzynki. Jeżeli kobieta załamie się nerwowo, one na tym z pewnością ucierpią. Przed oczyma wyobraźni stanęły mu ich drobne, przypominające rząd wypolerowanych monet twarze. A to z kolei skierowało jego uwagę na Bertiego Makepiece'a. Jury był pewien, że matka Bertiego znajduje się w Londynie. Wyjął z kieszeni kopertę, którą dał mu Adrian, i przyjrzał się adresowi nadawcy: *R. V.H., S. W.I.* Domyślał się, że inicjały nie oznaczają osoby, która napisała list. Prawdopodobnie to jakaś firma. Zamyślił się na chwilę, postukując kopertą o kciuk. Czy litera H może oznaczać jakiś „Hotel”? Będzie to łatwo sprawdzić w Scotland Yardzie.

Gdy pisał krótki list do kuzynki, ozwało się ciche, nieśmiałe, wprost przeproszające pukanie do drzwi.

- Och, panie inspektorze. - W drzwiach stała pani Wasserman. Miała na sobie czarny płaszcz i czarny kapelusz

i przyciskała do piersi torebkę. Zawsze ubierała się na czarno. Tak, pani Wasserman była w permanentnej żałobie. - Proszę mi wybaczyć. Założę się, że pan przed chwilą wrócił. Ale wie pan, co się stało?

- Proszę wejść, droga pani. Proszę.

Weszła ostrożnie do środka, rozglądając się naokoło, jak-by w poszukiwaniu intruzów.

- Idę właśnie w odwiedziny do przyjaciółki. Do pani Eton. Pan ją zna. No, ale muszę panu powiedzieć, że dzisiaj przez całą drogę z Camden Passage byłam śledzona. Ten człowiek...

Ulice w oczach pani Wasserman były pełne zagrożeń. Zagrożenia te wyskakiwały na nią jak psy toczące pianę z pysków za żelaznymi ogrodzeniami. Jury zastanawiał się, czy każde miasto przypomina tej kobiecie ową otchłań, ów kawałek terenu, leżący między pociągiem, do którego ją zagnano, a obozem. Strach, którego wtedy doznała, zapuścił w jej umyśle głębokie korzenie. I nie pozwalał się ograniczyć do tamtego jednego czasu i miejsca.

- Tak, ten człowiek... Jak wyglądał? - zapytał Jury panią Wasserman.

Dobrze wiedział, że zaprzeczając i twierdząc, że nikt kobiety nie śledził, nie uśmierzy jej lęku. Wyjął więc niewielki notes i pstryknął długopisem.

Na twarzy pani Wasserman natychmiast pojawił się wyraz ulgi. Bo ona pragnęła w gruncie rzeczy tylko jednego, pragnęła, by traktowano ją poważnie.

- To taki niski osobnik... - Podniosła rękę, pokazując, jakiego był wzrostu. - I raczej chudy. Jego twarz przypominała trupa czaszkę. I mrużył oczy. Miał na sobie płaszcz i brązowy kapelusz.

Pani Wasserman, mówiąc, obserwowała Jury'ego. A on, widząc to, zapisywał każde słowo.

- Znalezienie go nie nastreczy trudności. W naszej kar totece figurują wszyscy kieszonkowcy z okolic Camden

Passage. - Wiedział, że pani Wasserman uwielbia tam chodzić i przepatrywać stragany w poszukiwaniu okazji. - Czy pani coś kupiła? Zdradzając w ten sposób, że ma pani pieniądze?

- Tylko to. - Otworzyła torebkę i wyjęła z niej mały, owinięty w bibułkę, dość ładny pierścionek. Prawdopodobnie żałobny, bo w środku był mały kosmyk włosów. - Zapłaciłam za niego banknotem dziesięciofuntowym.

- No cóż, wie pani, jacy są ci kieszonkowcy, a także złodzieje trudniący się wrywaniem torebek. Kiedy zobaczą banknot, wydaje im się, że trafili na żyłę złota. - Jury schował notes do kieszeni. - Proszę się nie martwić, złapiemy go. Widziała go pani kiedyś przedtem?

Pani Wasserman pokręciła energicznie głową.

- Camden Passage przyciąga wielu drobnych oszustów. Ale oni są dość nieszkodliwi.

- Nie jest już bezpiecznie chodzić ulicami, panie inspektorze. - Przycisnęła torebkę do piersi. - Nic już nie jest bezpieczne.

Jej znękane oczy przypominały czarne koraliki.

Lęk, który w niej zamieszkał, kiedy była jeszcze młoda i ładna, rozprzestrzenił się, ogarniając wszystko, pomyślał Jury. Ta kobieta do końca życia będzie jego więźniem.

- Proszę się nie martwić - pocieszył ją. - I wie pani, po wiem pani coś. Na pani miejscu kupiłbym sobie taki pas na pieniądze. Nie będzie pani wtedy musiała zabierać ze sobą torebki. Taki pas można schować pod paskiem spódnicy. To proste. Albo mogłaby pani kupić inny. Taki, który nosi się na nodze, pod podwiązką. Tylko że wtedy, oczywiście, miałyby pani kłopot, sięgając po pieniądze.

Mrugnął do niej.

A ona roześmiała się głośno.

- Na mojej nodze, panie inspektorze? Przecież ja mam zylaki. Myślałam nawet, że powinnam nosić elastyczne poń-

czochy. Ach, te moje nogi! Nie obchodzi mnie wcale, czy ktoś je zobaczy!

Jury uśmiechnął się.

- Czy idąc do miasta, wzięła pani ze sobą gwizdek, który pani dałem? Miała go pani przy sobie?

Zarumieniła się i spuściła oczy.

- Przyznaję, że zapomniałam. Ale to takie miłe z pana strony, że pan mi go podarował.

- No cóż, proszę się nie martwić. I następnym razem proszę go wziąć ze sobą. Ja także muszę teraz wyjść. Idzie pani może w stronę stacji metra?

- A tak. Tak. Pani Eton mieszka w Chalk Farm.

Josie Thwaite mieszkała w Kentish Town.

- Ma pani szczęście. Ja jadę do Kentish Town. A to jest tylko o jedną stację metra stamtąd. Więc będzie pani miała policyjną eskortę.

## 2

Oczy, które patrzyły na niego spoza drzwi zabezpieczonych łańcuchem, były brązowe, łagodne, wyrażały podatność na ciosy. Jury domyślił się, że należą do Josie Thwaite.

- Czy panna Thwaite? - zapytał. - Ja nazywam się Jury. Jestem inspektorem...

Kobieta aż wstrzymała oddech, a on, widząc to, przerwał.

- Czy przychodzi pan w sprawie tablic nauki jazdy?

- Nie. Chciałem zadać pani kilka pytań na temat pani znajomej, Gemmy Tempie.

- Och, przepraszam.

Drzwi przymknęły się i Josie Thwaite odsunęła łańcuch. A potem otworzyła drzwi szeroko i odgarnęła do tyłu czarne włosy. Białą sweterek, który miała na sobie, podkreślał

szczupłość ramion. W ogóle była szczupła. Jury zauważył to, kiedy cofnęła się i gestem dłoni zaprosiła go do środka. Chodziła też nieco przygarbiona. Wszystko w niej było przepraszające - jej postawa, wygląd i głos. A powietrze wokół niej aż drżało od smutku.

Kiedy jednak rozmowa zeszyła na jej współlokatorkę, ten przepraszający ton zniknął. A Josie Thwaite zrobiła się bardzo rzeczowa.

- Widzi pan, Gemma pożyczyła mój samochód. Dlatego że właśnie otrzymała tablice nauki jazdy, a bardzo chciała pojechać na te wakacje. Nie chciała tylko powiedzieć, dokąd jedzie. Bała się, że ktoś ją zatrzyma z tymi tablicami. - W tej chwili Josie uświadomiła sobie, że nie zaprosiła Jury'ego, żeby usiadł. - Och, przepraszam - powiedziała i wskazała mu głęboki fotel, obity kłującym materiałem. - Dlatego - mówiła dalej - to właśnie mój samochód znaleziono tam, w...

- ...Rackmoor. W Yorkshire.

- Tak, właśnie. Dwa dni temu był tu jakiś policjant. Z Yorkshire. Pan nie jest pierwszy.

Jury uśmiechnął się. Brzmiało to jak przyznanie się do utraty dziewictwa. Wyjął z kieszeni zdjęcie, które dostał od Harkinsa.

- Czy to jest Gemma Tempie?

- Tak, wygląda na to, że tak. Słońce pada jej na twarz. Ale tak, to Gemma.

Jury schował zdjęcie.

- Mówiła pani, że niewiele pani wie o jej przeszłości. Wspominała podobno tylko o rodzinie nazwiskiem Rainey.

- To prawda. Wydaje mi się, że w okresie, w którym ze mną mieszkała, jeździła do tych ludzi kilka razy z wizytą.

- Jak pani poznała Gemmę?

- Znalazłam ją przez ogłoszenie. Potrzebowałam kogoś, kto dzieliłby ze mną koszty wynajmu tego mieszkania. - Rozejrzała się żałośnie po pokoju. - Chociaż ono nie jest takie

duże. Jest tu tylko jeden pokój i sypialnia. Ale to lepsze niż kawalerka, przyzna pan, prawda?

- Zapewniam panią, że to mieszkanie jest znacznie lepsze niż moje własne. Papierosa?

Wyciągnął paczkę w jej stronę.

Było oczywiste, że dziewczyna raczej nie pali. Spojrzała bowiem na paczkę papierosów, tak jakby to był jakiś egzotyczny ptak. A po chwili wyskubała z niej ostrożnie papierosa. Następnie, równie ostrożnie, pochyliła się do przodu, odgarniając włosy, by nie zajęły się od płomyka zapalki, którą zapalił Jury. I w końcu, odchylona do tyłu, zaczęła wydmuchiwać dym, trzymając papierosa między kciukiem a palcem wskazującym. Odprężyła się, jakby po dawce opium, założyła nogę na nogę i zaczęła kołysać stopą w puchatym rannym pantoflu. Sprawiała nieodparte wrażenie, że jest małą dziewczynką, która bawi się przyborami do makijażu i papierosami matki.

- Więc ona odpowiedziała na pani ogłło...

- Mhm.

- A proszę mi powiedzieć, czy lubiła pani Gemmę? Czy życie pod jednym dachem dobrze się wam układało?

Spojrzała na niego, po czym odwróciła wzrok.

- No cóż, właściwie wcale się nie kłóciłyśmy. Jeżeli ma pan na myśli właśnie to. Ale muszę przyznać, że nie za bardzo ją lubiłam. A poza tym ona mówiła o sobie w taki mglisty sposób. Powinnam była zażądać referencji, prawda?

Spojrzała na Jury'ego szeroko otwartymi, przeproszającymi oczami. Wyglądało to tak, jakby za swoją głupotę spodziwiała się od niego surowej nagany.

- Spojrzenie z perspektywy czasu zawsze daje właściwy pogląd na sprawę, proszę pani. Ja dzięki takiemu zabiegowi rozwiązałem ze sto kryminalnych zagadek. Czy sądzi pani, że Gemma Tempie mogła pani przedstawić jakiegokolwiek referencje? Czy też przypominała raczej osobę często zmieniającą pracę?

Josie Thwaite pochylała się w przód i zniżyła trochę głos. Zachowywała się jak nastolatka obawiająca się, że matka nakryje ją na paleniu papierosów i gadaniu świństw.

- „Osoba często zmieniająca pracę” to, moim zdaniem, zbyt łagodne określenie. Bo, proszę pana, ona tutaj sprowadzała mężczyzn. A ja, leżąc w łóżku, słyszałam wszystko... - Josie odchyliła się do tyłu nie tyle z wyrazem oburzenia, ile osłupienia na twarzy, sprawiając wrażenie, że zastanawia się, co oni tam robili. - Gemma twierdziła - mówiła dalej - że jest aktorką. Sądzę, że raz grała jakąś małą rolę w jednym z tych teatrzyków, które dają przedstawienia w starych pomieszczeniach fabrycznych. Wie pan, o co mi chodzi. No, w każdym razie Gemma tak naprawdę nie pracowała. Ale od czasu do czasu dostawała pieniądze...

- Chce pani powiedzieć, że pracowała na ulicy? Czy tak?

Josie kiwnęła głową i ponownie skupiła uwagę na koniuszku swojego papierosa. Wyglądało to tak, jakby czyniła wysiłek, by się w tym wszystkim połapać.

- Czy Gemma nigdy nic nie mówiła o swojej przeszłości?

Josie pokręciła głową.

- Skoro nie miała pani do niej zaufania, to dlaczego pożyczyla jej pani samochód?

- No cóż, jej własny był o wiele lepszy, prawda? - powiedziała Josie i zaraz zaczęła się bronić: - Ale wie pan, ona wystawiła mi coś w rodzaju pokwitowania. Napisała w nim, że jeżeli coś się stanie z moim samochodem, mam przejąć jej własny. Proszę spojrzeć, to ten, który stoi przed domem. Sądzę, że go teraz zabiorą.

Ton, jakim to powiedziała, świadczył, że bardziej ją martwi utrata samochodu niż śmierć Gemmy.

- A w jaki sposób Gemma zdobyła pieniądze na samochód? - pytał dalej Jury.

Josie uśmiechnęła się krzywo.

- To już prędzej pan mógłby powiedzieć mnie. A wtedy wiedzielibyśmy to oboje. Ale tak poważnie, to sędzę, że od jednego z tych mężczyzn, którzy ją odwiedzali.

- A czy pani poznała kiedyś któregokolwiek z nich?

- Spotykałam ich tylko na schodach, kiedy wychodziłam do pracy. A raz zastałam jednego tutaj. W biały dzień! - W biały dzień te rzeczy są oczywiście zawsze bardziej grzeszne.

- Za każdym razem to był inny mężczyzna. Zamierzałam już ją poprosić, żeby poszukała sobie innego mieszkania...

- Ale nie dowiedziała się pani, jak oni się nazywają? Nie zna pani nikogo, kogo mógłbym zapytać o Gemmę Tempie?

- Przykro mi - odrzekła szczerze zmartwiona. - Nigdy nie poznałam nazwiska żadnego z tych mężczyzn.

- No cóż, nie ma w tym oczywiście pani winy. - Jury wstał. - Gdzie pani pracuje?

- W pralni. Tu, niedaleko, przy tej samej ulicy.

Stała oparta skronią o framugę drzwi i patrzyła na niego jakby z żalem, że już odchodzi.

- No to do widzenia - pożegnała go, otulając się swetrem.

- Chyba nic mi nie zrobią za ten samochód? Jak pan myśli? To znaczy za to, że pozwoliłam go Gemmie prowadzić?

Jury wręczył jej swoją wizytówkę.

- Nikt pani nic nie zrobi, zapewniam panią. A jeżeli ktoś się tu zjawi, proszę po prostu do mnie zadzwonić. Nie sędzę jednak, żeby ktoś jeszcze panią niepokoił. Nie popełniła pani przecież żadnego przestępstwa.

Ogromna ulga, jakiej doznała Josie, była wręcz namacalna. Dziewczyna uśmiechnęła się, a jej drobne białe zęby prawie zabłysły w ciemności. Co wywołało niemal zachwyty Jury'ego, gdyż te zęby były jedyną ładną rzeczą w jej twarzy.

- A zatem do widzenia, panno Josie.



Ślepy zaułek, pomyślał, znalazłszy się już przed blokiem mieszkalnym. Rozejrzał się w obie strony, zobaczył na rogu pub „Pod Trzema Beczkami” i zaczął się zastanawiać, czy napić się piwa, czy może raczej pójść prosto do stacji metra Chalk Farm, gdzie obiecał spotkać się z panią Wasserman i tam na nią zaczekać. Było kwadrans po dziesiątej. Za wcześniej, żeby iść na stację. A po drinku będzie mu się lepiej spało. Rzucił papierosa do rynsztoka i w tej samej chwili, w upiornym świetle ulicznej latarni zobaczył mały, chorobliwie żółty samochodek.

Ach, ty idioto, powiedział do siebie, wpatrując się w tablicę nauki jazdy. Przez cały czas, gadając o tych tablicach, nie zdołałeś na to wpaść!

### 3

Melrose Plant nie miał pojęcia, jak zdoła obejrzeć sześć kolejnych chińskich restauracji. Bo przecież w każdej będzie musiał coś zjeść. Te, które dotychczas odwiedził w Soho i w dzielnicy Kensington, przyprawiły go już o zgaę. Okazało się też, że się mylił, jeśli sądził, że kupując posiłek, kupi równocześnie informację. Świadczące o kompletnym braku zainteresowania spojrzenia kelnerów (którzy udawali przy tym, że nie rozumieją po angielsku) stanowiły jedyną reakcję na zdjęcie Gemmy Tempie, które im pokazywał. Było już po jedenastej, nie mógł jednak iść spać, nie podjawszy jeszcze jednej próby. Dlatego od stacji metra Aldgate East ruszył w kierunku Limehouse.

Restaurację noszącą nazwę „Sun Palace” znalazł przy ponurej bocznej uliczce, której prawdopodobnie nigdy nie oświetlało słońce. Restauracja była niewielka, miała okno z dużą szybą i żelazną barierkę, o którą opierała się Gemma Tempie,

pozując do zdjęcia. Nad wejściem biegł półkolistynapis, zrobiony łuszczącą się złotą farbą. SUN PALACE - głosił.

Lokal był zamknięty.

Melrose rozejrzał się z westchnieniem, a potem ruszył pustą ulicą w nadziei, że spotka kogoś, kto wie cokolwiek o tej restauracji.

- Cześć, kotku - powiedziała młoda „atrakcyjna dama” bez zbytniego entuzjazmu. - Włączysz się po slumsach?

Trudno było stwierdzić, w jakim dokładnie jest wieku. Latarnia uliczna rzucała na nią krąg światła, które sprawiało, że kolor jej szminki wydawał się czarny, a cała twarz miała barwę ołowiu. Dziewczyna siedziała na stopniach przed odrapanymi drzwiami bardzo wąskiego budynku, którego fronton mieścił jedynie te właśnie drzwi z półkolistą szybką u góry oraz wąziutkie niczym szczelina okno. Budynek stał wciśnięty pomiędzy jakiś sklepik a inny, podobny domek, który wyglądał tak, jakby przed paroma laty był jego drugą połową. Razem mogłyby tworzyć jedną zwykłą kamienicę z elewacją z piaskowca. Oba stanowiły jakby dwa wzajemne lustrzane odbicia, dlatego Melrose złapał się na tym, że spodziewa się zobaczyć duplikat dziewczyny, siedzący na sąsiednich schodkach.

Przystanął i oparł się o niski słupek z łuszczącego się kamienia. Dziewczyna siedziała tymczasem z jedną nogą podkurzoną i drugą wspartą na niższym stopniu, demonstrując dżinsy tak obcisłe jak kostium kąpielowy oraz gołe kostki i pantofle na szpilkach. Jej stroju dopełniał niezobowiązujący sweterek z podciągniętymi rękawami i dużym dekoltem w serek, utworzonym dzięki rozpięciu czterech górnych guzików. Ubranie tak ściśle przylegało do ciała, że zrzuciwszy buty i włożywszy czepek pływacki, dziewczyna byłaby w stanie przepłynąć w nim kanał La Manche. Czepek, co prawda, oszpeciłby ją nieco, skrywając burzę loków w stylu Shirley

Tempie. Melrose zauważył, że te loki są jedwabiste, brązowe, naturalne, jej własne. Stanowiły jakby pozostałość z dzieciństwa, były czymś, czego nie mogła oswoić ani wymazać ze swojej przeszłości. Wyglądało to dziwnie. Loki zdawały się redukować całą resztę, całą tę seksualną aurę, do zwykłego nieporozumienia i sprawiać, że mała dziewczynka wyłaniała się niczym feniks z popiołów Limehouse.

- Mam na imię Betsy - powiedziała, wstając, otrzepując siedzenie i wchodząc po schodkach.

Melrose patrzył przez chwilę, jak kołyszę biodrami. Machnęła ręką zniecierpliwiona.

- No chodź, koleś, chodź.

Melrose poszedł za nią.

Za drzwiami był długi, pusty korytarz, wyłożony szarym linoleum z wzorem w rozkwitłe róże. Żarówka osłonięta sfatygowanym kloszem zwisała z sufitu na długim kablu. Melrose zadawał sobie pytanie, czy za drzwiami ciągnącymi się rzędem po prawej i po lewej stronie kryją się jakieś inne tego samego pokroju dziewczyny. Nagle otworzyły się jedne z tych drzwi i ukazał się splełany kołtun rudych włosów, którego właścicielka natychmiast zrozumiała, o co chodzi, i momentalnie cofnęła się do wnętrza.

Betsy zaprowadziła Melrose'a do pierwszego pokoju po lewej stronie. Pokój miał wysokie, wąskie okno, które wychodziło na jakiś magazyn. Jak można się było spodziewać, w pomieszczeniu tym dominowało ogromne łóże. Melrose rzucił na nie okiem i aż dech mu zaparło ze zdumienia. Łóże okazało się bowiem fantastycznym, zabytkowym meblem - z epoki Tudorów albo renesansowym. Miało baldachim i piękne intarsje. Poza nim w pokoju stała toaletka z potrójnym lustrem, pomalowana łuszczącą się już zieloną farbą, komoda o wątpliwym pochodzeniu i pojedyncze malowane drewniane krzesło. Po obskurnej tapecie pełzały suszone bukieciki niby wypłowiałe wspomnienia po młodych kwaciarkach.

Dziewczyna jedną ręką zamknęła drzwi, a drugą automatycznie wyciągnęła ku Melrose'owi, chcąc zapewne zdjąć z niego jakąś część garderoby.

- Może byś zdjął okulary - zaproponowała. - Masz obłądne oczy. Zielone jak butelka abbotfs.

Melrose wątpił, czy takie słowa należą do rutyny. Sądził, że komplementy w tego rodzaju okolicznościach są raczej zbyteczne. Dziewczyna uśmiechnęła się blade, a jej uśmiech, podobnie jak przedtem włosy, wydobył z niej małą dziewczynkę. Zęby miała drobne. Jednego z nich brakowało.

Kiedy Melrose (który wiedział, że zdjęcie okularów będzie tylko wstępem do zdejmowania innych rzeczy) odsunął jej rękę, wzruszyła ramionami i odwróciła się.

- Rób, jak uważasz - powiedziała.

A potem rzuciła się na łóżko i zaczęła coś wyczyniać przy swoich dzinsach. Zmarszczyła brwi ze złością. Złościła się przy *tym nie na Melrose'a*, tylko *na dzinsy* obciskające jej ciało. Gdyż jasne było, że chcąc je z siebie zdjąć, musi się położyć.

- Pomóż mi, kotku, bo inaczej nie zdejmę tych cholerych portek.

Zsunęła je już na tyle, że mógł dostrzec figi w kwiatki, które miała pod spodem.

- Posłuchaj, Betsy, czy moglibyśmy porozmawiać?

- Porozmawiać? - Przestała mocować się z dzinsami i popatrzyła na niego tak, jakby ten pomysł był dla niej całkowitą nowością. - O czym?

Wiła się nadal zniecierpliwiona. Potrzebowała pomocy, niczym John Wayne przy zdejmowaniu kowbojskich butów. Melrose zastanowił się, jak ze spodniami daje sobie radę sama. Zaraz jednak doszedł do wniosku, że dziewczyna nigdy nie rozbiera się w samotności.

- Szukam kogoś - powiedział.

Betsy wzruszyła obojętnie ramionami, zrezygnowała z walki ze spodniami i zabrała się do guzików przy swetrze.

- Przecież każdy z nas kogoś szuka - odrzekła.

Ta metaforyczna interpretacja jego dosłownego twierdzenia całkiem go zaskoczyła. Wyjął papierośnicę.

- Papierosa? - zaproponował.

Potrząsnęła swoimi pięknymi lokami i pochyliła się nad guzikami, które rozpiniała z dziecięcym skupieniem. Zmarszczyła brwi. Najwyraźniej chcąc powstrzymać ją od tego działania, trzeba by było użyć przemocy. Melrose'a jednak bardziej niż to, co miała do zaoferowania, interesowała informacja. W życiu spotkał tylko kilka fascynujących kobiet. I te kobiety były inteligentne. I intrygujące. Ale pozostałe okazywały się w najlepszym razie urocze. Tak jak Betsy, która już prawie skończyła z rozpinaniem guzików i potrząsając wspianiałymi lokami, zaczęła z mozołem pozbywać się swetra, co okazało się trudne, bo wciąż była spętana dżinsami. Pod swetrem miała cienki biustonosz w kwiatki, od kompletu z majtkami. Jedno jego ramiączko było przypięte do miseczki agrafką. Melrose, sam nie wiedząc dlaczego, poczuł na ten widok beznadziejny smutek.

- Wstrzymaj się, Betsy - powiedział, kiedy sięgnęła rękami za plecy, żeby rozpiąć stanik.

- Co jest? - zagadnęła zdziwiona. - Jesteś pedziem? A może lubisz sobie tylko popatrzeć?

- Może.

Melrose wyjął dwa zdjęcia - te, które wziął z apartamentu Juliana Craela - sięgnął też do portfela i wyciągnął banknot dziesięciofuntowy. I wszystko to podał dziewczynie.

- Ja naprawdę chcę tylko zdobyć pewne informacje - podkreślił.

Betsy przeniosła wzrok z jego twarzy na banknot. I uśmiechnęła się, odsłaniając ubytek w zębach.

- O rany, jacy jesteśmy hojni! Jaki z nas elegancki jaśniepanicz! - zakpiła, a potem wcisnęła banknot za stanik i dodała, mrużąc oczy: - Hej! Jesteś z policji?

I zaczęła gwałtownie wciągać spodnie.

- Nie, nie jestem z policji. Popatrz na to zdjęcie. Czy przy pominasz sobie, żeby ta kobieta wchodziła kiedyś do „Sun Pałace” albo wychodziła z tej restauracji?

Potrząsnęła kędziorami i przyjrzała się uważnie zdjęciu.

- Niezła kiecka. Na pewno kosztowała sporo szmalu.

- Ubranie jest kosztowne, ale ta dama bynajmniej.

- Pracuje w naszej branży? Melrose, pałac, oparł łokieć o kolano.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było.

Betsy z roztargnieniem nawinęła sobie na palec lok, skręcając go w korkociąg.

- Jeżeli chce pan znać moje zdanie, to wygląda na taką, co jest cała w pretensjach.

- Tak ci się wydaje, Betsy, prawdopodobnie z powodu jej ubioru.

Podniosła wzrok, patrząc mu prosto w oczy.

- To miłe. To znaczy miły jest sposób, w jaki pan wymawia moje imię.

- A ile jest sposobów jego wymawiania?

Wzruszyła ramionami.

- Większość facetów wcale go nie wymawia.

Opadła na łóżko - wciąż bez swetra i nie zdając sobie sprawy, że ramiączka jej się zsuwają, a stanik rozplaszcza piersi. Straciła zainteresowanie zdjęciem i wyglądała teraz na osobę gotową opowiedzieć o swoim ciężkim życiu. Ale Melrose ją uprzedził.

- Może ktoś inny, kto tu pracuje... będzie coś wiedział. Sądzę, że są tu inne dziewczyny? - zapytał.

- Cwaniaczek z ciebie - odrzekła bez uśmiechu, poprawiła stanik i zdjęła z łóżka nogi, obciśnięte znowu dzinsami.

- Chcesz, żebym się rozpytała?

- Byłbym ci bardzo wdzięczny. Pokaż wszystkim zdjęcie. Może ktoś ją rozpozna.

Betsy ziewnęła.

- Każdy, kto coś o niej powie, kto poinformuje, kim ona jest, gdzie mieszkała, każdy dostanie pięćdziesiąt funtów.

Betsy zerwała się na równe nogi.

- Pięćdziesiąt funciaków? Jezu! Zaraz wracam. Nie ruszaj się stąd - dodała, kręcąc biodrami.

Ale Melrose, nawet gdyby chciał, nie zdążyłby się ruszyć z miejsca. Bo po pięciu minutach przy drzwiach dało się słyszeć trajkotanie. Stały tam trzy inne dziewczyny, wszystkie wyższe od Betsy: jedna ruda, druga Afrykanka z długimi, fioletowymi kolczykami w uszach, i trzecia, potężna grubaska po czterdziestce. Wszystkie miały na sobie szlafroki o kroju kimona. I wyglądały jak girlsy, które przed chwilą zeszyły ze sceny. I wszystkie zaczęły mówić równocześnie. Jednak to grubaska przejęła dowodzenie.

- Widziałam ją - powiedziała, sapiąc, siadając na łóżku i zakładając nogę na nogę. Melrose zauważył zrolowaną z grubego uda pończochę, którą pod kolanem przytrzymała podwiązka. - Nie mogę powiedzieć, że ją znam. Ale ją widziałam.

- Gdzie?

Tęga kobieta wzięła do ust kosmyk swoich tlenionych włosów i zaczęła go żuć z naprawdę zafrasowaną miną.

- Właśnie się nad tym zastanawiałam.

To, pomyślał Melrose, jest dla niej z pewnością ciężka praca. Kobieta strzeliła pulchnymi palcami.

- To było w „Sun...” - Plasnęła dłonią w usta. A potem zaczęła się mizdrzyć. - A dostanę pięćdziesiąt funciaków, jeżeli powiem panu, kto naprawdę ją zna?

- Dwadzieścia pięć - oznajmił Melrose. - Osoba, która mi o niej opowie, dostanie pozostałe dwadzieścia pięć. Tak będzie sprawiedliwie.

Jednak Afrykanka i ruda nie uznały tego za sprawiedliwe. Były bowiem przekonane, że sama znajomość z grubaską

upoważnia je do otrzymania jakiejś nagrody. Melrose dał im więc po pięcioletnim banknocie, a one się rozpromieniły. Tymczasem grubaska wzięła dwadzieścia pięć funtów i włożyła je za zrolowaną pończochę.

- Ta, co ją zna, nazywa się Jane Yang. I pracuje w restauracji. To znaczy tam, gdzie ja widziałam tę ze zdjęcia. Była kelnerką w „Sun Pałace”. Mogła też pomagać w kuchni. Ale ja tego dokładnie nie wiem. Powie to panu Jane.

Melrose wstał.

- Wielkie dzięki. Na kogo mam się powołać w rozmowie z Jane Yang?

- Po prostu na Grubą Bertę. Już ona będzie wiedziała, o kogo chodzi.

- Gruba Berta. Dobrze, dziękuję.

Dziewczyny ociągały się jeszcze przy drzwiach.

- Czy to twoje łóżko? - zapytał Melrose Betsy, biorąc swoją łaskę ze srebrną gałką i poprawiając płaszcz.

Betsy wyglądała na zaintrygowaną.

- No przecież przed chwilą na nim leżałam, nie? Tak, jest moje.

- Miałem na myśli: Czy to łóżko to twoja własność?

- Nie. Należy do właścicielki domu.

Melrose mógł sobie doskonale wyobrazić, czym zajmuje się ta właścicielka.

- Sądzisz, że zechciałyby je sprzedać?

- Oczywiście. Sprzedałyby własną babkę, gdyby ją miała.

- A ile by za nie policzyła, jak myślisz?

- A dlaczego pan pyta? Chce pan je kupić? Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt funtów. Za tyle proponowała je mnie.

- Nie, nie chcę go kupić. Ale ty, Betsy, jeżeli zdobędziesz pięćdziesiąt funtów, kup je. - Wyjął wizytówkę, napisał na jej odwrocie jakieś nazwisko i dał ją dziewczynie. - A potem zadzwoń do tego pana i poproś, żeby tu przyszedł i je wycenił.



Nie jestem pewien, ale sędzę, że z łatwością mogłabyś dostać za nie z tysiąc funtów.

Jej wielkie oczy zrobiły się jeszcze większe.

- Żartuje pan?

Pokręcił głową.

- Jezu!

Kiedy już znalazł się przy drzwiach, objęła go i pocałowała. A pozostałe dziewczyny natychmiast się rozchichotały.

## 4

Dzwonek telefonu złał się z żalobnym zawodzeniem Whitby Bulla ze snu Jury'ego. A kiedy powieki inspektora w końcu się rozkleiły, Jury spojrział w stronę okna, dziwiąc się, dlaczego go nie jest przesłonięte mgłą. Sięgnął po omacku po znajdujący się przy łóżku telefon.

- Londyn ma szczęście - dobiegł po drutach głos nad inspektora Racera. - Wrócił pan, inspektorze. Nasuwa się jednak pytanie, dlaczego pan wrócił i dlaczego nie ma pana jeszcze tutaj z raportem? Gdyby nie sierżant Wiggins, u którego poczuciu, że musi wydmuchać nos, towarzyszy po czucie obowiązku, skłaniające go do raportowania, nie wie działałbym, gdzie pan, u diabła, jest!

Budzik Jury'ego wskazywał siódmą pięćdziesiąt. Racer tak wczesnie jest w biurze? Jury wziął zegarek i potrząsnął nim.

- Muszę jechać do Lewisham, panie nadinspektorze.

- Do Lewisham możecie się udać po drodze do piekła, Jury. Będziecie wtedy mieli dość czasu na ten przystanek. Chcę pana widzieć w ciągu godziny. Niech pan się ubiera.

Połączenie zostało przerwane.

## 5

Fiona Clingmore była bladolicą blondynką, preferującą czerń. Dziś ubrała się w obcisły czarny pulower, wpuszczony w obcisłą czarną spódnicę. Pełniła funkcję sekretarki Racera, a także jego chłopca na posyłki. A Jury miał nadzieję, że na tym kończy się jej rola w komisariacie.

Cały jej styl bycia pochodził z lat czterdziestych. Fiona przypominała bohaterkę staromodnej sztuki, postać, która w jakiś dziwny sposób zabłąkała się na współczesną scenę. Spoglądając na nią - i widząc jej niemodną fryzurę, jej usta przerysowane za pomocą czerwonej szminki i jej ulubione toczki - Jury za każdym razem czuł, że ogarnia go jakaś niewytłumaczalna tęsknota. Kilka razy zaprosił Fionę do restauracji, a potem zastanawiał się, czy nie uczynił tego przypadkiem w nadziei, że wskrzesi w jakiś sposób przeszłość. Jednak za każdym razem, gdy napomknął o wojnie, Fiona udawała, że jej nie pamięta. Że z własnego doświadczenia nic o niej nie wie. Mimo to Jury podejrzewał, że jest od niego starsza. Pewnego razu, gdy wyjęła portfelik, zauważył, że wśród kart kredytowych i różnych zdjęć tkwi w nim także stara fotografia, przedstawiająca przystojnego młodego człowieka w mundurze RAF-u. Zapytał, czy to jest ten właśnie częstokroć przez nią wspomniany Joe. A wtedy Fiona zarumieniła się i odrzekła, że to zdjęcie pewnego znajomego jej mamy. A dla niej, dla Fiony, ten człowiek byłby przecież zdecydowanie za stary.

Jury zastanawiał się, czy Fiona nie żyje przypadkiem w dwóch światach. I czy te ubrania, które nosi obecnie - sugerując, że pochodzą z kolekcji retro z Barnaby Street - nie są przypadkiem prawdziwe. Podejrzewał, że Fiona wyciąga je ze starych kufrów, które ktoś inny odstawiłby do lamusa dawno temu.

- Jak ci idzie praca? - zagadnął ją teraz, zapalając papierosa.

- Nie sądzisz, że w moim życiu gonili mnie do roboty znacznie lepsi szefowie niż obecny?

- Jestem tego pewien - odrzekł Jury i wyjął z kieszeni kopertę. - Dowiedz się, co oznaczają te inicjały, dobrze, kochanie? - poprosił, wręczając ją Fionie. - Myślę, że to jakiś hotel, znajdujący się w południowo-zachodniej części miasta. Jeżeli tak właśnie jest, nie będziesz miała trudnego zadania.

- Dla ciebie wszystko, kotku - odparła Fiona, wręczając mu kremową kopertę.

- Co to jest? - zapytał.

A ona, oddając się teraz skomplikowanemu zajęciu, jakim było pilowanie paznokci, wzruszyła ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? - powiedziała. - Przyniósł to jeden z dyżurujących na dole posterunkowych. Powiedział, że wczoraj późnym wieczorem zostawił tę kopertę jakiś dżentelmen. Taki pan całą gębą, w eleganckim samochodzie. Uznał najwidoczniej, że tuż przed naszym wejściem znajduje się parking publiczny i omal nie został za to przymknięty. No, ale na szczęście skończyło się na tym, że kazano mu po prostu odjechać.

Jury, słuchając tej perory, zdążył otworzyć kremową kopertę, wyjąć z niej pojedynczy arkusz papieru i podnieść zdjęcie, które upadło na podłogę. A potem, nie zwracając już uwagi na trajkotanie Fiony, przeczytał:

*Szanowny Panie Inspektorze!*

*Mam nadzieję, że to, co przesyłam w załączeniu, Pana zainteresuje. Znalazłem to zdjęcie w pokoju Juliana Craela. Mam także nadzieję, że nie będzie mi Pan miał za złe, że zatrzymałem drugie w celu zidentyfikowania przedstawionej na nim osoby. Pan i Wiggins wyjechaliście z Rackmoor najprawdopodobniej do Londynu, zanim zdążyłem Was złapać. To jednak stworzyło sposobność, bym mógł zatrzymać się w Yorku i spotkać z Agathą. Ucieszy się Pan zapewne,*

*gdy Panu powiem, że Ona w tej chwili pracuje dla Pana. W charakterze kreta. Będę w hotelu „Connaught”. Pomyślałem, że moglibyśmy się później spotkać i wrócić razem do Rackmoor. Mam bardzo szybki samochód.*

*Plant*

Jury przyjrzał się zdjęciu. Wyglądało na fotografię Gemmy Tempie - czy może Dillys March. Zostało jednak zrobione niedawno, nie było wyjętą z albumu fotką sprzed lat. Co ono robiło w pokoju Juliana Craela? - zastanowił się i pomyślał, że Plant zadał sobie to samo pytanie.

- Wygląda to na niezły mętnik - rzekł nadinspektor Racer, gdy Jury przedstawił mu sprawę morderstwa w Rackmoor. Komentarz ten nie był zamierzony jako wyraz współczucia. Sugerował raczej, że ten „mętnik” to wina Jury'ego. - Ale skoro tak - mówił dalej Racer - to dlaczego nie został pan w tej dziurze, żeby go rozwikłać? Dlaczego pałęta się pan po Londynie?

- Mówiłem już panu, panie nadinspektorze. Muszę się dowiedzieć...

Racer rozejrzał się i rozpostarł ramiona z udawanym zdumieniem.

- Dziwne. Musi się pan czegoś dowiedzieć. A ja bym przysiągł, że mamy tu mnóstwo policjantów, którzy mogą to zrobić za pana - oznajmił i zmienił wyraz twarzy, przybierając swoją zwykłą stanowczą minę. - No, ale jeżeli rzeczywiście któryś z was musiał tu przyjechać, to dlaczego nie przysłał pan Wigginsa?

- Wiggins potrzebny jest mi tam, na miejscu - odrzekł Jury. - Bo jest tam coś, co może wykonać lepiej ode mnie.

Racer zarechotał.

- Wiggins nie potrafi zrobić niczego lepiej od nikogo. Nawet od pana, Jury - powiedział i uśmiechnął się, udając, że ta uwaga tak naprawdę nie jest lekceważąca.

- Dlaczego zatem przydziela go pan ciągle właśnie mnie?  
- zapytał Jury tonem jak najniewinniejszym. - Przecież to tak, jakby ślepy prowadził kulawego.

Zawsze obiecywał sobie, że nie wda się z Racerem w żadną potyczkę słowną i zawsze łamał tę obietnicę.

- On się przecież musi szkolić. A pan co? Myśli pan pewnie, że to któryś z pańskich kolegów powinien znosić obecność Wigginsa?

Brak logiki w gadaniu Racera był tak perfekcyjny jak krój jego garnituru, uszytego przez krawca z Saville Row.

- Niedobrze jest być samotnikiem, Jury - mówił dalej nadinspektor. - Policjant musi działać w zespole. Wie pan, że ja mam żelazną zasadę: dwóch ludzi do jednego śledztwa. No bo jak, u diabła, potoczyłyby się losy kraju, gdyby premier załatwiał wszystko sam, zamiast przekazywać zadania niższemu szczeblom?

- Nie wiedziałem, że darzy mnie pan aż takim szacunkiem - uśmiechnął się Jury.

- Bardzo śmieszne. - Racer wypluł odrobinę tytoniu. - Wie pan dobrze, że nie to miałem na myśli. I muszę panu powiedzieć, że pan się przecież rozprasza. Szkoda, że nie ma pan więcej ambicji, Jury.

Jury domyślił się, z jakiego powodu pojawił się temat „ambicji”.

- Czy ponownie wypłynął temat mojego awansu? - zapytał.

- Rzeczywiście, zastępca komendanta policji coś o tym wspominał - odrzekł Racer gderliwym tonem.

Jury nie zadał sobie trudu, żeby się uśmiechnąć. Gdy Racer wstał z oboma kciukami wetkniętymi w kieszonki kamizelki, miał już pewność, że zaraz usłyszy kazanie. Że zostanie podsumowany. Że cała jego zawodowa kariera będzie scharakteryzowana kwiecistym, pełnym wyświechtanych zwrotów stylem Racera. I rzeczywiście, Racer rozpoczął

swojaperorę, obchodząc naokoło biurko krokiem tak sprężystym, że z butonierki omal nie wypadł mu czerwony goździk. I zaczął - w nieskończoność - wyliczać słabości Jury'ego. Jury tymczasem spoglądał przez okno - na osmalone k:>miny i w stronę Tamizy, której malutki fragment majaczył przy końcu tunelu biegnącego pomiędzy wysokimi budynkami. I widział, że niebo ponad tym wszystkim ma kolor gołębi, a w szybę okienną uderzają nieliczne płatki śniegu.

- ...musicie się stawić przed komisją selekcyjną, Jury.  
- Racer zatrzymał się w swojej wędrówce po gabinecie, a jego cienkie wargi wygięły się w uśmiechu. - Przestraszy: się pan,co?

Jury nie chwycił tej przynęty.

- Zamierzam to uczynić - powiedział. - Kiedyś, w przyszłości.

- Kiedyś? W przyszłości? A dlaczego nie zaraz? Już? Natychmiast? Kiedy byłem inspektorem, tak jak teraz pan...

Słowa płynęły, a on perorował dalej. Jury wiedział, że celem całej tej gadaniny jest popisanie się wspaniałym przebiegiem własnej kariery, stanowiącym tak wielki kontrast z jego, Jury'ego, drogą zawodową. Racer lubił myśleć, że Jury'ego nęka lęk przed niepowodzeniem. Gdy tymczasem Jury stawił się przed komisją z uczuciem, że sam nie jest pewien, czy chce awansować.

Perory Racera stały się niemal corocznym, a czasami co-półrocznym rytuałem. Jury, widząc postawę zwierzchnika, doznawał czegoś w rodzaju perwersyjnej rozkoszy. Fascynował go przesadny styl, w jakim Racer przedstawiał swój ulubiony temat. A także wyszukana praca jego nóg, które nosiły go przy tym po pokoju. Jury, patrząc na nią, czuł się niemal jak ktoś, kto obserwuje człowieka wspinającego się na kute ozdobne ogrodzenie i szukającego otworów mogących stać się oparciem dla stóp i dłoni. Ponieważ zastępca komendanta policji nieodmiennie podejmował temat przyszłości Ju-

ry'ego, Racer był zmuszony wciąż wynajdywać nowe powody, dla których mógłby sprzeciwić się awansowi swego podwładnego. A dlaczego to czynił? No cóż, przyczyna była zbyt skomplikowana, by uznać za nią prostą mściwość. Jury zastanawiał się czasami, czy Racer nie postrzega go przypadkiem jako siebie samego w młodszym wieku, jako swego rodzaju *tabula rasa*, na której dałoby się zapisać własne niepowodzenia, by potem się ich wyprzeć. Teraz Racer nadal perorował. I nadal chodził po pokoju. W wycięciu jego kamizelki w szkocką kratę na kształt rzadkiego kwiatu zakwitał krawat przypięty spinką z szafirami. Ale najbardziej olśniewający był garnitur. Skąd on bierze na to wszystko pieniądze? - zastanowił się Jury i przypomniał sobie, że słyszał, że jego szef ma bardzo dzianą żonę. Racer przystanął nagle przed jednym z wiszących tutaj dwóch bohomazów, które kiedyś uzyskał z jakiegoś rządowego magazynu. Bohomaz był okropnym studium Mostu Westminsterkiego. Stojąc plecami do Jury'ego, Racer przebiegł wzrokiem spis prowadzonych przez niego spraw. Zatrzymał spojrzenie na szczegółach tej, którą Jury spartaczył wiele lat temu. Takie już miał obyczaje - przyglądał się z rozkoszą niepowodzeniom podwładnego. Traktował je jak obrazy, które w wolnych chwilach można poddać szczegółowemu oglądowi.

- ...byłbym więc wdzięczny za raport - powiedział teraz.  
- Proszę po prostu wziąć słuchawkę i wykręcić numer. - Palce Racera zakreśliły małe kółka w powietrzu. - To proste. Za pewno pan, Jury, że nie dostanie pan awansu, jeżeli nie będzie pan umiał grać w drużynę.

Jury, wycofawszy się sprzed oblicza Racera, zastał Fionę Clingmore poprawiającą na głowie czarny kapelusz. Jej czarny płaszcz leżał tymczasem w pogotowiu na biurku.

- Znalazłam tę nazwę. - Wzięła bloczek, oderwała kartkę i podała ją Jury'emu. „Royal Yictoria Hotel”. W rejonie Yictorii.

- Fiono, jesteś cudowna. Zaprosiłbym cię na lunch, ale muszę się z kimś spotkać.

Z konspiracyjnym mrugnięciem kiwając palcem, dała mu znak, żeby podszedł bliżej.

- Sądzę, że nie powinnam o tym mówić - powiedziała półgłosem - ale zastępca komendanta i twój szef poprzytykali się o ciebie nie na żarty.

- Jakże mi to pochlebia'.

- Masz zostać nadinspektorem.

- Nie liczylibym na to.

Jury upił łyk gorzkiej kawy z filiżanki Fiony i zaraz filiżankę odstawił.

- Tym razem jest inaczej niż dotychczas. Wszyscy prze cież wiedzą, że już dawno powinieneś być dostać ten awans. Sposób, w jaki on - wskazała kciukiem drzwi Racera - cię traktuje, w jaki ci przeszkadza, jest skandaliczny. Wiele na ten temat słyszałam. - Fiona zamknęła z trzaskiem torebkę i położyła ją na swoim czarnym płaszczu. - Dotarło do mnie nawet, że powinieneś zostać komendantem londyńskiej policji metropolitalnej. Ale to dziwne...

- Co jest dziwne?

Wzruszyła ramionami.

- Dziwne jest to, że ty zachowujesz się tak, jakby nie za bardzo ci na tym zależało.

Jury spojrział na jej ramię, opięte do połowy czarnym rękawem, ramię o białej skórze, odcinającej się na tle ciemnej wełny płaszcza.

- Bo może tak właśnie jest - powiedział tylko.

## 6

Raineyowie mieszkali w niewielkim dwupoziomowym mieszkaniu przy Kingsman's Close w Lewisham. A Lewisham



było dzielnicą podupadłą i hałaśliwą. Ale Jury zawsze uwielbiał tę leżącą po drugiej stronie Tamizy część Londynu, do której docierało się przez zadrzewione, rozległe, latem porośnięte zieloną trawą, a zimą pokryte śniegiem przestrzenie Greenwich i Blackheath.

Sploty cherlawego bluszczu wiły się wokół frontowych drzwi Raineyów, które w końcu otworzył sześćo- czy siedmioletni chłopiec z buzią pobrudzoną czymś bardzo lepkiem.

- Mojej mamusi nie ma w domu! - oznajmił i zamknął Jury'emu drzwi przed nosem.

Jury zapukał ponownie.

-Gerrard! Kto to był? - rozległo się wołanie w głębi domu.

A potem nastąpiło jakieś zamieszanie i drzwi dość gwałtownie otworzyły się znowu. Tym razem stała w nich młoda kobieta, która wolną ręką grzmociła dzieciaka.

- Ty nieznośny szczeniaku! - wrzeszczała.

- Inspektor Jury, proszę pani, z wydziału dochodzeniowo-śledczego - przedstawił się Jury, a ona spojrzała na jego dowód tożsamości, tak jakby ten był jej wytęsknioną lekturą.  
- Chciałbym się widzieć z panią Rainey - dodał Jury.

- Panie Rainey są dwie, a ja jestem jedną z nich - odrzekła kobieta, wydymając policzki i odgarniając z czoła ciemne włosy. - Ale przypuszczam, że chce pan mówić z mamą. To znaczy, z moją teściową Gwen. Tylko że jej nie ma w domu. Poszła do kina. Proszę wejść.

Wytarła czerwone, spierzchnięte dłonie w fartuch i otworzyła szeroko drzwi. A potem jedną ręką trzepnęła synka po łapie, bo mały przez cały czas, wlepiając wzrok w Jury'ego, dłużał w nosie.

- Mama mówiła, że parę dni temu był tu inny policjant.

Kobieta z rozpaczą w oczach rozejrzała się po małej, zagracanej bawialni, starając się znaleźć dla Jury'ego miejsce do siedzenia. Kanapę zajmował duży kosz z bielizną. Zesko-

czył z niego kot i węzowym ruchem zaczął krążyć wokół nóg obecnych. Gerrard kopnął go i dostał kolejnego klapsa. A Jury, widząc to, doszedł do wniosku, że klapsy to zwykły tryb porozumiewania się między matką a synem.

- Moglibyśmy pójść do kuchni - zaproponowała kobieta.  
- Chodźmy, dobrze? Bo kiedy obudzą się bliźniaki, zrobi się tutaj istny dom wariatów.

Bliźniaki znajdowały się za kanapą. Spały w kojcu, a Gerrard dokładał wszelkich starań, by je obudzić, waląc jakimś patykiem w poduszki sofy.

- Przestań! - syknęła matka i trzepnęła go w ucho. Do Jury'ego zaś zwróciła się przyjaznym tonem: - Proszę wejść do kuchni.

Jego wizyta najwyraźniej ją cieszyła, stanowiąc swego rodzaju rozrywkę.

Jury ruszył za kobietą do kuchni, a cały ich pochód zamykał Gerrard.

- Mamo! - wrzasnął wniebogłosy. - Miałś mi przecież dać chleba z pastą drożdżową!

Jury chwycił chłopca za szelki kombinezonu.

- Posłuchaj, stary - powiedział - jesteś aresztowany!

Chłopiec krzyknął z przerażenia i zaraz zachichotał.

Młodsza pani Rainey obejrzała się i popatrzyła na Jury'ego z wdzięcznością za przejęcie dzieciaka. A Jury'emu przyszło do głowy, że tej kobiecie przydałaby się jakaś pomoc.

Bawialnią w tym domu była pobojuwiskiem, ale kuchnia okazała się wprost oazą czystości i porządku i stanowiła prawdopodobnie jedyne schronienie młodej kobiety. Na ladzie znajdowały się: kawałek rolady z kremem, a także słoik z pastą z drożdży i warzyw oraz kromki chleba, przeznaczone na lunch dla chłopca. Młoda pani Rainey - przy wtórze wrzasków Gerrarda - zajęła się herbatą, Jury natomiast posmarował chleb pastą. A potem, nie bawiąc się w żadne ce-regiele, wsunął kromkę do ust małemu. Gerrard zakrzuszył

się i znowu zachichotał. Uznał najwidoczniej, że być karmionym przez obcego faceta, i na dodatek policjanta, to ogromna frajda.

Tymczasem jego matka po krótkiej chwili wcisnęła Jury'emu do ręki kubek herbaty z mlekiem.

- A tak przy okazji - powiedziała - mam na imię Angela. Pan przychodzi w związku ze sprawą Gemmy, prawda? Ten drugi policjant, który tu był, zadawał mamie mnóstwo pytań.

- No tak. Przykro mi, że niepokoję panie ponownie. Pomyślałem jednak, że może pani teściowa albo pani przypomniałyście sobie coś, co może się przydać w śledztwie.

Angela Rainey pokręciła głową.

- Nie, nie. Raczej nie. Proszę mi wierzyć, rozmawialiśmy o tym bardzo długo. I wie pan, Gwen powiedziała, że dopiero po tym, co się stało, uświadomiła sobie, jak mało wiedziała o tej dziewczynie. Ja także wiedziałam niewiele, a sędzę, że znałam ją lepiej niż mama. Bo widzi pan, byliśmy z Gemmą prawie w tym samym wieku. I mieszkaliśmy po sąsiedzku. To znaczy, przed laty, wtedy, kiedy wszyscy mieszkaliśmy jeszcze w Dulwich.

W tej chwili Gerrard zażądał „mleka z czekoladą”, więc jego matka podeszła do lodówki i wyjęła z niej butelkę. Wzięła też puszkę sproszkowanej czekolady.

- A zatem Gemma Tempie - zapytał Jury - nie opowiadała o swoim życiu? To znaczy o tym, co się z nią działo, zanim zjawiła się u państwa Raineyów jako *aupair*?

Angela pokręciła głową i trzepnęła po łapie Gerrarda, który sięgał właśnie po roladę.

- Mówiła tylko, że wychowywała ją jakaś stara ciotka, która już nie żyje. I że potem była przez pewien czas w domu dziecka. Nie mogliśmy sobie jednak przypomnieć jego na zwy. Jeżeli to w ogóle była prawda...

Urwała, widząc, że Gerrard - który to wrzeszcząc, to nuć, starał się dotychczas o zachowanie mniej więcej stałego

poziomu hałasu - przekonał się, że mało zyskuje w zamian za te wysiłki, zrezygnował z nich i zasnął. Siedział teraz i kiwał się ze spuszczoną głową.

- Ile Gemma miała lat, kiedy zamieszkała u państwa Raineyów?

Angela zastanowiła się.

- Chyba tak z dziewiętnaście.

- A co z jej urodzinami?

- Z urodzinami?

- No tak. Nigdy ich nie obchodziła?

- Dziwne, ale nie. Zabawne, nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że Gemma może mieć urodziny.

- I nigdy nie wspominała o żadnych krewnych?

- Nie. Mówiła, że jest sierotą.

- Nawet sieroty mają jakąś przeszłość.

- Ale nie Gemma. Proszę mi wierzyć, ja też chciałam się o niej czegoś dowiedzieć. Jednak ona była bardzo skryta.

- A czy było w niej w ogóle coś, co jest godne zapamiętania? Mam na myśli nawyki, jakieś dziwactwa, upodobania i uprzedzenia. Tego rodzaju rzeczy.

Angela, zastanawiając się, popatrzyła na Jury'ego.

- Mężczyźni. Wszystko wskazywało na to, że jej głównym „upodobaniem” są mężczyźni. I tylko oni. Czy sądzi pan, że to z powodu czegoś, co kryło się w jej przeszłości, Gemma została... zamordowana?

- To możliwe. Tak. A potem, kiedy już przestała pracować jako *aupair*... czy pani ją nadal widywała?

- Tak. Wpadała tutaj parę razy do roku. Była nawet jakiś miesiąc temu. Ucięliśmy sobie miłą pogawędkę. Gemma uważała się za aktorkę, grała nawet małą rolę w jakiejś sztuce. To było latem. Podczas tej wizyty widziałam ją po raz ostatni. Biedaczka...

- A ci mężczyźni... znała pani któregoś z nich?

Angela pokręciła głową.

- I jeszcze jedno: czy ona prowadziła?

Angela nie zrozumiała. Wyglądała na zaintrygowaną.

- To znaczy, czy prowadziła samochód - wyjaśnił Jury.

- Aha, o to panu chodzi. Więc skoro już o tym mowa, to nie, nie prowadziła samochodu. To zabawne. Przez cały czas pobytu tutaj nie nauczyła się prowadzić. Ale przecież... znaleziono podobno jej samochód?

- To prawda.

Angela spojrzała na ladę i odstawiła energicznie swój kubek.

- No, no! - zawołała. - Gdzie się podziała moja rolada? Tymczasem Gerrard, z buzią umazaną czekoladą, udawał, że śpi, i usiłował się nie uśmiechnąć.

Jury pożegnał się i wyszedł przy wtórze głośnego klapsa i wrzasku, który po nim nastąpił.

## 7

Victor Merchant siedział przed elektrycznym kominkiem w samej kamizelce. Drapał się przy tym po brzuchu, a po chwili przenosił dłoń na rozwalonego na kafelkach psa, żeby podrapać i jego. Wyglądało to tak, jakby brzuch mężczyzny i jego pies stanowiły jedność. U stóp Victora, wsuniętych w filcowe ranne pantofle, poniewierały się stronicie „Timesa”. A sam Victor Merchant pochłonięty był studiowaniem informacji o wyścigach konnych.

Tymczasem jego żona Fanny tkwiła sztywno na samym środku kanapy. Przerwa w codziennej rutynie, jaką stanowiła wizyta Jury'ego, zdawała się ją nawet cieszyć. Być może powitała ją z zadowoleniem, pomyślał Jury, bo poczesne miejsce w jej wiecznej krzątaninie zajmuje obsługa Victora.

Salonik na Ebury Street przypominał swego właściciela - pękał w szwach od nadmiaru tego, co wpakowano do jego

wnętrza. Umeblowanie składało się z najokropniejszych rzekomych antyków i równie okropnych sprzętów „nowoczesnych”. W tym saloniku nie było nawet śladu angielskiego perkalowego uroku. A pani Merchant uwielbiała na dodatek różne bibeloty. Na półkach i parapetach roilo się więc od pamiątek z Brighton, Weston-super-Mare, Blackpool i innych uczęszczanych przez klasę średnią kurortów. Te sentymentalne suweniry z całego życia przelewały się też na stoły i blaty. Były tu muszle morskie, oprawione w ramki fotki i inne drobiazgi. A małe porcelanowe figurynki ozdabiały gzyms kominka.

- Pytał pan, panie inspektorze, o syna mojej siostry - rzekła Fanny Merchant. - Olive była tu przed świętami. Muszę powiedzieć, że dźwiga swój krzyż jak prawdziwa chrześcijańska.

Jury na wstępie wytłumaczył się ze swojej obecności w tym domu, twierdząc, że potrzebuje dodatkowych informacji o synu Olive Manning, i udając, że jego zainteresowanie samą Olive jest rzeczą całkiem poboczną.

Victor Merchant, słysząc słowa żony, podniósł wzrok znad informacji o wyścigach.

- Przecież ona zawsze pojawia się tutaj w okolicach Bożego Narodzenia - powiedział, przy czym jego dolna warga wysunęła się do przodu, a kąciki ust opadły, świadcząc dobitnie o jego dezaprobachie wobec wizyt Olive.

- Daj spokój, Vic. Kiedy patrzę na niektórych członków twojej rodziny...

- Ale oni nie zwalają się nam na kark i nie mieszkają tutaj za darmo. Zgodzisz się chyba? - Victor złożył energicznie gazetę. - A poza tym gdzie moja herbata?

- Trochę cierpliwości.

- Lubię pić herbatę zawsze o tej samej porze - odrzekł i ponurym wzrokiem zmierzył Jury'ego.

- Mówił pan, panie inspektorze...? - spytała kobieta.

- Syn pani siostry znajduje się w jakimś zakładzie, prawda?

Zanim biedaczka zdążyła coś odpowiedzieć, jej mąż oznajmił:

- Dla umysłowo chorych. To świr - dodał dobitnie i narysował sobie kółko na czole.

- Ależ Victorze, to bardzo niemiłe, co mówisz. On przecie jest twoim siostrzeńcem.

- Tylko przez małżeństwo.

Mina Victora wskazywała na to, że wszelka ułomność psychiczna dotyczyć może jedynie członków rodziny ze strony jego żony.

- To wielka tragedia - zwróciła się do Jury'ego kobieta. - Chłopak miał załamanie nerwowe już dawno temu. A Olive przyjeżdża tutaj kilka razy do roku, żeby go odwiedzić. Ten zakład jest okropnie drogi. Nie mogła jednak inaczej zorganizować opieki nad nim. Leo poddawany jest przez lekarzy najlepszej z możliwych terapii.

- No cóż, musi to ogromnie obciążać budżet pani Manning - zauważył Jury.

- Niech pan raczej powie „nasz budżet” - włączył się ponownie Victor. - Wielmożna pani Olive Manning przyjeżdża tu, żeby paść swój brzuch przy naszym stole i spijać naszą whisky. - Wzrok Victora pobiegł w stronę szafki stojącej przy oknie. - Napiłby się pan naparsteczek, panie inspektorze?

Gestem kciuka i palca wskazującego mężczyzna pokazał, jak malutki, co, Jury był tego pewien, pozwoliłoby mu zyskać kropelkę także i dla siebie. Jury zrozumiał, że jeżeli odmówi, Victor będzie wynajdywał najróżniejsze przeszkody, byle tylko nie odpowiedzieć na jego pytania.

- Dzięki, nie odmówię - oświadczył zatem. - Ale poproszę tylko kropelkę.

Victor uśmiechnął się na to szeroko.

- No to ja się do pana przyłączę. Zawsze powtarzam, że Człowiek nie może pić sam.

Wstał, podszedł do szafki i otworzył drzwiczki.

- A ty, matka? Może dla ciebie kieliszek sherry?

Kobieta pokręciła głową ruchem pełnym dezaprobaty. Nie podobała jej się ta libacja wczesnym popołudniem. Tymczasem jej mąż, powróciwszy z butelką i szklankami, zrobił się bardzo serdeczny i otwarty.

- Niech pan strzela, panie inspektorze - zachęcił. - Mówił pan coś o Leu... - dodał, wciskając Jury'emu w dłoń szklanę.

- Co pani Manning sądziła o rodzinie Craelów? - zapytał Jury. - To znaczy wtedy, przed laty?

- Nie jestem pewna, czy rozumiem, o co panu chodzi - zawahała się Fanny.

- Zaczniemy więc od ich wychowawcy... - zasugerował Jury. - Może pamiętają państwo tę dziewczynę. Nazywała się Dillys March. Zdaje się, że jakieś piętnaście lat temu uciekła z domu.

Fanny Merchant zagwizdała głośno, jakby ją olśniło.

- Ach, ta! - zawołała. - No rzeczywiście, pamiętam to nazwisko. Olive nienawidziła tej dziewczyny. Bo widzi pan inspektor, obwiniała ją o to, co stało się z Leem.

- O kim wy mówicie? Kto to jest ta Dillys March? - zdziwił się Victor, spoglądając smętnie na własną opróżnioną szklanę, a potem na butelkę, i sprawiając wrażenie, że się zastanawia, czy się odważyć i nalać sobie następnego drinka.

- Ależ pamiętasz ją przecież, Vic! Kiedy Leo wówczas, przed laty, zachorował, Olive mówiła tylko o niej.

- Ja tam nie zwracam uwagi na babskie gadanie. A poza tym, moim zdaniem, Leo przez całe życie miał coś z głową.

To rzekłszy, Victor wrócił do gazetowych informacji o wyścigach.



- A czy nie sądzi pani, że pani Manning uważała, że tak w ogóle to Craelowie są odpowiedzialni za chorobę jej syna?  
- zasugerował Jury.

- Chyba ma pan rację. Olive była zdania, że oni nie powinni byli brać tej dziewczyny do siebie. - W tej chwili Fanny Merchant, ku swemu zdziwieniu, zorientowała się nagle, że pytania Jury'ego nie dotyczą Lea, tylko jej siostry. - Ale dlaczego nie dowie się pan tego wszystkiego od Olive? - zapytała, sztywniejąc na kanapie.

- Zrobiłbym to, oczywiście, proszę pani. - Uśmiech Jury'ego był absolutnie rozbrajający. - Ale szkopał w tym, że jestem właśnie w Londynie, a pani Olive Manning znajduje się w Yorkshire. A poza tym tak się złożyło, że znalazłem się w tej dzielnicy i przypomniałem sobie, że odwiedzała tutaj siostrę...

Jury wzruszył ramionami, wiedząc doskonale, że opisany przez niego rzekomy tryb działania nie zaprowadziłby daleko żadnego policjanta.

Mimo to jego „tak się złożyło” okazało się dla kobiety całkiem zadowalające. Fanny nie miała bowiem nic przeciwko temu, by mówić o tej smutnej sprawie.

- Rozumiem - powiedziała i ciągnęła dalej: - No cóż, tak jak już mówiłam, Olive nie znosiła tej Dillys. Jej obecność w domu Craelów wyprowadzała ją z równowagi. Twierdziła, że dziewczyna od chwili pojawienia się tam sprawiała wyjątkowo kłopoty. I że ona sama z ulgą przyjęła jej zniknięcie. Chociaż sir Titus Crael miał złamane serce. Biedny człowiek. Stracił przedtem żonę i syna.

Jury kiwnął głową.

- A jakie kłopoty, zdaniem pani siostry, sprawiała Dillys? - zapytał.

- No cóż, dziewczyna uganiała się za mężczyznami. A była przecież taka młoda. Poza tym wечно kłamała. „To taka mała, wredna szuja” - mówiła o niej Olive.

- Czy pani siostra zazdrościła Dillys jej pozycji w domu?  
Fanny Merchant nie zaprzeczyła.

- Nie wiem. Ale Olive to taka dziwna osoba.  
Victor prychnął.

- Dziwna, rzeczywiście. Z jednej strony, cała ta forsa, a z drugiej, przyjeżdża tutaj i żyje na nasz koszt. I jaka nadęta! I skąd to zadęcie, pytam? Jest, do cholery, przecież tylko gospodynią, nie?

Po tych słowach, jakby na przekór Olive Manning, Victor nalał sobie kolejnego drinka.

- Nie musisz być wobec niej aż taki paskudny, Vic. Ma przecież ogromną zgryzotę...

- Zgryzotę! Pokażę ci, co to zgryzota, dziewczyno. Spójrz tylko, co mnie się przy...

Victor nie zdążył zacząć się użalać nad sobą, bo odezwał się Jury.

- A kiedy pani Manning była tutaj... - powiedział - ...nie stało się wtedy nic, co mogło ją wyprowadzić z równowagi? Albo spowodować zmianę w jej zachowaniu?

Inspektor, który spodziewał się odpowiedzi przeczącej, był bardzo zaskoczony, słysząc, co mówi Fanny Merchant.

- Tak - potwierdziła kobieta. - Było coś takiego. Wy prowadziła ją z równowagi tamta rozmowa telefoniczna. Pa miętasz, Vic? To ty odebrałeś telefon za pierwszym razem. A potem był ten drugi raz.

Fanny wyciągnęła rękę i postukała palcem w płachtę gazety, żeby zwrócić na siebie uwagę męża. Jednak on nie odpowiedział. Wlepił wzrok w butelkę, tak jakby z niej miał się zaraz wydobyć dzinn.

- O jaki telefon pani chodzi? - zapytał Jury.

Fanny oderwała wzrok od męża i spojrzała na butelkę, a potem zwróciła się do Jury'ego:

- Dzwoniła jakaś kobieta. Jej głos nie był mi znany i zaskoczyło mnie, że prosi do telefonu Olive. A przecież Olive nie

zna tutaj nikogo. Ja w każdym razie nic o tym nie wiem. Z początku myślałam, że to telefon ze szpitala, jednak po zachowaniu siostry poznałam, że tak nie jest. Po chwili rozmowy wyszła z telefonem do drugiego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. - Fanny Merchant pociągnęła nosem na znak dezaprobaty dla sekretów, do których nie dopuszcza się siostry. - A potem była taka spięta. Przez całe dwa tygodnie. Spięta, a równocześnie podekscytowana. I zaczęła wtedy wychodzić z domu. Wychodziła codziennie, mniej więcej o tej samej porze. Kiedy ją pytałam, dokąd idzie, zbywała mnie, twierdząc, że na zakupy. I ani razu nie pozwoliła mi sobie towarzyszyć.

- Mówiła pani, że były dwa telefony.

- Tak. Ten pierwszy odebrał Via Powiedział wtedy, że dzwoni ktoś do Olive i co Olive sobie w ogóle myśli. Czy nasz dom to jakiś hotel, w którym on jest recepcjonistą? - wyjaśniła, a Victor Merchant podniósł butelkę, którą przez ostatnich parę minut trzymał na kolanach, i nalał sobie kolejnego drinka; Jury przestał już być dla niego przydatny, więc go nie częstował.

- Uważała, że ten dom to jakiś cholerny hotel - oznajmił. I zaraz zmienił mu się wyraz twarzy. Olśniło go. Niczym starzec porażony wizją tego, co zdarzyło się dawno temu, wbił wzrok w przestrzeń. - Właśnie! - zawołał. - Hotel! Ktoś dzwonił z jakiegoś hotelu, bo kiedy powiedziałem, że Olive nie ma, ta baba kazała, żebym jej przekazał, że ma zadzwonić do hotelu „Sawry”.

Jego żona aż cmoknęła ze zdumienia.

- Ależ Vic! Nic mi o tym nie mówiłeś!

- Bo nie pytałaś - odrzekł pośpiesznie i dopił swoją whisky.

## 8

Jane Yang była śliczną, delikatną dziewczyną w turkusowej sukience o chińskim kroju i z czarnymi włosami przyciętymi równo jak pod garnek. Kiedy Melrose wszedł do „Sun Palace”, siedziała za ladą i obsługiwała kasę.

Nie nadeszło jeszcze południe, a mimo to mała, ciasna restauracyjka była zatłoczona. Smętni kelnerzy snuli się z tacami, na których pod srebrnymi kopułami znajdowały się potrawy. Kelnerzy wchodzili na salę i wychodzili z niej przez wahadłowe drzwi kuchenne. Panująca tu atmosfera nie mogła być tym, co stanowiło o popularności restauracji. A skoro tak, pomyślał Melrose, to przyczyną tej popularności jest pewnie doskonała kuchnia. Jego domysły potwierdzał unoszący się w powietrzu tajemniczy zapach przypraw.

Melrose zajął miejsce w kolejce. Przed sobą miał sześć osób pragnących zapłacić. Gdy znalazł się przy kasie, wręczył dziewczynie dwadzieścia funtów i zdjęcie.

- Pani nazywa się Jane Yang, prawda? - zagadnął. - Gruba Berta powiedziała mi, że być może zna pani tę kobietę ze zdjęcia.

Panna Yang zmieszała się, nie wiedząc, czy wolno jej łączyć takie sprawy z przyjmowaniem pieniędzy od klientów. Wzięła jednak dwadzieścia funtów od Melrose'a.

- Przesuń się wreszcie, koleś - zwrócił się do Melrose'a stojący za nim mężczyzna. - To nie wystawa kwiatów w Kew Gardens.

Gdy wypowiadał te słowa, wykałaczką, którą trzymał w ustach, wykonała szereg karkołomnych akrobacji.

- Czy pan móc zaczekać? O tam? - zapytała panna Yang przepraszającym tonem. - Ja bardzo teraz zajęta.

Melrose jednak nie ruszył się z miejsca. Nie zwracając uwagi na potężne westchnienia w kolejce, wyjął drugą dwudziestofuntówkę.

- A ja bardzo bogaty - powiedział.

Jane Yang wyglądała na bezgranicznie zdumioną. Najwyraźniej nie mogła uwierzyć, że trafia do jej rąk aż tak wielka suma. Patrząc na elegancki płaszcz Melrose'a, przyjmowała równocześnie pieniądze od mężczyzny z tańczącą wykałaczką.

Ruchem ramienia dała znak Melrose'owi, żeby wszedł za Jade, kiwnęła też palcem na drobną starą kobietę o pomarszczonej twarzy, przypominającej kształtem chińską zaparzaczkę do herbaty. Staruszka podeszła, szurając nogami, i bez mrugnienia wysłuchiwała potoku chińskich słów dziewczyny, która prawdopodobnie instruowała ją, jak obsługiwać kasę.

A potem Jane Yang zaprowadziła Melrose'a w kąt koło kuchni, wzięła drugą dwudziestofuntówkę, złożyła oba banknoty w równiutki kwadracik i wsunęła je między dwie czarne zębki, na które zapięta była jej turkusowa sukienka. Melrose zaś zastanowił się, dlaczego kobiety sądzą, że jest to ostatnie miejsce, na które spojrzalby ewentualny złodziej.

Dziewczyna trzymała zdjęcie w dłoni.

- Ja ją znać - powiedziała. - Tak. Ona tutaj kelnerka. Och. Trzy tygodnie. Chyba tyle.

Mówiąc to, podniosła trzy palce tak, jakby chciała nauczyć Melrose'a jakiegoś nowego języka.

- Jak się nazywała?

- Gemma. Gemma Tempie.

- A potem? Co się z nią stało? To znaczy, kiedy już stąd odeszła?

- Ona spotkać mężczyznę. I chyba pójść z nim mieszkać.

- Czy poznała go tutaj? Tu, w pracy?

Jane Yang pokręciła głową, a gładkie jak atlas włosy zawirowały wokół jej głowy.

- Ona go poznać gdzieś... ja zapomnieć... gdzieś w Londynie. Może na stacji kolejowej? Jeden dzień ona pojechać z wizytą. Pan posłuchać... - Rozłożyła ręce. - My nie bardzo się znać. Ona nie mówić mi dużo o prywatne życie.

Melrose kiwnął głową.

- Więc pani nie wie, kim był ten mężczyzna? Ale ta Gemma musiała coś pani o nim powiedzieć, skoro pani wie, że z nim zamieszkała.

Czarne włosy znowu zawirowały.

- Nie. Ja tylko go widzieć.

-Widziała go pani?

-Tak. On przyjsć do restauracja. Bardzo elegancki.

- Zmierzyła Melrose'a wzrokiem od stóp do głów. - Jak pan.

- Uśmiechnęła się. - Książę. - Melrose zmarszczył pytająco brwi. - To znaczy... ona tak go nazywać. Książę. To być taki żart. Ale on naprawdę wyglądać jak... - Zdawała się szukać słów, jej wzrok padł na obraz wiszący nad kasą, który w ogóle nie pasował do chińskich smoków, ozdabiających „Sun Palace”. Obraz był odbitką reklamy mydła Pearsa, namalowanej przez Millaisa. - O. Tak jak on. To znaczy kiedy Książę być mały, to na pewno tak wyglądać.

Julian Crael nie mógł zostać wierniej opisany. Reklama przedstawiała piękne dziecko ze spływającymi na ramiona złocistymi lokami, ubrane w zielony aksamit. Tak, Julian właśnie tak musiał wyglądać w tym wieku.

- Czy ten mężczyzna przyszedł tutaj, żeby się z Gemmą zobaczyć?

Jane Yang pokręciła głową.

- On przyjsć z nią. Kiedy ona przestać już tu pracować. Ona chyba chcieć się nim chwalić przed inne dziewczyny. Ale Książę się wstydzić. Książę być dżentelmen przyzwyczajony do inne życie.

Melrose uśmiechnął się, słysząc tę zwięzłą i świadczącą o spostrzegawczości uwagę.

- Czy ona pani powiedziała, dokąd się wyprowadza?

Dziewczyna skupiła się bardzo, a jej porcelanowe czoło lekko się zmarszczyło.

- Ona coś powiedzieć... Ona mi powiedzieć, że on mieszkać w wykwinny hotel... - Pokręciła głową. - Ja nie pamiętać nazwa.

W tejże chwili z kuchni wyskoczył bliźniaczko podobny do małej staruszki człowieczek. I zobaczywszy, że Jane prowadzi towarzyską rozmowę, wyemitował chiński potok wymowy. Gestykulował przy tym gwałtownie, wskazując kasę.

Podczas rozmowy dziewczyny z Melrose'em kolejka zmniejszyła się i urosła kilka razy, ale ani na chwilę nie zniknęła. Równocześnie po prawej stronie drzwi od kuchni bezustannie się zamykały i otwierały. Hałas, jaki za nimi panował, był gorszy niż gwar rozmów klientów na sali. Wygląda na to, pomyślał Melrose, że zabijają tam kurczęta.

- Ja przepraszać - powiedziała do niego dziewczyna. - Papa być bardzo zły, że ja wyjść z kasy. Ja musieć już iść.

Melrose wyjął wizytówkę i złotym piórem zapisał numer telefonu do swojego hotelu i do Old House.

- Proszę posłuchać, panno Yang, jeżeli pani przypomni sobie cokolwiek na temat tej Gemmy Tempie, na temat jej życia, rodziny...

Jane Yang pokręciła głową.

- Ona nie mieć rodzina. Ona wychować się chyba w taki dom. Ona tylko tyle mi powiedzieć o sobie.

- I nie pamięta pani nazwy hotelu, w którym mieszkała z tym mężczyzną?

Stali teraz znowu przy kasie, bo dziewczyna zdążyła już zając miejsce matki.

- Jeżeli ja przypomnieć, to zadzwonić - obiecała.

Po czym wzruszyła swoimi turkusowymi ramionami i uśmiechnęła się uśmiechem, który sprawił, że porcelanowa maska jej twarzy otworzyła się niczym lotos na błękitnym je-

ziorze. Dziewczyna była naprawdę piękna, ale tak krucha, że człowiek bał się jej dotknąć.

- Ja przepraszać - powiedziała jeszcze raz i jeszcze raz wzruszyła ramionami.

Melrose odwrócił się. A potem, kładąc już rękę na klamce, usłyszał okrzyk:

- Proszę pana!

Machała na niego, żeby wrócił. I uśmiechała się przy tym promiennie. Gdy znalazł się znów przy ladzie, powiedziała:

- Ja mieć! Hotel nazywać się „Sawry”. Hotel „Sawry”.

Wymawiała to jak *sorry*, zacierając z lekka „r”. Melrose uśmiechnął się szeroko. Wyjąłby znowu pieniądze, gdyby nie gniewne spojrzenia klientów z kolejki, koncentrujące się na nim niczym gradowa chmura i zawierające groźbę, że ci ludzie zaraz się na niego rzucą. Wycofał się więc i wyszedł z restauracji.

A znalazłszy się na zewnątrz, zaczął gwizdać. Melodię *Limehouse Blues*.

## 9

Hotel „Sawry” stanowił londyński sekret, pilnie strzeżony przez tych wybrednych bywalców, którzy zdawali sobie sprawę, co by się stało, gdyby się wydał. Nie był też bynajmniej tani. Wręcz przeciwnie, ceny w nim szybowwały na horrendalne wysokości. Powiedziałby ktoś, że dla jego gości pieniądze nie grają roli, bo doskonałości nie da się ocenić w kategoriach funtów i pensów.

Drzwi zamknęły się cicho i Melrose'a Planta ogarnęła fala tęsknej melancholii. Przypomniał sobie, że rodzice przywieźli go tutaj po raz pierwszy ponad trzydzieści lat temu, podczas śnieżnych świąt Bożego Narodzenia, i teraz widział wyraźnie, że nic dosłownie się w tym miejscu od tamtego



czasu nie zmieniło. Hotel ponad wszelką wątpliwość wytrwale trzymał się własnej przeszłości. Melrose'owi bardzo się to podobało. On bowiem także we własnym domu od czasu, gdy żyli jeszcze rodzice, nie zmienił w zasadzie niczego. Dodał tylko to i owo, nic jednak nie usunął. W jego oczach przeszłość była czymś doskonałym. Przechowywał ją więc pod szklanym kloszem Ardry End.

Taki stosunek do przeszłości stanowił jedną z przyczyn, dla których Melrose nigdy się nie ożenił. Bo żona, gdyby ją miał, choćby nie wiadomo jak się starała zachować rezydencję w stanie nienaruszonym, prędzej czy później zaczęłaby przesuwać meble.

Tak pomyślawszy, Melrose spojrział teraz na perski chodnik w kolorach błękitu, złota i różu, biegnący prosto w kierunku klatki schodowej, zaprojektowanej przez braci Adam, która pięła się w górę lekko, jakby zawieszona w powietrzu. W dyskretnym miejscu holu znajdowała się recepcja obsługiwana przez dżentelmena w hotelowym uniformie, składającym się z czarnego garnituru i białych rękawiczek.

- Czy mogę panu czymś służyć? - zapytał uprzejmie ów dżentelmen.

- A tak... - ocknął się Melrose. - No więc... przyszedłem do pana Craela. Czy byłby pan uprzejmy zadzwonić i powiadomić go, że w holu znajduje się Carruthers-Todd?

Recepcjonista, którego twarz z pewnością nie drgnęłaby, gdyby chluśnięto w nią wodą, sprawiał jednak wrażenie zaskoczonego.

- Bardzo mi przykro, proszę pana. Ale pana Craela nie ma w naszym hotelu.

- Ależ pan z pewnością się myli - zaprotestował Melrose z udawanym zdziwieniem. - W moim posiadaniu znajduje się list, w którym pan Crael informuje mnie, że będzie tu jedenastego...

Melrose zaczął z przesadną ostentacją klepać się po kieszeniach w poszukiwaniu listu.

Na twarzy recepcjonisty pojawił się lekki uśmiezek.

- Pan wybaczy, ale czy pan się przypadkiem nie myli co do daty?

Melrose Carruthers-Todd wyprostował się i zmierzył recepcjonistę lodowatym spojrzeniem. Oznaczać to miało, że członkowie rodziny Carruthers-Toddow rzadko, jeżeli w ogóle kiedykolwiek, się mylą.

- Chodziło o jedenastego. Pamiętam to doskonale.

Jego ton sugerował, że lepiej będzie, jeżeli recepcjonista dostarczy mu pana Craela szybko i w stanie nienaruszonym. W przeciwnym bowiem razie nastąpią kłopoty.

Melrose dobrze wiedział, że w przybytkach takich jak hotel „Sawry” panuje najściślejsza dyskrekcja. Celowo więc postawił recepcjonistę w sytuacji, w której konieczne okazało się udowodnienie, że pan Crael nie został uwięziony w schowku na szczotki, i patrzył teraz z satysfakcją, jak nieszczęśnik wyjmuje rejestr gości.

- Jak pan widzi, proszę szanownego pana, pan Crael był u nas jedenastego, ale grudnia. Nie stycznia.

Recepcjonista, starając się nie czynić tego z tryumfującą miną, obrócił rejestr w taki sposób, żeby Melrose mógł to osobiście sprawdzić.

- A niech to! - rzekł Melrose i westchnął ciężko. - Zatem panny March także tutaj nie ma?

Recepcjonista uniósł brwi.

- Panny March? Nie sądzę, żebym pamiętał kogokolwiek o tym nazwisku.

- Tempie - poprawił się Melrose, strzelając palcami.

Mam na myśli pannę Tempie. Znajomą pana Craela.

- A tak. Ale nie, proszę pana. Tej pani także u nas nie ma.

- Hm. Pewnie wymeldowała się równocześnie z nim.  
- Melrose tonem głosu usiłował nie sugerować, że jest to pytanie.

Recepcjonista kiwnął głową. Wyglądało na to, że ten roztargniony rozmówca trochę go już zmęczył.

- No cóż, do diabła. Sądzę, że ten biedny stary Benderby także się z nim nie zdoła zobaczyć. I z pewnością zdenerwuje go ta pomyłka. - Melrose wyjął z kieszeni złoty ołówek i małą notesik i coś napisał na karteczce. - Proszę mu to dać, dobrze? Kiedy się tu zjawi.

Recepcjonista nie zrozumiał, o co chodzi.

- Przepraszam, proszę pana, komu mam to dać?

- Benderby'emu. Najprawdopodobniej będzie tu szukał Craela. Mieliśmy się spotkać we trzech, więc całe to zamieszanie z pewnością wyprowadzi go z równowagi. Eustace Benderby. Jego nazwisko jest tutaj. Widzi pan? - Melrose spiorunował recepcjonistę wzrokiem, tak jakby ten był całkiem nierozgarnięty i nie potrafił nawet odczytać nazwiska adresata.

Recepcjonista wziął liścik i wsunął go do jednej z przegródek przeznaczonych na pocztę.

- Z pewnością przekażę tę wiadomość, proszę pana. Melrose w odpowiedzi wymruczał z roztargnieniem jeszcze parę słów i wymaszerował z hotelu.

A znalazłszy się na ulicy, znowu zagwizdał. Tę samą melodię: *Limehouse Blues*.

## 10

Kiedy dwie godziny później w hotelu zjawił się inspektor Richard Jury, recepcjonista był naprawdę potężnie zdezorientowany.

- Nie mamy chyba żadnych kłopotów? Prawda, panie inspektorze?

Wszelkie „kłopoty” były czymś obcym hotelowi „Sawry”.

- Nie, nie sędzę. Przyszedłem dowiedzieć się o pewną osobę, która była waszym gościem - odrzekł Jury i wyjął fotografię Dillys March, zrobioną w czasach jej młodości. - Widział pan kiedykolwiek tę kobietę?

Recepcjonista ujął zdjęcie przez białą rękawiczkę i przyjrzał mu się uważnie.

- Jest w niej coś znajomego - powiedział. - Ale nie mam pewności. To raczej stare zdjęcie, prawda?

- Tak, zgadza się. Ale mam też nowsze. - Jury pokazał zdjęcie, które Melrose Plant dał Wigginsowi. - Zna ją pan?

- O tak. Była bliską znajomą... jednego z naszych gości.

Hotel „Sawry” brał na siebie odpowiedzialność za dobre samopoczucie gości. Nie mogło tu być nawet mowy o niepotrzebnym ujawnianiu informacji, a jeszcze mniej o jakichkolwiek plotkach. Pod tym względem hotel przypominał jakieś sanktuarium albo kryjówkę, a mahoń i szkło szczelnie izolowały jego wnętrze od wszelkich brudów zewnętrznego świata.

- Dobrą znajomą Juliana Craela? - zapytał Jury.

Recepcjonista najwyraźniej doznał ulgi. Jeżeli policja wiedziała już o tym związku, to potwierdzenie go nie było może naruszeniem hotelowej tajemnicy.

- Tak. Właśnie - potwierdził krótko bez zbędnego ubarwienia.

- Jak często ta kobieta tu bywała?

Recepcjonista zastanawiał się przez chwilę.

- Była kilka razy. Bywała co pewien czas przez jakiś rok. Odwiedzała pana Craela.

- Jej nazwisko?

Recepcjonista wyglądał na zdziwionego.

- Tempie. Panna Tempie. - Wyjął ponownie rejestr gości. - W zeszłym miesiącu, w grudniu. O, proszę. - Obrócił księgę tak, żeby Jury mógł zobaczyć. - Dziesiątego grudnia. Niejaka panna Tempie. Sądzę, że wymeldowała się wieczorem tego samego dnia co pan Crael.

- Czy miała jakichś gości? - Jury wspomógł pamięć recepcjonisty, opisując Olive Manning.

Recepcjonista pokręcił głową.

- Jakież telefony?

- Nie wiem o żadnych, ale mogę sprawdzić.

- Proszę to zrobić. I zawiadomić mnie.

Jury wręczył mu swoją wizytówkę i już się odwrócił, żeby wyjść, kiedy recepcjonista go zatrzymał.

- Jest jedna rzecz, proszę pana. Niedawno był tu inny dzentelmen... Jakiś pan Carruthers-Todd... Dziś po południu... I pytał o pana Craela i pannę Tempie. No i zostawił wiadomość.

To powiedziawszy, recepcjonista wyjął liścik z przegródki.

- A jak wyglądał ten pan Carruthers-Todd?

- Miał wygląd zamożnego dzentelmena. I wyrażał się doskonale angielszczyzną. Był niższy od pana, miał jasne włosy. I bardzo zielone oczy. Wiadomość zostawił dla... - recepcjonista spojrział na karteczkę - ...jakiegoś pana Benderby'ego. Eustace'a Benderby'ego.

- To ja jestem Benderby - oznajmił Jury, wyciągając rękę po kartkę.

Hotel „Royal Victoria” nie był tak wspaniały jak jego nazwa. Stał wciśnięty między dwa inne budynki, z których jeden nosił nazwę „Arab Star” i opatrzony był łuszczącym się szyldem, na którym widniał bułat i gwiazda. Z jego podwojów wylonilo się dwóch młodzieńców z czarnymi wąsami, prowadzących konwersację z wydatną pomocą rąk.

Natomiast w hotelu „Royal Victoria”, w niewielkim pomieszczeniu, przy drzwiach w stylu rustykalnym, siedziała dziewczyna, która była bardziej zainteresowana malowaniem ust niż witaniem ewentualnych gości. Podeszła jednak w końcu do Jury'ego, a jej oczy o fioletowych powiekach zlustrowały go od stóp do głów. Po czym zrobiła balon z gumy do żucia i wciągnęła gumę z powrotem do ust. Jury okazał swój dowód tożsamości.

- Szukam kobiety, która prawdopodobnie tu mieszkała  
oznajmił. - Nazywa się Roberta Makepiece.

- Nie mogę powiedzieć, że pamiętam kogoś takiego. Te osoby przychodzą i odchodzą.

Dziewczyna wyprężyła pierś pod niebieskim bliźniakiem, po czym w pobliżu twarzy Jury'ego pojawił się kolejny balon.

- Ale Dotty może coś o niej wiedzieć - dodała dziewczyna.

-KtotojestDotty?

- Właścicielka i kierowniczką.

- A gdzie ona jest?

- W Manchesterze. Pojechała tam ze swoim facetem.

Dziewczyna zatrzepotała rzesami. Grubo nałożony tusz pozostawił na jej skórze pod oczami drobne kropki.

- A kiedy Dotty wróci?

- No przecież nie wiem.

- No to ja przecież nie mogę jej zapytać.

Sarkazm tego stwierdzenia nie dotarł do świadomości dziewczyny.

- No cóż, mógłby pan chyba zapytać Mary. Jeżeli ta osoba tu pracowała, Mary będzie pewnie coś wie działa.

- A gdzie jest ta Mary?

Dziewczyna wyjęła teraz małe, kieszonkowe lustro i zaczęła sprawdzać sobie usta. Jury, którego interesowała tylko Mary, już ją znudził.

- Mary Riordan. Tam... - Machnęła ręką w nieokreślonym kierunku. - Nakrywa pewnie do stołów w jadalni.

W jadalni były dwie osoby. Rzeczona Mary i druga hoża dziewczyna, słabo rozgarnięta, o dwóch ciemnych warkoczach i żółtawej cerze. Poruszała się jak w letargu, układając serwetki i sztućce.

Mary na szczęście wyglądała na mniej otepiałą. Mówiła cicho, głosem lekko chropawym. I z irlandzkim akcentem, co pasowało do jej niebieskich oczu.

- Roberta Makepiece? No... tak. Teraz ją sobie przypominam. Chociaż ona nie pracowała tutaj długo. - Mary, niczym blachę pancerną, przycisnęła do piersi metalową tacę. - Wyjechała z jakimś facetem.

Wyglądało na to, że hotel „Royal Victoria” adresował swoją ofertę do kochanków.

- Nie wie pani dokąd?

Jury już stracił nadzieję, ale zaraz ją odzyskał, bo Mary pokiwała głową.

- Mogłabym wiedzieć - powiedziała. - Widzi pan, dostałam od niej list... Przysłała mi w nim pożyczone kiedyś pieniądze. Na kopercie był jej adres. Może pan chwileczkę poczekać? Pobiegnę i zaraz go przyniosę.

- Jestem gotów czekać choćby cały dzień, kotku - rzekł z uśmiechem Jury.

Miał ochotę wycalować dziewczynę, która z minuty na minutę stawała się coraz ładniejsza i bardziej rumiana.

A ona, zafascynowana jego uśmiechem, zaczęła cofać się tyłem i wpadła na futrynę drzwi, po czym zarumieniona odwróciła się na pięcie i wybiegła, unosząc ze sobą tacę. Tymczasem Jury, czekając na nią, jeszcze raz przeczytał bardzo krótki liścik od Planta.

*Jestem w Connaught. Proszę do mnie zadzwonić. Jeżeli pan jeszcze nie stracił głosu.*

*Plant*

Dziewczyna z warkoczami, która wędrowkę wokół stołów odbywała nader niemrawo, pociągnęła nosem. Jury'emu przypomniał się sierżant Wiggins. Wróciła Mary z listem w dłoni.

- Znalazłam - oznajmiła. - Ale ona nie nazywa się już Makepiece, tylko Córy. Tu jest adres.

Podawała list Jury'emu. Wynikało z niego, że kobieta mieszka w Wanstead.

- Musiała wyjść za mąż - powiedziała Mary.

- Albo coś w tym rodzaju - zażartował Jury. - Dziękuję bardzo. Nie ma pani pojęcia, jak ogromnie mi pani pomogła. Czy jest tutaj publiczny telefon? Muszę do kogoś zadzwonić.

Niebieskie oczy Mary zabłyśły. Myśl, że pomogła komuś ze Scotland Yardu, najwyraźniej napawała ją entuzjazmem. Zaprowadziła Jury'ego do telefonu.

## 12

Spojrzenie, którym go od stóp do głów zmierzyła, było zdolne zedrzyć politurę z krzesła.

- Czy pani Roberta Makepiece?



Ponad łańcuchem, na który zamknięte były drzwi, jej zuchwa znieruchomiała. Kobieta przestała na chwilę żuć gumę.

- Nazywam się Córy. Jestem mężatką. Pomylił pan adres - powiedziała i chciała zamknąć drzwi, jednak Jury przytrzymał je ręką i jej to uniemożliwił.

- Wydział dochodzeniowo-śledczy, proszę pani. A ja jestem inspektor Richard Jury.

Podsunał jej swój dowód tożsamości.

- Co takiego? - Kobieta otworzyła szeroko oczy. - Czy to... Joey? Czy chodzi o niego?

Ton jej głosu wskazywał raczej na ulgę niż niepokój. A Jury, słysząc go, zastanowił się nad sensem miłości i wierności.

- Czy mógłbym wejść? Rozmowa nie zajmie nam wiele czasu.

Drzwi przymknęły się, szczerknął łańcuch, po czym drzwi otworzyły się szeroko. Kobieta kiwnięciem głowy zaprosiła Jury'ego do środka.

- Miałam właśnie iść po zakupy.

-To nie potrwa długo, naprawdę. Czy moglibyśmy usiąść?

Wzruszyła ramionami.

- Proszę.

Jury przysiadł na krawędzi błyszczącego, obitego sztuczną skórą krzesła. A ona zajęła miejsce na białej, obitej sztucznym futrem kanapie. Wszystko w tym mieszkaniu - meble, zasłony, ubranie kobiety - wyglądało na tanie, nowe i czyste. Patrząc na te rzeczy, można było pomyśleć, że toczące się tutaj życie wytrysnęło - nagle i w pełnej krasie - z kamieni Wanstead. Mieszkanie przypominało wystawę mebli w witrynie domu towarowego. A Roberta Makepiece zdawała się być manekinem. Cechowała ją bowiem jakaś surowa, drewniana, niezbyt zachęcająca i sugerująca nieugiętość uroda.

Do swojej białej kanapy Roberta podeszła drobnymi kroczkami, bo nogi krępowała jej obcisła spódnica do pół łydki. Miała też na sobie sweterek w paski, obciskający małe, spiczaste piersi. Jej twarz, pod szopą loków spiętych po bokach małymi szylkretowymi grzebykami i zacementowanych lakierem, wydawała się szczuplejsza, niż była w rzeczywistości. Jury zadawał sobie pytanie, jak cała ta sztywność mogła pociągać mężczyznę nazwiskiem Córy. Bo przecież przebywanie w towarzystwie Roberty musiało wywoływać uczucie, że ma się chroniczny ból gardła. Jury domyślił się także, że tak naprawdę Roberta nie jest wcale żoną Cory'ego i że Córy, podobnie jak mebli, może także i jej pozbyć się z największą łatwością.

Roberta, posługując się kciukiem i palcem wskazującym o jaskrawo pomalowanych paznokciach, wyjęła z ust gumę i odłożyła ją na ogromną szklaną popielniczkę. Guma, stanowiąc widok nader smętny, sprawiała wrażenie jedynej rzeczy używanej, jaka znajdowała się w tym pokoju.

Torebka Roberty i jej płaszcz leżały obok niej na białej kanapie. Więc nie kłamała, mówiąc, że właśnie zamierzała wyjść z domu. Choć Jury wątpił, by była osobą nazbyt prawdziwą.

Dlaczego całą tę sytuację wyobrażał sobie zupełnie inaczej? Dlaczego sądził, że zastanie tu rozmemlaną, ładną kobietę w szlafroku, że zobaczy nieposłane łóżko i fotki Bertiego, wetknięte za lustro przy toalecie? Tymczasem w tym pokoju nie było po chłopcu ani śladu. No i twarz Roberty nie wykazywała najmniejszego do niego podobieństwa.

- A więc? - zagadnęła Roberta. - O co chodzi?

Krwistoczerwone paznokcie powędrowały ku włosom. Kobieta upewniła się, że ich polakierowana doskonałość po niewygodnym wtargnięciu w jej życie inspektora nie uległa żadnej zmianie.

- Przychodzę tutaj w sprawie pani syna - oznajmił Jury.

Roberta odwróciła błyskawicznie wzrok i wzięła z popielniczki gumę.

- Ja... - wrzuciła sobie gumę do ust- ...nie mam żadnego syna. Doprawdy nie wiem, o czym pan mówi.

Jury poczuł, że robi mu się zimno. Palce jego dłoni zacisnęły się na poręczy krzesła.

- Mówię o Bertiem. O Bertiem Makepiesie.

Wypowiedział te słowa i poczuł się idiotycznie. Imię i nazwisko Bertiego zdawały się budzić jakieś wspomnienia. „Och, o nim” - miała odpowiedzieć kobieta, strzelając palcami. Tego spodziewał się Jury.

Tymczasem powiedziała to, co powiedziała. I już miała to jeszcze raz potwierdzić, ale przeraził ją wyraz jego twarzy.

- Niech pan posłucha - zwróciła się do niego. - Co Scotland Yard ma wspólnego z tą sprawą? Dlaczego przychodzi do mnie policja? Czy pan współpracuje z opieką społeczną? - Jej ton stał się bardzo natarczywy. - Sądzę, że chce mnie pan zmusić do powrotu. Czy tak?

- Nie jestem tu oficjalnie - odrzekł Jury. - Po prostu interesuje mnie los Bertiego. Poznałem chłopca, pracując nad pewną sprawą, i pomyślałem, że to, co on opowiada o pani wyjeździe, jest dziwne. Bo Bertie twierdzi, że jego matka... że pani... musiała pojechać do chorej babci. Żeby się nią opiekować. I że babcia mieszka w Irlandii Północnej. No, ale wygląda na to, że pani jest w Londynie.

- Do Irlandii Północnej? Ja przecież nigdy nie mówiłam o Irlandii. Mam tam starą babcię, ale nigdy nie twierdziłam, że do niej jadę. - Wyglądało na to, że obwinia o coś Bertiego.-Popatrzcie państwo!

- Bertie opowiada ludziom, że babcia mieszka w Irlandii Północnej. W Bogside.

Jury uśmiechnął się mimo woli. Jednak twarz kobiety pozostała bez wyrazu. Czy chciał ją trochę rozweselić, skło-

nić, by się ucieszyła z tak pomysłowego syna? Znaleźć w niej choć odrobinę uczuć macierzyńskich?

- On zawsze coś zmyślał. Zawsze opowiadał jakieś historyjki...

Kobieta zamilkła, skubiąc futrzaną kanapę.

- Bertie? - zdziwił się Jury. - No nie. Mnie się zdaje, że jest wprost przeciwnie. To poważny, rozsądny chłopiec. I dobry organizator.

Jeżeli ktokolwiek żył mrzonkami, to z pewnością matka, a nie syn. Takie było jego zdanie. Rozglądając się po pokoju, Jury dochodził do wniosku, że te jej mrzonki są naprawdę nierealne.

- To prawda - przyznała. - Bertie jest lepszym organizatorem ode mnie. I wszystko potrafi. Robił w domu, co trzeba, kiedy ja byłam w pracy. Gotował. Zmywał, sprzątał. Umiał na wet posłać do sklepu to stare psisko. Pies jeszcze żyje, prawda? To znaczy Arnold? On żyje, prawda?

Zadała te pytania takim tonem, jakby chodziło o kolegę z dzieciństwa. Jury kiwnął głową.

- Niech pan posłucha - odezwała się Roberta wojowniczo, pochylając się ku niemu i zaciskając dłonie. - Bert dostaje pieniądze. Już ja tego dopilnowuję. Powiedziałam mu, żeby realizował czeki. W formie czeków przychodzi renta.

- Musiałby w tym celu je podpisywać. A to by było fałszerstwo.

- Ależ niech pan zrozumie! Ja naprawdę pisałam do Bertiego. Kilka razy. I naprawdę wyjaśniłam mu różne rzeczy. Wytłumaczyłam, że nie mogłam wytrzymać w Rackmoor. Nie zostawiłam go tak po prostu na łasce losu.

Ale chciałaś mnie oszukać, pomyślał Jury.

- Wiem - potwierdził. - Poprosiła pani pannę Cavendish i kilka innych osób, żeby do niego zaglądały. A pannie Cavendish powiedziała pani, że jedzie do Londynu. Czy tak?

Pokiwała energicznie głową. Zdawała się mieć nadzieję, że teraz nadają na tych samych falach i że w jego oczach to wszystko nie wygląda aż tak źle.

- Proszę posłuchać - powiedziała - przyznaję, że nie najlepsza ze mnie matka. - Tu uśmiechnęła się smutno, tak jakby sądziła, że przyznanie się do winy całkiem tę winę wymazuje.  
- Ale muszę się panu przyznać, że nigdy nie marzyłam o tym, żeby mieć dzieciaki. Wyszłam za męża zbyt młodo. Miałam dopiero osiemnaście...

I tak to się zaczęło. Przypominało odprawianie jakiegoś przestarzałego obrzędu, który całkiem stracił sens. Kobieta usprawiedliwiała swoje zachowanie. A w uszach Jury'ego jej gadanie brzmiało nużąco, bo było mu doskonale znane. Słyszał bowiem tę historię, albo historie do niej podobne, bardzo wiele razy.

Ciężkie życie, jakie wiodła w małej wiosce rybackiej. Niewydarzone małżeństwo z nieudacznikiem i draniem. Walka o przeżycie, zmagania z losem, wieczny brak pieniędzy. Życie w biedzie i brak perspektyw. A była przecież młoda, prawda? No i na dodatek sama ta wioska. To wstrętne Rackmoor. Ta okropna nuda, która panuje tam, na północy. Żadnych świateł wielkiego miasta, żadnych rozrywek, nic zgoła. Aż wreszcie w pewnym momencie Roberta poznała Joeya Cory'ego. Facet był przystojny, potrafił ją rozśmieszyć, miał pieniądze. Ale nie chciał jej z dzieckiem. Żadnych dzieciaków, powiedział.

- Widzi pan to? - zapytała, rozglądając się po pokoju.  
- Wszystko jest tu nowe. Córy wciąż kupuje nowe rzeczy. Żadnych staroci. Kiedy coś się nam zniszczy albo zabrudzi, od razu idzie na śmietnik. A na jego miejsce kupujemy nową rzecz.

Choć cała spięta, uśmiechnęła się tryumfująco. Tak jakby chciała powiedzieć, że znalazła sposób, żeby uciec z domu.

Życie jednorazowego użytku, pomyślał Jury, wyobrażając sobie, że dni odrywają się od tego pokoju niby kartki z kalendarza, całkiem puste, bez żadnych zapisków. Wstał.

- A co pan Córy zrobi z panią, kiedy pani się zniszczy albo zabrudzi? - zapytał Robertę.

A ona, rozwścieczona, zerwała się z kanapy. Twarz płonęła jej teraz niczym zimny, biały płomień. Wymierzyła Jury'emu siarczasty policzek. A on tylko się wzdrygnął. I nie doznał żadnego szwanku. Bo ręka Roberty była tak lekka, że jej cios okazał się podobny do histerycznego muśnięcia ptasiego skrzydełka.

Kobieta, przerażona własną reakcją, chwyciła tę rękę drugą dłonią. A Jury dopiero teraz zauważył, jak jej dłonie są szczupłe. Tak, były szczupłe, a przez ich skórę przeświecały błękitne żyłki. Kobieta w ogóle była bardzo mizerna. Jej niedysyjsze miłe dla oka krągłości zdążyły się stać kanciastociami, a policzki całkiem się zapadły.

- Nie ma pan prawa mówić do mnie w ten sposób! - za wołała porywczo. - I co? Pewnie teraz poleci pan do opieki społecznej z donosem? A ja i tak nie wrócę do Rackmoor! I koniec! Już lepiej, żeby dzieciak przyjechał tutaj, jeżeli mam obowiązek go utrzymywać...

Urwała i przesunęła dłonią po czole jak ktoś, kogo rozboleła głowa. To oczywiście, pomyślał Jury, że przypomniała sobie o Corym i dlatego zamilkła.

- Nie doniosę na panią - obiecał. - Bo wcale nie chcę, żeby oni panią znaleźli.

Roberta wlepiła w niego wzrok ze zdumieniem. Milczała przez dłuższą chwilę. Nie wyglądało jednak na to, że doznała ulgi. Ściągnęła brwi. Życie najwyraźniej przedstawiało jej się teraz jako całkiem nowa układanka - trudniejsza niż poprzednia, bo składająca się z mniejszych kawałeczków w bardziej stłumionych kolorach, które naprawdę niełatwo było do siebie dopasować i złożyć w całość.

Tymczasem Jury pomyślał o życiu, jakie Bertie musiałby wieść z tą kobietą, sfrustrowaną faktem, że musi go taszczyć niczym nieporęczny bagaż. Każde towarzystwo będzie dla chłopaka lepsze niż ona, powiedział sobie. Nawet gdyby tym towarzystwem miały okazać się samotność, poczucie utraty czy niezaspokojone potrzeby. Każda z tych rzeczy okazałaby się bardziej pewna i namacalna niż Roberta, która stała teraz przy drzwiach w swoim ciemnym ubraniu - czarna na białym tle niczym gniewne pociągnięcie pędzlem, które malarz wykonał, nienawidząc własnego obrazu.

- Zrobi pani tak - odezwał się Jury. - Wyśle pani trzy listy. Jeden do Bertiego. Jemu powie pani prawdę. To znaczy, napisze mu pani to, co mówiła pani przed chwilą. Tylko proszę nie kłamać, nie upiększać, nie dawać mu nadziei. Żadnej nadziei poza jedną - nadzieją na to, że nigdy, w żadnych okolicznościach, nie będzie musiał iść do domu dziecka. I niech mu pani napisze, że pomoże mu pani, powtarzając to kłamstwo, które on był zmuszony wymyślić na użytek ludzi. To wiąże się z drugim listem. Będzie to list do panny Cavendish, której napisze pani właśnie to, co Bertie opowiadała ludziom. Skłamię pani, że jest pani w Irlandii Północnej, w Belfaście, i opiekuje się pani babcią. Niech to będzie smutna opowieść o umierającej staruszce, która wciąż nie może przenieść się do wieczności. Niech pani napisze, że z tego właśnie powodu nie wiadomo, czy będzie pani mogła wrócić do domu w dającym się przewidzieć terminie. A to z kolei oznacza, że w Rackmoor potrzebny jest ktoś, kto zaopiekuje się Bertiem. Tego właśnie będzie dotyczył trzeci list - do Kitty Meechem. Moim zdaniem, Kitty najlepiej się do tego nadaje...

- Kitty! To znaczy ta, co prowadzi pub „Pod Przechytrzonym Lisem”? Niech pan posłucha, nie zgodzę się, żeby moje dziecko mieszkało w jakimś pubie...

Jury'ego nie wyprowadziło z równowagi dziwnie brzmiące w jej ustach określenie „moje dziecko”. Ani jej dziwaczna

moralność. Podejrzewał bowiem, że Robertą Makepiece kieruje teraz autentyczne poczucie zagrożającej jej straty.

-To bardzo porządny lokal - oświadczył - a Kitly to wspaniała osoba. Bardzo lubi Bertiego. I Arnolda. Są też oczywiście Żabie Oko i Wąłusz. Więc gdyby pani wolała...

Zaskoczył ją tą propozycją. Roberta uśmiechnęła się i zaraz spoważniała.

- Nie, nie - powiedziała. - One się nie nadają. Ale proszę posłuchać... - zaczęła, jednak Jury jej przerwał.

- Niech pani napisze te listy - polecił, chcąc uprzedzić wszelkie obiekcje - włoży je do koperty i wyśle do babci w Irlandii. I niech babcia je stamtąd prześle do Rackmoor. To pozwoli nam przetrwać do chwili, gdy cały problem zostanie rozwiązany... - Nie chciał powiedzieć „prawnie”, bo w uszach kobiety zabrzmiałoby to zbyt ostatecznie.

Dziwne, pomyślał, ale Roberta, taka zimna, kalkulująca, skoncentrowana na własnej osobie, ma jednak w sobie jakiś strach. Jury go wyczuwał i wiedział, że jest to strach przed utratą tego, co sama zdążyła już odrzucić.

- A jeżeli tego nie zrobię?

Udawała tylko, że się sprzeciwia. Świadczył o tym jej ton.

- Wtedy ja wrócę. Do widzenia pani.

Gdy otwierał już drzwi, chwyciła go za rękaw.

- Niech pan zaczeka...

Wyglądało na to, że, sama nie wiedząc dlaczego, nie chce, żeby odchodził.

- Robert - powiedziała. - On tak naprawdę ma na imię Robert.

- Co takiego?

Jury poczuł się skołowany.

Roberta uśmiechnęła się jak ktoś, kto w wyobraźni przegląda stary album.

- Bertie to zdrobnienie - wyjaśniła. - A jego prawdziwe imię brzmi Robert. Dałam mu je po sobie.



Fakt, że ta kobieta pragnęła kiedyś związać dziecko ze sobą, był jak mała strzała, która przebiła serce Jury'ego. Roberta i Robert.

Po jego złości na nią nie pozostał żaden ślad.

- Zapamiętam to sobie - obiecał i uśmiechnął się, na co ona także odpowiedziała uśmiechem.

- Do widzenia - rzucił, po czym drzwi się za nim zamknęły.

Wracał, idąc pustą ulicą w stronę stacji metra. Dookoła nie było nikogo. Tylko na jakimś ganku mył się wyliniały rudy kot. Futerko, które usiłował wyczyścić, zdawało się stawiać opór jego językowi. Jednak kot nie przestawał go lizać. Płachta niesionej wiatrem gazety przyłgnęła do nogi Jury'ego. A potem uleciała, porwana kolejnym podmuchem, i wylądowała najpierw na drzewie, a następnie na jakiejś żelaznej poręczy. Zabłąkała się na tę poręcz niczym stary, roztargniony emeryt, szukający daremnie drzwi własnego domu.

Jury tymczasem szedł dalej, nie zwracając uwagi na odfruwającą gazetę. Zastanawiał się, po co tu przyszedł, i czuł, że osiągnął bardzo mało. Jednak jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że dobrze zrobił. Przypomniawszy sobie nauczycielkę, która uczyła go, kiedy był jeszcze małym chłopcem - nauczycielkę, którą kochał dziecięcą miłością i która, kładąc mu nieraz dłoń na głowie, chwaliła go z uśmiechem za to, że tak ładnie stał tablicę.

## 13

Kiedy Jury wszedł o szóstej do George'a, od razu zauważył, że przy barze siedzi Jimi Haggis. Zaplótłszy swoje długie nogi o szczebelki wysokiego stołka, Jimi pałaszował pieróg nardziewany cielęcina i szynką.

- Cześć, Jimi - powiedział Jury, siadając tuż obok.

- Richard! Witam cię, stary!

Jimi klepnął Jury'ego po ramieniu i zajął się ponownie marynowaną cebulką, próbując ją nabić na widelec. Pracował w wydziale do spraw narkotyków, a Jury podejrzewał, że bardzo lubi tę robotę, bo wykonując ją, może nosić długie włosy i chodzić w niezapiętej koszuli. Jimi otarł wąsy, usuwając z nich okruszek ciasta.

A potem siedzieli przez kilka chwil w przyjaznym milczeniu, podczas gdy pub wypełniał się gośćmi - zarówno tymi stałymi, co wpadali tu po pracy, jak i tymi, którzy znaleźli się dziś tutaj przypadkiem. Jakaś efektowna młoda damulka usadowiła się na stołku na prawo od Jimiego.

- Przepraszam, kochanie - powiedział Jimi, wykorzystując jej bliskość i sięgając przed nią po musztardę.

W trakcie tej czynności udało mu się musnąć jej pierś, a Jury zobaczył, że kobieta ściąga ze złością brwi. Zauważywszy jednak, że Jury ją obserwuje, odwróciła szybko wzrok. W chwilę później spojrzała na Jury'ego. A on uśmiechnął się do niej porozumiewawczo, jak ktoś, kto dzieli z nią wspólny sekret. I przez zasłonę papierosowego dymu zobaczył, że i na jej ustach pojawia się cień uśmiechu.

- Nie mogę pojąć jednej rzeczy - mówił tymczasem Jimi, smarując swój pieróg musztardą. - Jak to jest, że ja, żonaty facet z trojgiem dzieciaków, w tym z dwojgiem w pieluchach, że ja... - tu rozpostarł ramiona, znowu musnął pierś tamtej kobiety i wymamrotał „Przepraszam, kotku” - ...że ja, młody, seksowny, wolny duch... No, że mnie kobiety nie ścielają się do stóp tak jak tobie, dużemu, solidnemu, pewnemu jak dobrze zakamufLOWANA kryjówka facetowi bez zobowiązań. O, jest nawet tutaj jedna z takich kobiet.

Jimi wskazał widelcem barmankę imieniem Polly.

- Halo, kotku - powitała Polly Jury'ego, całkiem ignorując Jimiego. - Co podać?

- Najlepsze gorzkie piwo i jedno z tych jajek po szkocku.

Między Jurym a Jimim stała patera z wysoką kopułą z plastiku. Polly uniosła kopułę i przetoczyła na talerzyk jedno z jajek. A potem pochyliła się nad barem, demonstrując ponętny dekolt.

- Gdzie się podziewałeś, kochanie? Ten tutaj przesiaduje u nas codziennie. Czy on w ogóle nie pracuje?

Jimi wbił wzrok w zawartość jej ozdobionego falbanką dekoltu.

- Przeciwnie, pracuje ciężko. Nawet w tej chwili.

Polly zauważyła spojrzenie Jimiego, machnęła ręką, mrugnęła do Jury'ego i oddaliła się.

- Właśnie o tym mówiłem - odezwał się Jimi. - Absolutnie tego nie pojmuję.

- Ja też nie - zapewnił go Jury.

- Ale musisz przyznać, że jestem atrakcyjny... - Przerwał, tak jakby jego samoocena zależała od tego, czy Jury kiwnie potakująco głową. - Wczoraj w nocy miałem taką jedną z taaakimi...

Odwrócił dłonie do góry, jakby ważąc w nich dwa owoce, a potem objął ramionami kopułę okrywającą piramidę z jajek i oparł na niej czoło.

Jury pokręcił głową. Jimi był jednym z najlepszych fachowców, prawdopodobnie najlepszym policjantem z wydziału do spraw narkotyków. Choć znacznie młodszy od większości kolegów, w tym o całe dziesięć lat od Jury'ego, radził sobie doskonale. W pracy cechowała go wielka pewność siebie. Ale poza pracą było całkiem inaczej. Poza pracą Jimi potrzebował ogromnego wsparcia. A Jury był jedną z osób, które mu go dostarczały.

- Ta ruda, z którą się prowadziłeś - zagadnął Jimi. - Co się z nią stało?

Maggie była już tylko fotką w biurku Jury'ego, który po-  
grzebał ją na samym dnie szuflady. Jednak od czasu do cza-  
\$u zdarzało mu się jeszcze ekshumować jej ciało.

- Wyszła za mąż. Nie za mnie, oczywiście, tylko za kogoś  
innego. Za jakiegoś Australijczyka.

Jimi popatrzył na Jury'ego z autentycznym niedowie-  
rzaniem.

- Wyszła za kogoś innego? I to na dodatek za kangura?  
Chryste Panie. Czy nie było już nikogo...

- Posłuchaj, Jimi, możemy zejść z tego tematu?

Jury spojrział na dziewczynę siedzącą obok Jimie-go.  
Ubrana była w suknię w kolorze burgunda, a jej ramię  
spoczywało niczym kawałek jedwabiu na ciemnym  
mahoniu.

- Dobra, stary. Okej. - Jimi uniósł ręce w geście pod-  
dającego się, a potem wrócił do jedzenia. - Słyszałem, że  
dostajesz wreszcie teri awans, który ci się należał od tak  
dawna.

- To niezbyt prawdopodobne.

Jury machnął ręką. Nie miał już ochoty gadać - ani o ko-  
bietach, ani o awansach. Rzucił parę monet na bar i wstał.

- Mam z kimś spotkanie, Jimi. To na razie.

Idąc przez salę, czuł na sobie aksamitne spojrzenie dziew-  
czyny ubranej w suknię w kolorze burgunda.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł Melrose Plant. Prze-  
szukał wzrokiem tłum gości, zobaczył Jury'ego i utorował so-  
bie drogę w jego kierunku.

- Benderby, stary druhu! - przywitał go.

Jury ruchem nogi podsunął mu krzesło.

- Proszę usiąść, panie Plant. Benderby i ja dziękujemy  
panu za przekazane wiadomości. I za zdjęcie. Ale jak panu  
udają się takie rzeczy?

- Chce pan, bym moje metody zdradził Scotland Yardowi? I spodziewa się pan, że to zrobię? Otóż nie. Napijmy się raczej. Jeszcze raz to samo?

Plant swoją laską o srebrnej gałce wskazał szklanę Jury'ego.

- Nie mam nic przeciwko następnej kolejce. Proszę bardzo, może mi ją pan postawić.

Melrose wziął szklanę, odłożył laskę na stół i oddalił się, torując sobie drogę wśród licznych gości. Jury przysunął własne krzesło bliżej stołu. Był nieludzko zmęczony. Zaczął bawić się laską Planta, tocząc ją po stole. A potem wziął ją do ręki, zaciekawił się i zaczął majstrować przy gałce. Pociągnął. Okazało się, że w lasce ukryta jest szpada. Chryste Panie! - pomyślał Jury.

A tymczasem Melrose wrócił z drinkami. Usiadł przy stole z zamiarem opowiedzenia o wszystkim, co działo się od ich rozstania. Rozpoczął relację od fotografii, którą podał Jury'emu.

- Wiemy zatem - podsumował na koniec - że Julian Cra-el ją znał. Zagadką jest tylko, czy ona była Dillys March, czy Gemmą Tempie.

- Gemmą Tempie - odrzekł stanowczo Jury, chowając fotografię do kieszeni. - Pojechała do Rackmoor samochodem współlokatorki, bo do jej własnego były przymocowane tablice nauki jazdy. Gemma Tempie uczyła się dopiero prowadzić.

- A Dillys March praktycznie od zawsze prowadziła ten czerwony samochód! Boże miłosierny! - zawołał Melrose Plant.

Jury kiwnął głową. Następnie obaj zamilkli i siedzieli przez chwilę, wpatrując się w piwo. Jury odchylił się do tyłu i spojrzął przez oprawioną w olów szybkę okienną, za którą zabłysła latarnia. Morelowe światło tego rzadkiego zimą słonecznego i chłodnego dnia już zgasło i Londyn pogrążał się we wczesnowieczornym mroku. Jednak Jury'ego, który na-

wet siedząc w tym zadymionym pubie, wyczuwał zapowiedź śniegu, nie ogarnęły z tego powodu mroczne uczucia. Zima w Londynie była dla niego najlepszą z pór roku. Wszystko go wtedy cieszyło - i mokre jak stare rękawiczki ulice, i wilgotny, gumowy zapach kaloszy, i jeźdźcy na koniach, przemierzający pałacowe tereny. Tak, Jury kochał Londyn i ta miłość ogarniała go nieraz całkiem zmienacka.

- Wnioskuje z tego wszystkiego - powiedział teraz - że Julian Crael spotkał gdzieś Gemmę Tempie, a jej podobieństwo do Diilys March zdumiało go i oszołomiło. Sądzę też, że Diilys znaczyła dla Juliana znacznie więcej, niż kiedykolwiek gotów był to przyznać. I skutek był taki, że on i Gemma zostali kochankami. Gemma chciała tą drogą dorwać się do majątku. A Julian musiał jej bardzo dużo opowiedzieć o sobie, o swojej rodzinie i o domu. A także o Olive Manning. Sądzę, że już się Gemmą znudził i zamierzał puścić ją kantem. Możliwe, że dostrzegł, że żyjąc z nią, żyje mrzonką, złudzeniem. Dlatego Gemma, wyczuwając to, skontaktowała się z Olive i we dwie obmyśliły to małe oszustwo.

- Chwileczkę - przerwał Melrose. - Przecież Olive Manning od samego początku twierdziła, że ta kobieta to nie Diilys March. A to nie miałoby żadnego sensu, gdyby rzeczywiście chciała, żeby pułkownik wierzył, że Diilys wróciła.

- Słusznie - przyznał Jury. - Ja też tego nie rozumiem. Wiem tylko, że Olive i Gemma działały ręką w rękę. A potem... Cóż, może się pokłóciły... Co stało się cholernie dobrym powodem do popełnienia morderstwa...

- Ale istnieje przecież powód jeszcze lepszy. To znaczy ten, który miał Julian Crael.

- Wiem, panie Plant, że Julian Crael jest pańskim ulubionym podejrzany. Ale niech pan pomyśli: po co on miałby ją mordować? Przecież wystarczyłoby, żeby całą historię opowiedział ojcu. Julian wiedział, że ta kobieta to nie Diilys March. I proszę nie zapominać o jego alibi...

- Pan naprawdę sądzi, że to nie on zrobił. No i oczywiście broni pan go.

- Zapewniam pana, że nie wiem, kto to zrobił. I wcale nie „bronię” Juliana Craela - zaprzeczył Jury i zastanowił się w duchu, czy to prawda.

No bo przecież, sam nie mając pojęcia dlaczego, czuł silną sympatię do tego człowieka, który był przecież taki chłodny, nieprzystępny i który - no, bądźmy rozsądni - miał naprawdę najpoważniejszy motyw. Julian Crael ciążył jego świadomości, a on szukał racjonalnych argumentów, by odsunąć od siebie najzupełniej usprawiedliwione podejrzenia Planta.

Mimo to myśl o Julianie go nie opuszczała. Przypomniał go sobie teraz. Zobaczył oczyma wyobraźni, jak Julian stoi w zimowym świetle, zalewającym salon, z ręką wspartą na gzymsie kominka, pod portretem tej wspaniałej kobiety, która była jego matką. Zobaczył go oczyma wyobraźni i - siedząc tutaj, w pełnym hałasie, zadymionym pubie - poczuł ten sam chłód, który go ogarnął pośród ciszy tamtego salonu. „Myślałem, że... no wie pan... że może ona nie żyje” - padły wtedy słowa Juliana, w których czaił się cień pytania. Taki cień, jaki pojawia się wtedy, gdy mówiący sam nie rozumie, co powiedział. Jury miał wówczas wrażenie, że Julian spodziewa się, że coś większego niż on sam - może wrzosowiska, a może morze - podrzuci mu odpowiedź na to czające się pytanie.

Ale kto miał nie żyć? O kim on tak naprawdę mówił? - zastanowił się Jury.

- Pan nie chce, żeby to on był winien - stwierdził Plant, przerywając tok jego myśli i sprawiając, że Jury uświadomił sobie, że zastanawiając się, gapi się na dziewczynę w sukni w kolorze burgunda, siedzącą wciąż przy barze.

Zły na siebie, dopił szybko piwo i powiedział:

- Już prawie siódma. Powinniśmy się ruszyć. Droga do Rackmoor zajmie nam sześć godzin. Chciałbym bardzo po rozmawiać z Olive Manning.

Plant posiał mu szybkie jak strzała spojrzenie.

- Tak, słyszałem, co pan powiedział - mówił dalej Jury.

- Ale to, czy ja chcę, czy nie chcę, żeby ktoś był winien, nie ma żadnego znaczenia. I niech pan pamięta: Julian Crael ma alibi.

Plant wciąż nie ruszał się z miejsca, patrzył na swoją łaskę.

- Czy to wszystko, co pan ma do powiedzenia? No to ja panu coś powiem: Nieraz w przeszłości okazywało się, że alibi bywa nieszczelne.

## 14

- Zatrzymamy się i wyciągniemy z domowych pieleszy Agathe? - zapytał Melrose. - Bo musi pan pamiętać, że ona gotowa jest złożyć meldunek tylko i wyłącznie panu. A ja cie kaw jestem, jak jej idą poszukiwania.

- Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, daruję sobie tę małą przyjemność - dobiegła go spod kapelusza odpowiedź Jury'ego.

Podczas tej drogi zmieniali się za kierownicą i rozwijali dużą prędkość. Teraz, od postoju, podczas którego napili się kawy w kafejce i zjedli po okropnym ciastku, prowadził Melrose.

- A wie pan - odezwał się nagle - że morderca rzeczywiście mógł wziąć Gemmę Tempie za Lily Siddons? Ale jakim, u diabła, kierowałby się motywem, chcąc zabić Lily?

- Rzecz w tym, że pułkownik bardzo ją lubi - odrzekł Jury głosem stłumionym przez nasunięty nisko kapelusz. - Darzy ją taką samą sympatią jak kiedyś Dillys March. Tak sądzę.

- Ależ panie inspektorze, pułkownik darzy sympatią połowę ludności swego hrabstwa! Mam zatem nadzieję, że nie zaczniemy znajdować trupów w całym Yorkshire.



Jury zbył to milczeniem.

A Melrose, doszedłszy do wniosku, że jego towarzysz podróży zasnął, dodał gazu.

## 15

Plant dyskretnie przeprosił i wycofał się do swojego pokoju. A tymczasem Wood - nie potrafiąc ukryć zaskoczenia prośbą Jury'ego - poszedł wezwać Olive Manning.

Wyglądało na to, że poza Jurym, Woodem i Plantem wszyscy w domu już śpią. Jury ucieszył się z tego, bo chciał zrobić jak najmniej zamieszania.

Zaczekał na Olive Manning w pokoju zwanym Red Run Room i stanowiącym przytulny kącik pułkownika Craela. A Olive Manning *zjawiała się w szlafroku, bez kiuczy i z mocno nadwyrężoną misterną fryzurą*. Jury pomyślał, że w tym stanie ta kobieta zdaje się wyglądać na osobę znacznie bardziej ludzką. No i nie zamierzała bynajmniej marnować czasu, co przyjął z ulgą.

- Fanny zawsze mówiła zbyt wiele - zabrzmiały jej pierwsze słowa.

Podobnie jak Jury, wołała rozmawiać na stojąco, żadne z nich zatem nie usiadło.

- Jak Gemmie udało się panią znaleźć, proszę pani? - zapytał Jury.

- Przez pana Juliana, oczywiście. Pan Julian był bardzo niedyskretny. Ale wszystko toczyło się po mojej myśli. To znaczy potoczyłoby się, gdyby ktoś tej kobiety nie zabił.

- Ktoś? Więc to nie pani to zrobiła?

- Oczywiście, że nie. Choć, jestem tego pewna, trudno będzie pana o tym przekonać.

- Pani powiązania z Gemmą Tempie z całą pewnością wskazywałyby na to, że to jednak pani. Ale cofnijmy się nieco. Skąd Gemma Tempie wiedziała, że odwiedzi pani siostrę?

- Bo najpierw zadzwoniła tutaj. Wood czy ktoś inny poinformował ją, że pojechałam z wizytą do Londynu. Zadzwoniła więc tam i oświadczyła, że ma mi do powiedzenia coś bardzo ważnego na temat Dillys March. Zaszokowała mnie tym ogromnie. Zaczęłam się zastanawiać, kim jest ta obca osoba, która wie coś o dziewczynie zaginionej piętnaście lat temu. Powiedziała, że mieszka w hotelu „Sawry”. Julian wyjechał tego samego ranka, o czym ja dowiedziałam się dopiero później. Kiedy ją zobaczyłam... - Olive Manning zamknęła oczy.

- Podobieństwo było wprost niesamowite. Więc oczywiście pomyślałam, że to naprawdę jest Dillys. Jednak ta kobieta miała na tyle inteligencji, żeby się orientować, że jej wiedza na temat Dillys i tego, co kiedyś działo się w Old House, na dłuższą metę nie wystarczy. Sądzę, że gdyby nie to, spróbowaliby działać na własną rękę. Ale ona wiedziała, że chcąc uchodzić za Dillys, potrzebuje trochę więcej wiadomości, trochę różnych wyjaśnień - oświadczyła Olive Manning z absolutnym spokojem, nienękana wyrzutami sumienia.

- Więc pani jej ich udzieliła - zasugerował Jury.

- Tak - potwierdziła.

- Ale jak pani mogła mieć nadzieję, że Julian Crael się na to zgodzi? Przecież on nigdy nie dopuściłby do tego, żeby ta kobieta tu zamieszkała, udając jego kuzynkę...

- Zamieszkała? Mój Boże, nie! Ja też bym do tego nie dopuściła. Ona miała po prostu zainkasować pięćdziesiąt tysięcy i podzielić się tymi pieniędzmi ze mną. Tylko tyle. Więc dlaczego Julian miałby do tego nie dopuścić? Zresztą „dopuścić” to nie jest właściwe słowo. Bo czy Julian zdołałby przekonać pana pułkownika, że Gemma to nie jest Dillys March? A Gemma potrafiłaby się dostosować. Odegrać każdą rolę. I to z przyjemnością.

- Ale dlaczego nie wybrałyście prostszej drogi? Na przykład drogi szantażu? Dlaczego nie zaszantażowałyście Juliana?

- Po pierwsze, nie sędzę, żeby Julian w ogóle chciał się wypłacić. On jest typem, który nie da się tak łatwo zastraszyć. A po drugie, nawet gdyby zechciał, nie zorganizowałby takiej sumy w tak krótkim czasie. - Uśmiechnęła się lekko.

- To jest, widzi pan, taka sprawiedliwość losu. Craelowie dopuścili do tego, że Dillys March zniszczyła mojego syna. Pomyślałam więc sobie, że zasługuję na to, żeby zobaczyć, jak „ona” pakuje Juliana w sytuację, w której on nie ma pojęcia, co zrobić.

Oto kobieta pełna czułych uczuć, pomyślał Jury.

- A jak w ogóle doszło do tego, że ona poznała Juliana?

- Przypadkiem. Na dworcu kolejowym. Chyba na Victoria Station.

- Z początku zaprzeczała pani, by było prawdopodobne, że ta kobieta to Dillys. Czy robiła to pani po to, żeby nadać większą wagę swojemu późniejszemu twierdzeniu, że to jednak może być ona?

- Właśnie tak, panie inspektorze. Pomyślałam, że muszę udawać, że nie dałam się zbyt szybko przekonać.

- Gemma Tempie nie miała żadnych dowodów.

- Ale ja miałam dostęp do pewnych dokumentów. Do kopii świadectwa urodzenia Dillys i paru innych. W wypadku gdyby rzeczywiście przyszło co do czego, mogłam je ujawnić. Ale nie zna pan pana pułkownika Craela. On i bez nich oddałby jej ten jej „spadek”. Więc te papiery były tylko w odwodzie. Żeby rzekoma Dillys mogła je przedstawić w odpowiednim momencie.

- Tylko że ten moment nigdy nie nastąpił - zauważył Jury, po czym zapanowała przydługa cisza.

W końcu kobieta westchnęła.

- No cóż, panie inspektorze - powiedziała. - Zanim pan spuści na mnie psy, chciałabym z panem dobić pewnego targu.

Nie przyszło jej nawet do głowy, że nie znajduje się w sytuacji, w której może się targować. Mogłiby najwyżej podyskutować o cenie zielonej, obitej aksamitem małej dwuosobowej kanapki, na której teraz spoczywała jej ręka. W przyćmionym świetle matowej kuli - jedynej lampy, którą zapalił Wood - błyszczał na jej palcu pierścionek z oszlifowanym w rozetę topazem.

- Jakiego targu, proszę pani? - zapytał Jury.

- Widzi pan, ja bez specjalnych nacisków przyznaję się do... oszustwa. Chyba tak by pan to nazwał, prawda? I w tej mierze nie będę panu sprawiała kłopotów. Sądzę jednak, że mam prawo spróbować oczyścić się z ewentualnego zarzutu morderstwa. A nie będę mogła tego zrobić, jeżeli pan mnie od razu stąd zabierze.

Jury uśmiechnął się nieznacznie.

- Oczyścić panią, jeżeli to jest możliwe, to nasze za danie.

Olive Manning pokręciła głową.

- Gdybyście wy się do tego zabrali, sukces nie byłby pewny. Panie inspektorze, ja chcę dostać tylko cztery albo pięć godzin. Jutro, a raczej dziś rano, jest polowanie. Gdyby dał mi pan swobodę ruchów jedynie do tego czasu...

- W ciągu czterech lub pięciu godzin mogłaby pani znaleźć się daleko stąd...

Olive Manning prychnęła.

- Och - powiedziała - proszę dać spokój, panie inspektorze. Nie ma na świecie takiego miejsca, do którego chciała bym się udać. Ja po prostu nie mam życia poza Old House. Oczywiście, oprócz mojego syna. A czy zobaczyłabym go jeszcze, gdybym dała drapaka?

Jury'emu spodobało się to określenie. Uśmiechnął się.

- A co pani zamierza zrobić? Co ja bym miał z tego, że dałbym pani tych kilka godzin?

- Sądzę, że będę w stanie wypłoszyć dla pana lisa z zarosli. Jutro, jak lubi mawiać pan pułkownik - uśmiechnęła się - wyciągniemy stary czerwony łąch.

**VI Stary**

czerwony łach

# 1

O wpół do dziewiątej Melrose Plant, bez śniadania, jedynie po ogłupiającym strzemiennym, które miało podtrzymać go na ciele i duchu, gramolił się, wstając z ziemi. Pół godziny wcześniej, kiedy to jego wierzchowcowi nie udało się pokonać jakiejś przeszkody, zaliczył poprzedni upadek. A obecny zdarzył się przy okazji przeskakiwania przez jakiś potok. I teraz Melrose, otrzepawszy ubranie, dosiadał ponownie swojego konia. W głowie miał pustkę, a ręce i stopy obolałe. Sam nie wiedział, jakie to poczucie dżentelmeńskiego obowiązku wobec gospodarza wyleczyło jego nadwyreżone kolano i wywlokło go z ciepłego łóżka bladym świtem, o szóstej, kiedy naokoło panowały chłód i ciemności. I kiedy pułkownik, sam już na nogach, uparcie powtarzał, że to świetny dzień na tropienie zwierzyny.

Melrose dosiadł wreszcie konia. Całe to tropienie nie obchodziło go w najmniejszym stopniu. Nie interesowały go także psy gończe ani lis. Był jednak bardzo ciekaw osób biorących udział w polowaniu. A obiekty jego zainteresowania uganiały się właśnie po wrzosowiskach w swoich szkarłatnych strojach myśliwskich albo w tweedach. Ludzie ci galopowali na swych wierzchowcach, zapomniawszy o bożym świecie - tak jakby nie istniały na nim żadne zmartwienia, a już tym bardziej morderstwa.

Melrose rozejrzał się dookoła. I zobaczył szkarłatne stroje, kurtki z gładkiej wełny, meloniki, aksamitne nakrycia głowy kobiet, halsztuki, buty z cholewami, dżinsy i swetry. Zobaczył barwną mieszaninę ludzi, którzy w całej tej wilgoci, mgłę i śniegu najwyraźniej doskonale się bawili. Była też grupa wytrzymałych pieszych, którzy niczym publiczność obserwująca mecz krykieta stali na szczycie wzgórza w oddali. Bóg jeden wie, gdzie jest Tom Evelyn, pomyślał Melrose. Nie widział go bowiem od chwili, gdy podjechali niespiesznie do zagajnika, który Tom przeczesywał pół godziny wcześniej.

Starając się przeniknąć wzrokiem mgłę, Melrose odniósł wrażenie, że dostrzegł pułkownika. A ponieważ Toma Evelyną nigdzie nie było, doszedł do wniosku, że połowa sfory musiała pójść bokiem za innym lisem, bo pułkownik Crael uniósł kapelusz, dając tym sygnał do pogoni.

Siwek, którego Melrose dosiadał, w odróżnieniu od niego samego, był tym wszystkim zachwycony, a kiedy psy zaczęły dawać głos, ponownie ruszył galopem. Dzięki Bogu, działo się to na otwartym terenie, płotów stało tutaj niewiele, nie było też żadnych drutów. Melrose pochylił głowę, gdy siwek przesadzał coś, co wyglądało na podwójny rów. Teraz psy znajdowały się już daleko we mgłę i kierowały się w swej pogoni raczej słuchem niż wzrokiem.

Siwek przesadził kolejny rów, a Melrose spodziewał się, że lodowata ziemia w każdej chwili może wyskoczyć na spotkanie z jego twarzą. Poprzez tętent końskich kopyt do jego uszu dobiegało odległe ujadanie. Gdy mgła się na chwilę rozproszyła, zobaczył grupkę jeźdźców, którzy zatrzymali się przy kamiennym murze. Domyślił się, że pułkownik dopiął swego, i naprawdę się z tego ucieszył. Teraz, pomyślał, będziemy mogli wrócić do domu, zjeść coś i zacząć się zachowywać jak kulturalni ludzie. Wstrzymał galopującego konia, który zaczął iść klusem. I po chwili zsiadł z niego w miejscu,



gdzie z dziesięcioro czy dwadzieścioro innych jeźdźców czyniło to samo.

Mur, który był przed nimi i który, zdaniem Melrose'a, stanowił jakąś bezsensowną granicę nie wiadomo czego, zdawał się wystrzelać w powietrze z mgły. Psy ujadły, co nie oznaczało, że znalazły zwierzynę. Potrafił to stwierdzić nawet on swoim niewprawnym uchem. Pułkownik Crael chyba je odganiał, a drugi pomocnik łowczego był niezmiernie błądy.

Boże miłosierny! - pomyślał Melrose, kiedy ją w końcu zobaczył.

Olive Manning, niczym ogromna szmaciana lalka, leżała na murze z twarzą skierowaną ku dołowi. Jej nogi zwisały po jednej stronie, a ręce po drugiej. Krew była wszędzie - spływała po kamieniach, splamiła śnieg, bryczesy, czarną myśliwską kurtkę Olive, jej długie buty. Wyglądało to tak, jakby kobieta przed zgonem próbowała podźwignąć się z za dających jej śmierć kamieni. Przed tym murem cofnąłby się każdy koń, każdy poszukałby bramki albo jakiegoś innego przejścia. Skok wykluczała nie tyle wysokość muru, ile fakt, że był on najeżony ostrymi niczym nóż kawałkami wapienia. Upadek na nie równał się zatem upadkowi na pionowe szpi kulce.

- Sprowadźcie Jury'ego - polecił Melrose, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

## 2

- To ja ją znalazłem, panie inspektorze. To znaczy, znaleźli śmy ją razem z Jimmym.

Pułkownik Crael stał oparty o mur. Wyglądał na człowieka, który samodzielnie nie może utrzymać się na nogach.

W czasie, który upłynął od odjazdu drugiego pomocnika łowczego, udającego się do Cold Asby, żeby zatelefonować

do pubu „Pod Lisem”, do pojawienia się Jury'ego, Melrose Plant postara! się odgrodzić łąkę, a Tom Evelyn zebrał wszystkie psy. Obaj spisali się bardzo dobrze.

Na wrzosowisku znajdowali się teraz tylko Jury, Wiggins, pułkownik Crael oraz ciało Olive Manning.

Jury, oglądając ciało, przeklinał w duchu sam siebie. Kłął też przez cały czas oczekiwania na Harkinsa i funkcjonariusza kierującego oględzinami miejsca zbrodni. Gdyby nie dał Olive Manning tych kilku godzin wolności, tak jak go o to prosiła, to nie zdarzyłyby się ta straszna rzecz.

- O której dziś rano widział ją pan po raz ostatni?

- Nie przypominam sobie, panie inspektorze, żebym ją w ogóle widział. W polowaniu brało udział chyba z pięćdziesiąt osób. A ja nie starałem się znaleźć wśród tych ludzi właśnie jej.

- Jak to się stało, że podjechała tutaj sama? Wyprzedziła całą resztę?

- Naprawdę nie wiem. Może gonila tego pierwszego lisa. Tego, za którym pojechał Tom.

- Proszę mi opowiedzieć wszystko, co pan wie.

- Galopowaliśmy z ogromną prędkością. Psy przez jakieś pół godziny szły całkiem bez kontroli. No cóż, dziś jest dobry dzień na tropienie, więc parły do przodu prosto na Dane Hole. Potem sfora się rozdzieliła. To było o jakieś pół mili stąd, koło Kier Howe, po drugiej stronie Cold Asby. Ja zauważyłem tego drugiego lisa koło Badsby Hole. Wtedy drugi pomocnik łowczego, to znaczy Jimmy, dał znak i ruszyliśmy. Kiedy zbliżaliśmy się do tego cholernego muru, pomyślałem: Dlaczego ludzie tak nagle zwalniają? Przyszło mi do głowy, że może ktoś wkroczył na tereny łowieckie i coś przysłoniło ślady tropionej zwierzyny, że może przeszły tamtędy owce. Owce są czasem gorsze niż krowy, potrafią kompletnie zatrzeć ślad, jakby za pociągnięciem gąbki.

- Tak, tak. Proszę mówić dalej - przerwał Jury.

- Potem psy poszły wzdłuż muru. Myślałem, że szukają przerwy... jest w nim taka przerwa trochę dalej... a potem... no cóż... Jimmy zrównał się ze mną, w chwili gdy zaczęły ujadać. Obaj równocześnie zbliżyliśmy się... do Olive. A parę minut później Evelyn zjechał z tamtego wzgórza. Jego psy też ujadały. - Pułkownik wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. - To wszystko. Evelyn opanował psy i je stąd odprowadził.

Jury odwrócił wzrok od zwłok Olive Manning.

- Sierżancie Wiggins - powiedział - proszę wziąć dzipa i wrócić z panem pułkownikiem do dworu. I proszę dopilnować, żeby nikt się nie oddalił.

- To będzie dla tych ludzi prawdziwy kłopot, panie inspektorze - odezwał się pułkownik Crael. - Niektórzy muszą jechać aż do Pitlochary, a ja jestem pewien...

- Do diabła! Panie pułkowniku, mnie w najmniejszym stopniu nie interesuje, kto gdzie musi jechać!

### 3

Ooktor Dudley wytarł ręce i pokręcił głową.

- Inteligentne przypuszczenie. Ale nie mogło tak być.

- Tak myślałem - powiedział Jury, obserwując, jak ludzie Harkinsa węższą niczym psy myśliwskie wzdłuż kamiennego muru.

Przeczesywali wszystko - ziemię, wszelkie szczeliny i pęknięcia, śnieg- w poszukiwaniu dowodów.

Harkins stał obok w swoim eleganckim kozuchu i palił.

- „Inteligentne” to bardzo dobre określenie. - Przesunął dłonią w rękawiczce po kamieniach. - Nie chciałbym na to upaść. Oj, nie.

Lekarz pakował swoje rzeczy do torby.

- Proszę bardzo, niech pan upada. Upadnie pan i nie straci pan życia, tylko trochę się poturbuje. - Zatrzasnął torbę

i wstał. - Te kamienie mogą pokaleczyć, ale nie przebiją ciała jak noże. Jej rany nie pochodzą od kamieni, to wszystko.

- Aż się boję zapytać, od czego zatem pochodzą - zagadnął Jury, patrząc na Dudleya.

- Od tego samego narzędzia, którym zabito tę Tempie. Tak bym to ujął.

- A ponieważ wciąż nie wiemy, co to było...

Harkins podszedł do miejsca, w którym znaleziono konia Olive Manning. Koń stał sobie po prostu i sprawiał wrażenie, że czeka, aż ona ponownie go dosiądzie. Ciało na polecenie Jury'ego zostało już zdjęte z muru i teraz niesiono je w plastikowym worku do oczekującej furgonetki, na której dachu wśród tej upiornej pogody migało czerwone światło. Ludzie z Pitlochary nie bez trudności dojechali na to okropne miejsce zbrodni starą polną drogą, która wijąc się, biegła od szosy łączącej Pitlochary z Whitby przez wrzosowisko Howl Moor.

- Więc ktoś ją pchnął tym narzędziem, a potem cisnął na mur, chcąc stworzyć pozory, że to koń ją zrzucił. A następnie ów ktoś oddalił się z tego miejsca. No cóż, sprytnie. Bardzo sprytnie. Ale nie do końca. Bo koń stał przecież po niewłaściwej stronie muru.

Harkins uciął koniec swego ręcznie wyrabianego cygara.

Jury spojrział na niego. Pożałował, że Harkins jest aż takim służbistą. Bo był przecież doskonałym gliną.

- To musiało się zdarzyć jakieś cztery albo pięć godzin temu - odezwał się teraz lekarz. - Upewnię się co do tego, kiedy ją obejrzę w kostnicy.

- A zatem tuż przed polowaniem. Bo ono, jak rozumiem, zaczęło się około siódmej, może w pół do ósmej.

- Piekielna godzina - powiedział Harkins, rozglądając się po ponurym wrzosowisku. -1 piekielne miejsce.

- Tak. To prawda - przyznał Jury. - Sądzę jednak, że wiemy, dlaczego zostały wybrane.

Jury zmuszony był przebyć istną rzekę psów - brązowych, merdających ogonami i zaganianych właśnie przez dwóch psiarzyków do oczekującej furgonetki. Podjechał do niego Tom Evelyn na lśniącym gniadoszu. Jak to jest, pomyślał Jury, że niektórzy ludzie tak bardzo pasują do tego, co robią? Tom Evelyn bowiem, w swoim szkarłatnym kubraku, w długich skórzanych butach i na koniu, wyglądał jak ktoś, kto naprawdę znajduje się na właściwym miejscu.

- Chciałbym, Tom, żeby pan się przez jakiś czas stąd nie oddalał.

Evelyn, nic nie mówiąc, dotknął palcami czapki.

Wokół Old House znajdowało się mnóstwo konnych powozów, przyczep turystycznych, furgonetek, ciężarówek, samochodów osobowych, landrowerów. Jury przeszedł przez dziedziniec, minął parujące konie, a także kobiety i mężczyzn w lepszych czy gorszych humorach, zależnych od tego, jakie było strzemienne, które wychylili. Znalazłszy się tuż przy schodach, usłyszał za plecami kobiecy głos:

- Panie inspektorze. Coś panu przyniosłam.

Lily Siddons, dosiadająca swojej kasztanki o imieniu Red Run, wyglądała wprost olśniewająco. Nie przypominała dziewczyny w fartuchu, z którą Jury rozmawiał w kuchni „Bridge Walk Cafe”. Nie miała na sobie ani czarnego myśliwskiego kubraka, ani tweedów, jak inne kobiety. Była ubrana w aksamitny zielony żakiet. A Jury'emu trudno przychodziło uwierzyć, że to ta sama dziewczyna. Jej bursztynowe oczy błyszczały nawet w bladym świetle pochmurnego dnia, jej czapka wisiała zaczepiona o uzdę, a złociste włosy rozwiewał lekki wiatr. Nie była już „córką kucharki”. Znajdowała się w swoim żywiole. Była elegancka, spokojna, pewna siebie.

I wyglądała w każdym calu na członkinię rodziny Craelów.

Jury wyciągnął rękę po srebrny pucharek, który mu podawała.

- Co to jest? - zapytał i spróbował się uśmiechnąć, co przyszło mu jednak z trudem.

- Strzemienne. Coś, co pana rozgrzeje. - Oczy jej pociemniały tak jak wtedy, gdy czuła się zdenerwowana i znękana. - Co za okropność. Powiem prawdę. Nie lubiłam Olive Manning i nie ma sensu...

Nie dokończyła. Wzruszyła lekko ramionami i odjechała przez podwórze, a kopyta jej konia zatętniły na kamieniach. Jury nie wypił strzemiennego. Trzymając puchar w dłoni, stał jak porażony. Patrzył na Lily, która zsiadała z konia koło stajni, i zastanawiał się, jak dotychczas mógł być aż tak ślepy.

Obserwował ją uważnie, a tymczasem mgła zaczęła się podnosić, rozpraszać, cofać między drzewa. Słońca nie było widać, ale zrobiło się jasno. Niebo przybrało kolor mleka, ranek świecił niczym stara cyna. A fragmenty życia Lily Siddons zebrały się niby szkiełka w kalejdoskopie, by utworzyć wzór.

Złote Bliźnięta - Julian i jego brat Rolfe. Mary Siddons zwolniona przez lady Margaret z pracy w trybie natychmiastowym. Rolfe, bawidamek (jednak rzadko tylko zabawiający te damy, które należało), pomknął do Włoch. I samobójstwo Mary Siddons.

Złote Bliźnięta. I te jej niesamowite włosy, które zauważył pierwszego wieczoru, gdy stała tyłem do światła. Włosy lady Margaret, przekazane w genach Lily Siddons. Wnucze pułkownika Craela.

## 4

Jan Harkins rozpiął elegancki zamszowy kożuch, pod którym miał szaroniebieski garnitur. Usiadł wygodnie, zakładając

nogę na nogę i pokazując kostkę obciążoną jedwabną skarpetką. Wszystko to robił bardzo powoli, zmuszając obecnych, żeby czekali.

Wszyscy czterej - Jury, Harkins, pułkownik Crael i Wiggins - znajdowali się w gabinecie pułkownika. Jury zdążył poinformować Harkinsa o tym, czego dowiedział się w Londynie, a Harkins z niezadowoleniem przyjął fakt, że wszystkich tych odkryć nie dokonał on sam i jego ludzie. Pokonawszy Harkinsa na polu londyńskim, Jury pozwolił mu teraz zacząć przesłuchanie.

Harkins nie przyjął cygara, którym poczęstował go pułkownik. Wybrał swoje własne, znacznie lepsze, i obrał je z celofanu. A potem zapalił srebrną zapalniczką i powoli zaciągnął się dymem. Jury pozwolił mu na to wszystko. Niech się przygotowuje do swojej roboty, pomyślał. A robota była dla niego trudna, bo Harkins z pewnością nie lubił deptać po odciśniętych ludziom wysoko postawionym i uprzywilejowanym, do których przecież należał pułkownik Crael. Bez wątplenia jednak nie chciał także w oczach Jury'ego uchodzić za pochlebę w stosunku do sir Titusa. Był typem człowieka, który postawiony przed takim dylematem, przechowywał w drugą stronę i zaczynał się zachowywać wręcz obraźliwie. Obecna sprawa była dla niego poważnym przełomem. A Jury, który widział to wyraźnie, wolałby, żeby Harkins nie przeżywał takich rozterek, bo był przecież dobrym, bystrym i przenikliwym policjantem.

Obserwując Harkinsa, który siedział i patrzył na pułkownika, Jury czuł, że jest on teraz prawdziwy, autentyczny.

- Czy pan się nie dziwi, sir Titusie - zaczął Harkins - że pani Manning, kobieta, która tak świetnie jeździła konno, usiłowała pokonać ten mur?

Zdawało się, że jest to pytanie obliczone na zdezorientowanie pułkownika.

- Co takiego? - zapytał pułkownik.

- Dlaczego Olive Manning próbowała przeskoczyć ten mur?

Jury uśmiechnął się nieznacznie. Harkins był najwyraźniej ze śmiercią na ty, choć w stosunku do niego samego zachowywał dystans.

- Nie wiem - odparł pułkownik.

- A pan podjąłby taką próbę? - zapytał Harkins, unosząc lekko jedną brew.

-Nie.

-Aczy ktokolwiek byjąpodjął?

Pułkownik Crael zmarszczył brwi.

- Nie znałem dotąd nikogo, kto by to uczynił. Nie.

- Nie uczyniła też tego... - Harkins małym palcem strącił popiół ze swojego cygara - ...i ona.

Pułkownik spojrział na niego zaskoczony.

- Ależ panie pułkowniku. Musiał pan przecież się domyślić, że tak nie było. Olive Manning nie upadła na te kamienie. Została tam położona.

- Położona...? - zaczął pułkownik.

- Gdzie dzisiaj rano był pański syn? - wpadł mu w słowo Harkins.

Pytanie okazało się dla pułkownika niczym uderzenie pięścią w twarz.

- No cóż - odrzekł - sędzę, że Julian leżał w łóżku. Albo wyszedł na spacer. Czasami wychodzi wczesnym rankiem...

- A może spacerował po Howl Moor? - Harkins zaszeleścił celofanową koszulką swego cygara. Ten odgłos był drażniący, pasował do jego tonu.

Pułkownik zaczerwienił się i już miał zaprotestować, jednak Harkins nie dał mu szansy.

- W tych okolicznościach, sir, czy nie podejrzewał pan przypadkiem, że pańska gospodyni została zamordowana?

- Co pan ma na myśli? W jakich okolicznościach?

Harkins prychnął, zniecierpliwiony taką ślepotą.



- Ano w takich, że na tej Tempie także popełniono mordstwo. Mówi pan, że ruszył pan w pogoń za drugim lisem, tak?

Pułkownik kiwnął głową.

- Zna się pan, oczywiście, na myśliwskiej etykiecie znacz nie lepiej ode mnie. Ale mnie wydaje się to jej naruszeniem.

Pułkownik i tym razem był zaskoczony.

- Mam na myśli fakt, że pański psiarczyk szedł za pierwszym lisem. Więc nie jest normalne, że pan ruszył za drugim. Nie jest to... - Harkins uśmiechnął się niczym ktoś, kto okazuje kartę wstępu - ...grzeczne. Nikt nie wie tego lepiej od pana.  
- Harkins strzepnął pyłek z jedwabnej skarpetki. - A drugi lis zaprowadził pana prosto do tamtego miejsca.

Pułkownik poczerwieniał, zerwał się z krzesła, usiadł ponownie i powiedział:

- Czy pan, panie inspektorze, sugeruje, że ja wiedziałem, że Olive Manning będzie leżała martwa na tym murze?

- Przemknęło mi to przez myśl.

Wśród ciszy, która teraz zapadła, Wiggins zabrał się do otwierania kolejnego pudełeczka pastylek na kaszel, spojrzał na Harkinsa, odłożył pudełeczko i zadowolił się resztką pastylki, którą miał już w ustach.

- Panie pułkowniku - przerwał milczenie Jury, zaskarbując tym sobie wściekłe spojrzenie Harkinsa - wiemy już, że Gemma Tempie nie była pańską wychowanicą Dillys. Wszystko, co opowiadała, okazało się oszustwem. Przyjechała tu z zamiarem zagarnięcia spadku.

Harkins spiorunował Jury'ego wzrokiem. Był wściekły na niego za to, że zdradził te informacje. Jury właściwie mu się nie dziwił. Czuł jednak, że pułkownik musi o tym wiedzieć.

Pułkownik zamrugał powoli oczyma.

- No dobrze - powiedział. - Nie rozumiem jednak, skąd mogła tyle wiedzieć o Dillys. No i o nas wszystkich.

- Podpowiedziano jej to - poinformował go, aczkolwiek niechętnie, Jury. - A osobą, która to zrobiła, była Olive Manning.

Twarz pułkownika pobladła. -

Olive? Olive?

- Obawiam się, że tak. Olive Manning nigdy nie mogła pogodzić się z tym, że Dillys doprowadziła jej syna do choroby psychicznej. Bo tak przecież uważała. Była to zemsta z jej strony. Kierowała się także chciwością. Dlatego była osobą niebezpieczną... dla kogoś...

- Wiedziała, kto zabił Gemmę Tempie - odezwał się nagle Harkins, niczym *deus ex machina*, spuszczone niespodziewanie na scenę w celu uporządkowania całego bałaganu, wytworzonego przez osoby dramatu.

- Być może - powiedział Jury. - A być może wiedziała o czymś innym...

Miał na myśli zamachy na życie Lily Siddons. Nie chciał jednak w tej chwili mówić o Lily i jej domniemanych związkach z rodziną Craelów. Dlatego przerwał.

- Ta podróż do Włoch, którą zamierzała odbyć pańska żona z synem... - powiedział. - Czy to była nagła decyzja?

- Panie inspektorze, to było tak dawno...

- Czy lady Margaret chciała odizolować od kogoś Rolfe'a? Może od jakiejś kobiety?

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

Harkins też nie rozumiał i był bardzo niezadowolony z kierunku, jaki przybrało przesłuchanie.

- Mam na myśli Mary Siddons.

Zaskoczenie pułkownika było bezgraniczne. I naprawdę szczerze. Jury, widząc je, nabrał pewności, że jeżeli między Rolfe'em a Mary Siddons coś było, to ojciec Rolfe'a nie zdawał sobie z tego sprawy. Równocześnie jednak założyłby się bez wahania, że lady Margaret była tego świadoma.

- Mary Siddons była ładną dziewczyną. Naprawdę śliczną.

Pułkownik milczał.

- Więc czy nie jest możliwe, że doszło do romansu?

Zmieniony wyraz twarzy starego człowieka wskazywał na to, że nie tylko możliwe, ale bardzo prawdopodobne.

- Boże miłosierny! - Pułkownik odetchnął głęboko. - Margaret próbowała wyrzucić dziewczynę z pracy. Tuż przed tym wyjazdem do Włoch. Zawsze zastanawiałem się dlaczego. I nigdy nie wierzyłem, że Mary coś wzięła. Nie chciałem, żeby odeszła. I wygrałem spór o to, ale...

Przegrał z pewnością na innych polach, pomyślał Jury.

- Nie miał pan pojęcia o tym związku?

- Sądzę, panie inspektorze, że dobrze by było zająć się aktualnymi sprawami.

Harkins zdradzał oznaki poważnej frustracji.

- To jest aktualna sprawa - podkreślił Jury. - W sposób pośredni, ale jednak aktualna. Czy Olive Manning mogła wiedzieć o romansie pańskiego syna Rolfe'a z Mary Siddons, panie pułkowniku?

- Olive? No cóż, to możliwe. Była bardzo blisko z Margaret.

- Ile lat miała wtedy Lily?

Jury zapytał o to tonem jak najobojętniejszym.

- Och, nie wiem. Musiała mieć z dziesięć albo jedenaście.

Mary Siddons - przekupiona albo ze strachu - milczała więc przez tak długie lata. Znalezione dla niej męża, a Rolfe był zbyt słaby czy zbyt obojętny, żeby przeciwstawić się matce. Wszystko wskazywało jednak na to, że Mary ponownie, już po raz ostatni, próbowała go ze sobą związać. I że nie udało jej się to. Bo Rolfe znalazł oparcie w matce. Jury nie wiedział, czy to obecność lana Harkinsa, czy po prostu intuicja

powstrzymała go od zrelacjonowania tego wszystkiego. Faktem jednak było, że nic nie powiedział.

- Co teraz będzie? - zapytał pułkownik.

- Będzie kolejne dochodzenie. Pański syn nie poluje, prawda?

Sposób, w jaki Harkins wyrzucił z siebie to zdanie, zdziwił nawet Jury'ego. A pułkownik, słysząc znowu pytanie o Juliana, pobladał jeszcze bardziej.

-Nie.

- Gdzie zatem był dziś rano?

- Nie potrafię powiedzieć. Pytał mnie pan już o to, panie inspektorze - przypomniał pułkownik tonem człowieka zmęczonego.

- I nie ma zwyczaju obserwować polowania, idąc za nim pieszo?

- Nie. Julian nie lubi polowań - odrzekł pułkownik zgębiony.

- Ale lubi długie spacery. I sądzę, że bardzo dobrze zna Howl Moor.

- Nie podobami się to, co pan sugeruje, zadając te pytania, panie inspektorze - odrzekł opryskliwie pułkownik Crael.

Jury był już tym zastraszaniem zmęczony.

- A ja sądzę - powiedział - że każdy mógł się w tym miejscu umówić z Olive Manning. Każdy, kto poruszał się pieszo albo brał udział w polowaniu. Więc skłonność do spacerów po wrzosowiskach nie jest specjalnym dowodem winy.

Po tych słowach zarówno pułkownik, jak i Harkins obdarzyli go - całkiem różnymi - spojrzeniami.

- Jednak - odezwał się po chwili zastanowienia pułkownik - czy mordercy nie byłoby bardzo trudno natknąć się na Olive tam, na Howl Moor, przy tym murze?

- Najwyraźniej było to bardzo łatwe - warknął Harkins.

- Najlepszy dowód, że pan się na nią natknął.

- Sądzę, że ten stary wściekł się nie na żarty - powiedział Harkins do Jury'ego.

Stali teraz obaj w długim krużganku. Z jadalni wyszła jakaś kobieta. Wyglądała na bardzo zdenerwowaną. Za drzwiami ludzie Harkinsa przesłuchiwali uczestników polowania.

- Tak, chyba ma pan rację. Wściekł się. Zresztą ja też byłem wściekły.

Harkins uśmiechnął się ponuro.

- Czy to ma być komplement? Czy może nie podobają się panu moje metody? - Zapalił kolejne cygaro. - No cóż, teraz naprawdę chciałbym dostać w swoje ręce Juliana Craela. I śmiem wątpić, by tym razem miał alibi.

- A ja sądzę, że sam przesłucham Juliana Craela.

- Wolałbym przy tym być.

- A może pan porozmawiałby z nim później? Proszę mi dać tylko kilka minut...

- Proszę posłuchać, Jury. To jest moje podwórko. W końcu...

- Pańskie podwórko! - Jury zapomniał, że ślubował sobie, że nigdy nie będzie beształ prowincjonalnych policjantów. - Dzwonicie do Londynu. Proście o pomoc. Dostajecie mnie. I musicie się, do cholery, pogodzić z tym, że tak długo jak tutaj jestem, to jest moje podwórko. I ja decyduję, jak ma być prowadzone śledztwo.

- Proszę się uspokoić, panie inspektorze - odrzekł gładko Harkins z irytującym uśmiechem wyższości.

Musnął przy tym swoje błyszczące wąsy dłonią w skórzanej rękawiczce, tak jakby chciał z nich ten uśmiezek zetrzeć.

- Zobaczymy się później.

Harkins odwrócił się na pięcie i oddalił.

## 5

Znajdowali się w Bracewood Room. Julian siedział na kanapie naprzeciwko Jury'ego. Pochylony do przodu, ze splecionymi mocno dłońmi, wbił wzrok w podłogę. Jury miał przed sobą jego jasną czuprynę i pomyślał, że ten człowiek robi wrażenie podatnego na cios.

- Papierosa?

Julian pokręcił głową. Wstał.

- Ale napiłbym się czegoś. A pan? Chce pan drinka?

- Dlaczego nie? Ale niewielkiego, proszę.

Biorąc pod uwagę samotność, w jakiej Julian musiał żyć przez wszystkie te lata, a także cierpienie, jakiego miał wkrótce doznać, Jury po prostu nie mógł skazać go na samotne picie.

Julian nalał whisky do dwóch szklanek i dodał wody sodowej.

- Przykro mi z powodu Olive. Znałem ją przez prawie całe swoje życie. - Stał koło kominka. - Choć pan pewnie nie uwierzy, że mi przykro.

- Dlaczego miałbym nie uwierzyć?

- Bo mam nieodparte wrażenie, że pomimo mojego alibi pan wciąż myśli, że to ja zabiłem tę Tempie.

Oparł ramię o gzyms kominka. I stojąc tak, w swoim ciemnym blezerze, przyjął pozę podobną do pozy matki na portrecie. Wyglądał bardzo młodo, choć nie był przecież znacznie młodszy od Jury'ego. Robił wrażenie człowieka, którego czas się nie imał.

- Gdzie pan był dziś rano? - zapytał Jury, nie komentując jego ostatniej uwagi.

- Na przejażdżce. Wróciłem kolo dziewiątej. I nie, nie jeździłem po Howl Moor. Tamten mur jest dość daleko od mojej porannej trasy.

- Był pan na tej przejażdżce sam?

Julian spiorunował Jury'ego wzrokiem.

- Nie - powiedział - mój koń dotrzymywał mi towarzystwa.

- Widział pan dziś rano Olive Manning? -

Nie.

- Chciałem pana zapytać o Dillys March.

- Po raz setny. Gemma Tempie to nie była Dillys March.

- Wiem. - Jury upił łyk whisky i poczuł, że alkohol pali go w język. - Została tu sprowadzona przez Olive Manning, miała udawać Dillys.

Julian wyglądał na równie zaskoczonego tą informacją jak poprzednio pułkownik. Był tak zdumiony, że musiał się wycofać ze swego posterunku przy kominku i usiąść.

- Oli ve? Zrobiła to Olive? Boże drogi, ale po co...?

- Prawdopodobnie by uzyskać pieniądze i się zemścić.

Była przekonana, że pańska rodzina jest odpowiedzialna za to, co stało się z jej synem Leem.

- Trudno mi uwierzyć, że oszukała mego ojca w taki sposób. Jak pan się tego dowiedział?

- Poszedłem do hotelu „Sawry”.

Julian pobladł jak ściana.

- Być może mimo wszystko to panna Tempie zostawiła tamte zapalki. Celowo.

Nastąpiła długa cisza, zakłócana tylko trzaskaniem ognia na kominku.

- Więc pan o tym wie - powiedział Julian.

Jury wyjął z kieszeni zdjęcie znalezione przez Melrose'a i położył je na małym stoliku, blisko fotela Juliana. Julian popatrzył na nie.

- Co za idiota ze mnie - mruknął i ruchem człowieka zmęczonego położył głowę na oparciu fotela. - Głupio zrobiłem, przechowując te zdjęcia. Nie zadam sobie trudu, żeby zapytać, jak ta fotografia dostała się w pańskie ręce. To pytanie

O charakterze akademickim. Sądzę, że w pana oczach wyjaśnienia to wszystko.

- Nie, wcale nie wszystko. Czy poznał ją pan w Londynie?

- Na Victoria Station. Miałem jechać do... To było w zeszłym roku. Wszedłem do kawiarni na kawę. A tam siedziała ona. Jadła bułkę maślaną i piła herbatę. Nie mogłem w to uwierzyć. Nie mogłem uwierzyć, że widzę dziewczynę, która tak bardzo przypomina Dillys. Istnieje, oczywiście, coś takiego jak niszczące działanie czasu. Ale ona nie była zniszczona.

- Julian Crael uśmiechnął się dziwnie. - Nie mam zwyczaju zaczepiać kobiet, ale zebrałem się na odwagę i podszedłem do niej. Potoczyła się pusta rozmowa o pociągach i pogodzie.

I ta kobieta okazała się bardzo miła.

- prostytutki są z tego znane.

Julian oblał się rumieńcem.

- Ale ona nie była prostytutką - zaprotestował. - To znaczy, nie była nią tak naprawdę.

Jury uśmiechnął się.

- Tylko okazała się taka więcej przystępna?

- Och, niech pan to nazywa, jak pan chce. Była aktorką bez pracy. I chyba to udowodniła, prawda? Świadczy o tym stan naszych umysłów.

- No tak. Zatem znał pan Gemmę Tempie od jakiegoś roku. I wszystkie te wycieczki do Londynu...

- Był to, oczywiście, głupi, niebezpieczny romans. Ale nie mogłem się powstrzymać. Ciekawe, ilu mężczyzn tak twierdzi. Zdawało mi się, że...no jakbym coś odzyskał. Po śmierci matki i Rolfe'a, i potem, jakodeszła Dillys, czułem się jakiś okradziony. Byłem nie tylko beznadziejnie smutny, ale odnosiłem wrażenie, że mnie ograbiono, pogwałcono moje prawa. Czułem się tak, jakby ktoś dokonał napadu na ten dom i wszystko zrabował. Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale kiedy ją zobaczyłem, pomyślałem... że wszystko wróciło na swoje miejsce.



Zamilkł.

Tak naprawdę to Julian, a nie jego ojciec, żył uwięziony w przeszłości, pomyślał Jury. I tkwił w niej niczym w pułapce.

- Musiał pan żywić dla Dillys głębokie uczucie. No bo skoro sądził pan, że ona zmartwychwstanie w osobie Gemmy Tempie...

Julian posłał Jury'emu pośpieszne spojrzenie.

- Sądzi pan, że to była taka *idée fixe* Rodzaj szaleństwa?

- Odwrócił się, żeby spojrzeć na portret lady Margaret.

- Byłem jej ulubionym zwierzątkiem, takim żywym dziełem sztuki. Popisywała się mną niczym klejnotem o doskonałym szlifie. Byłem piękny. - W jego tonie zabrzmiała raczej pogarda i gorycz niż próżność i duma. - Tak, stanowiłem przedmiot, który się rozpieszczało, polerowało, a potem odkładało do wyłożonego bibułą pudełka. Byłem Inianowłosa, szafirowooką lalką. Wątpię, czy ona, w chwilach, gdy się mną nie popisywała, zdawała sobie w ogóle sprawę z tego, że istnieje. Było to tak, jakbym zniknął, w chwili gdy w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby mnie widzieć. Ale ja ją uwielbiałem, wprost czciłem. Nieraz nocą leżałem bezsennie i czekałem, aż wróci z przyjęcia. Podkradałem się do okna, żeby zobaczyć, jak zajeżdża samochód. Kiedy było na to zbyt ciemno, nasłuchiwałem. Nosila suknie, które szeleściły. To dziwne, ale suknie innych kobiet po prostu na nich wisiały, nie wydając dźwięku. A jej szeleściły. Zawsze poznawałem ją po tym szeleście. - Julian oparł głowę i zamknął oczy. - Dlaczego musiała stracić życie razem z Rolfe'em? Przecież to ja powinienem był zginąć wraz z nią.

- Ale wróćmy do Dillys March. Mówiliśmy o niej. Czy ona naprawdę tak bardzo przypominała pańską matkę?

- Z wyglądu nie. Ale pod innymi względami bardzo. No i była pupilką mojej matki, niemal jej *alterego*.

- Pańskie wcześniejsze twierdzenie... że nie lubił pan Dillys... nie było tak do końca prawdziwe...

Julian odwrócił głowę i uśmiechnął się nieznacznie.

- Ale też nie było tak do końca kłamstwem. - W blasku ognia oczy Juliana jakoś dziwnie się zaszklily. - Dillys była fascynującą dziewczyną. Ale bynajmniej nie grzeczną i miłą. W dniu dzisiejszym znajdowałaby się w swoim żywiole. Podobałoby jej się polowanie. A także krwawy koniec tego wszystkiego. Śmierć ją fascynowała. Sądzę, że Dillys była typem osoby zdolnej do udziału w zbiorowym samobójstwie. W wieku lat szesnastu, a nawet czternastu, miewała mężczyzn, i to wielu.

- Powiedział pan Gemmie Tempie bardzo dużo o sobie, prawda?

- Tak. Bardzo dużo.

- Opowiedział jej pan nawet o Olive Manning i jej synu.

- Tak, w pewnym momencie była o tym mowa. Cóż, historia mojego życia. Nieczęsto ją opowiadam.

- A co z małżeństwem, panie Crael?

- Jest wykluczone - powiedział krótko, biorąc papierosa z pudełka i trzaskając wieczkiem.

- Ale Gemma Tempie mogła o tym nie wiedzieć. Musiała sądzić, że usidliła grubą rybę.

- Przypuszczam, że potrafię nadażyć za pańskim tokiem myślenia, panie inspektorze. Otóż Gemma Tempie, wiedząc to, co wiedziała ode mnie, i znając wszystkie szczegóły, które przedstawiła jej Olive Manning... zjawiła się tutaj z zamiarem podawania się za Dillys. A ja z wściekłości, z zemsty, czy może kierując się jeszcze innym motywem, zabiłem ją. Proste, prawda?

- Nie, proszę pana. Nie aż takie proste. Jest przecież także śmierć Olive Manning. Po co miałby ją pan zabijać, skoro była drugą w kolejności podejrzaną o dokonanie morderstwa na Gemmie Tempie? No bo może tę śmierć należało pojmować jako wynik kłótni współniczek?

- Na miłość boską, panie inspektorze, czy pan mimo wszystko zamierza uchronić mnie przed ławą oskarżonych?

- Proszę nie próbować zwracać się do mnie tym tonem. Proszę nie udawać, że akurat to jest panu obojętne. Bo przecież i tak odnosi się pan z obojętnością wobec tak wielu rzeczy, że może to być dla pana niezdrowe. Proszę mi powiedzieć, co zaszło, kiedy ta Tempie zjawiała się tutaj.

- Zorientowałem się, że jest, w chwili gdy wszedłem do tego pokoju. Byli tu wszyscy troje: mój ojciec, Gemma i Olive Manning. A Wood nalał właśnie sherry. Otworzyłem drzwi i uświadomiłem sobie natychmiast, że patrzę jej w oczy. - Julian spojrział na Jury'ego. - Tak, ta kobieta, którą zostawiłem całą we łzach, awanturującą się z tego powodu, że nie chcę się z nią ożenić, znajdowała się przede mną. I uśmiechała się - powiedział Julian, sugerując, że jej uśmiech zawierał w sobie całą złośliwość świata. - Sądzę, że każde słowo wypowiedziane przez nią tego popołudnia zostało w moim umyśle wypalone kwasem. „Cześć, Julianie” - powiedziała. I wyciągnęła do mnie ręce. „Co ty tu robisz, u diabła?” - odrzekłem. „Nie dziwię się, że doznałeś szoku - odezwał się mój ojciec - ja także nie mogłem w to uwierzyć”. Był tak rozradowany, że nie potrafił tego ukryć. „Ona wróciła. Wróciła nasza Dillys”.

Julian zamknął oczy.

- Usłyszawszy te słowa ojca, omal się nie wygadałem. Ale wyraz jej oczu powstrzymał mnie od tego. Cała ta cholerna sytuacja była tak nieprawdopodobna, że musiałem się roześmiać. Pomyślałem, że ona mogłaby uchodzić za Dillys...

- To pan ją zabił, prawda?

Julian odwrócił głowę ruchem człowieka znużonego i spojrział na Jury'ego.

- Nie. Ale wiem, że pan mi nie uwierzy...

Jury pokręcił głową.

- Nie Gemmę Tempie - wyjaśnił. - Tylko Dillys March.

Nagle, jak za zdmuchnięciem świecy, w pokoju zabrakło światła dziennego. Poza półkolem blasku padającego z kominika zapanowały w nim ciemności. Niewyraźne kontury stołów i krzeseł były jak pozostałości innego świata. Julian milczał przez dłuższą chwilę. A potem powiedział:

- Jak, u diabła, pan do tego doszedł?

- Podejrzywałem to od jakiegoś czasu. Dillys nie wydawała mi się typem osoby, która wyjeżdża i zostawia kupę pieniędzy. Ale parę minut temu pan sam mi to powiedział.

-Jak to?

- Opowiadając mi o spotkaniu z Gemmą na Victoria Station. W końcu Dillys miała podobno uciec do Londynu. Więc dlaczego nie pomyślał pan, że ta młoda osoba, ten „so bowtór”, to Dillys? Otóż dlatego, że wiedział pan, że ona nie żyje.

- Chryste - wyszeptał Julian, zamykając znowu oczy.

Jury wziął szklanekę, nalał do niej whisky z wodą sodową i stanął nad Julianem.

- No dalej, proszę mówić. Papierosa?

Julian półprzytomnie przyjął i papierosa, i drinka.

- Kiedy byliśmy bardzo młodzi - powiedział - Dillys i ja zawarliśmy pakt. Obiecaliśmy sobie, że nie będziemy mieli przed sobą nawzajem żadnych sekretów. Przypieczętowaliśmy to nawet krwią z palca... To był pomysł Dillys... Lubiała dramatyczne gesty. Chciała, żebyśmy pomieszali naszą krew. Omal wtedy nie zemdlałem. Dosłownie. Nigdy nie potrafiłem znieść widoku krwi, a Dillys uważała to za bardzo śmieszne... Ale sądzę, że pan nie ma ochoty wysłuchiwać tego wszystkiego...

- Ależ mam. Proszę mówić dalej.

Julian odchylił się do tyłu, przyciskając szklanekę do pierśi niczym psalterz.

- Dillys była zazdrosna o Lily. W sposób najzupełniej oczywisty. Tylko że prędzej by umarła, niż się do tego przy-

znała. Pułkownik bardzo lubił Lily, a Lily była tak naprawdę ładniejsza od Dillys. Tylko że Dillys miała w sobie „to coś”. Wie pan, o czym mówię. Pod tym względem przypominała moją matkę. Obie miały w sobie jakiś... żar. Tak bym to chyba nazwał. Żar, który nie zawsze okazywał się pociągający. Czasami było w nim coś szatańskiego. Mama potrafiła się wściec. Ciskała wtedy przedmiotami, darła się jak przekupka. Biedny ojciec, myślałem w takich chwilach. Chociaż w pewien sposób fascynowało mnie to...

Dillys była inteligentna, miała dar przekonywania, potrafiła sprawić, że człowiek wierzył we wszystko, co ona mówi. Ta historia o kradzieży... twierdzenie, że Mary Siddons przywłaszczyła sobie coś z biżuterii, jakiś pierścionek... to było absolutne kłamstwo. Jeżeli cokolwiek zostało przywłaszczone, to nie przez kogo innego jak tylko przez Dillys. Proszę mi wierzyć. Cała ta sprawa z Leem Manningiem doprowadziła wszystko do punktu kulminacyjnego. Ten biedak był w strasznym stanie psychicznym. Olive albo po prostu kłamała, albo oszukiwała samą siebie, twierdząc, że to Dillys ponosi odpowiedzialność za jego załamanie. Nie chcę przez to powiedzieć, że Dillys nie potrafiła doprowadzić człowieka do ostateczności. I Bóg wie, że mu zaszkodziła. Ale Leo był w okropnym stanie już wtedy, kiedy się tu zjawił. Czasami sprawiał wrażenie fałszywego pochlebcy, takiego współczesnego nam Uriaha Heepa. A czasami jego uśmiech wydawał się ostry jak brzytwa. Przypominał mi tego faceta z jakiejś sztuki, który nosił na głowie pudło na kapelusze. Była to osobowość, którą Dillys uznała za wyzwanie dla siebie i którą chciała kształtować, tak jak rzeźbiarz kształtuje glinę. To klepnie ją z jednej strony, to walnie z drugiej. No cóż, byli kochankami. W pobliżu klifu jest domek letni, w którym się spotykali... Tamtej nocy byli właśnie tam.

Wyszedłem na spacer. Chociaż nie, to nie tak. Wyszedłem, żeby poszukać Dillys. Zobaczyłem, że w domku letnim

pali się światło. Podszedłem więc tam i zjrzałem. I zobaczyłem ją - naga jak ją Pan Bóg stworzył. I wtedy mnie olśniło, zrozumiałem wszystko. Bo przedtem myślałem, że ona się z nim tylko drażni, nie sądziłem, że... Nie wyobraża pan sobie, jak to na mnie podziałało. Dosłownie krew mnie zalała. Czułem się tak, jakbym na tę scenę patrzył przez szybę z krwi. Przyczałem się i zaczekałem. Nie wiem, jak długo to trwało, ale czekałem tam na zewnątrz w chłodzie. Nigdy nie zapomnę tego wycia wiatru. Nienawiść zalała mnie i pochłonęła niczym morze. Ale nie zimne, tylko takie, którego fale są gorące.

W końcu Dillys wyszła z domku i ruszyła ścieżką w stronę dworu. Do dziś słyszę jej kroki na żwirze i głupią piosenkę, którą nuciła. Dla niej nie wydarzyło się dosłownie nic. Gdy tymczasem dla mnie wydarzyło się wszystko. Zastąpiłem jej drogę, zacząłem na nią wrzeszczeć. A ona tylko się roześmiała.

„Od jak dawna to trwa?” - zapytałem.

„Jeżeli to w ogóle twój interes... to powiem ci, że od chwili gdy Leo się tu pojawił”.

„Więc nie zabawi tu już długo. Kiedy powiem o tym ojcu, będzie musiał stąd zniknąć. I ty prawdopodobnie także. Bo ojciec nie pogodzi się z czymś takim”.

Roześmiała się głośno.

„Idź, donoś, baw się w szkolnego skarżypytę. Twój ojciec uwierzy mnie, a nie tobie. Powiem po prostu, że to Leo robił mi propozycje nie do odrzucenia. Co zresztą jest prawdą. On ma w tych sprawach duże doświadczenie”.

A potem opowiedziała mi z najdrobniejszymi szczegółami o wszystkim, co robili podczas swoich spotkań w ciągu całego roku. Rozwścieczyła mnie tak, że poczułem się przez chwilę jak sparaliżowany. Ironia losu polegała na tym, że miała na sobie pelerynę, do kostek i z kapturem, w której wyglądała jak zakonnica. Schyliłem się, podniosłem jakiś kamień i roztrzaskałem jej głowę. Osunęła się na ziemię. Stałem

i patrzyłem na nią bardzo długo. Sądzę, że spodziewałem się, że wstanie, po prostu wstanie, otrzępie ubranie i wybuchnie śmiechem. Nie dotarło chyba do mnie, że ona naprawdę nie żyje. - Julian pochylił się do przodu, wpatrując się w Jury'ego jak ktoś, kto wyjaśnia jakieś złożone zagadnienie prawne. - Czuję, że muszę ją stamtąd zabrać. To nie był strach, nie, wtedy się nie bałem. Strach przyszedł później. Chodziło o to, że muszę ją usunąć sprzed własnych oczu, z własnego umysłu, z wyobraźni. Unieważnić ten czyn, wymazać go. Chciałem ją ukryć bardziej przed sobą niż przed kimkolwiek innym, nawet przed policją. O policji wcale nie pomyślałem.

Poniżej ścieżki było takie miejsce pod skałami, gdzie działał silny prąd powrotny przyboju, tak niebezpieczne, że nawet najlepszy nurek nie odważyłby się tam zejść do wody. Ona zniknie, pomyślałem, i nikt nigdy nie odnajdzie ciała. Stałem dokładnie nad tym miejscem. I po prostu wrzuciłem ją tam...

A potem pobiegłem do domu, wszedłem na górę do jej pokoju, wpakowałem trochę jej ubrań do walizki i złapałem jedną z tych peleryn, które tak lubiła. Ukryłem się pod nią cały. Olive, wyglądając przez okno, pomyślała oczywiście, że to Dillys wsiada do samochodu. Pojechałem na ten parking nad wioską i zaparkowałem samochód wśród wielu innych. Po czym wróciłem pieszo do domu. Nikt mnie nie widział. Nikomu mnie nie brakowało. - Powiedział to tak, jakby nikt już nigdy nie miał za nim tęsknić. - Na drugi dzień, naturalnie, było trochę zamieszania w związku z nagłym wyjazdem Dillys. Ale ona często robiła takie rzeczy. Powiedziałem, że pojedę na jeden dzień do Yorku. Podprowadziłem swój samochód na parking, wziąłem auto Dillys, pojechałem nim do Londynu i tam je zostawiłem. A raczej porzuciłem. A potem pociągami udałem się do Yorku, skąd autobusem dostałem się do Pitlochary. Stamtąd wieczorem poszedłem pieszo do Rackmoor i wziąłem swój samochód z parkingu. - Julian Crael podniósł wzrok na Jury'ego. - Proszę mi wierzyć, ja

wiem, jak to wygląda w pańskich oczach. Zaplanowane morderstwo z zimną krwią. Peleryna, samochód, wycieczka. Ale wtedy to tak nie wyglądało. Wtedy byłem oszalały, działałem chaotycznie. Funkcjonowała tylko część mojego umysłu. Reszta... spała. Przez następny tydzień chorowałem. W sensie dosłownym. Było to tak, jakby cały mój organizm to odrzucał... Tak, odrzucał to niczym przeszczep serca. Po prostu nie mogłem tego przyswoić. Tamta noc była czymś, co nie powinno było zaistnieć, przypominała drzewo, które nagle zważyło się w poprzek czyjejś ścieżki, była jak... Och Boże, nie mam pojęcia, jak to wytłumaczyć.

Jury wstał ponownie i nalał whisky do szklanki Juliana.

- Powiedziałbym, że nieźle się pan spisał. - Jury zapalił papierosa. - No i oczywiście kiedy podniecenie opadło, to Leo wydawał się najlepszym podejrzanym. Na wypadek gdyby znaleziono ciało.

- Nigdy o *ty* nie pomyślałem. *Zastanawia* się pan, czy pozwoliłbym, żeby zrzucano wszystko na niego, gdyby do tego doszło?

- Ja się zbyt wiele nie zastanawiam.

- Akurat!

- Z tą małą poprawką, że w tej chwili zastanawiam się nad Gemmą Tempie.

- Której nie zabiłem.

- Miał pan bardzo poważny motyw. Ona wiedziała o Dilys, prawda? - Twarz Juliana, która przybrała barwę popiołu, stanowiła najlepszą odpowiedź. - To przecież dlatego jej pan nie wyspał.

- Wyspałbym ją. Już miałem opowiedzieć ojcu całą tę cholerną historię...

- Ale tak się złożyło, że się pan spóźnił.

Nastąpiła kolejna przydługa chwila ciszy, a Jury w słabym świetle zobaczył, że po policzku Juliana spływa powoli łza. Julian spojrział w górę na portret matki.



- Mówiono mi, że matka zakleszczyła się w tym samochodzie. A Rolfe, niech go szlag, siadając za kierownicą, był pijany. Wciąż się zastanawiam... Gdybym tam był, to... to czy zdołałbym ją uratować?

Jury odwrócił wzrok. Ale nie spojrzał na portret. Spojrzał na mgłę za oknem, nieustępliwą, poruszającą się, przesuwaną, tak jakby usiłowała przybrać właściwy kształt i zapukać w szybę niczym duch. I wypowiedział jedno jedyne słowo:

-Nie.

## 6

-Zbrodnia w afekcie? - powiedział Melrose, unosząc brwi w bezgranicznym zdumieniu. -Julian Crael?

- Zatem nie jest on taką zimną rybą, za jaką go mieliśmy, prawda?

Stali obaj na promenadzie, zwrócenii plecami do wału nadmorskiego, a twarzami w stronę pubu „Pod Lisem”. Jury zobaczył nagle, że w pubie otwiera się jedno z okien i ukazują się dwie ręce jakiejś osoby ubranej w sweter - prawdopodobnie Kitty - i wylewającej wodę z wiadra. No cóż, pomyślał, życie toczy się dalej.

- Pan nigdy go za bardzo nie lubił, prawda? - zwrócił się do Melrose'a.

- Raczej nie - odrzekł tamten. - Co z nim teraz będzie?

- Na razie nic panu na ten temat nie powiem. Bo najpierw chcę rozwikłać tamtą drugą sprawę. A morderstwo w afekcie sprzed piętnastu lat... - Jury wzruszył ramionami.

- To straszne... - powiedział Melrose Plant. - Zadurzyć się w kobiecie do tego stopnia, żeby stracić wszelki... dystans.

Jury uśmiechnął się na taką próbę opisu całej sprawy.

- Julian Crael jest zdolny do tego, by zastosować przymoc, to prawda. Ale niekoniecznie do tego, by czynić to z premedytacją.

- Widzę, że pan go broni - rzeki Melrose. - Zatem kto, pańskim zdaniem, jest tą osobą, która po trupach prze do zagarnięcia fortuny Craelów?

- Jeszcze nie wiem - odparł Jury, obserwując poszukującego pokarmu kormorana. - Ale proszę mi powiedzieć, panie Plant, co pan sądzi o Lily Siddons?

- O Lily Siddons? - zastanowił się Melrose. - Nie wiem. Niezbyt wiele miałem z nią do czynienia. Spotkałem ją zaledwie kilka razy. Muszę jednak przyznać, że to fascynująca kobieta. Ma w sobie coś z kameleona. Człowiek patrzy na nią w kawiarni, jak z głową obwiązaną chustką zagniata jakieś ciasto, i myśli sobie: „Nic ciekawego"... A potem, nagle... No, dość że kiedy zobaczyłem ją dzisiaj... to muszę powiedzieć... - Melrose wydał wargi tak, jakby usiłował bezgłośnie zagwizdać. - Na tym koniu, w siodle, wyglądała...

Zdawał się szukać odpowiednich słów.

- ...tak jakby była do tego stworzona? - podsunął Jury.

- Pan to powiedział. A ja zgadzam się z tym w zupełności.

- No cóż, sądzę, że ona jest do tego stworzona-oznajmił Jury, a Melrose otworzył szeroko oczy. - Pamięta pan starszego syna pułkownika, Rolfe'a? Tak nagle i niepostrzeżenie wywiezionego stąd przez lady Margaret? Otóż, moim zdaniem, Rolfe był ojcem Lily Siddons. A lady Margaret potrafiła zadać sobie mnóstwo trudu, żeby ukryć ten fakt przed mężem. No bo wyobraża pan sobie chyba, jakimi uczuciami obdarzyłby Lily sir Titus, gdyby wiedział, że to jego wnuczka. Tych uczuć z pewnością nie pomniejszyłby fakt, że dziewczynka jest „córką kucharki". Dlatego właśnie matka wywiozła Rolfe'a do Włoch.

- Boże miłosierny! Ale Lily... Czy ona o tym wie? - zapytał Melrose.

- Wygląda na to, że nie. Ale może o tym wiedzieć ktoś inny, dla kogo ten fakt mógłby stanowić motyw do zabójstwa, którego dziewczyna padnie ofiarą.

- To znaczy, dla kogoś takiego jak Julian Crael?

- Albo Maud Brixenham, albo Adrian Rees. Ten malarz ma dobre oko. Zdziwiłbym się, gdyby już dawno na to nie wpadł.

- Ależ to idiotyczne. Po co taki Rees miałby ją zabijać? Czy nie lepiej by było dla niego ożenić się z nią? A potem zabrać się stąd z łupem?

- Na to małżeństwo musiałaby się zgodzić Lily. A ona wydaje się jakoś dziwnie... chłodna w stosunku do mężczyzn.

- Ale dlaczego zginęła Olive Manning? A może ona wiedziała, że Lily to Craelówna?

- Moim zdaniem, tak. Wiedziała o tym. Była przecież powiernicą lady Margaret. Więc wiedziała. I sądzę, że z radością zachowałaby tę wiedzę na zawsze dla siebie.

Melrose Plant pokręcił głową.

- To się nie trzyma kupy - oświadczył.

- Na razie się nie trzyma - powiedział Jury. - Ale będzie się trzymało. Julian porzucił Gemmę, więc ta miała podwójny powód do oszustwa. Po pierwsze, chciała zdobyć pieniądze. A po drugie, oszukiwała ze złości na Juliana. Oszukiwała i z całą pewnością świetnie się przy tym bawiła. Ale żeby przeprowadzić swój zamiar, potrzebowała więcej informacji. A także kogoś, kto w środku, w domu, rozwiewałby ewentualne wątpliwości pułkownika. Dlatego Olive postępowала sprytnie, zaprzeczając z początku, że Gemma to Dillys. No, ale potem, po jej śmierci, nie mogła już tej wersji zmienić. Musiała zaprzeczać dalej.

- Zgodzi się pan ze mną z pewnością, że w świetle tego wszystkiego Julian Crael mógł mieć jeszcze silniejszy motyw.

- Jednak, panie Plant, Julian ma także i alibi. Proszę mi wierzyć, Harkins to sprawdził.

- Moim zdaniem, wcale go nie ma. - Melrose rzucił tę opinię tak niedbale, jak rzuca się okruszki mewom. - Rozmawiałem ze służbą - mówił dalej. - Czy pamięta pan wszystkich tych dodatkowych pracowników, których zatrudnił pułkownik?

- No cóż, nie chce mi pan chyba wmówić, że Julian Crael uwijał się *incognito* w stroju kelnera...

Melrose Plant zniecierpliwiony pokręcił głową i kontynuował:

- Pod drzwiami pokoju Juliana, na podeście, znajdowało się coś w rodzaju galeryjki dla grajków. Pamięta pan chyba, prawda? Na tej galeryjce byli muzykanci w kostiumach.

- Melrose uśmiechnął się. - Otóż powiem panu, że ludzie ci oddalali się stamtąd, a potem wracali. Wyobraźmy sobie teraz, że Julian włożył na siebie cokolwiek, jakąś pelerynę, ukrył pod nią te swoje charakterystyczne włosy i wziął na przykład cymbały. Boże jedyny, panie inspektorze, przecież ja nie poznałbym nawet własnej ciotki, gdyby taszczyła taki instrument. Julian nie potrzebował wcale grać na tych cymbałach. Musiał tylko zejść z nimi po schodach. Albo wejść na górę. Jeden dodatkowy muzykant w dziwnym kostiumie, jakie to ma znaczenie? Dlaczego pan kręci głową?

- Julian - odrzekł Jury - podczas rozmowy ze mną ani razu nie powołał się na swoje alibi. I zdawał się prawie akceptować własną winę. Traktować ją jako *fait accompli*. A w każdym razie uważał, że ja sądzę, że jego вина jest czymś pewnym. A poza tym Julian nie jest...

- Jeżeli powie pan „nie jest typem mordercy”, to Harkins będzie musiał mnie aresztować za napaść na policjanta.

- Harkins za napaść na mnie postawiłby panu drinka - poinformował Jury i zamyślił się na chwilę. - Jednak wie pan - kontynuował - muszę przyznać, że to, co pan mówi, to jest jakaś możliwość... Choć, moim zdaniem, niezbyt prawdopodobna.

- A moim zdaniem „doskonałe alibi” Juliana to po prostu fikcja. Której osobiście mam serdecznie dość. Dlaczego panu tak trudno uwierzyć, że to on jest winien?

Jury spojrział na schody - po których, przeskakując po dwa stopnie, biegł do nich właśnie sierżant Wiggins - i powiedział:

- Tak prawdę mówiąc, trudno mi uwierzyć, że zrobił to ktokolwiek z nich. Idzie Wiggins.

Sierżant ciężko dyszał.

- Panie inspektorze... - wykrztusił, chwytając powie trze - ten Les Aird... od pani Brixenham... mówi, że był... dziś rano na Howl Moor... Prosi, żeby pan przyszedł i z nim porozmawiał.

Wiggins był tak zmęczony, że musiał się oprzeć o wał nadmorski.

- Chce pan powiedzieć, sierzancie, że chłopak coś wi dział?

Wiggins kiwnął głową, otarł czoło chusteczką do nosa i włożył pod język jakąś pigułkę.

- Skoro tak, to idziemy.

- A czy ja mógłbym się do panów przyłączyć? - zapytał Melrose. - Wiem, że to sprawa policji, ale...

- Ależ oczywiście, panie Plant. Po tym, jak wykonał pan całą tę robotę, mogę mieć pewność, że pomoże mi pan także w rozmowie z Lesem. Zna pan przecież obce języki.

## 7

- On jest naprawdę tym zdenerwowany! - zawołała Maud Brixenham, starając się przekrzyczeć rockowy łomot.

Łomot ten sprawiał, że na stołach tańczyły popielniczki, a trzech mężczyźni stali przed nią niczym drzewa targane burzą. Maud huknęła kijem od szczotki w sufit. Ryk trochę

przycichł, a przybysze poczuli się tak, jakby pociąg pędzący wprost na nich skręcił nagle na sąsiedni tor.

Melrose Plant, sprawiając wrażenie człowieka, który czuje się tutaj jak u siebie w domu, usiadł, po czym wyjął złotą papierośnicę i puścił ją w obieg. A następnie, spoglądając na sufit i postukując papierosem w wieczko papierośnicy, oznajmił:

- Widzę, że pani siostrzeniec ma dość konserwatywny gust. Bo to, czego słucha, to są Rolling Stonesi. Nie myślę się, prawda?

Jury i Maud Brixenham spojrzeli na niego zdumieni. On tymczasem zapalił z uśmiechem papierosa.

- Czy może mi pani powiedzieć, co się zdarzyło dziś rano? - zagadnął Jury.

- Les nigdy dotąd nie interesował się polowaniem - odrzekła Maud. - Więc byłam zaskoczona, kiedy mi powiedział, że tam był. No i widział... albo sądzi, że widział... te dwie osoby koło muru... W miejscu, gdzie... była Ołive.

Po tych słowach zakręciła gwałtownie wiszącym na jednej nitce guzikiem, który został jej w dłoni.

- A pani? Czy pani ogranicza się do oglądania gonitwy?

- Tak. Nie jeżdżę konno. I nie znoszę polować.

- Chciałbym porozmawiać z Lesem. Możemy wejść na górę?

Maud kiwnęła głową.

- Panią tymczasem poproszę o udzielenie sierżantowi informacji o tym, co pani robiła i widziała dziś rano.

Maud, choć niezbyt z tego zadowolona, kiwnęła głową ponownie.

- Cześć, Les - powiedział Jury, kiedy drzwi się uchyliły, a Les Aird, z duszą na ramieniu, wyjrzał przez szparę. - To jest pan Plant. Możemy wejść?

Kiedy znaleźli się w środku, Les podszedł do aparatury odtwarzającej i ściszył hałas o jakieś dwa decybele. Po czym rzucił się z powrotem na łóżko, na którym piętrzyły się kupki brudnych ubrań. Jury rozejrzał się po pokoju i zobaczył, że wyblakła tapeta w kwiaty jest tylko miejscami widoczna spod plakatów przedstawiających - zapewne - grupy rockowe. Że są to grupy rockowe, tego się domyślił. Czy były to jednak różne grupy, czy może jedna i ta sama grupa rockmanów w różnych przebraniach - tego nie wiedział. Z plakatów bowiem spoglądały na nich jednakowe - ogolone bądź zarośnięte, białe bądź czarne - twarze. Widniały na nich także jednakowe fryzury afro i kapelusze z opadającymi rondami.

A co do muzyki... to z początku Jury myślał, że Lesowi zacięła się płyta. Po chwili jednak uświadomił sobie, że wokaliści powtarzają w kółko tę samą frazę. Musiał go zdradzić wyraz twarzy, bo Les odezwał się tonem nieco kwaśnym:

- Chyba to panom nie pasuje?

- Przeciwnie - odrzekł pośpiesznie Melrose Plant. - Od czasu jak w zespole znalazł się Ron Wood, zrobili się rewelacyjni. Możemy usiąść?

Les Aird spojrzął na Melrose'a z otwartymi ze zdumienia ustami. A potem uśmiechnął się szeroko.

- Tak - powiedział. - Dojrzeli - dodał i zdjął z krzesła nieapetyczne skarpetki. - Pan jest gliną?

Pytanie wskazywało na to, że zamierza odebrać Melrose'owi dopiero co zdobyte punkty.

- Ja? Ależ skąd! - odrzekł Melrose. - Czyż mógłbym upaść aż tak nisko?

Les uśmiechnął się znowu.

- Nie wygląda mi pan na policjanta.

- Mam nadzieję.

Melrose przysunął sobie fotel, a Jury musiał się zadowolić zwykłym drewnianym krzesłem. Les tymczasem rozwalił

się na łóżku z założonymi pod głową rękami. Na jego koszulce widniał napis: „The Grateful Dead”.

- Papierosa?

Melrose podsunął chłopakowi złotą papierośnicę.

Les omal się nie skusił. Pokręcił jednak głową.

- Nie palę. Jestem za młody.

Mówiąc to, zerknął z ukosa na Jury'ego jak ktoś, kto się boi, że funkcjonariusz Scotland Yardu na niego doniesie. A Jury, widząc to i czując smród dymu, wszechobecny w tym pokoju, z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- No cóż, mój stary - rzekł Melrose - ja też jestem za młody, ale palę.

Nie cofnął przy tym papierośnicy. Les zdecydował się. Chwyił papierosa gestem palacza marihuany, który nagle znalazł się na strasznym głodzie.

- Dzięki - powiedział.

Łomot trwał nadal.

- Mógłbyś to trochę przyciszyć? - zapytał Jury.

Les spojrział na niego tak, jakby tego właśnie się po nim spodziewał, po czym z ociąganiem zwłókł się z łóżka i poczłapał w samych skarpetkach do odtwarzacza.

- Masz może *The Wall*? Co prawda nie przepadam za Pink Floydami, ale to może byłby lepszy podkład muzyczny dla takiej rozmowy.

- *The Wall* jest super. - Les schylił się i zaczął przeglądać albumy. - Chyba to miałem. Chociaż nie, nie mam. Ale mam *Atom Heart Mother*.

- Też się nada - orzekł Melrose.

Jury popatrzył na niego bezgranicznie zdumiony. Bo Melrose zachowywał się tak, jakby przyszedł tutaj na koncert.

- Ten drugi facet - powiedział Les, zmieniając płyty - też nie wyglądał na głinę. Miał świetne ciuchy.

- Inspektor Harkins.



- Tak. Był nachalny. Rozmawiał ze mną tak, jakbym to ja to zrobił. To znaczy... Nie mogłem tak naprawdę wyczuć, do czego zmierzał.

- Posłuchaj, Les, czy możesz nam powiedzieć, co zaszło dziś rano? - zapytał Jury.

- To znaczy? - zwrócił się Les do Melrose'a.

- Pan inspektor - wyjaśnił Melrose - chce się dowiedzieć, jak wyglądał twój spacer po Howl Moor.

- A. - Les wydmuchnął kółko dymu i dźgnął je papierosem. - To dziwne miejsce - powiedział. - Wygląda tak, jakby co chwila ktoś tam tracił życie.

- Prawdziwe Dodge City - skomentował te słowa Jury.

- To znaczy?

Jury westchnął. Les najwyraźniej uparł się, żeby udawać, że nic nie rozumie. Chociaż, z drugiej strony, może był za młody, żeby mieć jakiegokolwiek pojęcie o Dodge City? Jury spojrział na Melrose'a Planta.

- Poszedłeś na Howl Moor - odezwał się Melrose. - I co się potem stało?

- No tak - potwierdził Les. - Wyszedłem z domu tak koło wpół do siódmej. A może koło siódmej. Zrobiłem to, bo ciocia Maud suszyła mi głowę, żeby zobaczyć polowanie. Ale stać tam i marznąć na wrzosowiskach w ciemności albo w półmroku to żaden ubaw. Znudziło mnie to. Przestałem więc wyczekiwać na te czerwone kaftany i zacząłem chodzić. No i w pewnej chwili znalazłem się przy tym murze. To znaczy, przy tym, na którym ją znaleziono. Panowała jeszcze szarówka i była mgła, więc nic nie widziałem. Ale coś usłyszałem... Właściwie to nie były głosy. Tylko raczej szepty.

- A z której strony tam poszedłeś? I jak dostałeś się na tę część wrzosowiska?

- Poszedłem najpierw High Street. Po drugiej stronie parkingu jest taka ścieżka, która przecina dalej główną

drogę. Dużo ludzi tamtędy chodzi. Ciotka mówiła, że także ci, co obserwują polowanie. Ja to polowanie miałem gdzieś. Ale pomyślałem, że raz mogę coś takiego zobaczyć. Nie ubawię się, ale i nie umrę od tego.

- Dlaczego nie zaczekałeś i nie poszedłeś z ciotką?

-Co?

Les spojrzął na Jury'ego tak, jakby nie rozumiał, o co chodzi.

- Dlaczego - wyjaśnił mu Plant - poszedłeś tam sam?

Les niedbałym gestem strzepnął popiół z papierosa.

- Właściwie to nie wiem. - Spojrzął nerwowo na Planta, a potem na Jury'ego. - No dobra. Już powiem. Prawda jest taka, że myślałem, że spotkam się tam ze swoją dziewczyną. Ona mieszka w tych blokach, co stoją przy drodze do Pitlochary. Ale nie pokazała się.

- Mów dalej. Usłyszałeś głosy. Męskie? Kobięce?

- Nie wiem. Były za daleko.

- To mogli być przecież inni piesi obserwatorzy polowania - zasugerował Jury. - Może czekali tam na przejazd myśliwych?

Les zdjął nogi z łóżka, przygotowując się do odpowiedzi, a równocześnie zbliżając się do papierosów Planta.

- Usłyszałem jakiś dziwny odgłos. Coś pomiędzy krzykiem a jękiem. Przeraziłem się jak cholera. Rozejrzałem się. Ale w tej mgłę człowiek nie zauważyłby słonia za własnymi plecami. - Les przyjął od Planta kolejnego papierosa, zapalił go i zaciągnął się łapczywie. - Słuchajcie, panowie, zareje strowałem po prostu czyjąś obecność. Jezu, co to za dziwne miejsce! Człowiek czuje się tam jak w Mieście Duchów. I nie dość na tym. Bo potem przychodzi do niego ten drugi glina i węszy. Potem, to znaczy po tym, jak ją znaleźli. No i ten glina zadaje człowiekowi tyle pytań! I wiecie, co jeszcze? On mówi: „Być może byłeś ostatnią osobą, która widziała Olive Manning przy życiu”. Co za miła wiadomość! Więc z tego

wynika, że byłem na tym pieprzonym wrzosowisku razem z mordercą?

Kiedy Jury i Melrose Plant wrócili już do bawialni, Maud Brbcenham, popijając swoje dziwnie jasne sherry, udzielała skrótowych odpowiedzi sierzantowi Wigginsowi.

- Biedny chłopiec - uzaliła się. - To naprawdę wyprowa dziło go z równowagi.

Jednak muzyka rycząca znowu na cały regulator zdawała się świadczyć o czymś wręcz przeciwnym. Podobnie jak zachowanie Lesa, pomyślał Jury. Jego zdaniem, wyglądało na to, że tego młodzieńca trudno zdenerwować.

- Czy pani poszła na wrzosowiska sama? - zwrócił się Jury do Maud.

- Nie. Poszłam tam z państwem Steedami. To takie młode małżeństwo, które mieszka na Scroop Street.

- I była pani z nimi przez cały czas?

Maud westchnęła.

- Nie - odrzekła. - Rozdzieliliśmy się. I bardzo tego żałuję. Ale trochę później spotkałam Adriana Reesa. Zdziwiłam się, że go tam widzę, bo on uważa polowanie za rzecz okropną. Ale był tam, szedł ciężkim krokiem przez wrzosowisko. Powiedział, że szuka tematu do obrazu. Też coś, pomyślałam. Skoro nie znosi polowań, to po co je maluje?

Maud wzruszyła ramionami i napiła się sherry.

- Gdzie pani była w chwili, kiedy go pani zobaczyła?

- Przy Momsby Cross. W pobliżu Cold Asby. Tam są mokradła. Płyne też potok. Ale widok stamtąd jest równie dobry jak z innych miejsc.

- A jak to miejsce się ma w stosunku do tego muru?

Twarz Maud zrobiła się biała niczym bezbarwne sherry, które popijała.

- Momsby Cross - odrzekła - znajduje się o jakieś ćwierć mili stamtąd. Ale nie jestem tego tak do końca pewna. Proszę

zapytać Adriana. On poszedł właśnie w tamtą stronę... - Tu Maud zasłoniła sobie usta dłonią, gestem, który Jury'emu wydął się teatralny. - Ale nie chcę przez to powiedzieć, że on... No cóż, on po prostu tam poszedł.

- A o której to było godzinie?

- Chyba koło wpół do ósmej. Dość wcześnie.

- Jak dobrze znała pani Olive Manning, panno Brbcenham?

Maud znowu westchnęła.

- Panie inspektorze, przesłałam już przez to wszystko z sierżantem Wigginsem, jak również z policją z Yorkshire. Bo był tu ponownie ten inspektor Harkins.

- Wiem. Ponieważ jednak miał do przepytania dużą liczbę osób, przesłuchanie było pobieżne.

-Pobieżne? Tego bym nie powiedziała. Sądzę, że ten człowiek po nocach wbija szpilki w lalki.

- Inspektor Harkins jest dokładny, to prawda-przytaknął Jury, a Maud zmierzyła go bez słowa wzrokiem. -I prowadzi poszukiwania tak skrupulatnie, bo jest kilka osób, mających wyjątkowy związek z tą sprawą...

Maud wyprostowała się.

- Chce pan powiedzieć „będących głównymi podejrzanymi”, prawda?

- Jak dobrze znała pani panią Manning?

- Niezbyt dobrze. Próbowалам nawiązać z nią przyjazne relacje, ale przekonałam się, że nie idzie to łatwo.

- Przychodzi pani do głowy jakiś powód, dla którego ktoś mógłby życzyć jej śmierci?

- Mój Boże, nie!

Przez cały czas tej rozmowy patrzyła nie na Jury'ego, tylko na Planta albo Wigginsa tak, jakby to oni zadawali pytania.

- Powiedziała pani, że Adrian Rees był z panią przy Momsby Cross, a potem się oddalił. A ci państwo Steedowie? Dokąd poszli?

- Powiedzieli, że chcą pójść do Dane Hole. W tym miejscu Tom Evelyn często osacza zwierzynę. Ale ja nie miałam ochoty tam iść. To jakieś pół mili drogi.

- A czy potem widziała pani jeszcze pana Reesa? To znaczy po tym, jak rozstał się z panią przy Momsby Cross?

-Nie.

- Kiedy się pani dowiedziała o śmierci Olive Manning?

- Kiedy dziś przed południem zjawił się tutaj pan Harkins.

Jury wstał. Plant i Wiggins poszli w jego ślady.

- Dziękuję pani bardzo.

Maud Brixenham odprowadziła ich do drzwi, gubiąc po drodze szalik.

- Pink Floyd? - powiedział Jury, zatrzymując Melrose'a na ścieżce przed domem. - Gdzie, na miły Bóg, nabył pan tę wiedzę o Pink Floydach?

Melrose wyjął z kieszeni złożony egzemplarz „New Musical Express” i wręczył go Jury'emu.

- Naprawdę, panie inspektorze, nie zajdzie pan daleko w tej grze, jeżeli będzie pan czytał tylko Wergiliusza - powie dzał i spojrzał na swój płaski złoty zegarek. - Widzę, że mi nęła już godzina podwieczorku. Czy mogę panom postawić rackmoorską mgłę?

## 8

- Nietoperze wampiry! - wrzeszczał Bertie, pikując przez kuchnię i machając nad głową starą kołdrą.

Rozganiał przy tym dym unoszący się z przypalonych platków bekonu i piszczał tak przeraźliwie jak, jego zdaniem, mógłby piszczeć nietoperz.

Arnold cofnął się nieco, jak gdyby chciał powiedzieć:

„Jeżeli to jest nowa zabawa, to ja w niej nie będę brał udziału”, a Bertie zaczął teraz krążyć na palcach, potrząsając koldrą.

- One wysysają krew - poinformował Arnolda, przygryzając dolną wargę i demonstrując wampirze ząbki.

A potem roześmiał się upiornym śmiechem, na którego dźwięk zjeżyłyby się sierść na grzbiecie każdego zwykłego psa. Jednak nie na grzbiecie Arnolda, który tylko ziewnął.

Bertie z westchnieniem odrzucił koldrę i sprawdził, co się dzieje z przypalonymi plasterkami bekonu. Przypalone czy nie, trzeba je zjeść z grzankami, pomyślał. Trzy razy w tygodniu wydzielał bekon. Po dwa plasterki sobie i po jednym Arnoldowi. Był bardzo oszczędny.

- Tak w każdym razie zabrzmiało to w moich uszach - powiedział teraz, nabijając chleb na widelec do robienia tostów.

- Było w niej tyle dziur. Musiała wyglądać jak sito. - Obracał grzankę starannie nad ogniem, a potem pokazał ją Arnoldowi - brązową i chrupiącą. - Myślę, że na podwieczorek zjemy jajka na miękko. - Postawił na ogniu mały ronderek z wodą, włożył do wody dwa jajka, które wziął z miski stojącej na półce, i nabił kolejny kawałek chleba na widelec. - Tak, grzanki i jajka. - Nucać coś, zastanawiał się przez chwilę. - Ale myślę, że dziury były za duże i za szeroko rozstawione... - Obrócił kromkę i znowu zanucił, a tymczasem chleb przypiekl się na złocisty brąz. Bertie zdjął przypieczony kawałek z widelca i zaczął nabijać kolejny. Przerwał i przyjrzał się widelcowi. Szpikulce. - Cokolwiek to było, robiło tylko dwie dziury, nie, Arnold?

Nos Arnolda drgnął. Psa nie interesował widelec, tylko grzanka i plasterki bekonu.

- Arnoldzie! - szepnęła nagle Bertie, otwierając szeroko oczy.

Arnold, który drapał się właśnie w szyję pod obrozą, spał się cały. Ton Bertiego sugerował coś, co było warte

uwagi - coś takiego jak kot, który nagle wskoczył na parapet za oknem.

- Arnoldzie! Jaskółczy ogon!

## 9

Tego wieczoru Melrose Plant i sir Titus Crael siedzieli w pokoju zwanym Bracewood Room i raczyli się drinkiem. Juliana nie było w zasięgu wzroku - prawdopodobnie poszedł na spacer - a Melrose cieszył się z tego. Zaczynał go prawie żalować. Zauważył, że Julian od samego rana poruszał się jak w letargu. I robił wrażenie człowieka, który już tylko czeka, aż zakończy się jego życie. Melrose mu współczuł. Jednak współczucie nie zmieniło jego opinii na temat winy Juliana. Tak, Melrose wciąż uważał, że Julian jest winien. Któż bowiem miał silniejszy od niego motyw? Być może Gemma Tempie usiłowała go szantażować. „Wyjadę, jeżeli dasz mi to czy to” - mówiła zapewne. A Julian nie mógł pozwolić, żeby to jej uszło na sucho.

Tak myślał Melrose, dopóki z zamyślenia nie obudził go głos pułkownika Craela.

- Przykro mi, mój chłopcze, że wdepnąłeś w te wszystkie kłopoty - powiedział pułkownik.

Melrose, usłyszawszy te słowa, poczerwieniał nieco. Przyszło mu bowiem do głowy, że do pewnego stopnia sam spowodował „kłopoty”, o których mówi starszy człowiek.

- To ja powinienem przepraszać, sir Titusie - odrzekł.

- Za to, że absorbuję pana swoją obecnością w takich okolicznościach. Zamierzałem właśnie wyjechać. I to już dzisiaj - skłamał.

A pułkownik cmoknął tylko i machnął na to ręką.

- Ależ, drogi chłopcze, nie masz za co przepraszać. Co do mnie, to naprawdę bardzo się cieszę, że tu jesteś. Nie wiesz

przypadkiem, co dolega Julianowi? Bo ja nie wierzę, że mój syn znajduje się w szoku z powodu tej biednej Olive. Nigdy nie darzył jej zbytnią sympatią. Zresztą ona nie była zbyt sympatyczna... Ojej - zreflektował się - mówię źle o zmarłej. - A potem napił się whisky i otarł sobie twarz ogromną chustką do nosa; uczynił to jak zmęczony pracą w polu farmer w upalne popołudnie. - No cóż, nie mam pojęcia... Wiesz, wszystko to... Naprawdę za wiele tego jak na moją głowę.

- Z pewnością, sirTitusie.

- Porozmawiajmy o czymś innym, dobrze?

- Kiedy odbędzie się tutaj następne polowanie?

- Nie wiem, czy po tym, co się stało, w ogóle jeszcze będziemy polować w tym sezonie.

- Ale z pewnością jeszcze nieraz zdarzy się odpowiednia na polowanie pogoda. W tej okolicy można polować znacznie dłużej niż w Northamptonshire, prawda?

- O tak. Sezon polowań trwa tu przeważnie aż do połowy kwietnia.

Sir Titus sięgnął po czerwony kubrak, wiszący na oparciu krzesła, strzepnął go i przysunął krzesło do ognia.

A Melrose zastanowił się, dlaczego tej prozaicznej czynności suszenia mokrego sukna nie woli raczej zlecić służbie. Być może, pomyślał, jest to taki mały rytuał, któremu lubi oddawać się samodzielnie.

SirTitus, patrząc nakubrak, napomknął cośjakiejśdziurce w podniszczonym rękawie. I cmoknął przy tym ze współczuciem, jak ktoś, kto uważa się nad żywym stworzeniem.

- Stary czerwony łach - powiedział. - Będę go musiał pośłać na Jermyn Street, do krawca. A tymczasem zadowolę się frakiem. Choć łowczy zwykle w nim nie występuje. Ale cóż, w dzisiejszych czasach nie ma przecież sensu robić ceregieli. Czytujesz Jorrocksa? - zapytał Melrose'a, który pokręcił głową, myśląc nie o polowaniu, tylko o zmasakrowanym ciele Olive Manning.



Pułkownik zacytował:

- „Nie znam bardziej smętnej ceremonii niż składanie starego czerwonego łacha pod koniec sezonu - łacha nieprzypominającego żadnego innego, tym droższego i bardziej interesującego, im jest starszy i bardziej zniszczony”.

- Frakiem? - powiedział nagle Melrose, spoglądając na pułkownika.

- Słucham?

- Powiedział pan „frakiem”?

- No tak. Miałem na myśli ten ubiór z połami jak ogon jaskółki, który wkładam, kiedy...

Pułkownik nie dokończył, bo Melrose Plant zerwał się z fotela, rozlewając przy tym whisky, i prawie biegiem opuścił pokój.

## 10

Szary cętkowany kot o zaspanym pyszczku siedział zwinięty w kłębek w oknie galerii. Był najwyraźniej przyzwyczajony do tego, że mu się przerywa drzemkę. Bowiem gdy Jury przysunął twarz do szyby, zaglądając do środka, obrócił się tylko niczym lunatyk i ułożył ponownie. Naokoło nie było nikogo. Wszystko wskazywało na to, że w zimie interes się nie kręci. W środku panowały ciemności, ponieważ jednak za szybą widniał napis OTWARTE, Jury doszedł do wniosku, że Rees jest w domu, i otworzył drzwi. Odezwał się dzwonek, a kot się przeciągnął, obrócił kilka razy i powrócił do poprzedniej pozycji.

- Halo, jest tam kto? - zawołał Jury, a po chwili na schodach dał się słyszeć tupot ciężkich butów.

I pojawił się Adrian w swoim poplamionym farbami fartuchu. Jego czarne, opadające na czoło włosy wydawały się lekko potargane, jak u ciężko harującego człowieka. Adrian

odgarnął je ramieniem, bo w dłoni trzymał pędzel z wielbłądziej sierści.

- A, pan inspektor - powiedział. - Spodziewałem się, że pan się u mnie zjawi. Chodźmy do kuchni, dobrze?

Kiedy Jury usadowił się przy przysuniętym do ściany stoliku o przekrzywionym blacie, w kuchence tak małej, że ledwie mogła pomieścić dwie stojące osoby, Adrian otworzył okno i wziął z pokrytego brudnym śniegiem zewnętrznego parapetu dwie butelki chłodzące się tam piwa.

- Dla mnie nie, dzięki... - odmówił poczęstunku Jury.

Adrian odstawił z powrotem jedną z butelek.

- Domyślam się, że przychodzi pan w związku z Olive Manning. Inspektor Harkins omal mnie nie przekonał, że to ja ją zabiłem. - Adrian pokazał zęby w szerokim uśmiechu. - Ale tak do końca to mu się jednak nie udało.

- Obserwował pan dziś rano myśliwych. Szedł pan za nimi. Dlaczego? Słyszałem, że nie znosi pan polowania.

- No, no, widzę, że dobrze orientuje się pan w tym, co lubię, a czego nie lubię. A gdzie pan to słyszał?

- Powiedział mi o tym mały ptaszek.

Adrian otworzył butelkę, usiadł i odchylając się na krzesło, napił się piwa. A potem otarł usta dłonią i potwierdził:

- To prawda, nie znoszę tego. Sądzę, że polowanie na lisa to jeden z najidiotyczniejszych sportów. A właściwie to wcale nie sport.

- Dlaczego zatem poszedł pan tam dziś rano?

- Bo pułkownik chciał, żebym mu namalował obraz. Taki duży, do powieszenia w Długiej Galerii, przedstawiający polowanie. Więc poszedłem tam, żeby się przyjrzeć.

- Maud Brixenham mówi, że był pan z nią przy Momsby Cross. A potem oddalił się pan w stronę Cold Asby.

- Ach, więc to ona jest tym pańskim małym ptaszkiem. Maud nie za bardzo mnie lubi.

- Nie wiedziałem o tym. Nigdy nie powiedziała nic przeciwko panu.

Adrian, który dotychczas bujał się na krześle, przestał to robić. Nogi krzesła stuknęły o podłogę. Adrian prychnął.

- Niech pan da spokój, panie inspektorze. Maud jest na to za sprytna. Bezpośrednie ataki nie są w jej stylu.

- A co ona ma przeciwko panu?

- Sądzę, że zazdrości każdemu, kto w jakiś sposób jest uznawany przez pułkownika. Pułkownik mnie lubi, właściwie mnie podziwia...

Adrian uśmiechnął się, pochylił głowę i strzepnął popiół z cygara.

- Nie rozumiem, dlaczego to pana zaskakuje - powiedział Jury. - Jest pan bardzo dobrym malarzem. Tak w każdym razie sądzą po tym, co widziałem w pańskiej pracowni i u sir Titusa. Czy był pan w pobliżu tego muru?

- Właściwie nie jestem pewien. Nie znam tak dobrze wrzosowisk. Nie dorównuję pod tym względem ludziom, którzy uganiają się za psami.

Jury wyjął mapę wojskową, rozpostarł ją na stole i wskazał Momsby Cross.

- Pan i Maud byliście tutaj. - Jury przeciągnął palcem po mapie. Dane Hole, Cold Asby, Momsby Cross. - Ciało znalezione tu. Jakieś ćwierć mili od Momsby Cross.

Adrian wziął mapę i zmrużył oczy. Popatrzył na linie, kropki oraz cieniowania i pokręcił głową.

- Byłem chyba koło tych kopców. Tutaj... Sądzę, że je mi jałem. Ale to raczej nie jest niedaleko tego muru...

Jury złożył mapę i wetknął ją do tylnej kieszeni.

- A potem wrócił pan do wioski?

- Tak. I po raz pierwszy usłyszałem o tym wszystkim, kiedy inspektor Harkins przed kilkoma godzinami zapukał do moich drzwi.

- A wracając do tego obrazu... Skoro tak bardzo nie lubi pan polowania, to dlaczego przyjął pan takie zamówienie?

- Sztuka a moralność? Czy o to panu chodzi? Proszę posłuchać, panie inspektorze, ja przyjąłbym każde zamówienie. Bez żadnych skrupułów. Gdyby Scotland Yard zamówił u mnie obraz przedstawiający wyposażenie policjanta zbierającego ślady, to, proszę mi wierzyć, namalowałbym go bez wahania. A skoro już o tym mowa... to proszę pójść ze mną na górę - zakończył Adrian, wkładając do ust cygaro.

Gdy znaleźli się w pracowni, gwałtownym ruchem odsłonił płótno w kącie i oczom Jury'ego ukazał się obraz, nad którym właśnie pracował.

- To jest, oczywiście, malowane z pamięci - powiedział.  
- Chyba jednak wiernie oddaje wszelkie szczegóły. A także nastrój tamtej chwili. Taką mam przynajmniej nadzieję. Po doba się panu?

Jury na widok płótna doznał dosłownie szoku. Postać przedstawiona przez malarza była spowita nie tyle w czarnej pelerynę, ile we mgłę i nocną ciemność. Mgła kłębiła się wokół tej kobiety, stojącej sztywno niczym modelka pozująca do portretu. Jury, patrząc na nią, domyślił się, że Adrian w noc Trzech Króli zobaczył ją niezupełnie w ten sposób. Na obrazie kształt jej ciała był wydłużony. Długie też były jej kończyny, a szyja i ręce - bardzo blade. Twarz ukryta za czarną maską robiła przerażające wrażenie. Lewa jej połowa świeciła bowiem jak u ducha, a prawa - czarna - prawie zlewała się z ciemnym tłem. Gra światła i cieni została przedstawiona w sposób wprost fantastyczny. Wokół jedynej przedstawionej na tym płótnie latarni ulicznej mgła utworzyła aureolę. W sumie obraz - na swój własny sposób - robił równie potężne wrażenie jak portret lady Margaret.

Jako że nie był zbyt duży, Jury wziął go do ręki i zapytał:

- Moge?

- Oczywiście - powiedział Adrian.

Jury przybliżył obraz do lampy i przyjrzał mu się uważnie.

- Jest po prostu niezwykle. Szkoda tylko, że nie ukończył go pan wcześniej. Pokazał go pan Harkinsowi?

Adrian, który grzebał właśnie w słoiku z pędzlami, przerwał tę czynność.

- Chryste Panie! - zawołał. - Ach wy, filistrzy! Potraficie myśleć tylko o morderstwie!

- Rzeczywiście, to morderstwo mnie dość absorbuje - przyznał Jury. - Czy to, co znajduje się tutaj, w tle, to Angel Steps? - Adrian kiwnął głową, wycierając pędzle. - Jeżeli ten obraz przedstawia to, co pan naprawdę widział, to jest daleko lepszy niż całe wyposażenie do zbierania śladów.

- Proszę pamiętać, że jestem artystą. I moim głównym zajęciem jest obserwacja - przypomniał Adrian.

Na dole zadźwięczał dzwonek. Zaskoczony malarz spojrział na podłogę.

- To z pewnością nie klient. Bo jak wyglądają klienci, zdażyłem już zapomnieć. Nie może to też być pan, panie inspektorze, bo pan jest tutaj. Wniosek z tego, że ktoś musiał zabłądzić we mgle.

- A może zamiast się domyślać, pójdzie pan to sprawdzić?

Adrian odgarnął włosy z czoła i zszedł po schodach.

Stłumione głosy były wszystkim, co dobiegło z dołu do uszu Jury'ego. Wciąż pochłaniało go malowidło. Jury zmarszczył brwi.

Coś jest nie tak, pomyślał. Jakiś dziwny obraz - tajemniczy i mglisty - dryfował w jego wyobraźni. Twarz na fali, odbicie w stawie. Przypomniało mu się nagle, jak patrzył na siebie w lustrze w pubie „Pod Lisem”...

- Panie inspektorze! - rozległo się z dołu wołanie Adriana. - Proszę zejść. Ma pan gościa.

Jury ostrożnie odstawił płótno na sztalugi, a to, co na chwilę pojawiło się w jego wyobraźni, zniknęło bezpowrotnie. Jednak nadal coś było nie tak.

Jury był zaskoczony, bo kogo jak kogo, ale takiego gościa się nie spodziewał. Gościem tym bowiem okazał się Percy Blythe. Ubrany w ciężki płaszcz, zakutany w swetry i zamotany prawie po czubek nosa w szale, stał z wełnianą czapką w dłoniach i łypał na obrazy wiszące na ścianach.

- Dzień dobry, panie Blythe. Chciał pan ze mną mówić?

- Tak. - Ponure spojrzenie Percy'ego pobiegło w stronę Adriana. - W cztery oczy.

Adrian przeprosił z wyszukaną uprzejmością i wycofał się.

- Chodzi o Bertiego - odezwał się Percy, kiedy jego kroki ucichły. - Chłopak był u mnie w domu i ukradł...

- Co? Bertie coś ukradł? O nie, z całą pewnością...

- Ale ja go widziałem! Na własne oczy! Wyszedł ode mnie z domu i szedł Dagger Alley. Razem z Arnoldem. A ja schowałem się w ciemności i ich obserwowałem.

- Ależ panie Blythe, może oni po prostu przyszli z wizytą? Wchodzą przecież do pana, kiedy pan nie...

Jury przerwał, bo Percy pokręcił głową.

- Mnie nie chodzi o to, że weszli, tylko o to, jak wychodzą. Wyślizgiwali się jak dwa węgorze...

(Na myśl o tym, że Arnold mógł przypominać węgorza, Jury omal się nie roześmiał.)

- Wymknęli się z mojego domu... z narzędziem zbrodni.

-Co takiego?

- No mówię przecież! Z narzędziem zbrodni, człowieku! Tym, którym ktoś popełnił to morderstwo. Kiedy się dowiedziałem, że ona miała podziurawione ciało, od razu się domyśliłem, czym morderca ją wykończył.

Bertie nie lubił tędy chodzić nawet w biały dzień, a tym bardziej w nocy.

Trzymał przypominające jaskółczy ogon narzędzie szpikulcami do dołu. I stąpał ostrożnie. Bo nie chciał przecież się potknąć i wydłubać sobie oka. A na tym podmokłym terenie i we mgle podnoszącej się z morza potknąć się było bardzo łatwo. Korzenie drzew, których nie widział w kłębiącym się tumanie, wyrastały w poprzek ścieżki niby stopy prehistorycznych potworów. I Bertie kilka razy o mały włos nie upadł.

Zmierzał w stronę tego miejsca na klifie, znajdującego się między Old House a wałem nadmorskim, z którego (wedle Percy'ego Blythe'a) można było cisnąć cokolwiek, sprawiając w ten sposób, że nikt już tej rzeczy nie znajdzie. Stamtąd to właśnie zamierzał zrzucić niesione przez siebie narzędzie. Był absolutnie pewien, że Percy nie miał nic wspólnego z morderstwem. Jednak policja, znalazłszy narzędzie w jego domku, mogła być innego zdania. Nie musiała, tak jak Bertie, przypuszczać, że morderca zakradł się do domku Percy'ego, wziął tę rzecz, a później, już po wszystkim, odniósł ją z powrotem.

Bertie miał świadomość, że wrzucając narzędzie do morza, zniszczy dowód rzeczowy. Wyszkolony na amerykańskich filmach, doskonale się w tym orientował. Zastanawiając się, czy to zrobić, przesiedział przy kuchennym stole dobrych parę godzin. Pił przy tym herbatę i zapomniał nawet nakarmić Arnolda. Nie ma przecież dowodu, pomyślał w końcu, że morderstwo naprawdę popełniono tym narzędziem, a nie czym innym. Na świecie istnieje przecież wiele rzeczy z takimi szpikulcami. Na przykład widelce do robienia grzanek. No i różne inne przedmioty.

Teraz, idąc ścieżką, uderzył stopą o coś twardego i omal nie upadł.

- Chodź, Arnold - szepnął i zaraz się zdziwił.

Dlaczego ja szepczę? - pomyślał.

Wiedział bowiem, że dookoła nie ma nikogo, kto mógłby go usłyszeć. A Arnolda nie trzeba było wcale popędzać, bo pies szedł przy nodze. Więc Bertie wypowiedział te słowa tylko po to, żeby usłyszeć własny głos. A potem, chcąc mieć pewność, że Arnold nie zostanie z tyłu, wziął go za obrozę.

- Chodź - powtórzył i usłyszał Whitby Bulla, brzmiącego w tej ciszy tak, jakby znajdował się tuż przy jego uchu.

Pewnie zbliżam się do morza, pomyślał.

Chcąc uwolnić rękę i móc wyciągnąć ją drogę w mgle, wsunął narzędzie pod płaszcz przeciwdeszczowy, który miał na sobie. Powinienem być włożyć czarny, pomyślał, bo w tym starym, żółtym jest mi za zimno. A na dodatek latarka, którą miał przy sobie, nie przydawała się prawie na nic. Jej nikłe żółte światło w niczym nie pomagało. Wydobywało natomiast z ciemności gałęzie przypominające kości szkieletów i krzaki wyglądające jak przyczajone bestie, wprawiając go tym w przerażenie. Bertie przypomniał sobie, jak Percy Blythe żartował nieraz głupio, mówiąc, że Arnold to goblin, który przybrał postać psa i który zwiastuje nieszczęście i śmierć. Teraz chłopcu nie wydawało się to wcale śmieszne. Żałował też, że słuchał gadania Percy'ego o różnych zapadkach, a także dołach, w których druidzi grzebali składanych w ofierze ludzi. Bo dobrze było słuchać o tym wszystkim w bezpiecznych czterech ścianach domku Percy'ego. Jednak tutaj, w tej sytuacji, wspomnienie o nich nie dodawało bynajmniej otuchy. Bertie pomyślał, że powinien był pójść wzdłuż wału nadmorskiego. Zaraz jednak uświadomił sobie, że tam istniało niebezpieczeństwo, że się kogoś spotka - na High Street albo na Grape Lane. I zapragnął usłyszeć coś innego poza chłupotem własnych kroków na podmokłej ziemi i sapaniem Arnolda wężącego wśród mokrego poszycia. Szarpnął obrozę. Do jego uszu dobiegł teraz szum fal. Chłopak



ruszył przed siebie odrobinę szybciej, ciągnąc psa. Jeszcze kawałek, powiedział sobie, gdy odgłos fal bijących o brzeg stał się wyraźniejszy. I doznał ulgi na myśl, że za chwilę pozbędzie się...

Nagle coś się poruszyło.

Bertie odwrócił się, świecąc sobie latarką.

- Kto tu jest?! - zawołał.

Pośród szarpanych wiatrem gałęzi i skłębionej mgły nie mógł się zorientować, co jest nieruchome. Nie wiedział, co stoi w miejscu, a co się porusza. Odwrócony plecami do morza, dostrzegał światła Rackmoor leżące po drugiej stronie zatoczki. Arnold zawarczał z cicha, po czym obaj zrobili w tył zwrot i ruszyli dalej w stronę krawędzi klifu.

Bertie zorientował się, że coś podchodzi do nich z tyłu. Tak, nie miał żadnych wątpliwości. Słyszał kroki, a także odgłos przedzierania się przez zarośla. Nie wiedział jednak, czy to człowiek, bo drzewa w ciemnościach i mgle przybierały niemal ludzkie kształty.

Arnold znów zawarczał - głębokim, gardłowym warknięciem.

Coś nadal przedzierało się przez zarośla, powodując odgłosy podobne do szumu wiatru przelatującego przez korytarz. Arnold ujadał teraz nie na żarty, a przerażonym Bertiem wstrząsały dreszcze. Chłopak czuł się jak ktoś, kto uwięziony w tunelu metra widzi, że w jego kierunku nadjeżdża rozpedzony pociąg. Nagle zabłysło jaskrawe światło. Świeciło mu prosto w twarz, zupełnie go oślepiając. Bertie spróbował zasłonić oczy ramieniem. Zanim jednak zdążył to zrobić, jakaś ręka strąciła mu okulary.

Arnold nadal wściekle ujadał. A chłopak, który go prawie nie widział, zorientował się, że pies rzuca się na jakiś ciemny rozmazany kształt. To znaczy, na tego kogoś, kto strącił mu okulary i zerwał z niego teraz płaszcz przeciwdeszczowy. Ten ktoś chce mi zabrać narzędzie zbrodni, pomyślał Bertie.

A potem ponownie usłyszał odgłosy w zaroślach. Ujądanie Arnolda stało się teraz prawie histeryczne. Bertie miał wrażenie, że tuż obok niego skaczą sobie do gardeł dwa psy, Arnold i jakiś drugi. Przy czym ten drugi, poza ciężkim sapaniem, nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Chłopak, nie mając na nosie okularów, bał się poruszyć. Stał skamieniały, bo bez szkieł nie widział niczego wyraźnie. I miał równocześnie świadomość, że znajduje się gdzieś przy krańdzi kłifu. Łoskot fal na dole utwierdzał go w tym przekonaniu.

Tkwiał więc nieruchomo aż do chwili, gdy jakieś ręce zepchnęły go stamtąd.

- To jest narzędzie używane przy kryciu dachów strzechą - wyjaśnił Jury'emu Percy Blythe, kiedy znaleźli się już u niego w domu.

Wskazał ręką ścianę, na której wisiały inne, opatrzone etykietami narzędzia. I na której brakowało tego jednego, w kształcie jaskółczego ogona.

- Chłopak przychodzi tu nieraz po różne rzeczy. Ale po co, pytam, po co by mu było to właśnie narzędzie? - nie mógł się nadziwić Percy, po czym opisał je jako przedmiot długości półtorej stopy, z bardzo ostrymi szpikulcami.

Jury zapytał, kto wiedział, że narzędzie znajduje się w domku Percy'ego, a Percy odrzekł, że wszyscy. Tak, dodał, wiedzieli o tym nawet Craelowie.

- Stary tu bywał - wyjaśnił. - No i raz czy dwa razy przychodził też młody.

Nie, Percy nigdy nie zamykał drzwi na klucz, a o tej porze roku na Dark Street było całkiem pusto. Więc każdy mógł tu wejść.

W domku Percy'ego było naprawdę ciepło, a Jury miał na sobie dwa swetry i wiatrówkę. Mimo to jednak poczuł, że po plecach przechodzi mu zimny dreszcz. Wywołała go myśl, że

Bertie chodzi gdzieś teraz, mając przy sobie coś, co najprawdopodobniej posłużyło jako narzędzie zbrodni.

Spadał. Przez kilka sekund? A może przez parę godzin? Nie miał pojęcia jak długo, bo z czarnego stawu jego umysłu zniknęło poczucie czasu. Wiedział tylko, że w pewnym momencie natrafił dłońmi na coś w rodzaju grubego kikuta, pniaka. A może starego korzenia, który okazał się tak mocny, że dało się na nim zawisnąć.

Wisiał więc w powietrzu, nie znajdując oparcia dla stóp. Szukając go na oślep, poruszał nogami. Jednak bezskutecznie. Wyglądało bowiem na to, że skała jest trochę wklęsła. Więc gdy Bertie spadł, jego stopy ześlizgnęły się po porostach i natrafiły na pustkę. A teraz, po kilku chwilach wiszenia, czuł, że ręce ma już zmęczone. Zaciśkał powieki. Bo na co mogły mu się zdać krótkowzroczne oczy? I miał wrażenie, że ramiona wyłamują mu się ze stawów. W jego uszach pulsowanie krwi mieszało się z łoskotem fal. „Święta Mario, Matko Boża...” - zaczął. I przerwał, bo reszta słów modlitwy wyslizgnęła mu się z pamięci jak lupek zsuwający się z klifu. Usłyszał w pobliżu jakiś ruch. Coś się do niego zbliżyło, ciężko dysząc. Chłopiec poczuł znajomy zapach mokrej sierści i płacząc, przycisnął twarz do skały. Przynajmniej z Arnolda nikt nie zrobił sita, przemknęło mu przez głowę. A w następnej chwili stał się cud. Bo Bertie poczuł coś pod stopami. Dźwignął się trochę, zmniejszając obciążenie rąk i ramion. Doznał ulgi, szum w jego uszach zniknął i w chwili, gdy to coś, co było pod jego stopami, poruszyło się lekko, usłyszał ciężkie sapanie Arnolda. Tak, to sapał Arnold, jego pies, który znał wąskie ścieżki na klifach i potrafił się po nich poruszać niczym górska kozica.

Pod spodem musi być półka skalna, wystarczająco szeroka dla psa, pomyślał Bertie. A także coś w rodzaju ścieżki ocalałej w tym miejscu po tym, jak część klifu, wiele lat temu,

obsunęła się wraz z trzema domami, które zwały się do morza. Nie wolno mi o tym myśleć! - przykazał sobie. Po czym, na wpół wisząc, na wpół stojąc, przysunął twarz do skały, a ciało przycisnął do zimnego, twardego klifu, tak jakby ten był jakimś miękkim ludzkim kształtem, na przykład ciałem matki, gdyby ta od niego nie odeszła. Nie, nie, o tym też nie będę myślał, postanowił, zapominając podziękować Matce Najświętszej, Jezusowi, archaniołowi Gabrielowi, gwiazdom, księżycowi.

Dziękował tylko Arnoldowi i błogosławił go z całego serca.

W domku na Scroop Street nie było nikogo. Okna ziały czernią, drzwi były zamknięte. Jednak nie na klucz. Dlatego Jury bez trudu wszedł do środka, poszukał po omacku kontaktu, zapalił światło i zobaczył telefon stojący w przedpokoju na niewielkim stoliku. Po czym zawołał Bertiego po imieniu, nie spodziewając się bynajmniej odpowiedzi.

Podszedł do telefonu i wybrał numer Old House. Zgłosił się Wood. Nie, nie widział panicza Bertiego i nie, pana Planta nie ma w domu. Wyszedł przed niecałą godziną. Bardzo się przy tym śpiesząc.

- Sądzę - dodał Wood - że udał się na poszukiwanie pana inspektora.

Kitty też nie widziała Bertiego. Jury dowiedział się tego, zadzwoniwszy do pubu „Pod Lisem”. Gdy do telefonu podszedł następnie Wiggins, poinformował go, co zaszło, i kazał mu zadzwonić do Harkinsa i polecić, żeby zjawił się z ludźmi, którzy przeczeszą Howl Moor, las w pobliżu dworu, a także klif.

- A co to jest „jaskółczy ogon”? - zapytał zachrypnięty Wiggins. - I dlaczego Bertie to wziął?

- Kto to może wiedzieć? Pewnie chciał pomóc policji albo zabawić się w detektywa. Albo też ochronić Percy'ego.

Naoglądał się zbyt wiele amerykańskich filmów w telewizji. Chcę, żeby go znalezione. I to jak najszybciej. Sam pójde na Angel Steps, a potem przejde się po lesie. Nie podoba mi się, że Bertie kręci się po okolicy z tym przedmiotem.

- Czy ma przy sobie Arnolda, panie inspektorze?

- Nie wiem. Ale chyba pies zawsze jest z nim?

- Zatem nie ma potrzeby się martwić - zauważył Wigglns w przyplywie czarnego humoru.

Jakiś kamień, jakaś grudka ziemi - coś się obluzowało i spadło wzdłuż ściany klifu. Arnold poruszył się. Bertie usłyszał, jak pies skrobie pazurami o skałę, i nabrał pewności, że obaj za chwilę spadną. Chłopiec, chcąc ulżyć psu, przycisnął się do mokrej skały i podciągnął trochę na rękach. Chłód był dojmujący. Bertie prawie nie czuł palców. Wisiał teraz zaczepiony o korzeń skrzyżowanymi nadgarstkami.

Arnold zaszczekał. Bertie uznał to za znak, że pies odzyskał równowagę, i ponownie oparł stopy na jego grzbiecie.

A potem usłyszał inny odgłos, dobiegający z góry. Było to szuranie, po którym chłopak zorientował się, że ktoś schodzi na dół tą samą drogą, którą przedtem zszedł Arnold.

Poczuł taką ulgę, że zalała go fala ciepła. Ktoś usłyszał szczenie Arnolda, pomyślał, i zdąża nam na ratunek.

Ale zaraz... może... może ten ktoś wraca? Żeby dokończy robotę?

Na tę myśl krew ścięła mu się w żyłach. A potem Bertie struchlał, bo bardzo blisko siebie usłyszał jakiś głos.

- Daj mi rękę - powiedział ten ktoś tonem rozkazującym i wcale nie przyjaznym.

Głos był chłopcu nieznany i przeszywał chłodem. Bertie nie tyle zobaczył, ile wyczuł wyciągnięte ku sobie ramię. Ten ktoś, kimkolwiek był, nie mógł podejść bliżej. Nie miał też na skalnej ścieżce dość miejsca, żeby pewnie stanąć.

-Daj mi rękę!-powtórzył.

To zdanie było jak dźgnięcie nożem. Pod jego wpływem strach, który chłopiec czuł przed kamienną ścianą, całkiem zniknął i Bertie przytulił się do skały, tak jakby ta była ciałem jego własnej matki. Dygotał z przerażenia, bojąc się, że za chwilę polecą w dół niczym strącony kamień.

A potem Arnold wysunął się spod niego.

Bertie gwałtownym ruchem wyciągnął rękę w stronę, z której dobiegał głos i oddech mówiącego. Jakaś dłoń chwyciła tę rękę. Jeżeli ten ktoś mnie teraz puści, pomyślał, to mam przed sobą tylko jedną, ostatnią sekundę życia, bo spadnę w wieczną ciemność.

Ta myśl przemknęła mu przez głowę, a równocześnie usłyszał jakies dobiegające z góry dźwięki. Głosy. Szczekanie psów. Zawisł na ręce trzymającej jego rękę, a w tej samej chwili inna ręka otoczyła jego ramiona.

- Bertie!

Ten głos dobiegł ze szczytu klifu. I był to głos Bertiemu znany. Tak, Bertie poznał inspektora Jury'ego i poczuł, że ktoś podciąga go w górę, a równocześnie usłyszał ciężki oddech kogoś, kogo widział jak przez mgłę i kto znajdował się tuż obok. Ostatnie podciągnięcie - i stanął na twardym gruncie.

Nie widział nic prócz niewyraźnych świateł i amorficznych kształtów, poruszających się jak we śnie w polu jego widzenia. Ale nie myślał o nich.

- Arnold! - zawołał głośno.

Terier zaszczekał, a Bertie padł na kolana i objął mokrego psa ramionami.

Ktoś był obok niego i ocierał mu mokrą twarz chusteczką do nosa.

- Bertie, chłopie - powiedział inspektor Jury. - Masz, znaleźliśmy twoje okulary.

I wsadził je Bertiemu na nos.

Wszystko wokół ożyło, tak jakby ktoś nagle podniósł kurtynę. Tak musi być, kiedy ślepiec przejrzy nagle na oczy,

pomyślał Bertie. Pośród czarnej niczym smoła nocy ludzie wyglądali jak białe posągi w ciemnym ogrodzie.

Jeden z tych ludzi zrobił krok do przodu i Bertie rozpoznał inspektora Harkinsa, osłaniającego stulonymi dłońmi płomyk zapalki, którą zapalał właśnie cygaro. Jury mówił do kogoś, kto znajdował się za Bertiem - nie do Harkinsa, tylko do kogoś innego.

- Dobrze, że pan tu był - stwierdził.

Bertie odwrócił się i zobaczył, że za jego plecami stoi Julian Crael.

Znajdując się tuż poza kręgiem światła padającego z elektrycznych latarek, Julian wycierał sobie dłonie chusteczką do nosa. Rękaw jego koszuli był rozdarty. Płaszcz, który najwyraźniej rzucił na ziemię, żeby mu nie krepował ruchów podczas schodzenia, leżał tuż obok. Julian podniósł go teraz i włożył na siebie.

- Ciekawy zbieg okoliczności - zabrzmiał komentarz Harkinsa.

Julian milczał.

Jury przełknął ślinę, czując się tak, jakby atak skierowany był przeciwko niemu samemu. Musi to być trudne do zniesienia, pomyślał, być oskarżanym o usiłowanie morderstwa na kimś, kogo człowiek przed chwilą uratował.

- Sądzę, że powinniśmy pójść do dworu i porozmawiać - odezwał się Harkins.

- Ja zaprowadzę Bertiego do domu - odrzekł Jury.

- Musimy przesłuchać chłopca - warknął Harkins.

- Zrobię to u niego w domu. Nie tutaj.

Harkins odwrócił się z niesmakiem, a Jury odciągnął na bok Wigginsa.

- Posłuchajcie, sierżancie, idźcie z nimi do Old House i dopilnujcie, żeby Harkins nie zlinczował Juliana. A potem przyjdźcie do domku Bertiego.

Harkins wydał polecenie dwóm ze swoich ludzi, żeby

nadal szukali narzędzia zbrodni, a potem zaczął się oddalać wraz z Julianem.

- Panie Crael! - Bertie wyrwał się Jury'emu, podbiegł do Juliana i otoczył go w pasie ramionami; przytulił się do niego tak, jakby Julian był mokrym Arnoldem.

Kiedy go puścił, Julian zasalutował ręką w powietrzu.

- Do zobaczenia, kolego.

Arnold zaszczeakał, a jego ogon zaczął śmigać niby bat. No cóż, pomyślał Jury, u tego psa tak najwyraźniej wygląda merdanie.



# VII

Simon mówi

# 1

Ponieważ Bertie omal nie zasnął na stojąco, położyli go do łóżka, a Jury uparł się, że z nim zostanie i prześpi się na kanapie. Wiggins w szlachetnym odruchu zrezygnował z powrotu do swego pokoju „Pod Lisem” i także z nimi został. A Melrose Plant, który nie chciał niczego uronić, obudził się wczesnym rankiem z ramieniem obolałym po całonocnej drzemce w fotelu.

Teraz wszyscy - Jury, Bertie, Melrose, Wiggins i Arnold - tłoczyli się wokół przykrytego ceratą kuchennego stołu. Melrose odstąpił ostatnie krzesło Arnoldowi, a sam usiadł na wysokim stołku.

Bertie, pojony przez nich herbatą i karmiony grzankami, opowiadał im wszystko wiele razy. Nie, nie widział nic i nic nie słyszał, ani też nie czuł. Nic, co pozwoliłoby mu się domyślić, kto go popchnął.

Jury, jakby sądząc, że łąpówka może odczarować pamięć, położył na talerzu chłopca jeszcze kilka plasterków bekonu. Dał też parę Arnoldowi.

-Musi być coś takiego,Bertie.

- Może i musi, ale nie ma - powiedział Bertie stanowczo, nabijając na widelec kawałek bekonu. - Kto za to zapłaci?  
- zapytał, podnosząc go do góry.

- Ja - oznajmił Melrose. - Sierżant Wiggins obudził starą sklepikarkę dosłownie o świcie.

Wiggins po bezsennej nocy nie wyglądał dobrze. Maczał właśnie grzanekę w żółtku jajka.

- Aha - powiedział Bertie. - No to dziękuję. Obaj z Arnoldem bardzo lubimy bekon.

- Ktoś cię śledził. Szedł za tobą - powiedział Jury. - Kimkolwiek był, musiał myśleć, że niesiesz to narzędzie do Old House albo na policję i że widziałeś, kto wziął je z domku Percy'ego.

- Ale ja przecież tego nie widziałem i nie niosłem tego narzędzia w żadne z tych miejsc.

- Morderca o tym nie wiedział. Zresztą jaki mógł być inny powód, dla którego je wziąłeś?

- Wziąłem je, bo nie chciałem dopuścić do tego, żeby Percy znalazł się w tarapatach.

- Jesteś bardzo lojalny - odezwał się Wiggins z pełnymi ustami. - Ale to się nazywa manipulowanie dowodami, chłopcze.

Bertie pobladł na te słowa, widząc na dodatek wycelowany w siebie widelec Wigginsa.

- Co ze mną zrobią? - zapytał.

- Och, pewnie dadzą ci medal - powiedział Melrose, poprawiając się na niewygodnym stołku. A potem westchnął. - Znowu spudłowałem. Chyba najlepiej będzie, jeżeli wycofam się z zawodu.

Jury uśmiechnął się i napił się herbaty.

- To j a powinienem się wycofać. Nawet nie pomyślałem o narzędziach Percy'ego.

- No cóż, pan nie przyjrzał się im tak dobrze jak ja. Wisiały na ścianach. A ponieważ nie miałem nic do roboty...

Świadomość pudła była naprawdę bolesna.

- To stary Arnold zasługuje na medal - zauważył Bertie.

- Zgadzam się - oświadczył Melrose Plant. - Może mógł byś mu kupić jeden z tych krawatów, o których mi mówiłeś. Na przykład taki, jaki noszą członkowie wydziału do spraw zabójstw. Arnoldowi byłoby w nim naprawdę dobrze.

Bertie łypnął na niego.

- Wiem, kto tego nie zrobił - oznajmił. - Mogę to panom powiedzieć. Ten inspektor Harkins jest głupi. Nie zrobił tego pan Crael.

Melrose, zapalając cygaro, spojrzął na Bertiego ponad płomieniem zapalniczki.

- Myślisz, że to nie on, bo zszedł tam na dół i złapał cię za rękę? Oczywiście, to byłby czyn jak najbardziej chwalebny. Ale pod warunkiem, że przedtem to nie on cię zepchnął z kłifu. A mogło tak być. Mógł najpierw cię zepchnąć, a potem, słysząc, że nadchodzimy, nie mieć już wyjścia.

Bertie pokręcił głową.

- Ja tak sądzę z powodu Arnolda.

- A ja chyba jestem tępy, bo nie rozumiem - powiedział Jury. - Wyjaśnij to bliżej.

- Arnold się poruszył. No tak, kiedy pan Crael powiedział, żebym mu dał rękę, Arnold przestał czekać i wysunął się spode mnie. Wtedy musiałem puścić ten korzeń, którego się trzymałem. Nie miałem innego wyjścia. Nie sądzą chyba panowie, że Arnold by się tak zachował, gdyby pan Crael był tą samą osobą, która mnie ścigała i która zabrała narzędzie. Nie myślicie przecież, że Arnold byłby aż tak głupi.

- Ależ oczywiście, że tak nie myślimy - zapewnił Melrose, otwierając poranną gazetę i szukając krzyżówki.

- Bertie ma rację - stwierdził Jury.

- Nie można jednak zawsze polegać na psie - odezwał się Wiggins.

Jury spojrzął na niego, chcąc się przekonać, czy żartuje. Ale Wiggins ze śmiertelną powagą sypał cukier do herbaty.

Jury zapalił papierosa. I poczuł, że smakuje jak stara skarpetka.

- Na Arnoldzie można - zapewnił Bertie Wigginsa. - To najinteligentniejszy pies, jakiego znam. - Chłopiec wpakował do ust kawałek grzanki. - Potrafi się bawić w „Simon mówi”.

- A to ci dopiero - zdumiał się Melrose, szukając synonimu słowa „zaciemnić”.

- No to proszę popatrzeć. Arnold, Simon mówi: Zrób to! - powiedział Bertie i zerwał się z krzesła.

A Arnold, naśladując go, poderwał tylną część ciała.

- Widzicie? - zatriumfował Bertie i ponownie zwrócił się do psa: - Arnold, Simon mówi: Zrób to! - zawołał i rozradowa ny, klepnął się dłonią w policzek.

Arnold podniósł łapę do oka.

- Nie, Arnold! Postaraj się lepiej!

- Ale on przecież to zrobił - ujął się za Arnoldem Melrose, zafascynowany mimo wszystko popisami psa.

- Podniósł nie tę łapę, co trzeba- orzekł Bertie z lekceważącym gestem.

- Przecież nie możesz spodziewać się po Arnoldzie, że zrozumie, na czym polega lustrzane odbicie - powiedział Melrose, pukając się w skroń, po czym pogrzebał w pudełku z psią karmą i dołożył trochę na talerz Arnolda.

- Powinien to zrozumieć - odparł nonszalancko Bertie.

Wiggins zachichotał.

Jury zapatrzył się w przestrzeń.

A w jego wyobraźni, niczym petrel wynurzający się na powierzchnię ze zdobyczą, wyłoniły się ulotne obrazy. Najpierw obraz samego siebie w lustrze, przekładającego chusteczkę z jednej strony na drugą... A potem inny obraz... obraz dłoni Lesa Airda, którą ten przeciągał po twarzy dla zilustrowania opisu dziwnego wyglądu tej osoby we mgle... I w końcu, co najważniejsze, ten obraz, który namalował Adrian Rees. Tak, pomyślał Jury, wszyscy, łącznie ze mną, popełniliśmy ten

sam błąd. A największym głupcem spośród tych osób okazałem się ja sam. Cofnął się pamięcią, przypominając sobie opis ciała Gemmy Tempie z policyjnego raportu... A może rzecz polega na czym innym? Może ja nie chciałem przyjąć do wiadomości tego rozwiązania zagadki, które - gotowe do ucieczki - czało się na dnie mojego umysłu?

Wszyscy patrzyli teraz na niego.

A on, nie zdając sobie z tego sprawy, podniósł się z miejsca.

- Muszę gdzieś zadzwonić - poinformował, wkładając do kieszeni papierosy. - Sierzancie Wiggins, spotkamy się za piętnaście minut. A tymczasem skończcie śniadanie.

Wiggins wyglądał na zaskoczonego.

- Spotkamy się, panie inspektorze? Ale gdzie? Czy coś się stało?

- Nie, nie. Chcę tylko, żebyście za piętnaście minut spotkali się ze mną u Adriana Reesa.

## 2

- O co mu chodziło? - odezwał się Melrose. Kierował pytanie do wszystkich, nie wyłączając Arnolda.

- Wyglądał tak, jakby zobaczył ducha - powiedział Wiggins, dopijając herbatę.

Melrose wrócił do krzyżówki. Może to niepoważne, pomyślał, ale skoro skończyłem z zajęciem detektywa, mogę się zająć czymś odpowiedniejszym. „Na jej imieniu można było grać jak na instrumencie”. Postać z Szekspira. Pięć liter pionowo. Melrose zaczął gryźć ołówek. Piętnaście poziomo - idiota Bardzo odpowiednie hasło.

Grać. Fortepian? Nie, Szekspir nigdy nikomu nie nadał takiego imienia. W tym tempie nie zdążę jej rozwiązać przed upływem kwadransa, jak mam w zwyczaju. Och, na miły Bóg,

pomyślał, przecież to Viola! Z *Wieczoru Trzech Króli*. Hm, ciekawe.

Viola i Sebastian, bliźnięta.

Mózgownica Melrose'a zaczęła tykać niczym zegar. Sie-dział i zastanawiał się. Przez cały kwadrans. A po kwadransie zwrócił się do chłopca:

- Słuchaj, Bertie, czy mogę pożyczyć Arnolda?

### 3

Lily wyszła z mgły na Grapę Lane. I szła ku niemu z gołą głową, a wiatr od morza rozwiewał jej jasne włosy.

- Kitty powiedziała mi właśnie o Bertiem - zwróciła się do niego. - Piłyśmy kawę w pubie. Ta straszne, straszne. - W jej oczach zabłyśły łzy. - Kto mógł zrobić coś takiego?

Popatrzyła na niego ze smutkiem, wyczekująco. A jego po raz kolejny poraziły jej blada uroda i tragizm jej losu. Próbował odpowiedzieć, ale wargi miał zdrętwiałe.

- Nie wiemy - odezwał się w końcu.

- Idę właśnie do mojej kawiarni. Czy pan też tam szedł?

- Nie, nie. Ja idę do galerii.

- No to bardzo proszę, niech pan wpadnie później na kawę.

Jury podziękował, a potem odprowadził ją wzrokiem... Dziwne... Nie dalej jak poprzedniego dnia widział ją na kasztance, elegancką, w zielonych aksamitach...

A teraz... Wciąż stał wpatrzony w to miejsce, w którym zniknęła, ginąc we mgle zamykającej się za nią niby zasłona dymna.

## 4

Szary cętkowany kot, uderzając łapkami w szybę, próbował chwycić topniejące płatki śniegu padającego za oknami Galerii Rackmoorskiej. Nie przerwał swego frustrującego zajęcia nawet wtedy, kiedy zadźwięczał dzwonek i Jury wszedł do środka.

We wnętrzu galerii było tylko trochę ciemniej niż na dworze. Śnieg zaczął padać, kiedy Jury wychodził z domku Bertiego, a mgła dodatkowo sprawiała, że wioska Rackmoor leżała skulona w posepnym mroku.

W małej kuchni na tyłach domu coś zabrzęczało - być może upadł jakiś rondel - a potem dała się słyszeć wiązanka, po której ktoś fałszywie zagwizdał jakąś melodię.

- Panie Rees! - zawołał Jury.

W kuchennych drzwiach, obrysowana żółtym światłem, pojawiła się sylwetka Adriana.

- A, pan inspektor! W samą porę, by zjeść ze mną śniadanie składające się z kawałków cienkiego owsianego placka. Czyli z tego samego, co musiała jeść ta biedaczka Jane Eyre w swojej szkole. Ale nie, żartowałem. Bo tak naprawdę przygotowuję jajka na bekonie. Rzecz w tym, że w takie dni jak dzisiejszy czuję się zawsze trochę jak w świecie sióstr Bronte. O co chodzi?

- Chciałbym jeszcze raz zobaczyć obraz. Ten przedstawiający Gemmę Tempie.

- No w końcu! Klient! Ile pan za niego da? - spytał Adrian i łypnąwszy chytrze okiem, poprowadził Jury'ego na górę.

Obraz olejny znajdował się na sztalugach, które Adrian ustawił przy oknie, chcąc uzyskać jako takie oświetlenie. A Jury, patrząc na niego, ponownie odniósł wrażenie, że jego umysł nęka ją duchy.



- Czy jest pan pewien, że ona tak właśnie wyglądała? - za pytał.

Adrian westchnął i oblizał łyżeczkę, którą wyjął z filiżanki z kawą.

- Wciąż pan mnie o to pyta. A więc odpowiadam: Tak, tak, i jeszcze raz tak.

- To nie była Gemma Tempie - oznajmił Jury, po czym odwrócił się i zszedł na dół.

A Adrian został na miejscu, patrząc z otwartymi ustami to na obraz, to na puste już schody.

Jury wyciągnął z kieszeni tweedowy kapelusz i włożył go na głowę. Śnieg na brukach topniał. A on żałował, że nie jest inaczey, że idąc teraz High Street, nie widzi wielkich zasp z suchego, białego puchu...

Nagle za plecami usłyszał jakiś głos. Ktoś go wołał. Jury obejrzał się i zobaczył, że dogania go Wiggins.

- A co z Adrianem Reesem? - zapytał zasapany sierżant, wydymając inhalator.

- Nic. Byłem u niego, bo chciałem zobaczyć ten obraz.

- Obraz? Który? Myślałem, że idzie pan go aresztować. Wyglądał pan tak...

Wiggins nie znalazł odpowiedniego słowa. Przysunął inhalator do nosa.

- Ten, na którym Adrian Rees przedstawił Gemmę Tempie. Albo raczej uważał, że przedstawia właśnie ją. Zaraz to panu wyjaśnię, sierżancie... - Skręcili w Bridge Walk i weszli już po wąskich schodkach, kiedy Jury nagle przystanął, spoglądając w stronę mostu. - Kto to jest, u diabła?

Wiggins zmrużył oczy, bo sypał coraz gęstszy śnieg.

- Moim zdaniem, to pan Plant. Z Arnoldem.

## 5

Melrose Plant palił, oparty o ścianę „Bridge Walk Cafe”. Gdy Jury z Wigginsem się zbliżyli, wskazał mały napis za szybą, który głosił: ZAMKNIĘTE.

- Otwierają o dziesiątej - powiedział. - Mamy więc parę minut.

- Co pan tu robi, u diabła? - zagadnął przyjaznym tonem Jury. -1 to na dodatek z Arnoldem.

Arnold był przy tym na smyczy. I Jury nie mógł w to uwierzyć.

- Już myślałem, że pan nie zada tego pytania - odparł Melrose Plant. - Jak to miło zdążyć gdzieś przed panem. Papierosa?

Jury pokręcił głową.

- Czy mam teraz zacząć długie, nużące, choć dość był skotliwe wyjaśnianie, czy też zaczekamy na pokaz? No cóż, z pańskiego kamiennego wyrazu twarzy wnioskuję, że nie należy czekać. Więc dobrze. Arnold...

Żaluzja w drzwiach kawiarni podjechała w górę. Mały napis został odwrócony. Obwieszczał teraz OTWARTE, a za szybą ukazała się uśmiechnięta Lily.

- Przepraszam, nie wiedziałam... - powiedziała, otwierając drzwi.

I w tej samej chwili jej wzrok padł na Arnolda. A Arnold spojrział na nią. I zawarczał. Warknięcie nie było głośne, ale groźne i stanowcze. Wydobywało się gdzieś z głębi psiego brzucha.

Lily cofnęła się o krok, próbując się roześmiać.

- Co się dzieje? Co się Arnoldowi stało?

Melrose spojrział na Jury'ego, a Jury kiwnął głową. Melrose pociągnął lekko smycz, ale Arnold twardo, nieustępliwie nie ruszał się z miejsca. Jury zrozumiał teraz, po co była

smycz, którą Melrose owinał sobie kilkakrotnie wokół nadgarstka. Pociągnął ją jeszcze raz.

- Daj spokój, stary.

Z początku Arnold się nie poruszył, a potem, bardziej opanowany niż którykolwiek znany Jury'emu człowiek, odwrócił się, reagując na kolejne pociągnięcie Melrose'a, i ruszył wraz z nim ulicą.

Dżentelmen z psem na spacerze.

Lily już miała zamknąć drzwi, jednak Wiggins wsunął między nie stopę.

- Chcielibyśmy wypić poranną kawę, panienko.

Jury omal się nie roześmiał. Sierżant Wiggins bowiem, którego ta wizyta musiała bardzo zaskoczyć, nader rzadko demonstrował, że ma poczucie humoru.

Lily stała na środku pokoju - sztywno wyprostowana i z twarzą białą jak kreda.

- Pani nazywa się Lily Siddons - zwrócił się do niej Jury lodowato oficjalnym tonem. I, co było oczywiście do przewidzenia, nie otrzymał żadnej odpowiedzi. - Przychodzimy tu, żeby panią aresztować pod zarzutem morderstw popełnionych na Gemmie Tempie i Olive Manning. A także pod zarzutem usiłowania morderstwa na Bertiem Makepiesie. Ostrzegam, że wszystko, co pani powie, może zostać zapisane i użyte przed sądem w charakterze dowodu przeciwko pani.

Przez chwilę jej milczenie zdawało się wypełniać cały pokój. Ciszę zakłócał tylko szelest śniegu uderzającego o szybę. Wiggins wyjął notes.

W tej samej chwili Lily się roześmiała. Śmiechem głośnym i irytującym. Śmiała się tak, że zdawało się, że zaraz padnie, że zwali się bez sił na krzesło.

- A kto będzie pańskim głównym świadkiem, panie inspektorze? - zapytała, chwytając powietrze ustami. - Ten pies?

Jej śmiech wyglądał na szczery. I właśnie to wydało się Jury'emu okropne.

- Nie - odrzekł - choć muszę powiedzieć, że byłby świadkiem bardzo dobrym.

Lily zerwała się z krzesła.

- Proszę siadać - powiedział Jury.

- Muszę się napić wody.

- Podają pani sierżant Wiggins.

Na stole koło okna stała woda i szklanki. Wiggins nalał wody i podał szklankę Lily.

A ona, pijąc drobnymi łykami, patrzyła ponad krawędzią szkła na Jury'ego, który pomyślał, że nigdy dotąd nie widział, żeby komuś tak się zmieniły oczy. Jej tęczyówki bowiem, o bladej barwie księżycowego światła, zrobiły się żółte, a potem przybrały kolor krwawnika.

- Zdaje się pan zapominać - powiedziała cicho i z igrającym na ustach półśmieszkim - że ktoś próbował zabić mnie.

- To było najsprytniejsze z pani strony - odrzekł na to Jury. - Postawić się w sytuacji niedoszłej ofiary. Bo któż by pomyślał, że ofiara może być morderczynią? Mieliliśmy jednak w tej sprawie tylko pani słowo. Nieprawdaż?

Lily uśmiechnęła się z irytującym spokojem.

- Nie miałam przecież motywu. Nie mówiąc już o okazji do zbrodni.

Wstała z krzesła, a Jury pozwolił jej chodzić. Przechadzała się więc wśród stołów, poprawiała to szklankę, to jakieś sztućce, tak jakby i inspektor, i Wiggins wpadli tutaj tylko na kawę. Zresztą Jury nie przełknąłby nawet łyżeczka napoju. Bo choć usta miał suche, jego gardło było ściśnięte.

- Miała pani motyw najlepszy ze wszystkich. Jako wnuczka pułkownika Craela dostałaby pani miliony.

Podniosła wzrok znad serwetki, którą składała z doskonałym spokojem.

- Ależ to nonsens.

Jury musiał jej to powiedzieć. A ona nawet nie drgnęła.

- Od jak dawna pani o tym wie? - zapytał. - Sądzę, że od niedawna. Wiedziała o tym Olive Manning. Była powiernicą lady Margaret. Pani matka zabiła się z powodu Rolfe'a Craela, prawda? Dlatego że on w taki sposób zniknął z horyzontu, że dał się po prostu wywieźć. A kradzież tej biżuterii...

Lily cisnęła ściągniętym z palca pierścieniem tak błyskawicznie i z taką furją, że Jury zorientował się, że to pierścionek, dopiero wtedy, gdy usłyszał brzęknięcie o podłogę.

- On jej go dał! Dał jej go! Są na nim ich inicjały i data. To znaczy inicjały mamy i... Rolfe'a Craela! Niech ich piekło pochłonie! Doprowadzili ją do samobójstwa! A ja mam tak samo dobre prawo do tych pieniędzy jak ktokolwiek inny! Prawo do tego domu, do pozycji, do nazwiska! Bo ja jestem Lily Crael!

Jury chwycił ją za ramiona. Lily stała przez chwilę bez ruchu, jakby już odzyskała panowanie nad sobą. A potem nagle podniosła rękę i przejechała mu paznokciami po twarzy. Jury poczuł, jak zadrapania podbiegają krwią. Odepchnął ją bez słowa. A ona padła na krzesło w chwili, gdy Wiggins, chcąc podbiec do Jury'ego, przewrócił swoje.

- Wszystko w porządku - uspokoił sierżanta Jury i wziął od niego chusteczkę.

Lily siedziała w milczeniu. Na stole, na samym jego środku, stała kryształowa kula, którą tu umieściła dla zabawienia klientów, udając cygańską wróżkę. Kula tkwiła na małym hebanowym postumencie, okryta czarnym aksamitem. Lily spojrzała na nią tak, jakby spodziewała się, że wyczyta z niej swoją przyszłość.

Jury, trzymając chusteczkę przy twarzy, kontynuował. Wiggins tymczasem, bardzo czujny, usiadł przy sąsiednim stoliku i otworzył notes.

- Łatwo było pani wynieść to narzędzie z domku Percy'ego Blythe'a. Przyjaźniliście się przecież.

Lily wyjęła papierosa z małej porcelanowej fiki i podniosła go do ust.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Przeciwnie, dobrze pani wie. Zapalę pani tego papierosa, jeżeli zdoła go pani utrzymać z daleka od mojej twarzy - powiedział z półśmiechem i zapalił zapałkę.

- Jest pan bardzo inteligentnym policjantem. - Omiotła wzrokiem jego twarz. - Przykro mi, że to panu zrobiłam. Na prawdę bardzo mi przykro. - Podparła dłonią brodę i zapłakała bezgłośnie, a łzy popłynęły po jej bladych policzkach.

- No tak. To prawda. Dowiedziałam się o tym, kiedy znalazłam skrzynkę z jej rzeczami. Pierścionek, to zdjęcie, które pan zabrał. Wyciąłam z niego jego twarz... To znaczy, twarz Rolfe'a. Był z nią na tym zdjęciu. - Lily schyliła się i podniosła z podłogi pierścionek, a potem przyjrzała mu się i upuściła go na blat stołu. - Nie nosiłam go przy pułkowniku. Mój Boże! Ja nawet wyglądam tak jak oni! Dlaczego nikt nigdy tego nie widział?

Powiedziała to jakimś żałośnie cienkim głosem.

- Skłoniła pani Olive Manning, żeby się z panią spotkała przy tym murze. I myślała pani, że Bertie widział, jak bierze pani to narzędzie z domku Percy'ego Blythe'a, prawda?

Lily milczała.

- Musiała pani wysłać Gemmie Tempie jakiś liścik, coś, co ją sprowadziło na Angel Steps. Czy podszyła się pani pod Juliana, sugerując, że to on chce się z nią spotkać? Czy pod Adriana Reesa? Mnie się wydaje, że pod Adriana. To dlatego Les Aird widział, jak ona idzie High Street. Nie wiedziała, że Adrian jest w pubie „Pod Lisem”, bo nie przeszła przez bar. Sądzę, że to Maud Brixenham zrobiła jakąś aluzję na temat ich związku. - Uparte milczenie Lily wydało mu się tak bezspornym przyznaniem się do winy, że zakończył słowami:

- Lepiej niech mi pani powie, Lily. Bo jest już po wszystkim. Sama pani o tym dobrze wie.

- Nie ma sposobu, bym mogła się dostać z mojego domu na Angel Steps w ciągu kilku minut. Nawet pan tak powiedział.

- Pani w chwili morderstwa nie znajdowała się w swoim domu. Osoba, którą Adrian widział na Grapę Lane, to nie była Gemma Tempie. To pani była tą osobą. Gemma Tempie wtedy już nie żyła. Zabiła ją pani między momentem, w którym widział ją Les, a chwilą, w której Adrian widział panią idącą Grapę Lane.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytała schrypniętym głosem, z twarzą białą jak ściana.

- To, co powiedziałem. Gemma Tempie została zabita przed godziną kwadrans po jedenastej. A nie po tej godzinie, jak wszyscy się zasugerowaliśmy. - Jury pochylił się w stronę Lily, zapominając, że przed chwilą go podrapała. Jej twarz, pomyślał, nosi ślady urody lady Margaret. - Proszę posłuchać, Lily...

Tym razem zadziałała jeszcze bardziej błyskawicznie. Jury w jednej i tej samej chwili zobaczył jej podniesione ramię, kryształową kulę o cal od swojej głowy i wzlatającą w górę stopę Wigginsa, który powywracał wszystko - stół, krzesła, szklanki - i na dodatek jego samego, powstrzymując dłoń Lily, zmierzającą ku jego głowie.

- Chryste! - rzucił Jury, zbierając się z podłogi. - Gdzie się pan tego nauczył, sierzancie?

- To karate, panie inspektorze. - Wiggins ciężko dyszał. - Sport zbawienny dla zatok, jak się przekonałem.

Jury już klęczał obok Lily, która leżała nieprzytomna na kamiennej podłodze.

- Musiała się uderzyć w głowę. Czy w Rackmoor jest w ogóle lekarz? Proszę sprawdzić, czy da się go sprowadzić. Ja z nią zostanę. - Jury wziął swoją kurtkę i podłożył ją młodej

kobiecie pod głowę. - Macie aspirynę, sierżancie? Okropnie lupie mnie w czaszce.

Była to jedyna rzecz, na którą mógł zawsze liczyć. Wiedział o tym dobrze. Tak, sierżant Wiggins zawsze miał przy sobie aspirynę.

Stojąc przy oknie, Jury odprowadził wzrokiem Wigginsa, który w zapadającym zmroku oddalał się pośpiesznie ulicą, a potem poprzez padający śnieg spojrzął na mały mostek nad potokiem; jego balustrady pokryte były białym puchem.

Wrócił do stołu, usiadł i w półmroku wpatrzył się w twarz Lily. Błądą jak marmur, spopieliała. Lily poruszyła się lekko i cicho jęknęła. Jury zaczął się zastanawiać, czy powinien dać jej trochę brandy. Czy w kawiarni jest brandy? - zadał sobie pytanie. Chociaż nie. Lepiej poczekać na lekarza. Siedział, obserwując jej twarz, na której niby ulotny dym czały się ślady urody lady Margaret.

Uświadamiając to sobie, złapał się za głowę. Co za marnotrawstwo, pomyślał.

## Ó

- Lily? - powiedział pułkownik Crael. - Lily? Właśnie ona? Nie, pan nie mówi poważnie.

Pułkownik podniósł wzrok na Jury'ego, który stał na środku Bracewood Room, i spojrzął na niego tak, jakby Jury coś źle zrozumiał, pomylił Lily z kimś innym.

- Przykro mi, panie pułkowniku, ale tak.

Zapadła cisza.

- Chciałbym ją zobaczyć - powiedział sir Titus po chwili. - Jeżeli, oczywiście, jest to możliwe.

- Niestety, nie. W każdym razie nie teraz.



A właściwie nigdy, pomyślał Jury, jeżeli ja będę mógł mieć na to jakikolwiek wpływ. Być może związek Lily z rodziną ujrzy kiedyś światło dzienne, myślał dalej. Jednak ja nie zamierzam ujawniać go teraz. Bo dla pułkownika odkrycie, że Lily jest jego wnuczką - i to właśnie teraz, kiedy nie może nic w tej sprawie zrobić - okazałoby się zbyt wielkim ciężarem.

- No to Julian... No cóż, w tej sytuacji nic mu już nie grozi - pocieszył się pułkownik.

A Julian, który stał oparty o gzyms kominka, spojrzął na Jury'ego i uśmiechnął się do niego zagadkowo.

Kiedy pułkownik, wzmocniwszy się odrobiną whisky, wyszedł w towarzystwie Melrose'a Planta, Julian zwrócił się do Jury'ego:

- Niestety - powiedział. - Ojciec nie ma racji. Bo coś mi jednak grozi, prawda? Zresztą groziło mi przez cały czas. Mimo to cieszę się, że jeżeli chodzi o bieżące sprawy, to jest już po wszystkim.

Ciekawe, zastanowił się Jury, jak byś zareagował na wieść, że Lily Siddons należy do waszej rodziny, że jest dzieckiem Rolfe'a. Byłoby to zapewne dla ciebie dodatkowe obciążenie, wynikające z więzów krwi, z których powodu i tak cierpiełeś przez całe życie. Mam zatem nadzieję, że nigdy się o tym nie dowiesz.

- Wie pan, panie Crael - powiedział - nie wydaje mi się, by sąd okazał się dla pana zbyt surowy. Sprawa... - Nie chciał użyć słowa „morderstwo”. - Sprawa sprzed piętnastu lat... - Wzruszył ramionami. - No a poza tym pan przecież uratował życie Bertiemu.

- Mówi pan prawie tak, jakby chciał mnie pan przeprosić, panie inspektorze. Bertie to dzielny chłopak, prawda? To nie dobrze, że jego matka w ten sposób odeszła. Będę do niego zaglądał. Czasami. Kiedy będę wolny.

Dodał tę ironiczną uwagę, próbując odzyskać swoją dawną obojętność - ten umysłowy nawyk, który w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin przecież go zawodził.

A potem wrzucił papierosa do kominka i bez słowa wyciągnął rękę, którą Jury uścisnął.

Gdy był już w drzwiach, odwrócił się jeszcze i powiedział:

- Postanowiłem nie składać tej skargi do Scotland Yardu.
- Jakiej skargi? - zapytał Jury.
- Na brutalność policji - odrzekł i z pierwszym szczerym uśmiechem, jaki zobaczył u niego Jury, cicho zamknął za sobą drzwi.

- Nie wiem, co powiedzieć, panie inspektorze... Boże drogi...

Wiggins ze zdenerwowania mówił prawie dyszkantem.

Jury, trzymając słuchawkę przy uchu, zamknął oczy.

- Jak to się stało?

- Powiedziała, że chce herbaty, a ja się zgodziłem, ale pod warunkiem że pójdę z nią do kuchni. Obserwowałem ją jak polujący jastrząb, naprawdę. Nie odrywałem od niej oczu...

- Kontynuujcie, Wiggins. Co się dalej stało?

- Byliśmy w kuchni. Nie włączyła czajnika. A mnie już samo to powinno było zaniepokoić. Postawiła wodę w rondelku. Stałem obok niej, koło kuchenki. I zanim się zorientowałem, cisnęła we mnie tym naczyniem, pełnym wrzątku.

- Jak się czujecie? Bardzo jesteście poparzeni?

- Nie. Ale to zabolalo. No i oczywiście spowodowało, że wyrzuciłem w górę rękę. A to z kolei wystarczyło, żeby ona zdążyła uciec. Wyleciała przez drzwi kuchenne, zatraskując je za sobą. Zdołałem je otworzyć dopiero po pięciu minutach. Ale do tego czasu...

...już jej nie było, dokończył w myśli Jury.

- Jest tam jeszcze Harkins? - zapytał.

- On i jego ludzie przed chwilą przyszli. Boję się, panie inspektorze, że Harkins mnie zabije.

Ta ostatnia uwaga została wypowiedziana tonem tak poważnym, że Jury omal się nie roześmiał.

- No cóż - powiedział - Harkins będzie pewnie potrzebował większej liczby ludzi. Aha, sierżancie, każcie natychmiast sprawdzić na tym górnym parkingu, czy jest tam jej samochód.

- To pierwsza rzecz, którą zrobiłem, panie inspektorze. Bo pomyślałem, że ona tam pobiegnie. Jednak wygląda na to, że tego nie zrobiła. Samochód nadal stoi. Z Rackmoor jest tylko jedna droga wyjazdowa i Harkins ją zablokował.

- Ale pieszo można uciec różnymi drogami. Będziemy musieli otoczyć kordonem całą wioskę.

Jury pożegnał się z Wigginsem i już miał się rozłączyć, kiedy sierżant powiedział:

- Panie inspektorze?

- Tak, sierżancie?

- Ja nie próbuję się bynajmniej usprawiedliwiać. Ale ona działała po prostu błyskawicznie. To znaczy... nigdy w życiu nie widziałem, żeby ktoś tak szybko się ruszał.

- W porządku, Wiggins. To się mogło zdarzyć każdemu. Wiem, że ona jest szybka. Widziałem, jak posługuje się nożem.

Wiggins spróbował się roześmiać.

- No to ja już wolę wrzątek.

## 7

Przez całe popołudnie przeczesywali wioskę, zwracając szczególną uwagę na pusty magazyn obok pubu „Pod Dzwonem” oraz wszystkie niezamieszkałe teraz domki letników. Jury przypomniał sobie, co powiedziała Maud Brixenham.

„Było to kiedyś ulubione miejsce spotkań przemytników. Łatwo się tu schować wśród tych krętych, małych uliczek”.

Żadne słowa nie wyraziłyby tego lepiej. Uliczki i zaułki - przejezdne i ślepe - wijące się w górę, w dół i w poprzek niczym geometryczne ornamenty. Więcej niż dwunastu mężczyzn, w tym Melrose i Bertie, chodziło po Rackmoor, rozpytujac i szukając wszędzie.

Tymczasem Jury był zdania, że Lily Siddons znajduje się już w Yorku albo w drodze do Londynu.

Gdy zapadł prawie całkowity zmrok, Jury i Harkins znaleźli się w pubie „Pod Lisem”. Siedzieli razem przy posiłku - pierwszym od rana. Kitty, choć zszokowana, zdołała dla nich przygotować dwie porcje chleba z serem i marynowanymi cebulkami.

- Rees i ja popełniliśmy ten sam błąd - oznajmił Jury.

- Na jego obrazie biała była lewa strona twarzy przedstawionej kobiety. Wynikło to stąd, że tak to wyglądało, jeżeli się na nią patrzyło wprost. Ale Les Aird, z tego samego powodu, musiał mieć na myśli prawą stronę, bo widział Gemmę Tempie, a nie Lily. W raporcie policyjnym zostało napisane „lewa strona”. Ale wy patrzyliście na to, tak jak ja powinienem był patrzeć - jak na lewą stronę twarzy ofiary. Tak więc osobą, którą Adrian Rees minął na Grape Lane, była Lily Siddons. Postarała się o to, żeby ktoś ją widział, bo chciała mieć pewność, że my będziemy myśleli, że Gemma Tempie wciąż jeszcze żyła w chwili, gdy ona, to znaczy Lily, była z Kitty, i że Kitty zaświadczy o jej alibi.

- Lustrzane odbicie - powiedział Harkins, najwyraźniej zadowolony, że raport policyjny okazał się dokładny i zgodny z rzeczywistością, podczas gdy wszyscy inni się mylili.

- Czy ona wzięła ten kawał płótna celowo, żeby uwikłać w kłopoty Reesa?

- Być może. Nie jestem tego tak do końca pewien. Ale powinienem był zauważyć białą farbę na lewej ścianie

Angel Steps. To Gemma Tempie zostawiła tę smugę, kiedy upadła głową w dół. I to lewa strona jej twarzy zostawiła ten ślad.

Harkins obciął koniec cygara.

- Muszę powiedzieć, że panna Siddons zasługuje na sporo punktów za tę swoją cholerną zimną krew. I na dodatek ten jej chytry chwyt z rzekomym mordercą, zasadzającym się na nią, który wymyśliła dla odwrócenia naszej uwagi... No, no.

- Hamulce w samochodzie. Odwrócone grabie. Wszystko to sobie wymyśliła. No i wykoncypowała dwa identyczne kostiumy. Jedyną rzeczą, której nie mogła przewidzieć z góry, był sposób, w jaki Gemma Tempie pomaluje sobie twarz - którą stronę na białą, a którą na czarno. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby nigdy nie zdała sobie sprawy z faktu, że popełniła taki sam błąd jak ja. No cóż, sądzę, że wszyscy popełniamy błędy. Ale z drugiej strony, myślę, że pan tego akurat błędu by nie zrobił. Gdyby pan zobaczył obraz Adriana, zorientowałby się pan natychmiast.

Harkins milczał. Patrzył na swoje skórzane pudełko do cygar tak, jakby widział je po raz pierwszy w życiu.

- No cóż, miałem nad panem przewagę. Widziałem twarz ofiary dobrze i na miejscu zbrodni, a pan tylko w kostnicy. Cygaro?

Jury uśmiechnął się. Wyglądało na to, że zatoczyli pełne koło.

Wstawali już, żeby wyjść, kiedy do pubu wpadł Wiggins i zawiadomił ich, że znaleziono Lily Siddons.

## 8

W pobliżu krawędzi klifu, prawie dokładnie tam, gdzie Bertie spadł poprzedniej nocy, stały przynajmniej trzy tuziny ludzi

- mnóstwo policjantów, iluś mieszkańców wioski, w tym Bertie oraz Melrose Plant. I wszyscy oni patrzyli w dół.

A tymczasem dwaj podkomendni Harkinsa, przewiązani w pasie linami, schodzili powoli po ścianie klifu. Jednak ukształtowanie skał, które spowodowało nocą, że Bertie nie znalazł oparcia dla stóp, teraz nie pozwoliło tym ludziom zejść niżej. Droga na sam dół nie istniała, nawet dla Arnolda, którego Bertie mocno trzymał za obrożę.

A na samym dole, prawdopodobnie już od jakiegoś czasu, wzdłuż wąskiej kamiennej plaży chodziła Lily Siddons. Poruszała się między Rackmoor a Runner's Bay, dokładnie tam, gdzie wiele lat wcześniej zginęła jej matka. W tej chwili zatrzymała się, zadzierając głowę i patrząc w górę, a Jury dostrzegł ją z trudem. Widział jednak, że woda już omywa jej kostki, że wkrótce sięgnie kolan, a potem...

Lily podniosła rękę; wyglądała jak kąpiąca się letniczka, pozdrawiająca przyjaciół na brzegu.

Jury zdecydowanym ruchem zrzucił płaszcz i - zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, zanim Wiggins zawołał: „Boże drogi! Panie inspektorze, nie może pan tędy schodzić!” - znalazł się na krawędzi klifu.

Ludzie zebrani na górze zaprotestowali.

- Wracaj, ty cholerny idioto! - wrzeszczeli Harkins i Plant.

- Bierz go, Arnold! - rozległ się równocześnie okrzyk Bertiego.

I tylko on odniósł skutek, bo zęby teriera wpiły się błyskawicznie w przedramię Jury'ego, osadzając go na miejscu. A w tej samej chwili Plant, Harkins i Wiggins wciągnęli inspektora z powrotem.

- Nie zgrywaj bohatera, idioto! - zawołał Harkins i zarzucił Jury'emu płaszcz na ramiona.

- Ale mnie wcale nie o to chodzi... - zaprotestował Jury, odgarniając włosy z czoła, po czym, spojrzawszy w oszoło-

mieniu w dół, zobaczył, że fale pochłaniają już głowę Lily i że tylko jej wyciągnięte ramię widoczne jest jeszcze ponad ciemną powierzchnią zimowego morza.

Wyglądało to tak, jakby nieszczęsna machała do nich ręką na pożegnanie.

## 9

Żegnali się z Bertiem.

- Chateau de Meechem było dziś naprawdę dobre, Copperfield - pochwalił wino Melrose Plant, wtykając chłopcu do kieszeni niewiarygodnie wysoki napiwek. - A posiłek doskonały, choć ponownie dało się zauważyć nieobecność łososia.

Bertie strzepnął kelnerską serwetę i udrapował ją sobie na ramieniu.

- No bo teraz chyba nie sezon na łososie - zabrzmiała jego odpowiedź.

- Posłuchaj, Bertie - zwrócił się do niego Jury. - Mam pewne dane, by sądzić, że twoja matka będzie jeszcze przez pewien czas w Irlandii Północnej. Powiem ci też, że wkrótce powinieneś otrzymać od niej wiadomość. Podobnie jak panna Cavendish. Więc jeżeli którakolwiek z nich, to znaczy Żabie Oko czy Wątlusz, zacznie ci zadawać pytania, powiedz, że przyjdzie coś pocztą. A jeżeli to ich nie uspokoi, każ im zadzwonić do mnie.

To powiedziawszy, wsunął Bertiemu wizytówkę z numerem Nowego Scotland Yardu do tej samej kieszeni, do której Plant wetknął przed chwilą pieniądze.

Bertie promieniał.

- Ale w jaki sposób pan... - zaczął i zaraz zamilkł, gładząc łeb Arnolda.

- Nie martw się, chłopie - powiedział Jury, wyciągając do niego rękę. - Do widzenia.

Bertie uściśnął mu dłoń.

- Więc nie przenocuje pan już u nas? - zapytał jeszcze.

- Nie - odrzekł Jury. - Pojadę późnym pociągiem do Yorku. Ale pamiętaj, zadzwoń do mnie kiedyś, dobrze? Opowiesz mi, co u ciebie - dokończył, mrugając do chłopca porozumiewawczo.

- Oczywiście, proszę pana. Podaj łapę, Arnold. Gdzie twoje maniery?

Arnold podniósł łapę.

- Do widzenia, Bertie - powiedział Melrose Plant. - Życzę ci, żebyś nigdy nie skończył trzynastu lat.

Znalazłszy się już na zewnątrz, Jury i Plant ruszyli wzdłuż wału, zamierzając po raz ostatni spojrzeć na wioskę.

- Nie sądzę, żeby jej chodziło o pieniądze - zauważył Jury. - Moim zdaniem, ona nie chciała ani pieniędzy, ani przywilejów należnych rodowi Craelów. Pragnęła tylko mieć rodzinę.

Plant milczał, a Jury zapatrzył się na ciemne, nadbiegające ku brzegowi fale.

- Wie pan - odezwał się znowu - czasami mam wrażenie, że... No, nie wiem... Czasami wydaje mi się... że minąłem się z powołaniem. A na dodatek teraz mam jeszcze zostać nadin spektorem. Czuję się tak, jakby spodziewano się po mnie, że będę w pewnym sensie wymierzał sprawiedliwość. Ale jak ja mam to robić? Bo widzi pan, człowiek patrzy na kogoś takiego jak Julian Crael albo Lily i ma wrażenie, że tacy ludzie są ofiarami... Tak samo jak my wszyscy... Chociaż, z drugiej strony wychodzi chyba na to, że Lily działała z zimną krwią...

Popatrzył na morze, tak jakby się spodziewał, że ono ją zwróci.



- No cóż, ale to nie ja powinienem o tym wyrokować, prawda? Moim jedynym obowiązkiem jest takie osoby zła pać. I doprowadzić. Choć czasami to ostatnie mi się nie udaje... Zastanawiam się, co to jest sprawiedliwość. - Zamilkł na chwilę, błędząc wzrokiem po morzu. - A także, co to znaczy być nadinspektorem.

Plant zapalił papierosa.

- Jest chłodno - zauważył.

A potem obaj odwrócili się plecami do morza i ruszyli prosto w rackmoorską mgłę.

## Spis treści

I.	Noc na Angel Steps	7
II.	Poranek w Yorku	25
III.	Popołudnie w Islington	37
IV.	Rackmoorska mgła	47
V.	<i>Limehouse Blues</i>	217
VI.	Stary czerwony łąch	289
VII.	Simon mówi	349